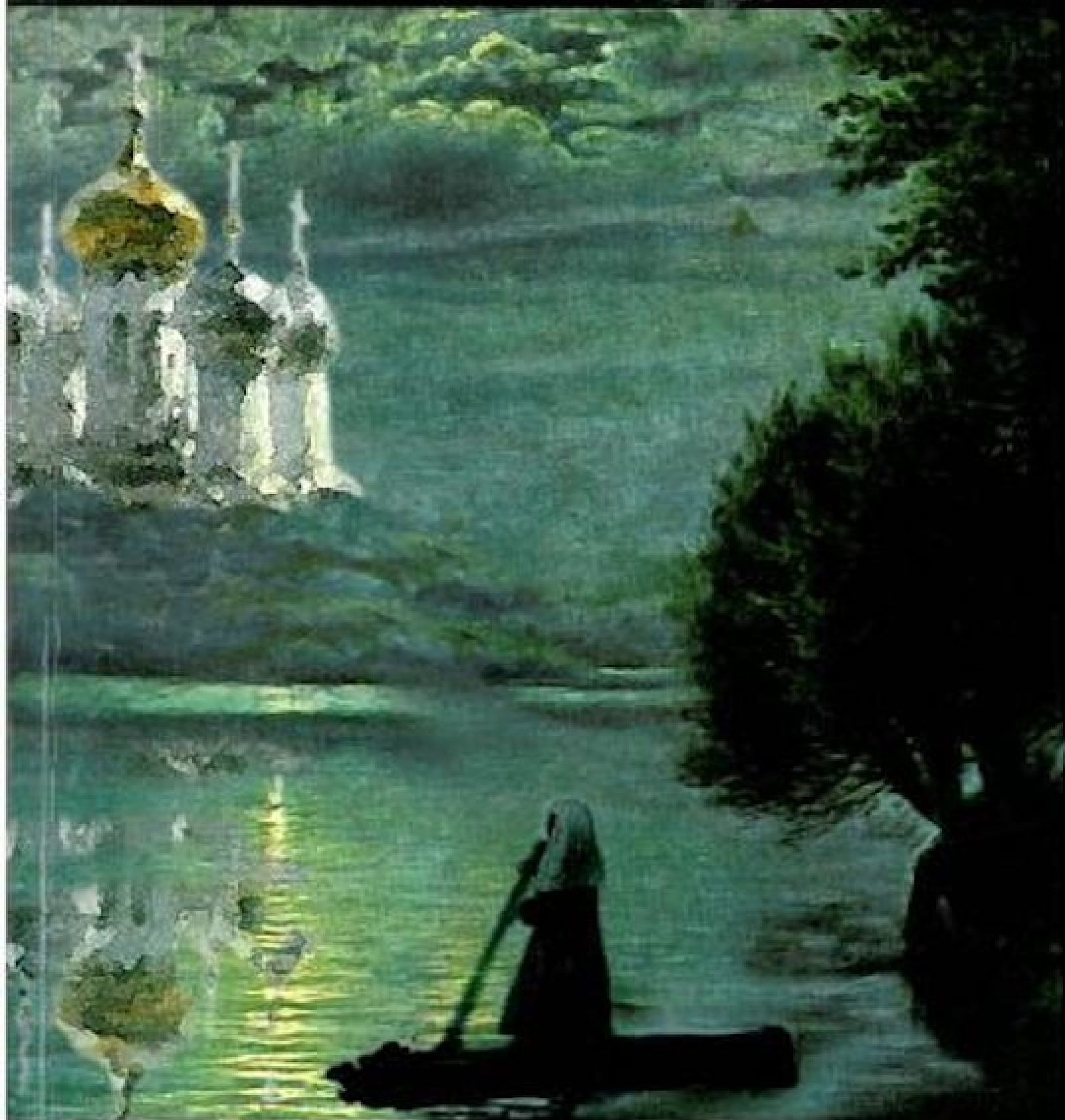


BORYS AKUNIN

PELAGIA I BIAŁY BULDOG



Boris Akunin

PELAGIA I BIAŁY BULDOG

(Пелагия и белый бульдог)

Przełożył:

Wiktor Dłuski

Noir sur Blanc

2007

Część pierwsza

Patrzajcie się psów

I

Śmierć Hulaja

...Bo też trzeba wam wiedzieć, że na Jabłecznego Zbawiciela, kiedy niebo powoli zaczyna zawracać z lata na jesień, miasto nasze ulega zwykle istnemu najazdowi cykad, tak że nocą choćby i chciał człowiek zasnąć, to nie zaśnie – takie się ze wszystkich stron trele niosą, tak niziusienko schodzą gwiazdy, a księżyc to już zawisa tuż-tuż nad dzwonicami i podobny się robi do jabłka naszej słynnej „śmietanowej” odmiany, którą kupcy tutejsi aż na dwór cesarski dostarczają i nawet do Europy na wystawy wożą. Gdyby wypadło komuś spojrzeć na nasz Zawołzsk hen, z nieboskłonu, skąd nocą promienie ciał niebieskich na nas spływają, to szczęśliwiec taki ujrzałby pewnie obraz jakiegoś zaczarowanego królestwa: Rzeka skrzy się leniwie, dachy połyskują, latarnie gazowe migoczą, a nad całą tą grą różnorodnych błysków unosi się srebrzysty dźwięk chóru cykad.

Ale wróćmy do władzyki Mitrofaniusza. O przyrodzie bowiem wspomnieliśmy tylko po to, żeby wyjaśnić, czemu w taką noc niełatwo by zasnął nawet człowiek najzwyczajniejszy, mniej troskami obciążony niż archijerej guberni. Nie przypadkiem ludzie niechętni, a ma ich nawet ów dostojny pasterz, no bo kto ich nie ma, utrzymują, że to właśnie przewielebny, a bynajmniej nie gubernator Antoni Antonowicz von Hagenau, prawdziwie włada rozległą naszą krainą.

Nawiasem mówiąc – rozległa, bo rozległa, ale zaludniona nie zanadto. Prawdziwe miasto to bodaj jeden tylko Zawołzsk, inne zaś, nawet i powiatowe, wyglądają na jakieś rozrośnięte wioski, z gromadką murowanych budynków urzędowych wokół jedyne

placu, z niewielką świątynką i setką czy dwiema drewnianych domów krytych blachą, którą od niepamiętnych czasów maluje się u nas, nie wiadomo czemu, koniecznie na zielono.

A i stolica guberni to żaden tam Babilon – w czasach, o których tu mowa, cała jej ludność liczyła dwadzieścia trzy tysiące pięćset jedenaście osób płci obojga. Co prawda, w tygodniu po Przemienieniu, jeśli nikt nie umrze, oczekiwano powiększenia liczby tutejszych obywateli o jeszcze dwie dusze, jako że żona zarządcy kancelarii gubernialnej Sztopsa oraz mieszcanka Safulina już donaszały, a ta druga nawet wedle powszechnego zdania przenosiła.

Zwyczaj prowadzenia ścisłej ewidencji ludności zapoczątkowano u nas niedawno, za teraźniejszej władzy, i to tylko w miastach. A ile narodku gdzieś tam po lasach i błotach sobie biduje, to już jeden Pan Bóg wie; jak kto chce, niech sam pójdzie i policzy. Od Rzeki po sam Ural ciągną się na setki wiorst głucho, nieprzebyte knieje. Są tam i pustelnie raskolników, i faktorie solne, a na brzegach ciemnych, głębokich rzek, w większości w ogóle bezimiennych, żyje plemię Zytiaków, ludek spokojny i posłuszny, ugryjskiego pochodzenia.

Jedyną wzmiankę o dawnym życiu naszej niezbyt znamienitej krainy znaleźć można w Księdze nowogrodzkiej, piętnastowiecznej kronice. Mowa tam o kupcu imieniem Ropsza, którego w tutejszych lasach „pogaństwo dzikie gołobrzuche ułowiwszy”, na ofiarę kamiennemu bałwanowi Szyszydze głowy pozbawiło, od czego, uważa za stosowne objaśnić kronikarz, „sczeźł onże Ropsza, ducha oddał i bez głowy pogrzebion jest”.

Były to wszelako czasy dawne, mityczne. A teraz jest u nas cicho i spokojnie, nikt po drogach nie łobuzuje, nie zabija i nawet wilki w lasach tutejszych dla obfitości pożywienia wyraźnie tłustsze są i bardziej leniwe niż w innych guberniach. Dobrze nam się żyje, daj tak Boże każdemu. A co do tego, co przygadują ludzie niechętni

naszemu arcypasterzowi, to kto naprawdę zawołyzańską krainą włada – czy władca Mitrofaniusz, czy może gubernator Antoni Antonowicz, czy też wytrawni doradcy pana gubernatora albo zgoła gubernatorowa Ludmiła Płatonowna – my się rozstrzygać nie podejmujemy, bo to rzecz nie na nasz rozum. Powiemy tylko, że stronników i wyznawców przewielebny ma w Zawoźsku o wiele więcej niż nieprzyjaciół.

Zresztą ostatnimi czasy w związku z pewnymi wydarzeniami ci ostatni nabrali śmiałości i głowy podnieśli, co przysporzyło Mitrofaniuszowi, oprócz zwykłych powodów do bezsenności, związanych z szalejącymi cykadami, powodów dodatkowych, szczególnych. Dopieroż więc chmurzył władca swoje wysokie, trzema poprzecznymi zmarszczkami przecięte czoło, dopieroż nasępiął czarne, gęste brwi.

Urodziwy jest na twarzy biskup zawoźski, nie po prostu przystojny, ale zaiste piękny, jak przystałoby nie pasterzowi nawet, tylko jakiemuś kniaziowi staroruskiemu czy bizantyjskiemu archistrategowi. Włosy ma nasz władca długie, siwe, brodę też długą i jedwabistą, na razie wciąż na wpół czarną, a w wąsach to nawet jednego siwego włoska nie uświadczysz; spojrzenie przenikliwe, najczęściej miękkie i jasne, ale tym straszniejsze, kiedy się zachmurzy gniewem i błyskawice zacznie ciskać. W takich groźnych chwilach wyraźniej rzucają się w oczy i surowe zmarszczki wzdłuż kości policzkowych, i orle wygięcie wydatnego, rasowego nosa. Głos ma władca głęboki, dźwięczny, przelewający się nisko, tak samo dobry do serdecznej rozmowy, jak do natchnionego kazania czy państwowotwórczej mowy na kolejnej sesji Świętego Synodu.

Za młodych lat wyznawał Mitrofaniusz poglądy ascetyczne. Chodził w habicie z workowatego płótna, udręczał ciało nieustannymi postami, a nawet, powiadają, nosił pod koszulą żelazne łańcuchy. Dawno już jednak wyrzekł się tych udręczeń, uznał je za powierzchowne,

nieistotne, co gorsza – szkodzące prawdziwej pobożności. Doszedłszy lat i dostąpiwszy mądrości, stał się dla własnego i cudzego ciała bardziej pobłażliwy, a co się tyczy codziennego stroju, to lubił szczególnie domowe sutanny z cienkiej materii, granatowej lub czarnej. Czasem, kiedy wymagał tego autorytet biskupiej godności, przywdziewał fioletowy płaszcz z kosztownego aksamitu, kazał zaprzęgać w sześć koni paradną karetę, na stopniach zaś musieli koniecznie stać dwaj potężni, gęstobrodzi braciszkwowie w zielonych sutannach z galonami, wielce do liberii podobnych.

Trafiali się oczywiście i tacy, co cichaczem wyrzekali na sybaryckie nawyczki przewielebnego i zamiłowanie do wystawności, ale nawet oni nie osądzali go zbyt surowo, pamiętając o jego wysokim pochodzeniu i o tym, że od dziecka był nawykły do zbytku i dlatego nie przywiązywał do niego jakiegoś szczególnego znaczenia, nie raczył zauważać, jak wyrażał się biskupi sekretarz, ojciec Serafini Starowny.

Urodził się zawołzski przewielebny w znakomitej, zbliżonej do dworu rodzinie, ukończył Korpus Paziów, po czym wstąpił do kawalerii gwardii (a było to jeszcze za panowania Mikołaja Pawłowicza). Życie prowadził takie, jakie zwykli wieść młodzi ludzie z jego sfery, i jeśli różnił się czymś od rówieśników, to bodaj tylko pewną skłonnością do filozofowania, zresztą nie tak znowu rzadką wśród wykształconych i wrażliwych młodzieńców. W pułku uważano „filozofa” za dobrego kolegę i chwackiego kawalerzystę, dowództwo go lubiło, awansowało, tak że koło trzydziestki poszedłby pewnie w pułkowniki, ale akurat trafiła się kampania krymska. Bóg wie, co się objawiło przyszłemu biskupowi zawołzkiemu w pierwszej jego sprawie bojowej, konnej potyczce pod Bałakławą, wiadomo tylko, że wyzdrowiawszy po ranie od szabli, więcej już broni do ręki wziąć nie chciał. Podał się do dymisji, pożegnał z rodziną i wkrótce odbył

nowicjat w jednym z najodleglejszych od stolicy monasterów. Jednak jeszcze dziś, zwłaszcza kiedy odprawia w świątyni nabożeństwo z okazji któregoś z dwunastu wielkich świąt albo przewodniczy na zebraniu w konsystorzu, łatwo sobie wyobrazić, jak gromko podawał swym ułanom komendę: „Szwaaadron, szaaableee w dłoń! Maaarsz, marsz!”

Człowiek nieprzeciętny na każdym polu się wyróżni, toteż niedługo wiódł Mitrofaniusz anonimowe życie w zapadłym klasztorze. Jak przedtem został najmłodszym dowódcą szwadronu w całej lekkokonnej brygadzie, to i teraz tak się złożyło, że został najmłodszym z biskupów prawosławnych. Mianowany do nas, do Zawołzka, najpierw wikariuszem, a potem już gubernialnym arcypasterzem, wykazał się taką mądrością i gorliwością, że wkrótce wezwano go do stolicy i powołano na wysoką godność kościelną. Wielu wróżyło Mitrofaniuszowi w najbliższej przyszłości biały kłobuk metropolity, ale on, ku zdumieniu wszystkich, jeszcze raz zboczył z ubitej drogi – ni stąd, ni zowąd poprosił, by go znów posłano w naszą głąsę, i choć długo próbowano mu to wyperswadować, to ku radości Zawółzan odprawiono go z Bogiem, a on już nigdy nie opuszczał tutejszej skromnej, oddalonej od stolicy katedry.

Ale co z tego, że oddalonej. Dawno wiadomo, że im dalej od stolicy, tym do Pana Boga bliżej. A stolica i przez tysiąc wiorst potrafi dosięgnąć, jeśli jej, wysoko rozsiadłej, daleko widzącej, strzeli do głowy taka fantazja.

I przez taką właśnie fantazję nie spał tej nocy władyka, bez przyjemności słuchając uprzykrzonego cykadowego crescendo. Stołeczna fantazja miała twarz i nazwisko, była bowiem inspektorem Synodu i nazywała się Bubiencow, i właśnie rozmyślając o tym, jak by tu utrzyć nosa temu złowrogiemu jegomościowi, przewielebny już setny raz przewracał się z boku na bok na miękkiej, kaczym puchem

nabitej pierzynie, postękiwał, wzdychał, a czasem nawet wydawał z siebie żałośliwe: „Och!”

Łoże w biskupiej sypialni było szczególne, starodawne, z elżbietańskich jeszcze czasów pochodzące, ze wspartym na czterech słupach baldachimem w postaci rozgwieźdzonego nieba. W czasach wspomnianego już zapału do ascezy Mitrofaniusz spał doskonale i na słomie, i na gołych deskach, dopóki nie doszedł do wniosku, że umartwianie to głupota i na nic się nie zda, bo przecież nie po to Pan ulepił nasze ciało na swój obraz i podobieństwo, by się nad nim znęcać, a do tego nie przystoi arcypasterzowi popisywać się przed podlegającym mu duchowieństwem i narzucać mu samoudręczeń, do których nie wszyscy wszak mają duchowy pociąg i których zresztą reguła kościelna nie wymaga. W dojrzałym wieku zaczął przewielebny skłaniać się coraz bardziej do zdania, że prawdziwe próby niebo zsyła na człowieka nie w sferze fizjologicznej, lecz duchowej, a niszczenie ciała nie zawsze pociąga za sobą zbawienie duszy. Dlatego biskupie komnaty urządzone są nie gorzej od gubernatorskiego domu, stół w refektarzu jest nawet nieporównanie lepszy, a w sadzie jabłkowym – pierwszym w całym mieście – stoją altanki, rotundy i nie brak też fontanny. Spokojnie tam, cieniście, dobrze się rozmyśla, niechętni zaś niech tam sobie szepczą, cóż – złego jęzora nie wsadzisz do wora.

A z perfidnym kontrolerem Bubiencowem oto jak postąpić należy – umyślił władyka. Nasamprzód napisać do Petersburga do Konstantego Pietrowicza o wszystkich wyczynach jego zaufanego nuncjusza i o tym, jakie nieszczęścia mogą z tych sztuczek wyniknąć dla Cerkwi. Oberprokurator to człowiek rozumny. Może się nad tym zastanowi. Ale do listu się nie ograniczać, tylko koniecznie wezwać na rozmowę gubernatorową Ludmiłę Płatonownę – przemówić jej do sumienia, zawstydzić. Kobieta z niej dobra i uczciwa. Powinna się

opamiętać.

I wszystko się ułoży. Jakie to proste.

Ale chociaż już sercu ulżyło, sen wciąż nie przychodził, a winien temu był nie okrągły księżyc ani nawet nie cykady.

Znając swoją naturę i mając zwyczaj najstaranniej, do ostatniej śrubki, sprawdzać pracę jej mechanizmu, Mitrofaniusz zaczął kalkulować, co to za robak go gryzie i nie dozwala rozumowi otoczyć się obłokiem snu. Gdzie przyczyna?

Czyżby dzisiejsza rozmowa z szurniętą nowicjuszką, szlachcianeczką, której odmówiono postrzyżyn zakonnych? Władyka nie patyczkował się z nią, palnął prosto z mostu: „Ty, córko moja, nie potrzebujesz najśłodszego Niebiańskiego Oblubieńca, tak tylko ci się zdaje. Tobie najzwyczajniejszego narzeczonego trzeba, z urzędniczego stanu, a jeszcze lepiej – oficera. Z wąsami!” Rzecz jasna, nie należało tak... Skutkiem był atak hysterii i długie handryczenie się. No, ale mniejsza o to, głupstwo. Co jeszcze?

Trzeba było podjąć nieprzyjemną decyzję w sprawie ojca ekonoma z monasteru Bogojawleńskiego. Za burdy po pijanemu i rozpustne odwiedzanie kobiet złej konduity winowajca został skazany na usunięciu z klasztoru i przywrócenie do stanu świeckiego. Teraz zacznie się pisanina – i do ekscelencji, i do Synodu. Ale i to była zwykła sprawa, nie w niej kryła się przyczyna niepokoju.

Mitrofaniusz pomyślał jeszcze trochę, pomacał sam w sobie, zabawił się w ciepło-zimno, jak bywało w dzieciństwie, i nagle zrozumiał: list od ciotki, generałowej Tatiszczewej, to jest właśnie ten robak, co go gryzie. Aż sam się zdziwił, ale serce od razu potwierdziło – ciepło, ba, gorąco! Niby głupstwo, a w duszy coś spokoju nie daje. No to jak, wziąć? Przeczytać?

Usiadł na łóżku, zapalił świecę, założył pince-nez. Gdzie ten list? O, jest, na nocnym stoliku.

„Miły mój Misza – pisała staruszka, Maria Afanasjewna, z przyzwyczajenia nazywając krewniaka dawno zapomnianym świeckim imieniem – jak zdrowie? Dała Ci spokój podagra przekłeta? Przykładasz liście kapuściane, jak Ci kazałam? Nieboszczyk Apoloniusz Nikołajewicz zawsze mówił, że...” Dalej następował obszerny opis cudownych właściwości kapusty ogrodowej i przewielebny niecierpliwie prześlizgnął się po linijkach, pisanych równym, staroświeckim pismem. Oczy zatrzymały się na nieprzyjemnym nazwisku. „Znów mnie odwiedził Włodzimierz Lwowicz Bubiencow. A czegoż to o nim nie wygadywali, że niby oczajdusza i prawie morderca! Przyjemny młody człowiek, spodobał mi się. Bezpośredni, bez fanaberii i na psach się rozumie. Wiesz, że on, okazuje się, jest ze mną spokrewniony przez Striechninów? Moja babcia, Adelajda Siekandrowna, secundo voto...” Nie, nie, to też nie to, idźmy dalej.

Aha, tutaj: „...Ale to wszystko do sprawy nie należy, a pisałam tylko dlatego, że ze słabości serca zwlekałam z przejściem do najważniejszego. Ledwie się wezmę w garść, na duchu umocnię, znowu łzy płyną jak dwa strumyki, i ręka drży, i w piersi zimno ściska. Piszę do Ciebie, Misza, nie ot tak sobie. Wielkie mam zmartwienie, i to takie, że ty jeden mnie zrozumiesz, a inni tylko patrzeć, jak wyśmieją, powiedzą: całkiem rozum straciła stara wariatka. Sama bym chciała do Ciebie przyjechać, ale siły nie ma, chociaż droga niby niedaleka. Leżę jak kłoda i nic, tylko płaczę i płaczę. Wiesz sam, ile lat, ile sił i środków w to włożyłam, żeby doprowadzić do końca dzieło, któremu Apoloniusz Nikołajewicz życie poświęcił”. (W tym miejscu władyka pokiwał głową, jako że do sprawy, której wujaszek nieboszczyk życie poświęcił, odnosił się sceptycznie). „Dowiedz się więc, przyjacielu mój, co za nikczemność zdarzyła się u mnie w Drozdowce. Jakiś drań, i to nie inaczej, tylko ktoś ze swoich, podsypał trucizny do miseczki

Hulajowi i Łapajowi. Łapaja, że młodszy, emetykiem uratowałam, śmierci wydarłam, ale Hulajuś mój zgasł. Całą noc cierpiał, rzucał się, ludzkimi łzami płakał i patrzył na mnie tak żałośnie: poratuj, niby, matuś, w tobie cała moja nadzieja. Nie uratowałam. Już nad ranem zaskowyczał boleśnie, przekręcił się na bok i ducha wyzionął. Padłam bez przytomności i powiadają, że trzy godziny w tym stanie przebyłam, nawet i doktor z miasta zdążył przyjechać. A teraz leżę całkiem słaba, ale najwięcej ze strachu. Przecież to spisek, Michasiu, nikczemny spisek. Ktoś chce zgładzić moje dzieciaczki, a z nimi i mnie, staruchę. Na Boga Wszechmogącego błagam Cię, przyjeżdżaj. I nie z pociechą pasterską, ja jej nie potrzebuję, tylko żeby przeprowadzić śledztwo. Wszyscy mówią, że taki masz dar – każdego drania na wskroś widzisz i każdą zbrodniczą intrygę przenikniesz. A czy można sobie wyobrazić bardziej bezecny uczynek? Naprawdę, przyjeżdżaj, poratuj. Wieczną twoją wielbicielką będę, a w testamencie szczodry legat umieszczę, czy to na świątynię, czy to na klasztor jakiś, czy to na sieroty”. Na samym końcu listu ciotka przechodziła z tonu familiarnego na oficjalny i pełen szacunku: „Polecając się ojcowskiej uwadze, arcybiskupskiemu modlitwom i o biskupie błogosławieństwo błagając, pozostaję oddaną sługą Waszej Przewielebności, Maria Tatiszczewa”.

Tu chyba wypadałoby wyjaśnić sprawę daru, o którym pisała generałowa Tatiszczewa, a który duchownej osobie biskupiej rangi jakby niezupełnie przystoi. Tak czy inaczej, wśród innych, wznioślejszych zalet przypisywano władcy również drogocenny, rzadko spotykany talent rozwiązywania wszelakich najbardziej nawet zawikłanych zagadek, zwłaszcza mających przestępcze tło. Można powiedzieć, że Mitrofaniusz żywił prawdziwą namiętność do takiej gimnastyki umysłowej, i zdarzało się nieraz, że władze policyjne, nawet z sąsiednich guberni, pokornie prosiły go o radę, kiedy miały do

czynienia z jakimś zagmatwanym śledztwem. Biskup zawoźski w duchu bardzo szczyił się swoją sławą, ale z niezupełnie czystym sumieniem – po pierwsze dlatego, że duma niewątpliwie zaliczała się do uczuć czczych i marnych, po drugie zaś z jeszcze jednej przyczyny, którą pominiemy milczeniem, jako że znał ją tylko on sam i jeszcze pewna osoba.

Wieczorem, po pierwszej lekturze listu, prośba cioci, żeby pędzić do jej majątku dla zbadania okoliczności śmierci Hulaja, rozbawiła przewielebnego. Również i teraz, ponownie przeczytawszy to orędzie, pomyślał sobie: bzdury, bredzi starowina. Poleży dzień, dwa i wstanie.

Władyka zgasił świecę, położył się, ale serce wciąż nie dawało spokoju. Spróbował pomodlić się o wyzdrowienie cioci. Wiadomo, że nocnej modlitwie bliżej do Najwyższego. Nawet Złotousty pisze, że Pan nasz najbardziej te właśnie sobie umiłował, które „w spokojny czas odmawiasz, obficie nieraz płacząc”.

Modlitwa jednak wyszła jakaś taka bez duszy, sam tylko papuzi słowotok, a tego władyka nie uznawał. Nawet za pokutę nigdy na nikogo nie nakładał odmawiania modlitw, uważał to za świętokradztwo. Pacierz, co tylko przez usta przechodzi, serca nie tknąwszy, to w ogóle żaden pacierz.

No dobrze, niech Pelagia tam jedzie – zdecydował Mitrofaniusz. Niech wyjaśni, co się stało z tym przeklętym Hulajem.

I od razu mu ulżyło. Ani cykady nie dręczyły już duszy drżącym wielogłosem, tylko kołysały do snu, ani księżyc oczu nie oślepił, lecz jakby omywał twarz ciepłym mlekiem. Mitrofaniusz przymknął powieki, wygładził zmarszczki na surowym czole. Zasnął.



Z okazji Przemienienia Pańskiego, nazywanego także Jabłecznym Zbawicielem, w cerkwi domowej od rana święcono płody. To święto,

z dwunastu wielkich przecież nie największe, Mitrofaniusz lubił za barwność i miłą Bogu lekkomyślność. Sam nabożeństwa nie odprawiał, stał z tyłu i z boku, na archijerejskim podwyższeniu, skąd lepiej widać i ozdobioną jabłkami cerkiew, i liczną publiczność, i diakonów w specjalnych „jabłecznych” ornatach – niebieskich ze złotym, naszywanych motywami z liści i owoców. Śpiewacy słynnego chóru biskupiego, zszedłszy się z obu stron, huknęli katawasiję, ale to tak, że ciężki kryształowy żyrandol pod białym sklepieniem dźwięcznie zadygotał tęczowymi wisiorami. Ojciec Amfiteatrow zaczął święcić jabłka: „Panie Boże nasz, dozwól wierzącym w Ciebie cieszyć się dziełami Twoimi i sam pobłogosław słowem swoim leżące tu płody...”

Dobrze.

Nabożeństwo na Przemienienie jest niedługie, radosne. W świątyni pachnie świeżością i sokiem, bo każdy przyszedł z własnym koszykiem jabłek. Koło Mitrofaniusza na stoliku też stał srebrny półmisek z ogromnymi, czerwonymi, ananasowymi „carskimi” jabłkami z biskupiego sadu, soczystymi, słodkimi, pachnącymi. Kogo przewielebny obdarzy, tego szczególnie wyróżni i osobliwą mu okaże przychylność.

Mitrofaniusz posłał kulawego służkę przy biskupim pastorałe do lewego chóru, gdzie stały rzędem stateczne mniszki, którym jako pobożne ćwiczenie zlecono nauczanie w diecezjalnej szkole dla dziewcząt. Posłaniec szepnął na ucho kierownicze, wysokiej, chudej siostrze Krystynie, że władcyka jabłuszkami obdarować raczy, a ta obejrzała się i schyliła w dziękczynnym pokłonie. Na prawo od niej stała chyba (od tyłu nie od razu można było rozpoznać) siostra Emilia, wykładająca arytmetykę, geografie i jeszcze kilka przedmiotów. Potem krzywoboka siostra Olimpiada, odpowiedzialna za Słowo Boże. Dalej dwie jednakowo przygarbione Ambrozja i Apolinaria, co to nie

rozdzieli, która jest która; jedna wykladała gramatykę i historię, druga – użyteczne roboty ręczne. A na końcu, tuż przy ścianie, stała sobie niewysoka, chudziutka siostra Pelagia (literatura i gimnastyka). Tej to nie sposób z żadną inną pomylić: apostołek przekrzywiony, a z boku – dla mniszki wstyd, rzecz niedopuszczalna – kosmyk rudych włosów sterczy i w promieniu słońca miedzią połyskuje.

Mitrofaniusz znów, któryż to już raz, westchnął, powątpiewając, czy nie pomylił się, udzieliwszy w swoim czasie Pelagii błogosławieństwa na postrzyżyny zakonne. Nie pobłogosławić nie mógł – panna ma za sobą wielki smutek i ciężką próbę, jaką nie każda dusza by wytrzymała – ale okropnie już niemnisiego jest usposobienia: za żywa, na miejscu nie usiedzi, ciekawska, w ruchach żadnej stateczności. No, przecież sam taki jesteś, stary durniu – napomniał się przewielebny i jeszcze raz, jeszcze smutniej, westchnął.

Kiedy siostry ustawiły się w kolejce, by dostać od przewielebnego po jabłku, władcyka każdą wyróżnił: tej dał rękę do pocałowania, tamtą po głowie leciutko pogłaskał, do innej znów uśmiechnął się po prostu, a z ostatnią, Pelagią, casus się wydarzył. Nastąpiła, niezgraba jedna, ojcu diakonowi na nogę, odskoczyła, przepraszając, w ręce klasnęła i bach! – łokciem prosto w półmisek. Łoskot, brzęk srebra po kamiennej podłodze, na wszystkie strony toczą się radośnie czerwone jabłuszka, a chłopcy ze szkółki cerkiewnej, którym to całkiem się nie należy, bo łobuziaki z nich i urwisy, już rozchwyтали drogocenne carskie ananasowe, niczego nie zostawili ludziom godnym, zasłużonym, którzy za Pelagią na swoją kolej czekali. I stale tak z nią jest: nie mniszka, tylko jedno utrapienie piegowate.

Mitrofaniusz poruszył wargami, ale od wymówki się powstrzymał, bo to przecież i świątynia Boża, i święto.

Pobłogosławił tylko i powiedział:

– Schowaj no kosmyk, wstyd. I idź do biblioteki. Będę z tobą mówił.



– Wyobraził sobie osioł, że jest kłusakiem, jął więc chrapy rozdymać i walić kopytem w ziemię. – Tak zaczął rozmowę przewielebny. – „Wszystkich przegonię! – ryczał. – Najszybszy jestem, najzwagszy!” I tak przekonująco ryczał, że wszyscy wokół uwierzyli i zaczęli powtarzać: „Ten nasz osioł to wcale nie osioł, tylko najczystszej w świecie krwi argamak. Trzeba go teraz wystawiać do wyścigów, żeby wszystkie co do jednej nagrody zdobył”. I od tej pory osioł życia nie miał, bo gdzie tylko jakieś gonitwy się odbywały, to jego zaraz za uzdę i do biegania ciągną. „Jazda – wołają – kłapouchy, nie zawieź!” Takie to wspaniałe życie osłowi przypadło.

Mniszka, od dawna już nawykła do biskupich przypowieści, słuchała w skupieniu. Gdyby tak ktoś mimochodem na nią spojrzął, powiedziałby: młodziutka panna – twarz czysta, o miłym owalu, budząca sympatię i z pozoru naiwna. Ale to mylne wrażenie brało się z zadartego nosa i uniesionych zdziwieniem brwi, a ciekawskie, okrągłe, ciemne oczy patrzyły zza takichże okrągłych okularów wcale a wcale nie prostodusznie i widać było po tych oczach, że to nie żadna dzierlatka: i nacierpieć się zdążyła, i pożyć, i porozmyślać o tym, co przeżyła. Świeżość zaś i młody wygląd brały się z białej cery, często towarzyszącej rudym włosom, i z nieustępliwych piegów, rozsypanych po buzi jak pomarańczowe paciorki.

– Powiedz no mi więc, Pelagio, czego się tyczy ta przypowieść?

Siostra zamyśliła się. Z odpowiedzią się nie spieszyła. Małe białe rączki mimowolnie sięgnęły do wiszącej u pasa płóciennej torebki, a władca, który wiedział, że Pelagii myśli się najlepiej z robótką w ręce, zezwolił:

– Weź druty, można.

Skwapliwie zaszczekały ostre stalowe druty i Mitrofaniusz zmarszczył brwi, przypomniawszy sobie, jakie ohydne wytwory

pojawiają się na świecie z przyczyny tych z pozoru zręcznych palców. Na świętą Wielkanoc siostra ofiarowała archijerejowi biały szaliczek z literami „ChZm” tak krzywymi, jakby zdążyły już sobie porządnie podpisać.

– Dla kogo to? – nieufnie spytał władyka.

– Dla siostry Emilii. Paseczek, a puszczę po nim fryz z czaszek z pieszczelami.

– No, no – uspokoił się biskup. – Więc co z przypowieścią?

– Tak sobie myślę – westchnęła Pelagia – że to o mnie, grzesznej. Tą alegorią chciałeś, ojcze, powiedzieć, że ze mnie taka zakonnica jak z osła rączy kłusak. I taki niemiłosierny sąd o mnie stąd powziąłeś, że w świątyni jabłka rozsypałam.

– A rozsypałaś rozmyślnie? Żeby w świątyni rwetesu narobić? No, przyznaj się. – Mitrofaniusz spojrział zakonnicy w oczy, ale zawstydził się, bo wyczytał w nich łagodny wyrzut. – No dobrze, dobrze, ja tylko tak... A moja przypowieść nie tego się tyczy, nie zgadłaś. Co to jest w nas, ludziach, za urządzenie, że każda rzecz, każde wypowiedziane słowo koniecznie chcemy wziąć do siebie? To pycha, córko moja. I nie taki z ciebie rzadki ptak, żebym ja przypowieści o tobie układał.

Władyka rozzłościł się nagle, ręce założył za plecy i przeszedł się po bibliotece, której warto chyba poświęcić trochę uwagi.

W biskupiej bibliotece panował idealny porządek, a zajmował się nią sekretarz Starowny, pracownik, w pełnej zgodzie ze swoim nazwiskiem, wielce skrupulatny. Na środku najdłuższej ściany (tej, na której nie było okien ani drzwi) stała szafa z dziełami teologicznymi i patrologicznymi, kryjąca w sobie pobożne księgi w językach cerkiewnosłowiańskim, łacińskim, greckim i hebrajskim. Po lewej stronie stały szeregiem szafy z hagiografią, z żywotami świętych prawosławnych i rzymskokatolickich; po prawej – prace z historii Cerkwi, liturgiki i kanoniki. Specjalne miejsce, przypominając

o poprzedniej pasji przewielebnego, zajmowała wielka szafa z traktatami poświęconymi ascezie. Mieściły się w niej także drogocenne białe kruki w rodzaju pierwszych wydań Zamku wewnętrznego Teresy z Avila czy Ozdoby duchowych zaślubin Ruysbroecka Cudownego. Na wielkim stole, zajmującym całą długość komnaty, leżały stosy zszywek rosyjskich i zagranicznych gazet i czasopism, przy czym najbardziej honorowe miejsce okupowały „Zawożskie Wiadomości Diecezjalne”, gubernialna gazeta, którą władcyka redagował osobiście.

Literatura niereligijna zaś, z najrozmaitszych dziedzin, od matematyki po numizmatykę i od botaniki po mechanikę, stała na mocnych dębowych półkach, szczelnie zasłaniających trzy pozostałe ściany sali bibliotecznej. Ze wszystkich rodzajów lektury władcyka unikał tylko beletrystyki, uważając ją za mało pożyteczną. Jest na tym świecie wystarczająco dużo cudów, zagadek i niepowtarzalnych historii, wymyślonych przez niebiańskiego Twórcę – powiadał czasem biskup – toteż ludzie śmiertelni nie mają po co wymyślać dla zabawy własnych światów i ludzików, bo tak czy inaczej w porównaniu z zamysłem Bożym wyjdzie to ubogo i nieciekawie. Co prawda siostra Pelagia spierała się z władcyką i powoływała na to, że skoro już Pan nasz zasiał w duszy ludzkiej pragnienie twórczości, to już On lepiej wie, czy jest jakiś sens i pożytek w układaniu powieści. No, ale tej dysputy teologicznej nie rozpoczęli Mitrofaniusz i jego duchowa córka, zaczęła się o wiele wcześniej, nie oni też ją dokończą.

Stanąwszy przed Pelagią, pokornie czekającą, kiedy jej preceptorowi duchowemu przejdzie to niezrozumiałe rozdrażnienie, Mitrofaniusz zapytał nagle:

– A czemu to nos błyszczysz? Znów się piegi maścią z dmuchawca smarowało? Godna to Chrystusowej oblubienicy rzecz takimi marnościami się zajmować? Przecież rozumna z ciebie kobieta. Toż to

błogosławiony Diadoch naucza: „Zdobiąca ciało swoje ciałolubstwem grzeszy, a onoż znamieniem niedowiarstwa jest”.

Z żartobliwego tonu przewielebnego Pelagia odgadła, że chmurka odpłynęła, i odpowiedziała dziarsko:

– Z twego Diadocha, ojczy, był znany wstecznyk. Toż on i myć się zakazywał. Jak tam jest w jego Kefalii powiedziane? „Wstrzemiężliwości gwoli należy łązni się wystrzegać, jako że ciało nasze słabnie od rozkosznej tej mokrości”.

Mitrofaniusz zmarszczył brwi.

– A ja ci nakażę sto pokłonów do samej ziemi wybić, żebyś bez szacunku o starożytnym męczenniku nie mówiła. A o ozdabianiu ciała słusznie on naucza.

Zmieszła się Pelagia i wdała w długie usprawiedliwienia, że z piegami, uchowaj Boże, nie dla cielesnej urody wojuje, tylko z pobożnej gorliwości: bo co to za zakonnica z piegopatym nosem.

– No, no... – Biskup nieufnie pokiwał głową, wciąż jeszcze ociągając się z przejściem do głównej sprawy.

Od zuchwałości do pokory i z powrotem siostra Pelagia zawsze przechodziła błyskawicznie, aż nadażyć było trudno. Teraz też, błysnąwszy oczkami, bardzo już śmiało zapytała:

– A czy to dla piegów mnie władyka wezwał?

I znów Mitrofaniusz nie zdecydował się powiedzieć o najważniejszym. Zakaszłał, jeszcze raz przeszedł się po bibliotece. Zapytał, co tam u uczennic w szkole. Pilne są? Chętne do nauki? Czy siostry nie uczą ich jakichś niepotrzebnych rzeczy, co to w życiu nie pomogą, a przeszkodzą tylko?

– Dochodzą mnie słuchy, że zaczęłaś je uczyć pływania. Na co to? Mówią, żeś podobno na Rzece kąpielisko kazała sklecić i pluskasz się tam razem z nimi. Czy to dobrze?

– Pływać dziewczynki muszą koniecznie, bo po pierwsze to

wzmacnia zdrowie i gibkość członków rozwija, a po drugie smukłość wyrabia – odpowiedziała siostra. – One przecież z biednych rodzin się wywodzą, większość to panny bez posagu. Jak podrosną, narzeczonych trzeba będzie im znaleźć... Ale przecież, ojciec, nie w sprawie szkoły mnie wezwałeś. O szkole rozmawialiśmy trzy dni temu, o pływaniu też.

Pelagia była nie z takich, co to je można długo za nos wodzić, i dlatego Mitrofaniusz opowiedział wreszcie o tym, co minionej nocy przed snem wymyślił.

– Tym osłem, o którym ci opowiedziałem, jestem ja sam. Ulegając twoim prośbom, a jeszcze bardziej – własnej czczej próżności, która pasterzowi zgoła nie przystoi, trzymam przed wszystkimi w tajemnicy, że prawdziwym asem od wydobywania tego, co ukryte i schowane za niby oczywistym, nie ja, stary dureń, jestem, tylko ty, cicha zakonnica Pelagia. A ode mnie, jak od tego łasego na sławę osła, wszyscy oczekują cudów i nowych odkryć. Teraz już nikt nie uwierzy, jeśli ogłoszę, że to wszystko twoim rozumem się dokonywało, a ja ci tylko ćwiczenia pobożne naznaczałem...

Druty przestały pobrzękiwać, w karych oczach zabłyśły iskierki.

– Co się stało, ojciec? Chyba nie w naszej guberni, bobym wiedziała. Znowu, jak w zeszłe zapusty, ktoś skarbiec cerkiewny okradł? – spytała siostra bardzo zaciekawiona. – A może, nie daj Bóg, osobę duchowną zgładzili? Jakie ćwiczenie zada mi tym razem wasza przewielebność?

– Nie, człowiek żaden nie zginął. – Mitrofaniusz odwrócił się zmieszany. – O co innego chodzi. Ale jednak o przestępstwo. W każdym razie nie dla policji to sprawa... Opowiem ci, a ty na razie posłuchaj. Potem powiesz, co myślisz. No, ale rób na drutach. Rób i słuchaj...

Podszedł do okna i mówił dalej, cały czas patrząc w sad i raz po raz

postukując palcami po ramie okiennej.

– Niedaleko stąd, jakieś osiem wiorst, leży mająteczek Marii Afanasjewny Tatiszczewej, mojej dalekiej ciotki. To już wiekowa staruszcza, ale kiedyś, dawno temu, uchodziła za jedną z pierwszych petersburskich piękności. Pamiętam, małym chłopcem byłem, jak do nas przyjeżdżała. Wesoła, młoda, grywała ze mną w warcaby... Za męża wyszła za oficera, dowódcę pułku, żyła z nim po różnych dalekich garnizonach, a kiedy on przeszedł w stan spoczynku, osiedlili się tutaj, w Drozdowce. Był ów Apoloniusz Nikołajewicz, teraz już świętej pamięci, namiętym psiarzem. Miał pierwszą psiarnię w całej guberni. I charty trzymał, i gończe, i legawe. Raz kupił szczeniaka za całe tysiąc rubli, taki był z niego zapaleniec. Ale uważał, że to wszystko jeszcze mało, umyślił sobie, że rasę jakąś szczególną wyhoduje, jakiej dotąd nie znano. I całą resztę życia z tym projektem się parął. Rasę tę nazwał „biały rosyjski buldog”. Od zwykłego buldoga różni się on maścią – cały jest biały jak mleko, odznacza się wyjątkowo spłaszczonym profilem (psiarze mają na to specjalny termin, ale wyleciał mi z głowy) i jeszcze jakąś niebywałą faflastością (tak się mówi, kiedy wargi są obwisłe). Ale główna osobliwość, rodzynek tego wszystkiego, polega na tym, żeby całkiem biały pies miał prawe ucho brązowe. Nie pamiętam, jaki w tym sens, ma to coś wspólnego z hełmami... Zdaje się, że kiedy Apoloniusz Nikołajewicz służył w kawalergardach, mieli tam w szwadronie taki zwyczaj, że hełmy zakładali z lekka na bakier. I właśnie ucho ma tę zawiadłość przypominać. Aha, jeszcze zapomniałem, że tego psa winna także cechować wyjątkowa ślinowatość, nie wiem już, dla jakiego praktycznego pożytku. Ogólnie biorąc – potwór, jakiego długo by szukać. A oto co robił wuj Apoloniusz: do wszystkich pańskich domów w całej Rosji, gdzie tylko trzymano buldogi, dał znać, żeby wyrodków albinosów nie topić, jak to się zazwyczaj robi, tylko niezwłocznie je

odsyłać do generała majora Tatiszczewa, który wybrakowane szczeniaki wykupi za dobrą cenę. Białe szczeniaki, do tego jeszcze z brązowym uchem, wśród buldogów rodzą się bardzo rzadko. Już nie pamiętam, chociaż wiele razy słyszałem i od wuja, i od ciotki... może jeden na sto miotów. No więc, jednym słowem, zbierał wujek Apoloniusz tych niewydarzeńców, hodował i jedne z drugimi krzyżował. Wychodziły z tego szczeniaki zwyczajne, rude, ale od czasu do czasu też białe z białym uchem, i to już częściej niż zwykle, powiedzmy – jeden na dziesięć miotów. Te znowu odłączał i krzyżował, a jeszcze pilnował, żeby takie więcej faflaste i ślinowate były. Najgorzej rzecz się miała z tym przeklętym uchem. Przez nie to szczególnie dużo szceniaków trzeba było brakować. I tak to szło, miot po miocie. Nim wujaszek ducha wyzionął, już mocno się przybliżył do spełnienia swoich marzeń, ale wciąż jeszcze znajdował się, by tak rzec, w pół drogi. Umierając, nakazał żonie doprowadzić rozpoczęte dzieło do końca. A z Marii Afanasjewny małżonka była – zaiste – tylko ozłocić. W swoim czasie ze światowej czarodziejki stała się mateczką-komendantową, a potem i dziedziczką. I to bez fałszu, z serca i chęci. Taki już miała od Pana Boga kobiecy talent. Gdyby jej mąż na łożu śmierci polecenia nie zostawił, może by i uschła, nie dałaby smutkowi rady. A tak to nic, już dwadzieścia lat we wdowim stanie i wciąż mocna, czynna, usposobienia różnego. Wszystkie rozmowy, wszystkie myśli – tylko o psach. Ja już nawet pomstowałem na ten jej przesadny zapał i strofowałem ją – nie słucha. Mówię kiedyś – nie na poważnie, tak tylko dokuczając: „Cioteczko, a jeśli do cioteczki sam Lucyfer przyjdzie i o jej duszę chrześcijańską poprosi w zamian za najczystsza białą rasę, odda cioteczka?” „Bóg z tobą, Misza – odpowiada – co też ty wygadujesz!” I nagle zamilkła, zamyśliła się. To już, powiem ci, Pelagio, nie żarty! Tak czy inaczej, ciągnęła dalej pracę męża nieboszczyka, starając się wyhodować rosyjskiego białego

buldoga, i niemało w tej sprawie dokonała. Zwłaszcza co się tyczy faflastości, płaskomordzia i ślinowatości. Z uchem poszło jej gorzej. Całkiem idealnych egzemplarzy uzbierało się wszystkiego trzy. Dziad wabiący się Hulaj, stary już, na dziewiąty rok mu poszło. Potem jego syn Łapaj, czterolatek. I dwa, trzy miesiące temu, ku radości starowinki, urodził się Hulaja wnuk, nazwała go Chapajem. Taki się udał pod każdym względem wzorowy, że ciocia wszystkie inne psy, nie dość doskonałe, kazała potopić, żeby rasy nie psuły, a na rozplódek zostawiła tylko te trzy. Och, zapomniałem o jeszcze jednym istotnym punkcie: są krzywołape, a nosy mają różowe, czarno nakrapiane. To też ważna cecha...

Tu władyka poczuł się całkiem głupio, zmieszał i spojrzał spod oka na swoją słuchaczkę. Ta poruszała wargami, liczyła oczka. Zdziwienia nie okazywała.

– A w ogóle to masz, przeczytaj. Wczoraj list dostałem. Jeśli powiesz, że staruszka bredzi, że w głowie jej się pomieszało, to odpiszę coś uspokajającego i po wszystkim.

Mitrofaniusz wyjął z rękawa sutanny list i podał Pelagii. Siostra palcem przycisnęła okulary do nasady nosa i zaczęła czytać. A przeczytawszy, zapytała z niepokojem:

– Komu by się chciało psy truć? I po co?

Spytała tak poważnie, że władyce ulżyło i od razu przeszło mu zmieszanie.

– No właśnie, po co? Sama rozważ. Ciocia Maria to staruszka bogata, spadkobierców jej nie brakuje. Dzieci poumierły, zostali wnuk i wnuczka, księżę i księżniczka Tielianowowie. I jeszcze mnóstwo dalszych krewnych, jacyś pieczeniarze, przyjaciele najrozmaitsi. Dobra z niej kobieta, ale swarliwa. I ma jedną uprzykrzoną manię: prawie co tydzień wzywa z miasta notariusza i na nowo testament przerabia. Jak się na kogoś rozzłości – wykreśla go z ostatniej woli, jak

ktoś jej dogodzi – powiększa mu legat. To mi właśnie w głowie siedzi. Gdyby tak sprawdzić, miła Pelasiu, kogo ona tam ostatni raz w testamencie wzbogaciła. Albo na odwrót: na kogo się pogniewała i wydziedziczeniem grozi. Innego sensu w tym dzikim psim trucicielstwie nie widzę, jak tylko to, że ktoś umyślił sobie w ten sposób samą staruszkę do mogiły wpędzić. Widzisz przecież, jak się z powodu tego psa pochorowała. A gdyby oba padły, tobyśmy i ciotkę Marię pochowali. Co myślisz o mojej hipotezie – z niepokojem spytał biskup swoją przenikliwą wychowankę. – Czy w ogóle prawdopodobna?

– Obawa uzasadniona i przyczyna całkiem prawdopodobna, inna nawet mi do głowy nie przychodzi – zgodziła się zakonnica, ale dodała: – Chociaż, oczywiście, trzeba by na miejscu posiedzieć. Może i jakaś inna przyczyna by się znalazła. A duży ma ciocia waszej wielebności majątek?

– Duży. Posiadłość rozległa, utrzymana wzorowo. Lasy, łąki, młyny, len, owies – pierwsza klasa. Do tego i kapitał, papiery wartościowe w banku. Nie zdziwiłbym się, gdyby wszystko razem miliona sięgało.

– A znasz, ojcze, spadkobierców? Toż to moc podłości trzeba mieć w sobie, żeby taką rzecz zamierzyć. Tak sobie myślę, że zwyczajnie zabić – grzech by był wcale nie mniejszy.

– Ty na to z Bożego stanowiska patrzysz i dobrze robisz. Ale ludzkim prawom daleko do Bożych. Jakby tak po prostu zabić, to przecież policja dopytywać się zacznie: a kto, a po co? W końcu i na katorgę można trafić. A pieski otruć to grzech na ludzki rozum nieduży, z prawnego punktu widzenia w ogóle żaden, staruszkę zaś takim sposobem zabić można jeszcze pewniej niż nożem albo kulą.

Pelagia zamachała rękami, aż jej robótka spadła na podłogę.

– W ludzkim sensie to też wielki grzech, bardzo wielki! Nawet gdyby ta Maria Afanasjewna diabelskim pomiotem była i ktoś przez

nią skrzywdzony chciał rachunki wyrównać, to co mu Boże stworzenia winne?! Pies to istota ufna, przywiązuje się do człowieka, a od Pana naszego i wiernością, i darem kochania tak szczerze jest obdarzony, że nawet ludziom by się przydało od niego pouczyć. Ja myślę, władyko, że zabić psa to jeszcze gorzej niż człowieka zgładzić.

– No, ty mi tu z takim pogaństwem nie wyjeżdżaj! – huknął przewielebny. – Żebym tego więcej nie słyszał! Patrzcie ją, żywą duszę ze stworzeniem niemym porównuje!

– I co z tego, że nieme – nie ustępowała uparta mniszka. – A psu w oczy ojciec zaglądał? Ot, choćby własnemu Żukowi, co przy bramie na łańcuchu siedzi? A proszę zajrzeć. Żuk ma w oczach więcej duszy i życia niż ojca bezcenny Starowny w swoich mętnych ślepkach!

Władyka już usta otworzył, żeby dać folgę słusznemu gniewowi, ale się pohamował. W ostatnim czasie walczył z grzechem surowości serca, i nieraz z powodzeniem.

– Psom podwórzowym w oczy zaglądać nie mam kiedy – sucho, z godnością przemówił biskup. – A Starownemu daj spokój, akuraty jest i pilny, a że trudno mu się do duszy dobrać, no to już taki jego charakter. I sprzeczać się z tobą nie będę, zwłaszcza o oczywiste rzeczy. Jedno mi powiedz: zrobisz to, o co proszę?

– Zrobię, ojciec – pokłoniła się zakonnica.

– No, to masz ćwiczenie zakonne. Jedź do Drozdowki. Od razu, teraz. Przekażesz cioci Marii moje błogosławieństwo i pismo, które ci dam. Uspokój staruszkę. A najważniejsze – wyjaśnij, co się tam u nich dzieje. Jeśli wykryjesz jakiś zły zamiar – udaremnij. A zresztą, co cię będę uczył, sama wiesz. I dopóki prawdy nie dojdiesz, nie wracaj.

– Władyko – wzdrygnęła się Pelagia. – Ja w sobotę mam lekcje w szkole.

– To na lekcje przyjedziesz, a potem znowu do Drozdowki. No, dosyć, idź. Podejź tylko, pobłogosławię.



Zanim siostra Pelagia wyruszy do majątku generałowej Tatiszczewej, musimy podać pewne objaśnienia geograficzne, bez których człowiekowi w Zawołzsku niebywałemu bardzo trudno będzie uwierzyć, a nawet po prostu zrozumieć, jak mogło się wydarzyć wszystko to, co później nastąpiło.

Główną postacią tej historii jest Rzeka, najwspanialsza i najśłynniejsza nie tylko w Rosji, ale i w całej Europie. Stolica guberni stoi na jej lewym brzegu, nad głębokim jarem. Nurt jest tu z obu stron ściśnięty skałami i dlatego słynna ze swego majestatycznego biegu Rzeka na czas pewien traci w tym miejscu stanowczość, przechodzi z roztargnionej powolności w cwał, pieni się białymi falami, kołuje ciemnymi wirami i od wieków oblega Zawołańskie Urwisko, podcinając zdradzieckimi aproszami wysoki, przewieszony brzeg. Jakieś pięć wiorst niżej lewobrzeżna stromizna stopniowo opada, przechodzi w piaszczystą nizinę, wobec czego Rzeka zaczyna się czuć swobodniej i odpoczywając po wymuszonym biegu, rozlewa się szeroko prawie na wiorstę.

Ta chwila ulgi nie trwa jednak długo – właśnie tam, gdzie leży Drozdówka, uparty brzeg znów ostro staje dęba; pański dwór i sad wznoszą się wysoko nad wodą, przez co otwierający się stąd widok słusznie uchodzi za najpiękniejszy w całej okolicy.

Tak więc droga siostry Pelagii wiodła na południe, przez rogatkę kazańską, na ciągnący się wzdłuż Rzeki Trakt Astrachański, posłusznie trzymający się wszystkich jej kapryśnych zawijasów i nigdy nieoddalający się od niej na więcej niż pięć wiorst.

Nim opuściła swoją izdebkę w biskupim pałacu, po klasztornej nazywanej całej, Pelagia z dawnego, zabobonnego nawyku otworzyła Ewangelię i wskazała palcem pierwszy lepszy werset. Ćwiczenie tym razem dostała niegroźne i, można nawet powiedzieć, niepoważne, ale

taki już miała zwyczaj. Wszakże werset ów (z Listu świętego Pawła Apostoła do Filipian) okazał się wcale nieprzypadkowy, zawierał w sobie ni to podpowiedź, ni to ostrzeżenie: „Patrzajcie się psów, patrzajcie się złych pracowników”.

Najwidoczniej było to jednak ostrzeżenie, bo przy wyjściu z miasta, zaraz za szlabanem, objawił się Pelagii omen już bez wątpienia zły. Kiedy, mianowicie, obejrzawszy się, ustaliła, że w pobliżu nikogo nie widać, wyjęła z torebki u pasa, tej, w której trzymała robótkę, maleńkie lusterko i zaczęła oglądać sobie nos – czy uparte piegi nie wyblakły choć trochę od maści z dmuchawca? Aż tu nagle w przydrożnych krzakach rozległ się szelest i wyłoniły się z nich dwie baby, co nie wiadomo czemu zeszły z traktu. Siostra Pelagia chciała schować rękę za plecy, ale zrobiła to tak niezręcznie, że lusterko jej wypadło. Podniosła; oj, niedobrze: dwie rysy na krzyż, a wiadomo, co to za znak. Niczego dobrego on nie zapowiada.

Złe znaki, wbrew regule zakonnej, Pelagia traktowała poważnie, i to nie z nieuctwa, tylko dlatego, że wielokrotnie się przekonywała, iż nieprzypadkowo lud je przez długie wieki wyróżnił i zliczył. Tak jak się w takim wypadku należy, wzięła w palce garsteczkę pyłu, rzuciła ją przez lewe ramię, zrobiła znak krzyża (czego nigdy nie czyniła bez powodu), zmówiła modlitwę do Trójcy Świętej i poszła dalej.

O sprawach niepokojących rozmyślać nie chciała (a właściwie to nic takiego nie było), miała przed sobą może i maleńką, ale przecież budzącą ciekawość przygodę, toteż nastrój siostrzyczki, na chwilę przygaszony zniszczeniem lusterka, szybko się poprawił, tym bardziej że panowała ta czarowna letnia pogoda, kiedy dojrzałe słońce wyłaca powietrze jak miód, niebo jest wysokie, ziemia szeroka, a wszystko wokół przesycą bujne życie i rozkoszne znużenie. Zresztą – co tu opisywać, wszyscy i tak wiedzą, jak wygląda piękny sierpniowy dzień, który dopiero co przechylił się na drugą połowę.

Zaraz na pierwszej wiorście Pelagii dopisało szczęście: podsadził ją na furę chłop staruszek. Drogi mamy w guberni nowe, równe, sunie sobie człowiek gładko jak po lodzie, dojechała więc Pelagia w pełnym komforcie, na miękkim sianie, do samego skrętu z Traktu Astrachańskiego w stronę Drozdowki.

Tutaj, na samym rozwidleniu, trafił się jeszcze jeden omen, ale taki, że gorszego człowiek sam by nie wymyślił. Zszedłszy z fury i pobłogosławiwszy staruszkę, Pelagia zobaczyła na poboczu gromadkę ludzi, tłoczących się wokół jakiegoś wozu i coś tam w milczeniu oglądających. Z wrodzonej ciekawości nie mogła przejść obojętnie obok takiego wydarzenia, poszła więc popatrzeć, co to za dziwo. Przepisnęła się między wieśniakami i pielgrzymami, przymrużyła oczy zza okularów: ot, najzwyklejszy przypadek podróżny, oś się złamała. Ale przy uszkodzonej furmance sterczał czemuś sprawnik i dwóch stójkowych stękało, nasadzając koło na świeżo zrąbany i jako tako zastrugany młody dąbek. Sprawnik był znajomy, kapitan Pachom Siergiejewicz Nieruszajło z pobliskiego czarnojarzkiego powiatu, a w bryczce leżało coś długawego, przykrytego brezentem.

– Co to tam, kapitanie, topielec? – spytała Pelagia, przywitawszy się i na wszelki wypadek przeżegnawszy brezent.

– Nie, mateczko, gorsza sprawa – z zagadkową miną odpowiedział sprawnik, wycierając chusteczką malinową łysinę. – Rzeka dwóch nieboszczyków wyrzuciła. Bez głów. Mężczyzna i młody chłopak. Tak sobie na piaseczku leżeli, jeden przy drugim. Patrzyć tylko, jaka okazja! Śledztwo będzie, z urzędu. Właśnie wiozę ich do guberni na identyfikację. Choć jak tam ich identyfikować, sam czort nie dojdzie. Proszę wybaczyć, wyrwało mi się.

„Czorta” Pelagia strząsnęła z ramienia, żeby się nie przylepił, i przeżegnała tym razem już samą siebie, nie nieboszczyków.

– To nie nasi – powiedział ktoś w tłumie. – U nas, żeby tak ludzi

mordować, to jak świat światem w zwyczaju nie było.

– Tak – zgodził się ktoś w tłumie. – Nie inaczej, tylko z Niżniego ich przyniosło, nieźle tam u nich łobuzują.

Pogląd ten zyskał powszechną aprobatę, bo Zawołżanie za tymi z Niżniego nie przepadają, uważając ich za narodek złodziejski i nikczemny.

– Panie kapitanie, a pokażałby pan, co za ludzie. Może, akuracik, poznamy – poprosił jeden brodaty w porządnym kaftanie, stateczny jakiś człowiek, od razu widać, że nie z samej ciekawości na truposzy chce zerknąć.

Kilku innych poparło prośbę, a baby, chociaż wydały z siebie parę ochów, to tak raczej dla przyzwoitości.

Sprawnik nałożył urzędową czapkę, pomyślał chwilkę i łaskawie się zgodził.

– No cóż, pokażę. Może i rzeczywiście...

Pachom Siergiejewicz ściągnął przykrycie i Pelagia odwróciła się od razu, bo trupy były całkiem gołe – mniszce na coś takiego patrzeć nie przystoi. Zdażyła tylko zauważyć, że lewa ręka wielkiego, włochatego trupa kończy się – tam gdzie powinien być nadgarstek – obrąbanym kikutem.

– Oj, Boże mój, chłopaczek to całkiem malutki! – zakrzyczała jedna z bab. – Toć mój Afońka taki sam.

Pelagia dłużej nie patrzyła, bo jak ćwiczenie, to ćwiczenie, i przez przysiółek pomaszerowała do Drozdowki.

Zrobiło się nieco duszno, a z ziemi zaczął się unosić jakiś opar, jak to bywa w gorący dzień przed deszczem. Pelagia przyspieszyła kroku, popatrując na niebo, po którym sunęła, pęczniąc szybko, kulista, mocno nabita chmura. Z przodu widniało ogrodzenie parku, a nad drzewami zieleniał dach dużego domu, ale było do niego jeszcze troszkę daleko.

Nic, nie rozpuszczę się – powiedziała sobie mniszka, ale w nastroju była już zupełnie innym niż przedtem. Siostrą Pelagią miotano niegodne uczucie – zawiść. To przynajmniej prawdziwa sprawa! – myślała, przypominając sobie, z jakim namaszczeniem Pachom Siergiejewicz wypowiedział smaczne słowo „śledztwo”.

Tamtemu przypadło straszną tajemnicę rozgryzać, jej zaś – rozeznąć się, od czego skonał ciociny faflasty. A to ci ćwiczenie zadał władca!

II

Chmury nad Zawołzkiem

Niech siostra Pelagia idzie na razie pod szybko ciemniejącym niebem ku żelaznej bramie drozdowskiego parku, my tymczasem cofniemy się nieco, żeby wyjaśnić pewne tajemnice naszej gubernialnej polityki, a także przedstawić osobistości, którym wypadnie odegrać kluczową rolę w tej mętnej i zawikłanej historii.

Mówiliśmy już, że gubernia zawołzka jest rozległa, ale leży daleko od siedziby władzy centralnej, toteż od najdawniejszych czasów była może nie całkiem pozostawiona sobie, ale w każdym razie bardzo mało szanowana uwagą najwyższych sfer. Na Zawołżu nie ma nic przez owe sfery upragnionego – ot, tylko lasy, rzeki, jeziora, a zwłaszcza dużo bagien, i to takich, że w latach smuty gdzieś w tutejszych grzędziskach przepadł cały łącki tabor, wyprawiony przez Samozwańca na poszukiwanie czarodziejskiego Złotego Kamienia.

Głusza, trzęsawisko, matecznik. A i mieszkańcy tutejsi trochę do niedźwiedzi są podobni, tak samo nieruchawi i kosmaci. Chwaccy nowogrodzianie i rozrzutni kostromcy wymyślili głupie porzekadło: Zawołżanie wszystkie boki sobie odleżeli. No cóż, Zawołżanie w samej rzeczy miotaniny i pośpiechu nie lubią, kombinują niezbyt żwawo i perpetuum mobile zapewne nie wynajdą. Chociaż, czy to wiadomo... Kilka lat temu we wsi Ryczałówka, sto dwadzieścia wiorst od Zawołzka, jeden zakrystian wymyślił podnośnik, żeby nim na dzwonnice wjeżdżać. Nie chciało mu się, widzicie go, codziennie po osiemdziesięciu stromych schodach w górę i w dół biegać. Przywiązał

do długich postronków krzesło z oparciem, ponatykał jakichś kół zębatach, dźwigienek i co powiecie? – w dwie minuty pod niebiosa wzlatywał. Sam władyka przyjeżdżał na takie cudo popatrzeć. Pogapił się, pokiwał głową, przejechał się raz i drugi na cud-krzeselku, a potem kazał całe urządzenie rozebrać, dlatego że w dzwon bić należy z pokorą, pobożnie się zasapawszy, a i dla dziatczek zbyt uczciwa to pokusa. Zakrystiana Mitrofaniusz wyprawił do Moskwy, żeby na mechanika się uczył, na jego miejsce zaś przysłał innego, rozumu przycięższego. Ale ten przebłysk samorodnego geniuszu wydaje się raczej wyjątkiem. Przyznajmy uczciwie, że razem wzięwszy, Zawołżanie są troszkę tępawi i do każdej nowinki odnoszą się podejrzliwie.

Także obecnego gubernatora, Antoniego Antonowicza von Hagenau, przyjęto u nas z początku niechętnie, dlatego że przeniknięty duchem reform i nowoczesności, umyślił sobie przewrócić powierzony mu teren do góry nogami, przy czym twierdził, że przeciwnie – to on właśnie postawi go na nogi, głową do góry. Ustrzegł jednak Pan Bóg Zawołżan od niepotrzebnych wstrząsów. Młody reformator uległ wpływom Mitrofaniusza, pychę powściągnął, pomiarkował się, zwłaszcza gdy za błogosławieństwem przewielebnego poślubił najlepszą miejscową pannę na wydaniu. W tym celu musiał, oczywiście, przejść z luteranizmu na prawosławie, a jego ojcem duchowym został nikt inny, tylko władyka. Tak bardzo oswoił się baron z naszymi stronami, że kiedy za wzorowe zarządzanie gubernią był wzywany do stolicy na ministerialny stołek, odmówił, bo uznał, że tutaj mu lepiej. I w ogóle – był Niemiec, a całkiem się wyrodził. Dawniej, bywało, wieczorami grzane wino z maleńkiej porcelanowej czareczki popijał i sam ze sobą na wiolonczeli grał, a teraz do nalewki żurawinowej zamiłowania nabrał, na Trzech Króli w przerębli się kąpie i potem z łaźni parowej przez

trzy godziny nie wychodzi.

I jak wypada prawdziwemu rosyjskiemu mężczyźnie, siedzi pan gubernator u żony pod pantofelkiem. Zresztą być pod pantofelkiem takiej osoby jak Ludmiła Płatonowna to i radość, i przyjemność, i niejeden takiej niewoli by sobie zażyczył. Wywodzi się ona z Czeremisowów, najpierwszej z zawożskich rodzin, już za Piotra Wielkiego wyniesionej ze stanu kupieckiego do godności hrabiowskiej. Jako panienka była szczuplutka i myśli tkliwej, ale gdy urodziła cztery malutkie baronięta, kompleksja jej się odmieniła, dorobiła się Ludmiła Płatonowna przyjemnej dla oka pełności, czym na urodzie jeszcze zyskała. Jasnooka, rumiana, pełnoramienna, przekroczywszy granicę trzydziestu lat, stała się najdoskonalszym wzorcem istic rosyjskiej urody, do której Niemcy, powierzchowności chuderlawej i łysawej (a do tych i Antoni Antonowicz się zaliczał), jak świat światem wykazują cielesny i duchowy pociąg. Baronowa szybko postrzegła swoją przewagę nad mężem i zaczęła swobodnie, wedle uznania z niej korzystać, ale do czasu żadna szkoda dla guberni z tego nie wynikała, bo pani von Hagenau, dobrego serca i wrażliwą kobietą będąc, wszystkie swe niemałe siły poświęcała dobroczynnej i pobożnej działalności, tak że sam władyka jej wpływ na męża znajdował użytecznym, jako łagodzącym pewną nadbałtycką sztywność, którą baronowi w stosunkach z ludźmi nieraz zdarzało się ujawniać. Co prawda, w związku z ostatnimi wydarzeniami Mitrofaniusz musiał zmienić swój pogląd na kobietą hegemonię, ale o tym porozmawiamy nie tu, tylko nieco dalej.

Jedyną bodaj osobą (nie licząc, rozumie się, władyki, bo przeciw jego autorytetowi pani Ludmiła nigdy nawet nie myślała powstawać), z której wpływem gubernatorowa, mimo wszelkich wysiłków, nie umiała się uporać, był zaufany doradca barona, Matwiej Bencjonowicz Berdyczowski, piastujący godność podprokuratora izby sądowej.

Dzieje tego urzędnika nie całkiem są zwyczajne i zasługują na bardziej szczegółową relację.

Matwiej Bencjonowicz pochodzi z byłych judejów i jest, podobnie jak gubernator, chrześniakiem władcy Mitrofaniusza. Nim przeszedł na łono Cerkwi prawosławnej, zwał się mało dźwięcznym imieniem Mordka, którego dotąd jeszcze niechętni mu złośliwie używają – oczywiście za plecami, bo o powiązaniach Matwieja Bencjonowicza z władzą wszyscy dobrze wiedzą. Przyszły powiernik gubernatora przyszedł na świat w całkiem ładnej rodzinie, a do tego jeszcze w dziecięcym wieku osierociał, wskutek czego, zgodnie z zaprowadzonym u nas od pewnego czasu obyczajem, został na koszt skarbu państwa przyjęty najpierw do szkoły czteroklasowej, a potem, ze względu na rzadko spotykane zdolności, również do gimnazjum. Mitrofaniusz wcześniej dostrzegł utalentowanego chłopca i kiedy ten ukończył naukę gimnazjalną, skierował go na uniwersytet w Sankt Petersburgu. Berdyczowskiego stolica nie onieśmieliła, studia zakończył z pierwszą lokatą i dyplomem prymusa, otrzymał prawo wyboru dowolnego miejsca pracy, choćby nawet w Ministerstwie Sprawiedliwości, wolał jednak Zawołżsk. I, proszę, jaki mądry człowiek, w niczym się nie przeliczył! Kim by był w Petersburgu? Prowincjusz, plebejusz żydowskiego rodu i plemienia, a to, jak wiadomo, jeszcze gorzej niż być w ogóle bez rodu ni plemienia. A u nas przyjęto go serdecznie. I posadę dano mu dobrą, i narzeczoną wspaniałą wyswatano. Mitrofaniusz zawsze powtarzał, że mężczyzną żona czyni, i myśl swoją objaśniał obrazowo z pomocą matematycznej alegorii. Mężczyzna to niby jedynka, a kobieta – zero. Kiedy każde żyje z osobna, to on wart jest niewiele, ona zaś w ogóle nic, ale wystarczy, by wzięli ślub, i powstaje pewna nowa liczba. Jeśli żona jest udana, to staje za jedynką i jej siłę powiększa dziesięciokrotnie. A jeśli kiepska, to pcha się naprzód i tyleż razy mężczyznę osłabia,

zamieniając go w zero i jedną dziesiątą.

Panu Matwiejowi dobrał władyka osobkę ładną, domatorkę, z oficerskiej rodziny. Żyli sobie razem w miłości i zgodzie, a do płodzenia dzieci wzięli się tak rażno, że przez pierwsze dziesięciolecie małżeństwa, które upłynęło akurat z początkiem naszej opowieści, wydali na świat dwanaścioro potomstwa obojga (ale przeważnie żeńskiej) płci.

Gdyby Berdyczowski chciał, to mógłby otrzymać i inną, wyższą godność, choćby nawet prezesa izby sądowej, ale ze względu na charakter i wrodzoną nieśmiałość wolał trzymać się w cieniu; doradzał władzy nie w urzędzie i nie na areopagach, tylko tak bardziej kameralnie, przy herbacie albo spokojnej grze w preferansa, w której gubernator Antoni Antonowicz wielce był rozmiłowany. Nie lubił też pan Matwiej występować jako oskarżyciel w procesach, tłumacząc się tym, że ma nosowy głos i wygląd niekorzystny. Po prawdzie – pięknišem nie był: krzywonosy, głośno sapiący, do tego jedno ramię wyraźnie wyższe od drugiego. Jego nominalny zwierzchnik, prokurator gubernialny Silesius, mężczyzna okazały, ale wielce przygłupiasty, czytając w sądzie przygotowane przez Berdyczowskiego mowy, często otrzymywał burzliwe owacje, a Matwiej Bencjonowicz tylko wzdychał i zazdrościł.

Pozycja tego nowego wcielenia eminence grise^[1] opierała się na dwóch zawołzkich wielorybach – władcy i gubernatorze, ale trzeci wieloryb, w postaci przepięknej Ludmiły Płatonowny von Hagenau, za przemysłnym Żydem nie przepadał. Konfrontacja między Berdyczowskim a baronową nie miała jednak charakteru zapiekłej wrogości, było to raczej zazdrosne współzawodnictwo, tak że na Zmartwychwstanie, kiedy wszyscy odpuszczają sobie winy, oboje nieodmiennie kajali się jedno przed drugim i szczerym sercem wzajemnie sobie przebaczali, co wcale nie przeszkadzało

współzawodnictwu odradzać się w najlepsze po Wielkiejnocy. Niestety, nadszedł kres tej idyllicznej i – jak z właściwym sobie lekkim cynizmem wyrażał się sam podprokurator – roślinożernej opozycji, kiedy na spokojnym zawołzkim horyzoncie pojawiła się chmura burzowa. A przyniósł ją chłodny, zachodni wiatr od strony perfidnego, niedobrego Petersburga.



Jakoś tak wieczorem, trzy tygodnie temu, posterunkowy policji, który stoi dla porządku przy wjeździe do miasta i ze starego nawyku nazywany jest u nas szyldwachem, miał widzenie. Hen, daleko, na Trakcie Moskiewskim, nad którym właśnie, przyćmiewając zachód słońca, gęstym fioletem wzbierały chmury burzowe, pokazał się obłoczek pyłu i zbliżał się do Zawołzka z niebywałą jak na tutejsze zwyczaje szybkością. Jakiś czas potem szyldwach usłyszał gardłowe, skrzeczące pohukiwanie o wyraźnie niechrześcijańskim brzmieniu i już wtedy chciał się przeżegnać, ale lenistwo go powstrzymało (a – dodajmy od siebie – szkoda!). Wkrótce z tej kurzawy, wartko toczącej się po drodze, wychynęła para spienionych karych z wytrzeszczonymi z wysiłku, oszalałymi ślepiami, a nad nimi świstał knutem czarnobrody rozbójnik z kosmatą papachą na głowie i w połatanej czerkiesce, skrzeczając orlim głosem i wściekle obracając oczami, tak samo przekrwionymi jak u koni. Na takie dziwowisko szyldwach aż usta otworzył i nawet o kartę podróżną nie zapytał. Dojrzał jedynie w okienku jakiegoś siwego, godnie wyglądającego pana, który łaskawie kiwnął mu głową, a w głębi karety jeszcze innego, ale tego to już mętnie: tylko ostronosy profil i oko, błyskające groźnym blaskiem. Kareta zagrzechotała po bruku długiej, półtorawiorstowej ulicy Moskiewskiej, przecięła plac Świątynny i skręciła w bramę najlepszego zawołzkiego Hotelu

Wielkksiążęcego. A powiadają jeszcze, że w tej właśnie chwili, kiedy karetka mknęła koło biskupiego pałacu, pojawił się znak: nie wiadomo skąd nadleciało stado wron i przegnało z krzyży biskupiej cerkwi domowej spokojne gołębie skalne, które od niepamiętnych czasów uważały ten wyniosły punkt za swoją prawem przypisaną włość. Zresztą o napaści wron to pewnie łgarstwo, bo w ogóle w naszym mieście ludzie łąją łatwo i z fantazją.

Już nazajutrz wiadomo było, że do Zawołzka zawitać raczył rewizor z ramienia Świętego Synodu, urzędnik do specjalnych poruczeń przy samym oberprokuratorze Pobiedinie, którego w całym cesarstwie nazywano nie inaczej, tylko Konstantym Pietrowiczem. Powie ktoś na przykład: „Konstanty Pietrowicz wczoraj znów udzielał wskazówek Najjaśniejszemu Panu” albo „No, polepszyło się Konstantemu Pietrowiczowi”, i nikt nie zapyta, o jakim to Konstantym Pietrowiczu mowa, i tak wszystko jasne.

Ludzie mający rozeznanie w wysokich materiach politycznych od razu stwierdzili z całą pewnością, że Konstanty Pietrowicz jest z guberni niezadowolony i zapowiada to niemałe przykrości zarówno dla władzyki, jak i dla pana gubernatora. I z miejsca wskazali przyczynę: nie dość gorliwie zawołzscy włodarze wykorzeniają innowierstwo i szerzą prawosławie.

Wiadomym też się stało, kim jest inspektor. Z miasta naszego do stolic niby to daleko, ale w końcu na księżycu nie mieszkamy. Mamy przecież i lepsze towarzystwo, i córeczki swoje arystokracja nasza do Petersburga na sezon wywozi, i listy od znajomych otrzymuje. Tak więc wieści o wszystkich zastanawiających i po prostu ciekawych wydarzeniach, zachodzących w wielkim świecie, docierają także do Zawołzka.

Włodzimierz Lwowicz Bubiencow okazał się figurą arcyciekawą. Do zeszłorocznego skandalu, opisanego szczegółowo nie tylko

w prywatnych listach z Petersburga, ale i w gazetach, służył w gwardii, cieszył się opinią człowieka bezwartościowego i niebezpiecznego, jakich wcale nierzadko się spotyka wśród naszych świetnych gwardzistów. Wcześniej dostał spadek, wcześniej przepuścił go na hulanki, potem znów się wzbogacił, grając w karty, a grał z tak zadziwiającym powodzeniem, że dochodziło nawet do pojedynków. Nie zaszkodziły one jednak Bubiencowowi, bo przecież dowództwo u nas odnosi się do oficerskich pojedynków pobłażliwie, jeśli tylko odbywa się bez śmiertelnych skutków i ciężkich okaleczeń, a nawet w pewnym stopniu do nich zachęca, uważając, że igrzyska te służą umocnieniu rycerskiego ducha i honoru wojskowego. Ale, jak powiadają – póty dzban wodę nosi, póki się ucho nie urwie.

Oprócz kart miał Włodzimierz Lwowicz jeszcze jedną namiętność – kobiety, i słynął jako jeden z pierwszych stołecznych lowelasów. I oto uwiódł raz pewną panienkę z niezbyt znakomitej, ale w pełni szacownej rodziny, a jeszcze obszedł się z nią jakoś szczególnie okrutnie, że aż biedactwo wieszać się próbowało. Takich historii wlokło się za Bubiencowem wiele, ale tym razem nie uszło mu to płazem. Znaleźli się obrońcy uwiedzionej, jej dwaj bracia, oficer i student. O gwardziście wszyscy wiedzieli, że strzelec z niego boski, a właściwie diabelski, że pojedynków się nie boi, bo potrafi po prostu kulą wytrącić przeciwnikowi pistolet z ręki i nieraz tego dokonał. Hulace żyjącemu z gry w karty taka reputacja jest niezbędna, bo znakomicie zabezpiecza przed podejrzeniami o nieczystą grę i przed niepotrzebnymi skandalami.

Bracia panny, rozumiejąc, że w tym wypadku zwykłe wyzwanie im satysfakcji nie da, postanowili skwitować się z krzywdzicielem na swój sposób. Były z nich obu odważne, herkulesowej postury chwaty, chadzali na niedźwiedzia z rohatyną. Pewnego razu zaczaili się na Bubiencowa pod jego domem, kiedy wracał nad ranem z kolejnej

partyjki. Specjalnie wyczekali, aż będzie po cywilnemu, bo inaczej nie uniknęliby sądu za obrazę munduru. Jeden, student, chwycił Bubiencowa od tyłu za ramiona i uniósł nad ziemię, jako że był o wiele wyższy, a drugi, dragon, schlastał Włodzimierza Lwowicza harapem po twarzy. A działo się to wprost na ulicy, na oczach przechodniów. Bubiencow najpierw rzucał się, wyrywał, nogami wywijał, ale kiedy zrozumiał, że rady nie da, już tylko oczy mrużył, żeby mu ich nie wybili. Kiedy bracia nacieszyli się do syta i rzucili go na ziemię, pobity powiedział, niegłówno, ale tak, że ludzie usłyszeli: „Diabłem klnę się: cały wasz ród wykończę”. Tak właśnie powiedział.

O świcie następnego dnia bił się z obydwojoma, co u nas, w Rosji, w zasadzie nie jest przyjęte, ale przypadek był szczególny i sekundanci musieli na to przystać.

Zgodnie z warunkami Włodzimierz Lwowicz strzelał się najpierw ze starszym bratem. Odległość – trzydzieści kroków, z podejściem do bariery. Bubiencow nie dał przeciwnikowi zbliżyć się nawet o piędź, strzelił od razu. Trafił kulą w takie miejsce, że wymienić wstyd. Dragon, potężny przecież chłop, nie żaden mazgaj, aż przetoczył się po ziemi, wyjąc przeraźliwie i zalewając się łzami. I jasne przy tym było, że kula trafiła właśnie tam, gdzie z diabelską celnością mierzył Bubiencow.

I od razu zaczął strzelać się z młodszym. A ten drży, twarz bielsza od płótna, bo brat wciąż krzyczy i lekarza do siebie nie dopuszcza. Z tych nerwów strzelił student pierwszy, nie zdążywszy nawet porządnie wycelować, i oczywiście spudłował. No to Włodzimierz Lwowicz zaczął się z nim zabawiać. Dopuszczał go do samej bariery, na dziesięć kroków, i długo mierzył. Sekundanci myśleli, że pożałuje chłopczyka, postraszy i strzeli w powietrze. Ale Bubiencow widział to po swojemu.

Było tak: student stoi przed nim bokiem i jeszcze na wszelki

wypadek osłania biodra pistoletem. Kolana mu drżą, po twarzy zimny pot spływa. Tylko głową wciąż porusza: to na czarną dziurę bubiencowowskiej lufy popatrzy, to w bok, na rannego brata. No i podchwycił gwardzista taką chwilę, kiedy młodzieniec był do niego profilem odwrócony, i ciężką kulą na czysto odstrzelił mu podbródek.

Jednym słowem – zabić braci, nie zabił, ale ród ich, tak jak groził, wykończył. Starszy potomstwa już mieć nie mógł, a za młodszego kto się teraz wyda, kiedy twarz ma od dołu chustką zakrytą, ślina do osadnika ścieka, a mówi tak niewyraźnie, że nieprzywykły nie zrozumie.

Historia z podwójnym pojedynkiem narobiła dużo szumu i Bubiencow otrzymał surową karę: dziesięć lat twierdzy. Tam, niczym w kamiennym worze, długo by musiał gnić, gdyby coś w tym okrutnym mścicielu nie zainteresowało samego Konstantego Pietrowicza. Nie jeden, nie dwa i nie dziesięć, ale znacznie więcej razy odwiedzał oberprokurator więźnia w kazamacie, prowadził z nim ciche, natchnione rozmowy o duszy człowieczej, o prawdziwym sensie prawosławia i krzyżowej drodze Rosji. I tak oddziaływały na Bubiencowa te rozmowy, że przestraszył się i ujrzał swoje grzeszne życie w całkiem innym świetle. Powiadano, że przejrzawszy, otrzymał zarazem dar łez i bywało często, że z Konstantym Pietrowiczem w ogóle nie rozmawiali, tylko razem płakali i modlili się. Zaczął aresztant skłaniać się do tego, by śluby zakonne złożyć, a potem pewnie i w pustelni się zamknąć, ale oberprokurator nie zezwolił. Powiedział: za wcześnie jeszcze, niegodny jesteś służyć Władcy Niebieskiemu, dopóki przed ziemskim władcą swojej winy nie odkupiłeś. Pobądź, mówił, najpierw na służbie niepozornej, skromnej, nieintratnej, poucz się pokory i pobożności. Bubiencow i na to przystał, byle tylko dogodzić duchowemu przewodnikowi. No i cóż – wyprosił oberprokurator u Najjaśniejszego Pana łaskę najwyższą dla

osądzonego i wziął go do siebie na urzędnika do specjalnych poruczeń.

Wiadomo – najbardziej kochamy nie tych, którzy zrobili nam coś dobrego, tylko tych, których sami dobrem obdarzyliśmy i którzy, jak zawsze błędnie sądzimy, powinni jakoby odczuwać wobec nas bezgraniczną wdzięczność. Najwidoczniej dlatego właśnie Konstanty Pietrowicz pokochał z całej duszy uratowanego grzesznika i zaczął pokładać w nim niemałe nadzieje, tym bardziej że Bubiencow, jak wszyscy przyznawali, okazał się pracownikiem utalentowanym i niezmordowanym. Opowiadają, że w samej rzeczy przeobraził się zupełnie, z hulaszczym życiem skończył całkowicie, a i z płcią piękną zaczął się obchodzić nieporównanie uważniej. Z pierwszą swoją misją – wykorzeniem wpływów sekty skopców w jednej z północnych guberni – sprawił się pan Włodzimierz tak stanowczo i energicznie, że zasłużył na najwyższe pochwały dobrodzieja i, co więcej, zaszczycony został audiencją u Najjaśniejszego Pana. Rozumie się, że każdego ulubieńca Fortuny czepiają się też złośliwe języki. O nowym faworycie oberprokuratora mówiono, że troszczy się nie tyle o wielką przyszłość Rosji, ile o własną w tej przyszłej Rosji pozycję, ale w końcu – czyż tego zarzutu nie można postawić wszystkim mężom stanu, z bardzo nielicznymi wyjątkami?

Takiego zatem niezwykłego wysłannika skierowała najwyższa władza kościelna do sennego zawołzkiego królestwa, żeby dokonać tam przewrotu i wprowadzić zamęt. A metoda, jaką zastosował Włodzimierz Lwowicz dla osiągnięcia swoich na razie niezupełnie jeszcze jasnych celów, była tak oryginalna, że zasługuje na szczegółowe opisanie.



Najpierw emisariusz Świętego Synodu złożył szereg wizyt, przy czym, jak wymagała grzeczność i oficjalny charakter wizyty, zaczął od

gubernatora.

Antoni Antonowicz, który otrzymał już o gościu ze stolicy wszystkie przytoczone wyżej wiadomości, spodziewał się jakiegoś neofity, takiego Mateusza Celnika z najniebezpieczniejszej odmiany plemienia strażników wiary, i dlatego z góry nastawił się na skrajną ostrożność. Za to Ludmiła Płatonowna, której wyobraźnią wstrząsnęło nie tyle odrodzenie duchowe tego Kudejara^[2], ile jego uprzednie grzechy, usposobiona była doń wrogo, choć serce w niej może trochę zamierało. Gubernatorowa już widziała, jak w jej przytulnej bawialni pojawia się piekielny piękniś, postrach niewinnych dziewic, wilk w owczej skórce, i przyszykowała się, żeby, po pierwsze, nie poddawać się jego satanicznym czarom, po drugie zaś – od razu pokazać łajdakowi jego właściwe miejsce, żeby wiedział, że Zawołżsk to nie jakiś tam rozpustny Sankt Petersburg, gdzie kobiety są łatwe i niemoralne.

Nie trzeba dodawać, że z taką reputacją jak ta, która poprzedzała Bubiencowa, w dodatku na prowincjonalnym bezrybiu, każdy mężczyzna, choćby nawet o niezbyt korzystnej powierzchowności, miałby wszelkie szansę zostać uznanym jeśli nie za chłopca jak malowanie, to przynajmniej za „interesujący okaz”.

A mimo to w pierwszej chwili gubernatorowa doznała głębokiego rozczarowania. Do bawialni wszedł z ukłonem szczupły, żeby nie powiedzieć: chuderław, pan w wieku, na oko sądząc, jakichś trzydziestu lat, niezwykle ruchliwy w stawach („chybotliwy” – określiła go Ludmiła Płatonowna, która lubiła formuły pojemne i proste). Zresztą – gwoli sprawiedliwości przyznała pani Ludmiła – gość był świetnie zbudowany i w całej jego wąskiej sylwetce czuło się sprężystą gibkość klingi rapiera, co jednak niekorzystnie upodabniało przybysza z Petersburga do miejscowego franta, monsieur Dudewała, nauczyciela tańca w zawołżskim pensjonacie dla panien z dobrych

domów. Z twarzy też Bubiencow nie okazał się szczególnie piękny: rysy ostre, drapieżne jakieś, nos jak ptasi dziób, jasne, nieruchome oczy, przypominające czymś sowie. Pewien urok nadawały tej fizjonomii bodaj tylko długie, proste brwi i gęste rzęsy. Pani Ludmiła uznała, że nimi właśnie hulaka uwodził swoje nieszczęsne ofiary. Ale żeby spodobać się gospodyni gubernatorskiego pałacyku, trzeba było zalet solidniejszych, co też owa dama dała mu do zrozumienia, nie podstawiając ręki do ucałowania.

Na początku rozmowy petersburski frant spodobał się gospodyni jeszcze mniej. Okazało się, że mówi niezbyt głośno, leniwie, niedbale przeciąga samogłoski. Po jego twarzy błąkał się znudzony, kurtuazyjny uśmiech.

Później, kiedy zawoźzczenie mieli już możliwość poznać Bubiencowa nieco lepiej, stało się jasne, że w taki właśnie sposób zwykł prowadzić pierwszą rozmowę z nieznanymi ludźmi, jeśli tylko nie zależało mu na wywarciu jakiegoś szczególnego wrażenia. Tym silniejszy efekt odnosiły jego nagłe metamorfozy, kiedy słabość i pustostowie ustępowały miejsca naciskowi i nagłym touches – ten manewr Bubiencow stosował doskonale.

Z baronem i baronową wszczął rozmowę o rozmaitych głupstwach, które z celem jego przyjazdu żadnego związku nie miały: o trudach podróży, o najnowszych modach, o przewagach angielskich koni nad arabskimi. Antoni Antonowicz słuchał uważnie, potakiwał i zastanawiał się, jak bardzo niebezpieczny jest ten gaduła. Sam przy tym udawał pocziwą tępawość, co mu zresztą, zauważmy, znakomicie wychodziło. Wniosek wyciągnął baron niezbyt pocieszający: niebezpieczny, i to nawet bardzo.

Ludmiła Płatonowna z zasady w towarzyskiej rozmowie udziału nie brała, siedziała z surową miną, nieprzyjaźnie przyglądała się, jak groźny urzędnik zadziwiająco drobnymi, zgrabnymi rękami bawi się

koronkowym wachlarzem (wieczór trafił się duszny), i myślała: a to ci hrabia Nulin^[3] się znalazł.

Gość w mig się zorientował, kto z tych dwojga jest ważniejszy, na gubernatora niemal przestał patrzeć i mówiąc, zwracał się wyłącznie do gubernatorowej. Odnosiło się wrażenie, że z przyjemnością drażni Ludmiłę Płatonownę, omdlewającym, pobłażliwym wzrokiem przyglądając się jej zza swoich wspaniałych rzęs. Gubernatorowa pod tym niepokojącym spojrzeniem poczuła się bardzo nieswojo, jakby wyszła do gościa w niekompletnym stroju.

A oto co się wydarzyło pod koniec półgodzinnej wizyty. Do salonu wszedł sekretarz i baron, przeprosiwszy, podszedł do biurka, żeby podpisać jakiś ważny papier (właściwie to wiadomo nawet jaki: o zwolnieniu handlu książkami z podatku akcyzowego). W tym momencie Bubiencow, wciąż tak samo leniwie, nie zmieniając tonu ani wyrazu twarzy, zapytał:

– Słyszałem, miła pani Ludmiło, że z wielkim zapałem zajmuje się pani działalnością dobroczynną. Mówią, że pani jest wprost niezmordowana. To się chwali, to się chwali...

Nieprzyjemnie dotknięta tonem, jakim wypowiedziane zostały te słowa, gubernatorowa sucho i nawet z przekąsem odpowiedziała:

– A czy jest godniejszy sposób spędzania czasu dla kobiety mojej pozycji?

Równa, jakby narysowana brew uniosła się ze zdziwieniem, jedno błyszczące oko wraziło się pani Ludmile prosto w duszę, drugie zaś, przeciwnie, zmrużyło tak, że prawie go nie było widać.

– A to ci pytanie! Od razu widać, że pani nigdy nie kochała, a nawet, zdaje się, w ogóle nie wie, co to jest miłość.

Gospodyni zmieszana się i zaczerwieniła, ale nie zdołała nic odpowiedzieć i w ogóle ogarnęła ją wątpliwość, czy się nie przestyszała, bo dziwne te słowa wypowiedziane zostały bez żadnej

intonacji. A że właśnie wrócił Antoni Antonowicz, nie starczyło jej już czasu na ripostę.

Gość jeszcze przez jakieś pięć minut paplał o głupstwach, lecz gubernatorowa patrzyła na niego już inaczej: ni to z lękiem, ni to wyczekująco.

A już kłaniając się i nachylając do rączki (tym razem pani Ludmiła przed pocałunkiem czemuś się nie wzbraniała), inspektor szepnął:

– Przecież tak całe życie między palcami spłynie. Grzech.

Zręczny człowiek. Skorzystał z tego, że gubernator w tej chwili, delikatnie przykrywszy usta suchą dłonią, tak upojnie ziewał, że aż mu w zuchwach chrzęściło, i dlatego nie mógł słyszeć bezczelnych słów.

Nic więcej się nie stało. Ale ku ogólnemu, a zwłaszcza samego Antoniego Antonowicza zdziwieniu Ludmiła Płatonowna od tego dnia zaczęła wyróżniać petersburżanina, można powiedzieć, że otoczyła go swoją protekcją. On zaś nabrał zwyczaju częstego bywania na jej pokojach, a wchodził zwyczajnie, niezapowiedziany. I wtedy w domu gubernatora rozlegały się dźwięki fortepianu, śpiew na dwa głosy i wesoły śmiech. Antoni Antonowicz z początku próbował brać udział w zabawie, bardzo go jednak męczyło uczucie, że jest najwyraźniej zbędny, oddalał się więc jakoby dla załatwienia jakichś niecierpiących zwłoki spraw, a potem męczył się jeszcze bardziej w ciszy gubernatorskiego gabinetu i wyłamywał białe, suche palce. Doszło też do wyjazdów w dobranym gronie na piknik, do przejażdżek łódką i innych dozwolonych przez przyzwoitość rozrywek. Być może byłym gwardzistą kierowała szczerą sympatia do baronowej, która, jak już mówiliśmy, wyróżniała się i urodą, i zaletami duszy, ale nie ulega wątpliwości również co innego: ścisła przyjaźń z najbardziej wpływową kobietą w guberni była potrzebna komisarzowi Synodu również do innych celów.



Prosto od państwa von Hagenau przybysz udał się z wizytą do pani poczmistrzowej, Olimpiady Sawieljewny Szestago, prowadzącej salon opozycyjny wobec gubernatorskiego. Towarzystwo zawołzkie było w tych czasach podzielone na dwie nieoficjalne partie, które można umownie określić jako konserwatywną i postępową (tę drugą jeszcze czasem, starym zwyczajem, nazywano liberalną, chociaż w dzisiejszej Rosji słowo to zdecydowanie wychodzi z mody). Na czele obu obozów stały kobiety. Partia konserwatywna, jak być powinno, pełniła funkcję partii rządzącej i prawdziwym jej wodzem była Ludmiła Płatonowna. Większość urzędników i ich żon, z uwagi na swą pozycję, rodzaj działalności i naturalne poglądy, skupiała się pod tym właśnie sztandarem.

Do partii opozycyjnej garnęli się głównie ludzie młodzi i zuchwali: nauczyciele, inżynierowie oraz urzędnicy poczty i telegrafu, przy czym polityczne sympatie tych ostatnich wynikały z przynależności do instytucji, którą kierował małżonek Olimpiady Sawieljewny, przebywający w bezwarunkowej niewoli u swojej połowicy. Pani Szestago uchodziła w mieście za piękność, ale w zupełnie innym stylu niż gubernatorowa: ujmowała nie pełną figurą i dobrocią, lecz przeciwnie – chudością i złośliwością, bądź też, jak określała to sama Olimpiada Sawieljewna, gracją i intelektem. Pochodziła owa dama z rodu kupców milionerów i wniosła mężowi w posagu trzysta tysięcy, o czym nie omieszkiwała mu przypominać przy każdej, najmniejszej nawet chmurce na rodzinnym firmamencie, na ogół zresztą zupełnie bezchmurnym. W jej bogatym, gościnnym domu popierano tak egzotyczne w zawołzskich warunkach obyczaje, jak ateizm, czytanie zakazanych gazet i swobodne rozważania o parlamentarystyce. Na czwartki pani Olimpiady przychodzić mógł każdy i zjawiało się bardzo wielu, bo – jak już wspomnieliśmy – stół odznaczał się obfitością, a i rozmowy, jak na prowincjonalną miarę, bywały interesujące.

Ponieważ pierwsze wizyty Bubiencow składał akurat w czwartek, przybył do twierdzy postępowców, nie troszcząc się o uzyskanie zaproszenia, co – jak i sam fakt odwiedzin u poczmistrzowej – świadczyło o doskonałej znajomości zwyczajów i układu sił w guberni.

Pojawienie się petersburżanina wywołało wśród liberałów prawdziwą furję, ponieważ w swoim gronie uznali już z góry, że ten agent reakcji został tu przysłany właśnie ze względu na nich, żeby wykorzenić w zawożskiej społeczności wolnomyślicielstwo i wrogie knowania. Było to z jednej strony niepokojące, z drugiej nawet dość przyjemne (no bo jakże, samego oberprokuratora zaniepokoiłi zawożscy karbonariusze), ale mimo wszystko bardziej niepokojące.

„Agent reakcji” okazał się jednak wcale niestraszny. Objawił zwłaszcza absolutny brak jakiegokolwiek obskurantyzmu i zupełnie swobodnie mówił o nowej literaturze, o hrabim Tołstoju, a nawet o francuskiej szkole naturalistycznej, którą w mieście na razie znano raczej ze słyszenia. Spore wrażenie zrobił także ostry jak brzytwa język gościa. Kiedy inspektor szkół ludowych, Ilja Nikołajewicz Fiediakin, uchodzący wśród postępowców za potwornego złośliwca, spróbował osadzić zbyt pewnego siebie gadułę, okazało się, że pan Włodzimierz to przeciwnik ponad siły miejscowego zoila.

– Miło słyszeć takie śmiałe poglądy z ust sługi bogobożności – powiedział Ilja Nikołajewicz, ironicznie mrużąc oczy i gładząc brodę, co było u niego oznaką nie byle jakiego rozdrażnienia. – Z oberprokuratorem pewnie często pan tak rozprawia o fizjologicznej miłości u Maupassanta?

– „Fizjologiczna miłość” to masło maślane – z miejsca ściał oponenta Bubiencow. – A może u was, w Zawożsku, wciąż jeszcze przeważa romantyczne spojrzenie na stosunki między płciami?

Olimpiada Sawieljewna aż się zarumieniła – tak niezręcznie jej się zrobiło wobec rozumnego człowieka, że Fiediakin siedzi u niej

w salonie na najbardziej honorowym miejscu, u szczytu stołu – i opowiedziała się pospiesznie przeciw wszelkiej obłudzie i pruderii w partnerstwie płciowym.

Z poczmistrzową prędką petersburżanin postąpił jeszcze bardziej obcesowo niż z gubernatorową. Kiedy wychodził – wcześniej niż pozostali goście, jakby chciał im umożliwić spokojne rozłożenie go na czynniki pierwsze – Olimpiada Sawieljewna, którą tymczasem stołeczny blask kompletnie już oślepił, wyszła odprowadzić drogiego gościa do przedpokoju. Wyciągnęła rękę na pożegnanie (całowanie rączki u postępowców oczywiście nie wchodziło w grę), lecz Bubiencow, zamiast uścisnąć jej dłoń, wziął ją za łokieć. Miękkim, ale oszłamiająco władczym ruchem przyciągnął gospodynię do siebie i bez słowa pocałował w usta tak mocno, że pod biedną panią Olimpiadą, której przez całe dwadzieścia dziewięć lat życia nikt tak jeszcze nie całował, nogi zrobiły się jak z waty i w oczach jej pociemniało.

Do gości wróciła mocno zarumieniona i w najbardziej stanowczy sposób zdusiła w zarodku podjęte przez mściwego Ilję Nikolajewicza próby oczerniania gościa, który dopiero co ich opuścił.

Tak więc wysłannik oberprokuratora zaraz pierwszego dnia pobytu w guberni nawiązał przyjazne stosunki z obiema zawołzskimi carycami, przy czym przyjaźń z Olimpiadą Sawieljewna była szczególnie przyjemna również dlatego, że dom owej damy przylegał bezpośrednio do budynku urzędu pocztowego, gdzie dyrektorował jej mążzonek, z którym Bubiencow również bardzo szybko znalazł się na przyjacielskiej stopie, tak że bez ceremonii wpadał do jego gabinetu i miał nieograniczony dostęp do jedynej na Zawołżu aparatu telegraficznego. Z przywileju tego Włodzimierz Lwowicz korzystał gorliwie i nawet obywatel się bez pomocy telegrafisty, ponieważ, jak się okazało, doskonale umiał się obchodzić z przemysłnym wynalazkiem

Baudota. Zdarzało się czasem, że inspektor Synodu wpadał na pocztę nawet po północy, coś tam wysyłał, coś odbierał i w ogóle czuł się jak u siebie w domu.



O ile jednak wśród miejscowych dam tryumf nadbałtyckiego Warega był druzgoczący i niewątpliwy, o tyle z mężczyznami nie poszło mu tak gładko.

Jedyną wyraźną zdobyczą Bubiencowa na tym polu (poczmistrz Szestago jako postać niesamodzielną się nie liczy) okazał się sojusz z policmajstrem Lagrange'em.

Były po temu pewne przyczyny. Feliks Stanisławowicz Lagrange został przysłany do naszego miasta na miejsce niedawno zmarłego podpułkownika Gulko, wieloletniego wiernego pomocnika Antoniego Antonowicza i włądyki Mitrofaniusza we wszelkich ich poczynaniach. Nieboszczyka wszyscy u nas lubili, wszyscy do niego przywykli, ministerialnego mianowańca przyjęto więc nieufnie. Nowy policmajster był mężczyzną dużym, przystojnym, ze starannie utrzymanymi baczkami i malowniczo farbowanymi wąsami. Niby to usłużny i do zwierzchności odnoszący się z szacunkiem, ale biskupowi się nie spodobał – sam się narzucał przewielebnemu, chodząc do niego do spowiedzi, ale słowa mówił nieszczerze i w sprawach pobożności wykazywał za wielką interesowność.

Zawołżsk policmajstrowi też nie przypadł do gustu. Przede wszystkim jako miasto bardzo spokojne i nieobfitujące w wydarzenia. Na szczęście gubernia jest zupełnie wolna od rewolucyjnej zarazy, bo przed nastaniem Mitrofaniusza i barona trafić tu ona nie zdążyła, a potem już nie miała czym się żywić. Wielkich manufaktur ani uniwersytetów u nas nie ma, szczególniejszych przejawów niesprawiedliwości społecznej też się nie obserwuje, a w razie

potrzeby można się na nie poskarżyć zwierzchności, tak że buntować się jakby nie ma powodu. W przeciwieństwie do innych guberni nie mamy nawet własnego zarządu żandarmerii, bo przedtem, kiedy był, jego personel z braku zajęcia rozpijał się lub wpadał w melancholię. Policmajster w Zawołżsku kieruje jednocześnie wszystkimi sprawami należącymi do kompetencji żandarmerii i na to właśnie poślakomiał się Feliks Stanisławowicz, kiedy godził się na ten przydział. Dopiero potem zrozumiał, jak okrutnie los sobie z niego zażartował.

Okoliczności, w których zawiązała się przyjaźń Bubiencowa ze zwierzchnikiem policji, pozostały dla mieszkańców miasta tajemnicą, chociaż ich oku w ogóle mało co umyka, a doszło do tej komitywy w takim tempie, że rozeszła się pogłoska, jakoby inspektor pojawił się w guberni nie ot tak, tylko wskutek tajnego donosu Lagrange'a, który postanowił jak nie prawem, to lewem zwrócić na siebie uwagę najwyższych władz. W każdym razie po przybyciu synodalnego inkwizytora Feliks Stanisławowicz zdobył się na czyn demonstracyjny – całkiem przestał chodzić do przewielebnego do spowiedzi.

Tak więc w najkrótszym czasie Bubiencow dokonał w Zawołżsku prawdziwego coup d'état^[4] i opanował niemal wszystkie punkty strategiczne: administrację w osobie Ludmiły Płatonowny, policję w osobie Feliksa Stanisławowicza i opinię publiczną, z pocztą i telegrafem włącznie, w osobie Olimpiady Sawieljewny. Pozostawało tylko wziąć w swoje ręce władzę duchowną i sądowniczą, ale tu właśnie coś się zacięło.



Władyka, u którego Bubiencow zjawił się w piątek, nazajutrz po swoich pierwszych wizytach, rozmawiał z nieproszonym kontrolerem surowo i uchylwszy się od czczej gadaniny, zapytał od razu, jaki

właściwie jest cel przyjazdu emisariusza Synodu i jakimi dysponuje on pełnomocnictwami. Włodzimierz Lwowicz natychmiast zmienił sposób zachowania (a zaczął tak jakoś smętno-nabożnie, cytując obficie Pismo Święte) i krótko, rzeczowo wyłożył istotę swej misji:

– Wiadomo doskonale waszej przewielebności, że obecna polityka państwa w odniesieniu do ładu religijnego w Rosji polega na umacnianiu ze wszech miar kierowniczej i przewodniej roli prawosławia jako duchowego i ideowego oparcia imperium. Państwo nasze jest wielkie, ale niestabilne, bo jedni wierzą w Chrystusa trójpalczasto, inni dwupalczasto^[5], trzeci z lewa na prawo, jeszcze inni uznają Jehowę, Chrystusa zaś odrzucają, a jeszcze inni w ogóle czczą Mahometa. Myśleć można i należy różnie, ale wiarę wielonarodowy lud, jeśli chce pozostać zjednoczony, musi mieć jedną. Inaczej czeka nas rozłam, walki bratobójcze i zupełny upadek moralności. Takie jest credo Konstantego Pietrowicza i monarcha podziela ten pogląd. Stąd i stanowcze żądania, z którymi Święty Synod zwraca się do arcybiskupów tych guberni, w których liczni są innowiercy i schizmatycy. Z zachodnich, nadbałtyckich, nawet azjatyckich guberni biskupi co miesiąc donoszą o dziesiątkach tysięcy nawróconych. I tylko z Zawołża, gdzie pleni się i raskolnictwo, i mahometanizm, a nawet pogaństwo, żadne pocieszające wieści nie nadchodzą. Powiem wprost: przysłano mnie tu przede wszystkim dla wyjaśnienia, co jest powodem tej bierności – brak umiejętności czy brak chęci?

Inspektor zrobił pauzę, jak przystało po takich słowach, po czym ciągnął już o wiele łagodniej:

– Bezczytność waszej przewielebności szkodzi zwartości cesarstwa i samej idei państwowości rosyjskiej, daje zły przykład innym archijerejom. Mówię zupełnie otwarcie, bo widzę w tobie, ojcze, naturę praktyczną, nie żadnego pięknoducha i marzyciela, jakim cię w Petersburgu niektórzy malują. Mówmy więc bez

dwuznaczności, rzeczowo. Mamy pewien wspólny interes. Tu, na Zawoźcu, musi dojść do zupełnego tryumfu prawdziwej wiary – do przejścia wszystkich co do jednego starowierców na łono prawosławia, do chrztu tysięcy Baszkirów albo do czegoś w tym rodzaju, równie imponującego. Będzie to zbawienne dla waszej przewielebności, ponieważ diecezja wydobędzie się z grupy objętych niełaską, i bardzo pożyteczne dla mnie, bo te dokonania będą bezpośrednim skutkiem mojej podróży.

Ujrawszy niezadowolenie na twarzy rozmówcy i błędnie przyjąwszy ten grymas za wyraz powątpiewania, Bubiencow dodał:

– Wasza przewielebność nie wie, jak wziąć się do rzeczy? Proszę się nie martwić. Właśnie po to mnie przysłano. Doskonale wszystko urządzę, proszę tylko nie wsadzać mi kija w szprychy.

Władyka był rzeczywiście człowiekiem bezpośrednim, więc nie owijając w bawełnę, odpowiedział w tym samym tonie:

– To pańskie credo jest szkodliwym głupstwem. Konstanty Pietrowicz nie wczoraj pojawił się na tym świecie i nie gorzej ode mnie rozumie, że siłą nikt nikogo do obcej wiary nie skłoni i może tu być mowa najwyżej o dopełnianiu takiego czy innego obrzędu religijnego, co z punktu widzenia zwartości państwa nie ma żadnego znaczenia. Przypuszczam, że pan oberprokurator zmierza do jakichś innych celów, niemających związku z wiarą. Na przykład do wprowadzenia policyjnych metod rządzenia również w sferze duchowej.

– No i co z tego? – Bubiencow ze spokojem wzruszył ramionami. – Przecież nasze wspólne imperium może się utrzymać tylko wysiłkiem woli sprawujących władzę. Każdy niewłaściwie myślący i niewłaściwie wierzący powinien mieć cały czas w pamięci, że ma nad sobą nadzór i oko, że brykać i robić wszystkiego po swojemu nikt mu nie pozwoli. Swobody są dla Galów i Anglosasów, nasza zaś siła to

jedność i posłuszeństwo.

– Pan mi mówi o polityce, a ja o duszy ludzkiej. – Mitrofaniusz westchnął, po czym powiedział coś takiego, czego mówić może i nie powinien był. – U mnie w diecezji nowo nawróconych jest mało dlatego, że nie widzę sensu w przeciąganiu na prawosławie raskolników, muzułmanów i niemieckich kolonistów. Dla mnie niech każdy wierzy, jak chce, byleby wierzył w Boga, nie w diabła. Niechby prowadził się po Bożemu, tyle wystarczy.

Bubiencow błysnął oczyma i powiedział przypochlebnie, ale z nieskrywaną pogroźką:

– Ciekawy pogląd jak na biskupa guberni. Wcale niepokrywający się z poglądem Konstantego Pietrowicza i Najjaśniejszego Pana.

Tymczasem Mitrofaniusz pozbył się już wszelkich wątpliwości, zarówno co do przybysza, jak i co do jego dalszych postępów, dlatego bezceremonialnie wstał, okazując, że rozmowa skończona.

– Wiem. I właśnie przedstawiam panu swój pogląd bez świadków po to, by nie było między nami żadnej dwuznaczności.

Wstał również Bubiencow i powiedział krótko, z ukłonem:

– Cóż, dziękuję za szczerość.

Wyszedł i więcej odwiedzinami pałacu biskupiego nie kłopotał. Wojna została wypowiedziana, wyzwanie przyjęte. Nastąpiła cisza, jak zwykle przed walną bitwą, i w chwili, kiedy zaczyna się nasza opowieść, ta cisza wciąż trwała.



Wkrótce po nieudanym natarciu na twierdzę wiary nastąpiła inwazja na bastion sprawiedliwości. Oświecony przez życzliwe sobie osoby, w tym czasie już liczne, Bubiencow obiegł nie prezesa izby sądowej ani nie prokuratora gubernialnego, lecz jego zastępcę, Matwieja Bencjonowicza Berdyczowskiego.

Rozmowa odbyła się w Klubie Szlacheckim, do którego pan Matwiej został przyjęty z rekomendacji barona von Hagenau, kiedy tylko dosłużył się osobistego szlachectwa. Do klubu zaglądał często, i to nie z jakiejś właściwej parweniuszom fanaberii, tylko z bardziej prozaicznej przyczyny: w domu wielodzietnego podprokuratora panował stale taki rejwach, że nawet on, domator i ojciec rodziny, potrzebował czasem chwili wytchnienia. Zazwyczaj siedział wieczorami samotnie w bibliotece klubowej i grał sam ze sobą w szachy – godnych partnerów do tej przemyślnej gry w naszym mieście nie miał.

Włodzimierz Lwowicz podszedł, przedstawił się, zaproponował partyjkę. Otrzymał prawo pierwszego ruchu i w bibliotece natychmiast zapanowała zupełna cisza, tylko malachitowe figury co jakiś czas stuknęły dźwięcznie o szachownicę. Berdyczowski, ku swemu zdziwieniu i zadowoleniu, trafił wreszcie na przeciwnika nie lada, tak że musiał się trochę pomęczyć, ale mimo wszystko czarne figury pomału zaczęły brać górę.

– Procesik by się przydał – westchnął nagle Bubiencow, przerywając milczenie.

– Za pozwoleniem?

– Przecież my z panem z tej samej gliny jesteśmy – powiedział czułym tonem inspektor synodalny. – Drapiemy się w górę, zdzierając sobie paznokcie, a wszyscy wokoło tylko kombinują, jak by tu nas zepchnąć w dół. Pan jest wychrztą, trudno panu. Jedyne pańskie oparcie to gubernator i władyka. Zapewniam pana jednak, że ani pierwszy, ani tym bardziej drugi długo się nie utrzymają. Co z panem będzie? – Postawił gońca i powiedział: – Gardez.

– Procesik? – powtórzył pytająco Berdyczowski, w skupieniu wpatrując się w szachownicę i kręcąc w palcach koniuszek długiego nosa (miał taki nieprzyjemny zwyczaj).

– Właśnie. Nad raskolnikami. Za bluźnierstwa jakieś, a jeszcze lepiej – za bestialstwo na tle fanatyzmu. Profanowanie świątyń prawosławnych też byłoby niezłe. Można by zacząć od jakiegoś kupczyka, w miarę możliwości – spośród szczególnie szacownych. U bogatego zawsze kiesa przed wiarą idzie. Jeśli się go przyciśnie jak należy, to zrozumie, co jest dla niego korzystniejsze, wyrzeknie się swojego wyznania, a wkrótce za nim pociągną inni. Teraz ze starowierców – wiadomo – i policja swoje ciągnie, i konsystorscy, i wasi, z sądownictwa, a my proszę bardzo – ściągniemy z nich nie pieniądze, tylko przejście na trójpalczałość, i to obowiązkowo z rodziną, domownikami, pieczeniarniami. No, jak?

– Nie ciągną – odpowiedział Berdyczowski, obliczając w myślach jakąś zawrotną kombinację.

– W jakim sensie?

– Policja i konsystorscy z raskolników. Ci z sądownictwa też nie. U nas w guberni, za pozwoleniem łaskawego pana, to nieprzyjęte. Wezmę pioneczka.

– A hetman? – zdziwił się Bubiencow, po czym natychmiast „zjadł” hetmana. – Tak właśnie pańscy protektorzy zostaną zjedzeni, i to w najbliższym czasie. Mnie, panie Berdyczowski, potrzebny będzie do pomocy doświadczony prawnik, dobrze znający tutejsze stosunki. Proszę się zastanowić, przecież to wielką karierą pachnie, choćby nawet nie na drodze czysto prawniczej, tylko na kościelno-prawnej. Tam i żydostwo nie będzie panu przeszkodą. Wiele filarów prawdziwej wiary z pańskiej nacji się wywodziło, zresztą i teraz pośród wychrztów trafiają się najgorliwsi propagatorzy prawosławia. A o następstwach uporu też warto pomyśleć. – Bubiencow wymownie pomachał zbitym hetmanem. – Przecież ma pan rodzinę. I słyszałem, że nowego przychówku oczekuje?

Straszliwie zastrachany, z lęku nie śmiąc oderwać oczu od

szachownicy, Matwiej Bencjonowicz wymamrotał:

– Przepraszam łaskawego pana, ale po pierwsze ma pan mata. Po drugie – te słowa wymówił już niemal szeptem i mocno drżącym głosem – jest pan nikczemnikiem i marnym człowiekiem.

Powiedział i zmrużył oczy, bo przypomniał sobie naraz i podwójny pojedynek, i dwanaścioro dzieci, i spodziewany przychówek.

Bubiencow uśmiechnął się, patrząc na pobladłego śmiałka. Obejrzał się, czy w pobliżu nikogo nie ma (nikogo nie było), boleśnie pstryknął swego partnera w krzywy nos i poszedł precz z biblioteki.

Berdyczowski pociągnął nosem, uronił na szachownicę dwie wiśniowe krople, podjął nieprzekonującą próbę dogonienia krzywdziciela, ale od łez oczy zaszyły mu tęczową błonką. Podprokurator powstał, powstał i usiadł.



A teraz wypada nam tylko opowiedzieć o świcie niezwykłego synodalnego kontrolera, ponieważ para ta była w swoim rodzaju nie mniej malownicza niż sam inspektor Bubiencow.

Funkcję sekretarza przy jego osobie pełnił sekretarz gubernialny, Tichon Jeriemiejewicz Zbawieny, ten właśnie godnie wyglądający pan, który z okna czarnej karety uprzejmie ukłonił się szyldwachowi. Samo nazwisko tego urzędnika, a jeszcze bardziej jego sposób bycia i prowadzenia rozmowy nie pozostawiały wątpliwości, że wywodzi się on ze stanu duchownego. Mówiono, że to sam Konstanty Pietrowicz przybliżył go do swej osoby, wyróżnił z liczby szeregowych diaczków – widać dopatrzył się w skromnym kantorze czegoś szczególnego. W Synodzie Tichon Jeriemiejewicz piastował stanowisko maleńkie, niewidoczne i słabo opłacane, ale często bywał zaszczytany rozmowami w cztery oczy z oberprokuratorem, toteż wielu, nawet spośród hierarchów, trochę się go lękało.

Do Bubiencowa przystawiono tego cichego jak myszka urzędnika w charakterze oka władzy, ufającej przecież, lecz kontrolującej. Z początku wypełniał swoje obowiązki sumiennie, lecz zanim wspomniana kareta przybyła do Zawołzka, zdążył całkowicie poddać się urokowi swego przejściowego zwierzchnika i stał się jego bezgranicznie oddanym zausznikiem, doszedłszy zapewne do wniosku, że „nikt panom dwóm służować nie wydoła”. Czym go ujął eksgwardzista – nie jest nam wiadome, sądzymy jednak, że dla takiego pomysłowego i utalentowanego człowieka nie było to zadanie zbyt trudne. Tichon Jeremiejewicz pozostał wierny swej profesji, tyle że teraz szpiegował i węszył nie na szkodę Bubiencowa, ale wyłącznie dla jego pożytku; bardzo możliwe, że będąc obdarzony umysłem dalekosiężnym, dopatrzył się w takiej zmianie seniora korzyści dla siebie. Przy niewysokim wzroście i nawyku nieustannego wciągania głowy w ramiona Zbawieny odznaczał się nadnaturalnie długimi, kleszczowatymi rękoma, które zwisały mu niemal do kolan, toteż Włodzimierz Lwowicz nazywał go najpierw „Orangutanem”, a potem przylepił mu jeszcze bardziej obraźliwy przydomek „Sraczyca”. (Rzecz w tym, że Tichon Jeremiejewicz wyróżniał się niezmiernie gorliwą pobożnością i co słowo, z sensem lub bez sensu, wtrącał cytaty z Pisma Świętego i raz nieopatrznie wygadał się przed swoim suwerenem, że dla ochrony przed Złym nosi pod surdudem pewną osobliwą koszulkę, którą określił starodawnym, z Pisma wziętym słowem, mianowicie „uświęconą sraczycą”). Zbawieny, jak przystoi chrześcijaninowi, nie obrażał się za żarty zwierzchnika i tylko powtarzał potulnie: „Zlejesz mnie, Panie, hizopem, a oczyszcze się, omyjesz mnie, a nad śnieg się pobiele”.

Sekretarz gubernialny wszędzie jak cień towarzyszył Bubiencowowi, ale przy tym jakimś cudem zdążał pojawiać się choć na chwilę w najbardziej nieoczekiwanych miejscach, jako że

z Zawołoskiem oswoił się zadziwiająco szybko. To widziano go w świątyni, jak przyśpiewuje na chórze, to na bazarze targował się o miód z pasiecznikami starowiercami, to w salonie u Olimpiady Sawieljewny rozmawiał z notariuszem Korszem, uchodzącym w naszej guberni za głównego mędrca od spraw spadkowych.

Zdumiewające, jak osobnik taki jak Zbawieny mógł się pospolitować, a nawet przyjaźnić, z podobnym do zwierzęcia stangretem Bubiencowa. Ów Murad był prawdziwym kaukaskim abrekiem, zbójem z rozstajnych dróg. W Zawołosku nazwano go Czerkiesem, chociaż nie z Czerkiesów się wywodził, tylko z jakiegoś innego górskiego plemienia. Ale kto się tam w tych czarnobrodych rozezna! Murad był przy wysłanniku Synodu nie tylko za stangreta, ale i za kamerdynera, i za niańkę, a od wypadku i za ochroniarza. Nikt dobrze nie wiedział, dlaczego był tak po psiemu oddany swemu panu. Wiadomo tylko, że opiekował się Bubiencowem od dzieciństwa, a dostał mu się w spadku po ojcu. Bubiencow senior, kaukaski generał, kiedyś, dawno temu, przed dwudziestu lub trzydziestu laty, uratował młodego Murada Dżurajewa przed zemstą wrogiego rodu i zabrał go ze sobą do Rosji. Może było tam jeszcze coś szczególnego, ale tego zawołoszczanom wykryć się nie udało, a do wypytywania Murada brakowało odwagi. Bo zaiste nadzwyczaj groźnie wyglądał: czaszka wygolona, twarz zarosła gęstym, czarnym włosiem po same oczy, a zęby takie, że rękę by człowiekowi po łokieć odgryzł i wypluł. Po rosyjsku Murad mówił mało i kiepsko, choć przeżył pośród prawosławnych wiele lat. Wiarę też zachował mahometańską i z tej racji był obiektem misjonarskich zabiegów pana Tichona, ale na razie nieuwieńczonych powodzeniem. Ubierał się po kaukasce: w stary beszmet, rozdeptane czuwiaki, u pasa nosił ogromniasty, srebrem okuty kindzał. Od krzywonogiego, rozkołysanego kroku Murada, od jego szerokich ramion biła zwierzęca siła i mężczyźni w jego

obecności czuli się nieswojo, a kobiety prostego stanu lękały się i zamierały.

Może to dziwne, ale wśród pokojówek i kucharek Murad cieszył się opinią interesującego kawalera, chociaż obchodził się z nimi grubiańsko, a nawet brutalnie. W drugim tygodniu pobytu Bubiencowa zawołłscy strażacy, zmówiwszy się z rzeźnikami, postanowili nauczyć bisurmana rozumu, żeby cudzych dziewczyn nie psował. No i Murad w pojedynkę rozegnał cały tuzin „nauczycieli”, a potem długo jeszcze ścigał ich po ulicach, Fiedkę rzeźnika zaś dogonił i pewnie na śmierć by zabił, gdyby nie nawinął się akurat Tichon Jeriemiejewicz.

Do zabójstwa nie doszło, ale niektórzy mieszkańcy miasta, co bardziej dalekowzroczni, zadumali się mocno, wyczuwając w tym skandalu, a zwłaszcza w fakcie, że policja nie ośmieliła się powstrzymać zabijaki, zapowiedź burzliwych czasów. I sprawa ta, rzecz można, odzywała się gromowymi pomrukami w atmosferze naszej guberni, a czarne niebo jarzyło się na razie jeszcze bezgłośnymi, lecz złowieszczymi błyskawicami.

Czy jednak nie za daleko odeszliśmy od głównego nurtu naszej opowieści? Siostra Pelagia dawno już przekroczyła otwarte na oścież wrota drozdowskiego parku i teraz wypada nam podążyć za nią.

III

Mili ludzie

Deszcz złapał Pelagię jakieś pół setki kroków od bramy. Lunał równo, rześście, wesoło, od razu dając znać, że zamierza przemoczyć do nitki nie tylko habit i chustkę zakonniczy, ale i spodnią koszulę, a nawet robótkę schowaną w torebce u pasa. I Pelagia się przestraszyła. Obejrzała się, czy ktoś nie idzie, podwinęła poły i ruszyła drogą niezwykle raźnie, co zawdzięczała gimnastyce angielskiej, której, jak już mówiliśmy, nauczała w szkółce diecezjalnej.

Dotarłszy do zbawczej alei, oparła się plecami o pień starego wiązu, który dokładnie ją osłonił swoją gęstą koroną, wytarła zbryzgane okulary i zaczęła patrzeć w niebo.

A było na co. Bliższa połowa wysokiego sklepienia nabrała barwy liliowoczarnej, ale nie tej głuchej, martwej, jaka zdarza się w pochmurne dni bez przejaśnień, tylko z oleistym połyskiem, jakby jakiś niebiański gimnazjalista dla kawału wywrócił na błękitny obrus kałamarz z fioletowym atramentem. Do dalszej połowy obrusa plama jeszcze nie doszła i nadal królowało tam słońce, a po bokach z obu stron wygięły się dwie tęcze, jedna jaskrawsza i mniejsza, druga bardziej matowa, za to większa.

Po kwadransie było już na odwrót: bliżej niebo pojaśniało, dalej pociemniało, co było znakiem, że ulewa ustała. Pelagia zmówiła modlitwę w podzięce za pomyślne uwolnienie spod upustów niebieskich i pomaszerowała długą, ale to bardzo długą aleją, prowadzącą do dworku dziedziczki.

Pierwszym mieszkańcem majątku, jakiego napotkała nasza

wędrowniczka, był śnieżnobiały szczeniak z brązowym uchem, który wyskoczył z jakichś krzaków i od razu, bez chwili wahania wczepił się mniszce zębami w habit. Szczeniak jeszcze nie wyrósł był z wieku niemowlęcego, ale charakter miał już jak najbardziej zdecydowany. Kręcąc szerokim łebkiem i gniewnie powarkując, ciągnął do siebie gęstą tkaninę i widać było, że tak bez powodu tego zajęcia nie przerwie.

Pelagia wzięła zbója na rękę, zobaczyła niepoczytalne błękitne śleпка, nosek różowy z czarnymi kropkami i zwisające na boki aksamitne fagle, nie wiedzieć czemu zapaćkane ziemią. Innych szczegółów wypatrzeć nie zdążyła, bo szczeniak wysunął długi czerwony języczek i z niezwykłą szybkością oblizał jej nos, czoło, a przy okazji i szkła okularów.

Mniszka, na chwilę utraciwszy wzrok, usłyszała, jak ktoś przedziera się przez krzaki. Zadyszany męski głos powiedział:

– Aha, wpadłeś! Znów gdzieś ziemię żarło, diabelskie nasienie! Wybacz, siostrzyczko, że Złego wspomniałem. To tak tego głuptaska tatuś z dziadziusem wyuczyli. Uff, dziękuję, złapała siostra drania, a ja tobym za nim nie zgonił. Żwawy, diabełek. Oj, jeszcze raz wybacz.

Pelagia jedną ręką przycisnęła ciepłe, sprężyste ciało do piersi, drugą zdjęła oślinione okulary. Zobaczyła przed sobą brodatego mężczyznę w perkalowej koszuli, pliszowych spodniach, skórzanym fartuchu, na oko sądząc – ogrodnika.

– Trzymaj swojego Chapaja – powiedziała Pelagia. – Tylko mocno.

– A skąd to znasz jego przezwisko? – zdumiał się ogrodnik. – Bywałaś może u nas? Jakoś nie pamiętam.

– Nam, osobom duchownego stanu, dzięki modlitwie wiele się odśłania, przed zwykłymi ludźmi zakrytego – pouczającym tonem powiedziała Pelagia.

Czy uwierzył brodaty, czy nie – nie wiadomo, wyjął jednak

z kieszeni monetę, piętnaście kopiejek, i z ukłonem wsunął zakonnicy do torebki.

– Przyjmij, siostrzo, czystym sercem dane.

Pelagia się nie wymawiała. Jej samej pieniądze nie były potrzebne, ale Pana Boga nawet najmniejszy podarek raduje, jeśli z czystym sercem ofiarowany.

– A ty do domu nie chodź – poradził ogrodnik. – Nóg nie męcz niepotrzebnie. Nasi państwo ludziom Bożym jałmużny nie dają. „Zasada!”, mówią.

– Mam dla Marii Afanasjewny list od władzyki Mitrofaniusza – przedstawiła Pelagia cel swojej misji i mieszkaniom Drozdowki z uszanowaniem ściągnął z głowy kaszkiet, ukłonił się i natychmiast przeszedł z „siostrzyczki” na „mateczkę”.

– I czemuś to, mateczko, od razu nie powiedziała? A ja jak głupi z pieniążkiem się wyrwałem. Proszę za mną, poprowadzę.

Szedł pierwszy, trzymając obiema rękami szarpiącego się i popiskującego z irytacją Chapaja.

Po prawej, na łączce, koło altanki z białego kamienia, spacerował przedziwny pan w pelerynie i kapeluszu o szerokich kresach. Pod pachą trzymał sporą skrzynkę z czarnego, lakierowanego drewna, w ręku – długi trójnóg z ostrymi, żelazem okutymi końcami. Wetknął trójnóg w ziemię, nasadził z wierzchu skrzyneczkę i wyjaśniło się, że jest to aparat fotograficzny, bo przyrządy takie nawet w naszej dalekiej guberni nie były już wówczas rzadkością.

Pan obejrzał się, popatrzył mimochodem, bez zainteresowania, na mniszkę, a ogrodnikowi powiedział:

– No, jak tam, Gierasimie, dopędziłeś zbiega? A ja po parku się włóczę. Fotografuję, jak para się od ziemi unosi. Rzadki efekt optyczny.

Był to piękny pan, z wypielegnowaną bródką, długimi, wijącymi się

włosami, od razu widać, że nietutejszy. Pelagii spodobał się.

– Artysta! Od fotograficznych obrazów – wyjaśnił swojej towarzyszce Gierasim, kiedy odeszli na pewną odległość. – Z samego Pieterburcha. W gościnie u nas. Stiepana Trofimowicza, naszego administratora, przyjaciel. A mówi się na niego Arkadiusz Siergiejewicz, pan Poggio.

Przeszli następne sto metrów, a do zielonego dachu było jeszcze drogi a drogi. Z tyłu po rozmokłej ścieżce zacmokały kopyta. Pelagia odwróciła się – zobaczyła lekką jednokótkę, a w niej rumianego pana w białym kapeluszu z frędzlami i płóciennym surduciku.

– Zdróweczka dobrego życzymy, Kiryle Nifontowiczu – ukłonił się Gierasim. – Na kolacyjkę?

– A niby dokąd? Prr, prr!

Splówiałe małeńkie oczka, promieniejące dziecinną naiwną ciekawością, wpatrzyły się w Pelagię, zmarszczki na krągłych policzkach ułożyły się w dobroduszny uśmiech.

– A kogóż to Gierasim konwojuje? Oho, i następcę tronu masz przy sobie.

– Siostra niesie do pani posłanie od władyki.

Pan z jednokółki nadał twarzy pełen uszanowania wyraz i uniósł z lekka kapelusz ze spoconej łysiny.

– Proszę pozwolić, że się przedstawię. Kirył Nifontowicz Krasnow, miejscowy ziemianin i sąsiad. Proszę usiąść, mateczko, podwiozę, po co się fatygować? I psisko groźne zabierzemy, bo Maria Afanasjewna pewnie tęskni do niego. Ze strzelistej patrzy wieży, czy jej miły tu nie bieży.

– Puszkin? – spytała Pelagia, siadając obok sympatycznego gaduły.

– Pochlebia mi mateczka – ukłonił się rozmówca, trzaskając z bicza.

– Nie, sam układam. Same z siebie rymy się ze mnie leją, z byle powodu albo i wcale bez powodu. Tylko jakoś w wiersze się nie

układają, bo gdyby tak, to byłbym sławny nie mniej od Niekrasowa i Nadsona.

I zadeklamował:

Leciutkie są moje wierszyki,
Nie wierszyki, lecz figliki,
No i nie takie znowu złe,
W każdym razie – nie są mdłe.

Minęła minutka lub dwie i już podjeżdżali pod duży dom, ozdobiony wszystkimi atrybutami okazałości, jakie tylko umiało sobie wyobrazić minione stulecie: dorycką kolumnadą, mrukliwymi lwami na postumentach, a nawet spiżowymi jednorożcami z Gross-Jegersdorf po bokach schodów.

W sieni Krasnow zapytał, nie wiedzieć czemu szeptem, miłą pokojówkę:

– No, Taniusza, jak tam pani? Widzisz, Chapaja jej dostarczyłem.

Błękitnooka Taniusza tylko westchnęła przez pulchne wargi.

– Bardzo złe. Nie je, nie pije. Cały czas płacze. Doktor dopiero co odjechał. Nic nie powiedział, głową tylko ot tak pokiwał i pojechał.



W sypialni chorej było ciemno i pachniało kroplami lawendowymi. Pelagia zobaczyła szerokie łożo, tęgą staruszkę w czepeczku, pół leżącą, pół siedzącą na stosie wspaniałych poduszek, i jeszcze jakichś ludzi, którym przyglądać się tak wprost od progu było niezręcznie, a zresztą i ciemności przeszkadzały, lepiej było poczekać, aż oczy przywykną.

– Chapajeczek? – spytała basem stara i uniosła się z lekka, wyciągając zwiotczałe ręce. – Znalazł się, faflastuś mój kochany. Dzięki, ojczulku, żeś go przyprowadził. – To do Krasnowa. – A kto tam

z panem? Zakonnica? Nie widzę, podejdź no. – To już do Pelagii.

Siostra podeszła do łóżka, ukłoniła się.

– Dla Marii Afanasjewny od władcy pasterskie błogosławieństwo i życzenia jak najszybszego wyzdrowienia. Z tym właśnie przysłał mnie, zakonnice Pelagię.

– A na co mi jego błogosławieństwo! – parsknęła gniewnie generałowa Tatiszczewa. – A czemu to sam pojawić się nie raczy? Patrzcie go, czernicę mi przysyła na odczepnego. Z testamentu wywalę do wszystkich diabłów, co tylko na Cerkiew zapisane.

Szczeniak już się umościł na jej rękach i nie napotykając żadnego sprzeciwu, oblizywał starą, pomarszczoną twarz.

U stóp Pelagii rozległo się tubalne naszczekiwanie i na pościel władowało się białymi łapami, marszcząc z urazą wysokie czoło, szerokopierśne, zadartonose psisko.

– Nie bądź zazdrosny, Łapajku – odezwała się do niego chora. – Przecież to twój synek, własna twoja juszka. No, chodź, ciebie też popieszczę.

Poklepała Chapajowego rodzica po szerokim karku i zaczęła czochrać go za uchem.

Pelagia tymczasem przyglądała się spod oka innym obecnym w sypialni.

Młody człowiek i panna byli zapewne wnukiem i wnuczką generałowej. On to Piotr Georgijewicz, ona – Naina Georgijewna, oboje po ojcu Tielianowowie. Można przypuszczać, że to oni najwięcej skorzystają na testamencie.

Pelagia spróbowała sobie wyobrazić, jak ten jasnooki, przestępujący z nogi na nogę brunet podsypuje białym psom truciznę. Nie dawało się. Dziewczyna była piękna jak z obrazka – wysoka, wyniosła, z kapryśnie opuszczonymi kącikami warg – i też nie miało się ochoty źle o niej myśleć.

W sypialni był jeszcze mężczyzna w marynarce i rosyjskiej koszuli, o prostej i miłej twarzy, do której aż zadziwiająco nie pasowały binokle i krótka rudawa bródka. Kim był – mniszka pojęcia nie miała.

– Przewielebny pismo pani przysłała – powiedziała Pelagia, podając Tatiszczewej orędzie biskupa.

– No, to czemu nic nie mówisz? Dawaj.

Maria Afanasjewna przyjrzała się mniszce dokładnie. Zauważyła widać i okulary, i postawę, bo poprawiła się:

– Proszę dać, mateczko, przeczytam. A wy tam wszyscy jazda na kolację. Nie ma co tutaj zatroskania odgrywać. I mateczka też niech zechce coś zjeść. Taniu, przygotuj mateczce pokój, narożny, w którym ostatnio ten cały Zbawieny nocował. Bardzo dobrze się składa. On Zbawieny, ona zbawiona, bo Panu Jezusowi poślubiona. Jeśli Włodzimierz Lwowicz przyjedzie, tak jak się odgrażał, to tego Zbawienego do skrzydła przeniesie. A niech go, paskudny jakiś.



Rozmowna Tania szykowała dla gościa jasny, schludny pokoik na parterze, z oknami wychodzącymi na sad, a jednocześnie opowiadała, kim jest ów Zbawieny, co tu przedtem nocował. Pelagia o Zbawienym wiedziała (bo i jak mogła nie wiedzieć, skoro na dworze archijereja w ostatnich tygodniach o niczym innym się nie mówiło, tylko o inspektorze Synodu i jego kompanach), ale słuchała uważnie. Tania co prawda niemal od razu przeszła do Bubiencowowego Czerkiesa – jaki to on straszny, a przecież też człowiek i dobrego słowa potrzebuje.

– Jak się z nim wieczorem na dworze spotkałam, to cała aż w dygot... A on jak na mnie popatrzy tymi swoimi czarnymi oczami i jak mnie nagle chwyci, o tutaj! Aż zamarłam, a on... – opowiadała Tania półszepem, nie zbiwszy jeszcze dobrze poduszki, gdy nagle się połapała. – Oj, mateczko, co też ja! Mateczka takich rzeczy słuchać

nawet nie powinna.

Pelagia uśmiechnęła się do miłej dziewczuszki. Umyła się, jak to po podróży, przeciągnęła habit mokrą szczotką, by go oczyścić z kurzu. Postąpiła trochę przy oknie, przyglądając się sadowi. Był cudownie piękny, chociaż zapuszczony. A może dlatego właśnie piękny, że zapuszczony?

Nagle gdzieś w pobliżu rozległy się jakieś głosy. Najpierw męski, przygłuszony i aż załamujący się z emocji:

– Przysięgam, zrobię to! A potem i tak nie będzie tu dla ciebie życia! Zmuszę cię do wyjazdu!

Niewiele miłosnych zaklęć miała okazję słyszeć siostra Pelagia, mimo to od razu się zorientowała, że jest to głos człowieka zakochanego do szaleństwa.

– Jeśli nawet wyjadę, to nie z panem – rozległ się dziewczęcy głos, bliżej niż męski. – I jeszcze zobaczymy, czy wyjadę.

Biedaczku – pomyślała Pelagia – ona cię nie kocha.

Zrobiło się ciekawie. Siostra cichutko pchnęła jedno skrzydło okna i wychyliła się.

Pokój był narożny, na prawo od okna znajdował się węgiel domu. Dziewczyna stała dokładnie przy krawędzi, odwrócona plecami i widoczna tylko do połowy. Po różowej sukni Pelagia od razu poznała Nainę Gieorgijewnę. Mężczyzny, niestety, nie było widać zza rogu.

W tej właśnie chwili rozległ się dźwięk dzwonka – wzywano na kolację.



Do stołu nakryto na obszernej werandzie, zwróconej balustradą i schodkami w stronę sadu. Za drzewami owocowymi można się było domyślić ogromu Rzeki, toczącej swe wody u stóp wysokiego brzegu, na którym wznosiła się Drozdowka.

Pelagia zobaczyła sporo nowych twarzy i nie od razu się zorientowała, kto jest kim, ale biesiada, a po niej picie herbaty trwały tak długo, że powoli wszystko się wyjaśniło.

Oprócz osób znanych już mniszce – brata i siostry, artysty fotografika Arkadiusza Siergiejewicza Poggio i sąsiada, ziemianina Kiryła Nifontowicza Krasnowa – przy stole siedział widziany u generałowej mężczyzna w rosyjskiej koszuli (ten o nieładnej, lecz ujmującej powierzchowności), jeszcze jeden brodac z chłopskiej twarzy, ale w tweedowym garniturze, i przywiedła osoba płci żeńskiej, w dziwnym kapeluszu ozdobionym rajskimi jabłuszkami.

Nieładny okazał się tutejszym administratorem, Stiepanem Trofimowiczem Szyriajewem. Brodaty w tweedzie – Donatem Abramowiczem Sytnikowem, znanym bogaczem z rdzennych zawołzkich starowierców, który niedawno kupił w sąsiedztwie domek letni. Co zaś do przywiedłej osoby, to wyjaśniło się, że nie tylko nie pochodzi z Zawółzka, ale nawet w ogóle nie jest Rosjanką, zowie się zaś miss Rigley. Jaka jest jej rola w Drozdowce, zrozumieć było trudno, ale najprawdopodobniej miss Rigley należała do licznej rodziny Francuzek, Angielek i Niemek, które wychowały swoich rosyjskich podopiecznych, wyuczyły ich, co tam umiały, i w końcu zadomowiły się pod pańskim dachem, bo bez nich nikt już nie mógł sobie wyobrazić życia rodziny.

Na początku kolacji siostrę Pelagię czekał nieprzyjemny wstrząs.

Do stołu przysłała Maria Afanasjewna, wsparta na ramieniu Tani, prowadząc na smyczy Łapaja i Chapaja. Widocznie po przeczytaniu biskupiego listu generałowa poczuła się lepiej, choć jej nastrój bynajmniej się nie poprawił. Przewielebny zawsze powtarzał, że niejednego chorego trzeba by nie lekarstwami napychać, tylko porządnie go rozzłościć. Zapewne tę właśnie metodę zastosował w tym przypadku.

Ojca i syna odprowadzono na bok: na pierwszego czekała już miha ze szpikowymi kośćmi, na drugiego – z gęsią wątróbką. Rozległ się chrzęst, mlaskanie – i dwa zady, duży i mały, rytmicznie zamachały ogryzkami ogonów.

– A co to za oranżerię ma pani na głowie, miss Rigley? – spytała Tatiszczewa, rozglądając się wokół stołu i najwyraźniej szukając, do czego by się przyczepić. – Patrzcie ją, znalazła się urocza ingenue. No, choć teraz to przecież nasza bogata spadkobierczyni. O narzeczonych czas pomyśleć.

Pelagia nadstawiła uszu i z większą niż dotąd uwagą przyjrzała się Angielce. Zauważyła żywość mimiki, subtelny zarys warg, figlarne zmarszczki wokół oczu.

Miss Rigley ani trochę się nie przejęła niespodziewaną napaścią i bez żadnej uniżoności odparowała sztych, mówiąc niemal bez akcentu.

– O narzeczonych myśleć nigdy nie jest za późno. Nawet i w pani wieku, pani Mario. Tak się pani całuje ze swoim Łapajem, że już dawno pora zalegalizować wasze stosunki. Bo co to za przykład dla naszej Nainki?

Po śmieszku, który przetoczył się pośród biesiadników, Pelagia poznała, że gospodyni jest groźna tylko z pozoru, a jej tyrania ma charakter raczej nominalny.

Nadziawszy się na paradę Angielki, generałowa przeniosła gniewny wzrok na mniszkę.

– No, ładnego mamy biskupa! Zdechnąć bym tu mogła, a mojemu siostrzeńcowi tylko żarciki w głowie. Co tak powiekami trzepiesz, mateczko? – zwróciła się gniewnie, i znowu na „ty”, do Pelagii. – Panowie, przedstawiam. Przed wami nowo objawiony Vidocq w habicie. Ona właśnie mnie uratuje, ona złoczyńcę za kark złapie. No, dziękuję, dziękuję, wygodził mi Misza, siostrzeniec kochany.

Posłuchajcie tylko, co on tu pisze.

Maria Afanasjewna wyciągnęła nieszczęsny list, włożyła okulary i przeczytała na głos:

– „...A żeby Cię, Cioteczko, do końca uspokoić, posyłam Ci moją zaufaną pomocnicę, siostrę Pelagię. Jest to osoba bystrego umysłu i szybko się rozezna, komu przeszkadzały Cioci drogocenne psy. Jeśli ktoś z Cioci domowników rzeczywiście źle Jej życzy, w co bym nie chciał wierzyć, to Pelagia wykryje drania i zdemaskuje”.

Przy stole zapanowała cisza, a jaki kto miał w tej chwili wyraz twarzy, Pelagia nie widziała, bo siedziała półżywa, czerwona, ze wzrokiem utkwionym w leżący na jej talerzu suflet z miętusa.

Długo jeszcze nie mogła się pozbierać i usiłowała zwracać na siebie jak najmniej uwagi. Zresztą nikt się do niej nie odzywał. Jedynym jej oparciem w tym zamierzonym bądź przypadkowym ostracyzmie był bezczelny Łapaj, który przelazł pod stołem i wysunął spod obrusa pomarszczoną mordę wprost na kolana Pelagii. Swoją miskę ze szpikowymi kośćmi już opróżnił i teraz bezbłędnie wytypował, kto z obecnych przy stole jest najbardziej podatny na wymuszenie.

Senior rodu białych rosyjskich buldogów bez zmrżenia oka patrzył na zakonnicę, z lekka przechyliwszy na bok kragły łeb i zmarszczywszy sokratesowskie czoło. Pelagia wprawdzie była głodna, ale jeść pod tym przenikającym w głąb duszy wzrokiem nie miała serca. Niepostrzeżenie zdjęła z widelca kawałek sufletu i opuściła rękę pod obrus. Palce owiał jej gorący oddech, załaskotał ją szorstki język i ryba zniknęła.

Tymczasem przy stole zawiązała się ciekawa rozmowa, o talencie i geniuszu.

– O mnie wszyscy za młodu mówili: talent, talent – opowiadał Poggio, mrużąc ironicznie oczy. – Póki byłem młody, szczyliłem się tym bardzo, ale kiedy rozumu mi przybyło, zadumałem się: tylko

talent? Dlaczego Rafael to geniusz, a ja – raptem talent? Jaka jest między nami różnica? Do Włoch jeździłem, jego Madonnę oglądałem – jasne, że geniusz. A jak popatrzę na własne płótna – cóż, niby wszystko jak trzeba. I oryginalnie, i subtelnie, subtelniej niż u Rafaela, o wiele subtelniej. I od razu widać, że z talentem zrobione, proszę wybaczyć nieskromność, a le nie ge niusz – powiedział, rozdzielając sylaby, i wydał ustami taki dźwięk, jakby wypuszczał powietrze z pęcherza. – Dlatego właśnie rzuciłem malarstwo, że talent miałem, ale geniuszu nie. Teraz robię obrazy fotograficzne i mówią, że dobre. Z talentem. Ale nie szkodzi, przecież geniuszy w sztuce fotograficznej na razie nie ma i żaden Rafael mi światła nie zasłoni. – Arkadiusz Sergiejewicz roześmiał się niewesoło. – Za to u Stiopy, kiedy razem uczyliśmy się w akademii, widziało się bodaj i zapowiedzi geniuszu. Niepotrzebnie przestałeś malować, Stiepanie. Widziałem, jak niedawno naszkicowałeś akwarelkę. Technika oczywiście zapuszczona, ale śmiało, śmiało. Takie sztuczki teraz w salonach paryskich za wielkie pieniądze chodzą, a ty już dwadzieścia lat temu na to wpadłeś. Powiedz no, nie zagrało ci coś w duszy, kiedy teraz, po tylu latach chwyciłeś znowu za pędzel?

Stiepan Trofimowicz Szyriajew odpowiedział ponuro i niechętnie, wlepiając oczy w obrus.

– Zagrało albo nie zagrało. Co za różnica. A akwarelkę tak sobie, z nudów namalowałem. Kosić już skosiliśmy, żąć jeszcze za wcześnie. Przerwa... Co tam dawne dzieje wspominać! Tak się złożyło, i tak jest dobrze. Talent, geniusz, jeden diabeł. Trzeba robić swoje. I im porządniej, tym lepiej.

Pelagii wydało się, że Szyriajew jest o coś zły na Poggia, a i tamten był, zdawało się, trochę rozczarowany odpowiedzią. Chcąc nadać rozmowie ton żartobliwy, zwrócił się do mniszki i z przesadzonym uszanowaniem zapytał:

– A co o geniuszu i talencie sądzi Święta Cerkiew?

Temat rozmowy ciekawił zakonnicę, a i rozmówcy jej się podobali, nie próbowała więc uchylić się od odpowiedzi.

– O stanowisko Cerkwi lepiej niech pan spyta kogoś z hierarchów, a wedle mojego skromnego rozumienia cały sens ludzkiego życia polega na tym, by odkryć w sobie geniusz.

– W tym ma być sens? – zdziwił się Poggio. – A nie w Bogu? To mi dopiero siostra...

– Myślę, że w każdym człowieku ukryty jest geniusz, taka maleńka szparka, przez którą widać Boga – zaczęła objaśniać Pelagia. – Tylko rzadko komu udaje się ten otworek odnaleźć. Pchają się wszyscy jak ślepe kocięta, ale trafić nie mogą. A jeśli zdarzy się taki cud, to człowiek od razu rozumie: oto jest, po to właśnie przyszedłem na świat, i dalej żyje spokojnie i pewnie, na nikogo się nie ogląda. To właśnie jest geniusz. A talenty trafiają się znacznie częściej. To ci, którzy tego czarodziejskiego okienka nie znaleźli, ale są blisko niego i karmią się odblaskiem cudownego światła.

I żeby podkreślić swe słowa, machnęła ręką, pokazując na niebo, ale tak nieszczęśliwie, że zaczęła szerokim rękawem o filizankę i zalała panu Kiryłowi całe porcięta.

On, biedak, aż na jednej nodze zaczął podskakiwać, takie to było gorące. Skakał, wołał „ach!” i „och!” i dogadywał:

A podstępna ta pannica,
Szemachańska zakonnicą,
Odgraża się: „Czekaj, carze,
Jeszcze żywcem cię uwarzę”.

Pelagia ze wstydu chciała się pod ziemię zapaść, omal się nie rozplakała. I wywodu o talencie już nie udało się jej dokończyć, za bardzo się wszyscy śmiali.

Stiepan Trofimowicz co prawda próbował kontynuować rozmowę i uważnie patrząc na mniszkę, spytał:

– Więc to tak siostra geniusz rozumie?

Ale generałowa, która podczas dyskusji na tematy teoretyczne mocno się nudziła, wtrąciła się bezceremonialnie do rozmowy:

– A ty, mateczko, zamiast rozważać o materiach i ludzi wrzątkiem parzyć, lepiej byś mi szybciej odgadła, kto to Hulaja i Łapaja truł.

W tym momencie akurat Gierasim wnosił z sadu wazę z jabłkami, gruszkami i śliwkami. Pojawienie się ogrodnika nieoczekiwanie i pobudzająco podziałało na miss Rigley, do tej chwili obojętnie palącą pajito.

– Czy wyście rozum stracili z tymi waszymi buldogami! Toż to po prostu żarłoczne bestie, wiecznie po sadzie biegają i maleńkie baby też tego nauczyły. A w sadzie pełno wszelkiego paskudztwa. Wczoraj na własne oczy widziałam zdechłą wronę, słowo daję! Siostrzyczko miła, wybadaj raczej, kto mój trawnik podeptał.

Wokół stołu przebiegło coś w rodzaju ni to westchnienia, ni to jęku i Pelagia zrozumiała, że dla aborygenów Drozdowki trawnik miss Rigley był najwyraźniej tematem dyżurnym.

– Nie, kto go podeptał, sama powiem. – Angielka wojowniczo podniosła palec. – Proszę mi tylko pomóc znaleźć dowód, bo tu nawet w najoczywistsze rzeczy wierzyć nie mają ochoty.

– Potrzebny mi ten ichni parszywy trawnik – powiedział Gierasim na stronie, układając owoce tak, by najkorzystniej wyglądały. – Koniecznie potrzebuję go deptać.

– Między nim a miss Rigley już od dawna taki dżihad się toczy – wyjaśnił mniszce Piotr Gieorgijewicz, wesóło marszcząc czerwony nos. – Ona atakuje Gierasima za lenistwo i w celach pedagogicznych założyła koło urwiska sążeń kwadratowy prawdziwego angielskiego trawnika. Chce pokazać, jak trawa w parku powinna wyglądać. Ale

Gierasim uczyć się nie ma ochoty, a nawet, zdaje się, dopuścił się dywersji. W każdym razie trzy dni temu ktoś solidnie sobie potupał na bezcennym trawniku.

– No, to już, Piotrze Gieorgijewiczu, grzech tak mówić – powiedział z urazą w głosie Gierasim. – Na tę obgryzioną szczecinę nie tylko wejść, ale nawet splunąć się człowiekowi nie chce. Nie ma co przyrody zapaskudzać, niech sobie zieleń wszelaka i drzewka jak Pan Bóg przykazał rosną.

– Jeszcze Pana Boga przywołuje! – skomentowała doktrynę ogrodnika miss Rigley. – Mężczyźni to tylko powodu szukają, żeby nic nie robić.

Pyskówka okazała się jednak niezbyt rażna, pozbawiona prawdziwej zaciekłości, a i ciężki sierpniowy wieczór w żadnym razie do srogości nie usposabiał.

Nastąpiła długa, lecz niekrępująca pauza i nagle Naina Gieorgijewna, trochę ni w pięć, ni w dziewięć, do nikogo konkretnie się nie zwracając, oznajmiła:

– Tak, mężczyźni są okrutni i źli, ale bez nich zupełnie nie byłoby co robić na świecie.

Podczas całej biesiady wnuczka generałowej siedziała smutna i zamyślona, w ogólnej rozmowie nie brała udziału i, jak się zdaje, nawet jej nie słuchała. Pelagia coraz to na nią popatrywała, próbując dociec, czy to jej zwykłe zachowanie, czy też dziś dzieje się z Nainą Gieorgijewną coś szczególnego. Może przyczyna osobliwej obojętności kryje się w rozmowie, której fragment doszedł uszu mniszki przed kolacją? Ale kim w takim razie był jej rozmówca, ten człowiek o zduszonym namiętnością głosie? Czy siedzi teraz ze wszystkimi przy stole?

A jeszcze zdumiewało Pelagię to, jak przedziwnie obeszła się Opatrzność z bratem i siostrą, rozmieszczając na dwa całkiem różne

sposoby ten sam zestaw cech. Piotr Tielianow był młodym jeszcze człowiekiem (na oko lat około trzydziestu), miał czarne włosy, wypłowie na słońcu brwi i rzęsy oraz mącznobiałą twarz, z której niedorzecznie sterczał wielki czerwony nos. U jego siostry zaś barwy rozmieszczone były wręcz przeciwnie: złociste włosy, czarne brwi i rzęsy, delikatnie różowe policzki i toczony, z uroczym garbkiem nosek. Taka uroda niewątpliwie mogła zamącić w głowie i pchnąć do wszelakich szaleństw. Z punktu widzenia Pelagii psuło ją trochę zarozumiałe wygięcie warg, ale najpewniej ta właśnie kapryśna linia najbardziej ze wszystkiego odbierała mężczyznom rozum.

Siostra odniosła wrażenie, że wnuczka pani domu ma w Drozdowce szczególną pozycję – po rzuconym przez nią niewyraźnym zdaniu nastąpiło z lekka napięte milczenie, jakby wszyscy czekali, czy nie doda czegoś jeszcze.

I piękna Naina dodała, ale trzymając się jakiejś utajonej myśli, toteż poprzednie zdanie nie stało się przez to bardziej zrozumiałe:

– Miłość, nawet szczęśliwa, to zawsze draństwo, bo to szczęście koniecznie musi być zbudowane na czyichś kościach.

Szyriajew potrząsnął głową, jakby od ciosu, a i Poggio uśmiechnął się z przymusem, bogacz Sytnikow zaś, ze swoim charakterystycznym, głębokim „o”, zapytał:

– A to niby w jakim sensie, pozwoli pani spytać?

I ręką o silnych, krótkich palcach złapał się za rudawą, przesianą siwizną brodę.

– Nie ma miłości bez zdrady – mówiła dalej Naina Gieorgijewna, patrząc prosto przed siebie szeroko otwartymi czarnymi oczyma. – Dlatego że kochający zdradza rodziców, zdradza przyjaciół, zdradza cały świat dla kogoś jednego, kto tej miłości może wcale nie jest godny. Tak, miłość to też przestępstwo, to całkiem jasne...

– A w jakim sensie „też”? – Sytnikow wzruszył ramionami. – Cóż to

pani ma za zwyczaj, żeby cały czas mówić niedopowiedzeniami?

– Popisuje się – prychnął brat. – Przeczytała gdzieś, że w stolicach nowoczesne panny samymi zagadkami przemawiają, i teraz się na nas ćwicz.

W tym momencie do Piotra Gieorgijewicza podeszła Tania, żeby dolać mu herbaty do filiżanki, i Pelagia zauważyła, jak młody człowiek na króciutką chwilę ścisnął palcami jej rękę.

– Dziękuję pani, Tatiano – powiedział łagodnie, a pokojówka pokraśniała i rzuciła ukradkowe spojrzenie na generałową. – A co pani myśli o miłości?

– Nam myśleć nie przystoi – wybąkała Tania. – Od tego są ludzie wykształceni.

– No, ale apetyt ma nasza siostra! – zauważył Krasnow, pokazując na pusty talerz, z którego Pelagia właśnie wzięła ostatni skrawek szynki. – Nie szkodzi, siostrzyczko, że to nie postne?

– Nie szkodzi – powiedziała zawstydzona Pelagia. – Dziś mamy święto Przemienienia Pańskiego, reguła pozwala.

I udała, że podnosi szynkę do ust. Łapaj natychmiast z oburzeniem szturchnął ją pyskiem w kolano – niby: nie zapominaj się. Pelagia niepostrzeżenie opuściła rękę, wepchnęła szynkę dręczycielowi do pyska i z lekka pyknęła dłonią w mokry, zimny nos: wszystko, więcej nie ma. Łapaja z miejsca jakby wiatr porwał.

– Jeśli za coś kocham naszą Cerkiew prawosławną – powiedział Krasnow – to za jej przemyślane rozporządzenia dietetyczne. Cały skomplikowany system postów, przeplatany okresami, kiedy jedzenie mięsa jest dozwolone, z medycznego punktu widzenia idealnie reguluje pracę żołądka i jelit. Ależ naprawdę, śmiejecie się, a ja mówię poważnie! Dwa okresy wolne od postu, jesienny i zimowy, mają zapewnić właściwą rację żywnościową na zimne pory roku, a wielki post doskonale załatwia sprawę oczyszczenia jelit przed wiosenno-

letnim roślinożerstwem. Opróżnić we właściwym czasie jelita – oto kamień węgielny życia intelektualnego i duchowego! Ja na przykład kompensuję sobie nieprzestrzeganie postów cowieczornymi lewatywami z naparu rumianku i wszystkim radzę robić to samo. Ułożyłem nawet na ten temat czterowiersz:

Jeśli w zdrowiu chcesz dożyć poranka,
Nie zapomnij, ślicznotko, przed snem,
Choć to rzecz nieprzyjemna, ja wiem,
O zbawiennej lewatywie z rumianka.

– A niech no pana, panie Kiryle! – Maria Afanasjewna, uśmiewszy się, machnęła ręką. – A ty, mateczko, nie słuchaj go, proszę, ten pan to tutejszy stronnik postępu. Po łące na rowerze jeździ, krowy straszy. A w gości do niego przyjść bez uprzedzenia – proszę nawet nie myśleć, on często na dachu goły siedzi, kąpieli słonecznych zażywa. Tfu, wstyd i hańba! A widzisz, mateczko, jak jemu wokół łysiny szczecina jeżem stoi? To dlatego, że z nastaniem lata zawsze włosy do gołej skóry goli, że niby, patrzcie tylko, czaszka mu oddycha. Swój majątek niedawno już drugi raz zastawił, by z Zawoźska do siebie do domu kabel telegraficzny przeciągnąć. A po co? Zachciało mu się z poczmistrzem przez telegraf grać w warcaby. I żeby chociaż dobrze grał, ale stale przegrywał!

– I co z tego? – Kirył Nifontowicz wcale się nie obraził. – Ja przecież nie z ambicji gram, tylko ku zbudowaniu naszych zawoźskich dzikusów. Niech wiedzą, co to postęp. Przecież w Europie co dzień to nowe odkrycia, wynalazki, w Ameryce budują takie domy, że do chmur sięgają, a nasi dwupalczaści w swych kaftanach długopółnych od parowozu uciekają, na latarnię gazową spode łba patrzą, żeby szatańskim płomieniem się nie osmalić.

– To prawda, że nasi starowiercy nowościami nie ufają, ale przecież

nie wszyscy – stanął w obronie swoich Sytników. – Młodzi podrosną i wszystko się u nas odmieni. W tych dniach, na przykład, zajechał tu do mnie jeden kupiec z bezpopowców, Awwakum Siłycz Wonifatjew, godzić się w sprawie sprzedaży lasu. A przecież – pamiętacie chyba – zanim poszedłem się z nim spotkać, opowiadałem tu przy herbacie, jak jego w piętnastym roku życia za trzydziestopięcioletnią kobietę wydali. Pana, panie Piotrze, wtedy nie było, do Zawołzka pan wyjechał.

Szyriajew przytaknął.

– No cóż, malownicza historyjka, w duchu miejscowych obyczajów. Bubiencow powiedział na to, że władza dlatego właśnie chce wasze dzikie raskolnictwo wykorzenić, żeby pozbyć się takiego barbarzyństwa. A pan, panie Donacie, pokłócił się z nim.

– Wróćmy do Wonifatjewa...

– I co, sprzedał panu las? – spytał Szyriajew. – Jaki? Ile dziesięcin?

– Dobry las, czysta sosna. Prawie trzy tysiące dziesięcin, tyle że troszkę daleko, w górnym biegu Wietługi. Niemałe pieniądze zdarł ze mnie, trzydzieści pięć tysięcy. No, ale nic, ja temu lasowi dam z pięć, dziesięć latek podrosnąć, akurat do tego czasu wąskotorówkę tam podciągną, a potem wezmę za niego jak nic trzysta tysięcy. Ale nie o to chodzi. Wonifatjew zabrał ze sobą synka. Ciekawy chłopaczek. Na ten czas, cośmy z jego tatusiem, jak to u nas w zwyczaju, to się schodzili, to rozchodzili, spluwaliśmy, znów się schodzili, zanim wreszcie przybiliśmy na zgodę, ja tego chłopaczka, żeby się nie nudził, posadziłem u siebie w bibliotece, dałem mu jabłek i pierników. Zaglądam, czy nie zasnął, a on książkę o silnikach elektrycznych czyta (sprowadziłem niedawno z Moskwy, interesuję się). Pytam zdziwiony: a tobie to po co? A on: dorosnę, wujaszku, to przez las puszcę kolej elektryczną. Przesiekę wyrąbywać, szyny kłaść, to i długo trwa, i drogo. Ja, powiada, słupy mocne postawię i po nich podwieszono

wagoniki puszczyć. Wyjdzie taniej, szybciej, wygodniej. A pan i Bubiencow mówicie: dzikusy...

– Łapaj! – Maria Afanasjewna poderwała się nagle i spłoszona klasnęła w ręce. – Łapajek! Gdzie Łapaj? Coś go dawno nie widziałam!

Wszyscy popatrzyli wokoło, a siostra Pelagia zajrzała nawet pod stół. Buldoga na tarasie nie było. Malutki Chapaj, rozłożywszy łapki, spokojnie sapał przy pustej misce, rodziciel jego natomiast gdzieś się zapodział.

– Do sadu uciekł – stwierdziła miss Rigley. – Niedobrze. Znow się jakiegoś paskudztwa nażre.

Generałowa chwyciła się za serce.

– Oj, co to się dzieje... Boże... – I zawołała przeraźliwie: – Łapajku kochany! Gdzie jesteś?!

Zdumiona Pelagia zobaczyła, że z oczu Tatiszczewej spływają wielkie, histeryczne łzy. Pani na Drozdowce spróbowała wstać, ale nie zdołała – opadła jak wór na wyplatany fotel.

– Mili, kochani... – wymamrotała. – Idźcie, biegnijcie... Znajdźcie go. Gierasim! Ach, szybciej! Taniu, daj mi spokój ze swoimi kroplami. Biegnij ze wszystkimi, szukaj. Kropelki mi choćby mateczka da, ona i tak parku nie zna... Znajdźcie Łapaja!

Taras opustoszał w mgnieniu oka. Wszyscy, nawet krnąbrna miss Rigley, nawet zarozumiała Naina Gieorgijewna, rzucili się szukać zbiega. Zostały tylko pochlipująca Maria Afanasjewna i siostra Pelagia.

– Dwadzieścia za mało, proszę trzydzieści...

Tatiszczewa drżącą ręką ujęła kieliszek z kroplami na serce i wypła.

– Proszę mi dać Chapaja! – zażądała i wzięwszy szczeniaka na ręce, przycisnęła do piersi ciepłe, senne ciało.

Chapaj otworzył z lekka ślepki, szczerknął cichutko, ale uznał, że budzić się nie warto. Pokręcił się trochę, wtulił głębiej pod potężny

biust generałowej i ucichł.

Zza drzew dobiegały głosy i śmiechy nawołujących się poszukiwaczy, którzy rozbiegli się po rozległym parku, a nieszczęsna pani Maria siedziała półżywa i ciągle gadała, gadała, jak gdyby próbując słowami przepłoszyć niepokój.

– ...Ach, mateczko, co z tego, że ja tu mam dom pełen ludzi, przecież naprawdę to jestem strasznie samotna, tak szczerze to oprócz moich dzieciątek nikt mnie nie lubi.

– A czy to mało? – pocieszała ją Pelagia. – Tacy piękni młodzi ludzie.

– Ty, mateczko, o Piotrze i Nainie? A ja o moich pieskach. Piotr z Nainą, cóż... Ja im tylko przeszkadzam. Wszystkie moje dzieci Pan Bóg zabrał. Najdłużej ze wszystkich Polineczka, najmłodsza, pożyła, ale i jej niewiele życia przypadło. Umarła w połogu, kiedy Naina się urodziła. Cudowna była, żywa, serca gorącego, a po kobiecemu głupia, że hej! Ot, i Naina w nią się wrodziła. Wyrwała się Polineczka nasza za mąż wbrew mojej i Apoloniusza Nikołajewicza woli za parszywe gruzińskie książątko. Jedno, co on umiał, to puszczać dym w oczy. Ja ich nawet znać nie chciałam, ale jak Polineczka odeszła, to sierotek pożałowałam. Wykupiłam je i zabrałam do siebie.

Pelagia zdziwiła się:

– Jak to „wykupiłam”?

Generałowa niedbale machnęła ręką.

– Bardzo prosto. Obiecałam ich tatusiowi, że spłacę jego długi, jeśli podpisze mi papier, że nigdy więcej do syna i córki się nie zbliży.

– I podpisał?

– A co miał robić? Albo podpisać, albo do lochu.

– I ani razu się nie zbliżył?

– A jakże! Jakies piętnaście lat temu przysłał mi łzawą prośbę. Nie o spotkanie z dziećmi prosił, tylko o zapomogę pieniężną. A potem,

powiadają, to w ogóle do Ameryki wyjechał. Żyje czy nie – nie wiadomo. Ale tą swoją kogucią krwią wnuczeta mi popsuł. Piotruś wyrósł na ladaco, na niezgułę. Z liceum go za łobuzerkę wyrzucili. Z uniwersytetu usunęli za politykę. Na siłę przez ministra wyblagałam, żeby mi go tu pod opiekę oddali, bo chcieli prosto na Sybir wysłać. Chłopiec z niego dobry, wrażliwy, strasznie tylko... głupi. I charakteru nie ma, do niczego się nie nadaje. Próbuje Stiepanowi Trofimowiczowi pomagać, a tyle z niego pożytku, co od mniszki przyplódku.

Pelagia zakaszłała, by dać do zrozumienia, że uważa porównanie za nieudane, ale takie subtelności nie miały przystępu do Marii Afanasjewny. Zawołała z mężką w głosie:

– Boże, a co oni tak długo?! Czy aby coś się nie stało...

– A jak Naina Gieorgijewna? – spytała Pelagia, żeby oderwać Tatiszczewą od niespokojnych myśli.

– Cała w matkę – odparła pani domu. – Taka sama postrzelona, tylko po kniaziku jeszcze zamiłowanie do fasonu odziedziczyła. Dawniej dobrze to określano: marność biesowska. To aktorką chciała zostać, nic tylko monologi deklamowała, to nagle za malowanie się wzięła, a teraz to w ogóle nie wiadomo co plecie – od rzeczy gada. Sama jestem winna, jako małą dziewczynkę za bardzo ją rozpieszczałam. Żal mi jej było, że mała, że sierota. I do Polineczki bardzo była podobna... Co to, prowadzą?

Uniosła się w fotelu, nadstawiła ucha i znów usiadła.

– Nie, wydało mi się... Co z nimi będzie, kiedy umrę – Bóg jeden wie. Cała nadzieja w Stiepanie. Uczciwy, wierny, porządny. Takiego by Nainie męża było trzeba, i kocha ją, przecież widzę, ale czy to ona rozumie, co w mężczyźnie trzeba cenić? Stiopa to nasz wychowanek. Tutaj wyrósł, pojechał na akademię na malarza się uczyć, a tu Apoloniusz Nikołajewicz zgasł. No to Stiepan, choć jeszcze chłopiec

był z niego, naukę rzucił, wrócił do Drozdowki, wziął się za gospodarstwo i tak wszystko prowadzi, że cała gubernia mi zazdrości. A przecież nie w smak mu takie zajęcie, widzę przecież. Ale nic, nie narzeka, obowiązek swój rozumie... A ja, grzeszna, nie jestem wobec niego w porządku. Posprzeczałam się z nim wczoraj i z wnukami, przez Hulaja wyszłam z siebie. Przerobiłam testament, teraz sama się wstydzę...

Pelagia już otworzyła usta, żeby spytać, co to za zmiany wniesiono do testamentu, ale ugryzła się w język, bo z Marią Afanasjewną zaczęło dziać się coś dziwnego.

Generałowa otworzyła usta, wytrzeszczyła oczy, zmarszczki pod podbródkiem poruszyły się drobnymi falami.

Udar – przeraziła się mniszka. I nic dziwnego – czy to daleko do apopleksji przy takiej tuszy...

Ale Tatiszczewa oznak paraliżu nie zdradzała, przeciwnie, gwałtownym ruchem poderwała rękę i palcem pokazała zakonnicy coś za jej plecami.

Pelagia odwróciła się i zobaczyła, że do schodów, zostawiając na ziemi purpurowy ślad, pełźnie z sadu Łapaj. Z białej, guzowatej głowy psa sterczał głęboko wbity toporek, nie wiedzieć czemu pomalowany na niebiesko, tak że cała ta biało-niebiesko-czerwona gama ściśle odtwarzała barwy rosyjskiej flagi.

Łapaj pełził ostatkiem sił, z wysuniętym językiem, wpatrzony w jeden punkt – tam, gdzie zastygła w przerażeniu Maria Afanasjewna. Nie skowyczał, nie skamlał, po prostu pełził. Przy samej werandzie siły go opuściły, uderzył jeszcze łbem w dolny stopień, zadygotał dwa razy i zmarł.

Tatiszczewa zaszeleściła suknią, przechyliła się na bok i zanim siostra Pelagia zdążyła ją podtrzymać, zwała się na ziemię, a jej głowa gruchnęła o sosnowe deski. Pozbawiony kolebki Chapaj jak miękka

biała piłeczka potoczył się po werandzie i żałośnie zaskomlił przez sen.

IV

Kłębowisko jadowitych węży

Lekarz nie stwierdził udaru, ale i nadziei nie rokował. Gorączka nerwowa – oznajmił. Nauka medyczna nic tu zdziałać nie może. Zdarza się, że całkiem zdrowy człowiek od wstrząsu nerwowego spali się w niewiele godzin, a tu i wiek zaawansowany, i serce, i histeryczne usposobienie. Zapytany, co mimo wszystko robić, jak leczyć, pomyślał i odpowiedział osobliwie: „Zabawiać i rozweselać”.

Ale czym tu ją zabawiać, jeśli ona cały czas tylko o jednym mówi? Czym rozweselać, jeśli jej z oczu bez przerwy łzy lecą? A na dodatek nikogo z bliskich do siebie nie dopuszcza, krzyczy: „Wszyscy jesteście mordercami!”

Doktor odjechał, pobrawszy za wizytę należne honorarium, a na naradzie rodzinnej postanowiono prosić siostrę Pelagię, żeby wzięła na siebie opiekę duchową nad chorą. Tym bardziej że i sama Maria Afanasjewna, choć nie chciała widzieć ani wnuków, ani sąsiadów, ani nawet administratora, stale o mniszkę pytała i wołała ją do siebie do sypialni niemal co godzina.

Pelagia szła na wezwanie, siadała u wezgłowia i cierpliwie wysłuchiwała rozgorączkowanej opowieści generałowej. Story pokoju były zasunięte, na stoliku płonęła lampa pod zielonym abażurem, pachniało anyżkiem i miętowymi pastylkami. Tatiszczewa to chlipała, to z przestachem wtulała się w poduszkę, to nagle wpadała we wściekłość, choć, prawdę mówiąc, nie na długo, bo nie miała już na to siły. Niemal stale przy jej boku leżał Chapaj, którego Maria Afanasjewna głaskała, nazywała sierotką i przekarmała czekoladą.

Biedaczek umęczył się śmiertelnie brakiem ruchu i od czasu do czasu urządzał bunt, szczekając i piszcząc. Wtedy Tania brała go na smycz i zabierała na spacer, ale przez cały czas ich nieobecności gospodyni niepokoiła się i co chwila popatrywała na wielki zegar ścienny.

Pelagia oczywiście żałowała cierpiącej, ale jednocześnie dziwiła się, skąd w słabym, ledwie poruszającym językiem człowieku bierze się tyle złości.

Maria Afanasjewna mówiła, całując Chapaja w pomarszczoną mordkę:

– O ileż psy lepsze są od ludzi!

Wysłuchując się w głosy, dochodzące niewyraźnie skądś z głębi domu, syczała nienawistnie:

– Nie dom, tylko kłębowski jadłowitych węży.

Albo po prostu, gapiąc się na ręce zakonnicy, szybko pobrzękującej drutami, krzywiła się:

– A co też ty, mateczko, tam robisz? Paskudztwo jakieś. Wyrzuć to zaraz.

Najbardziej jednak nieprzyjemne były ataki podejrzliwości, ogarniające generałową kilka razy na dzień. Wtedy właśnie służba rzucała się szukać siostry Pelagii. Znajdowano ją w jej pokoju albo w bibliotece, albo w parku i prowadzono do starszej pani, a ta, już cała zjeżona, skulona pod kołdrą tak, że widać było tylko błyszczące, przerażone oczy, szeptała:

– Już rozumiem, to Piet'ka, nikt inny! On mnie nienawidzi, chce mojej śmierci! Jego tu przecież siłą trzymają, muszę się za niego przed policją tłumaczyć. „Benckendorfem” mnie przezywał i najgorszymi wyrazami. To on, tielianowowskie nasienie! We wszystkim mu przeszkadzam. Chciał wiejskie dzieciaczki uczyć, a ja mu nie dałam, bo niczego dobrego ich nie nauczy. Pieniądzy też nie daję, bo swoim nihilistom prześle. A teraz jeszcze całkiem głowę stracił, z Tańką moją

zachciało mu się żenić. Z pokojówką! „Nie waz się, babciu – powiada – mówić jej «ty», powinnaś w niej człowieka zobaczyć”. Dobrze sobie, co? Mój wnuk z latawicą z czeladnej będzie się żenił! Żeby jeszcze ją kochał bez pamięci, wszystko się zdarza, ale nie. To taki jego pomysł – złożyć siebie na ołtarzu i tak półpiśmienną dziewczkę na oświeconą kobietę przerobić. „Wielkie sprawy – powiada – są dla wielkich ludzi, a ze mnie człowieczek maleńki i sprawa moja też będzie maleńka, za to dobra. Jeśli każdy z nas choćby kogoś jednego uczyni szczęśliwym, to już życia na próżno nie zmarnuje”. Ja mu na to: „Nie uczynisz dziewczyny szczęśliwą bez miłości, choćbyś ją całą ozłocił, choćbyś jej wszystkie na świecie książki na głos przeczytał. Po co Tańce w głowie zawracasz? Ja już nawet narzeczonego jej przyuważyłam, syn prasola, w sam raz będzie. A ty w niej tylko niepotrzebną ambicję zasiewasz, chcesz, żeby ona przez całe życie z poczuciem niespełnienia się snuła”. I do tego, to już największy wstyd, nawet z nią nie śpi, odmieniec jeden! Ja tak myślę, że jakby do niej po nocach łąził, to szybko by się wyszumiał i poszedł po rozum do głowy. No, a co ty na mnie, mateczko, z takim wyrzutem patrzysz? Życie przeżyłam, to wiem, co mówię.

A godzinę później już co innego chodziło jej po głowie.

– Nie, to Nainka. Z udręki się wściekła. Ja ten charakter znam doskonale, sama taka byłam. Pamiętam, tak się spieszyłam do życia dorwać, że bym rodziców własnymi rękami zadusiła, byle się wydostać na swobodę. Zwłaszcza kiedy, siedemnaście lat mając, z głupoty w popie z naszej parafii się zakochałam. Piękny był, młody, głos – aksamitny. Omalżeśmy z nim nie uciekli. Na szczęście tatuś nieboszczyk list przechwycił, sprął porządnie i do komórki zamknął. No i teraz Nainka też się w kimś zadurzyła, popatrz tylko, ilu tych kundli wokół niej krąży. I już babka jej zawadza, szczęściu jej przeszkadza. Wybrała sobie kogoś takiego, na kogo ja się nigdy w życiu

nie zgodzę, wie o tym i po moim trupie postanowiła dopiąć swego. Ona to potrafi, taki już ma charakter. Ach, Nainka, Nainka, czy to ja cię nie kochałam, czy ci całej duszy nie oddałam...? Chapajeczku ty mój, aniele białoskrzydły, ty jeden mnie nie zdradzisz. Nie zdradzisz, prawda, słodziutki?

Potem, jakiś czas później, Pelagia zastała generałową uspokojoną i gotową do poświęceń. Pochlipując na myśl o własnej szlachetności, staruszka mówiła:

– Siądź no, mateczko, i posłuchaj. Odstoniła mi się prawda: Stiepan to zrobił i ja go nie winię. Jak długo jeszcze mam mu życie marnować? I tak on, uważasz, dwadzieścia lat przy mnie siedzi, na krok się nie ruszając. Marzeń się wyrzekł, talent w ziemi zakopał, czterdziestki jak odyniec dożył. Ja przecież jego nieustanną pracą się pasę. Bez niego, przy mojej głupocie, dawno bym już majątek mężowski z dymem puściła, a on go i zachował, i pomnożył. A przecież to też żywy człowiek. Myśli sobie pewnie: „Nażyła się starucha i starczy, dosyć tego dobrego”. To Poggio mu swoim przyjazdem w głowie namieszał, jasna sprawa. Stiopa sztalugi ze strychu ściągnął, farby z miasta przywiózł i oczy zrobiły mu się jakieś inne. Ja to rozumiem, nie osądzam... Chociaż, no cóż, mógł przecież wprost powiedzieć. Tak a tak, niby, szanowna pani Mario, dość się już na panią napracowałem, a teraz proszę mi dać odejść. No, ale nie powie, on nie taki. Wstyd by mu było. Prościej staruchę ze świata zgładzić niż na niewdzięcznika przed nią wyjść. Ja tę rasę znam, tam wszystko ze sobą wymieszane: i wielka duma, i namiętne uczucia... Ach, nie, co ze mnie za ślepotą! To nie Stiepan, to Poggio! – I staruszka wrywa się, próbuje unieść z poduszek. – Stiepan może i po kryjomu chciałby, żebym zdechła jak najszybciej, ale niewinnych piesków truc nie będzie. A Poggio będzie! Dla samej zabawy albo choćby z przyjaźni, żeby przyjaciela z niewoli wydobyć! Rozpustny czort! On i do Nainy się dobierał, to obrazki z nią

rysował, to znów ją fotografował. I Stiepanowi w głowie mąci... Dawno już widzę, jak on na mnie wilkiem patrzy. To on, to on! Patrz no tylko, rozgościł się, już trzeci miesiąc. A z początku mówił: „Na miesiącek”. I nie wyjedzie, dopóki nie wpakuje mnie do trumny!

Niemal natychmiast potem zrodziła się jej w umyśle nowa pewność, równie jak poprzednia niezachwiana:

– Sytnikow! Przecież to straszny człowiek, byle zarobić, za zarobek diabłu duszę sprzeda. Nie darmo mówią, że z pieniędzmi się ożenił, a potem żonę otruł. I wiadomo, z jakiej przyczyny na drodze mu stanęłam! Gorajewski ugór! Dawno już mnie podchodzi, żeby mu odstąpić, chce tam przystań handlową postawić – no, bo miejsce co wygodne, to wygodne. A ja jemu: nie sprzedam. Będzie mi swoimi barkami widok paskudzić! Ale on od swojego nie odstąpi. Takie prawo wyznaje: wszystko koniecznie musi być po jego myśli. Inaczej nie ma dla niego życia. Żonę zamorzył i mnie zamorzyć chce! Jak mnie nie będzie, Piet’ka z Nainką nie tylko ugór, ale wszystko mu sprzedadzą, a sami ogony zadną i do stolic, do zagranic! No to Donatowi sam rozum każe mnie na tamten świat wyprawić. Tylko że ja im wszystkim... o! – Staruszka uniosła palce, z wysiłkiem złożone w figę. – Nie na darmo trzy dni temu znowu ostatnią wolę przerobiłam, wszystko, jak leci, zapisałam Angielce. Postraszyć ich chciałam, ale teraz tak właśnie zostawię. Ja im się już nie podobam, to teraz Dżanetka im będzie za panią. Potańczą sobie.

Z początku Pelagia wsłuchiwała się w mętne mowy chorej bardzo uważnie, zestawiała je z własnymi przemyśleniami i obserwacjami, ale każda kolejna hipoteza była dziwniejsza od poprzednich.

Ostatnia w ogóle nie mieściła się w granicach zdrowego rozsądku.

– Kira Krasnow! – wyrąbała Maria Afanasjewna, ledwie Tania kolejny raz przyprowadziła zakonnice do sypialni. – Chytry, bestia, a głuptaska zgrywa. A niby po co on tu dzień w dzień przyłazi?

Pieniądzy ode mnie potrzebuje. Jesienią jego majątek ma z młotka pójść, razem ze wszystkimi wspaniałymi telegrafami. On mówi: „Ja wtedy umrę”. I umrze, na pewno umrze. Gdzie on się bez Krasnowki podzieje? Chodzi, nudzi. Daj mu półtora tysiąca, żeby mógł procenty zapłacić. A ja mu mówię: nie dam. Dawałam już, i to nieraz. Starczy. No, to on postanowił się zemścić. Myśli pewnie: ja umrę, to i ty, więdźmo stara, żyć nie będziesz.

Pelagia zaczęła przekonywać chorą – żeby jej rozsądek przywrócić, a także dlatego, że gdyby, nie daj Boże, naprawdę umarła, to grzech opuszczać świat w takiej złości.

– Pani Mario, to może pożyczyć panu Kiryłowi te pieniądze i on się uspokoi? Co to dla pani półtora tysiąca rubli? Na tamten świat ich pani nie zabierze. Tam pieniądze się nie przydadzą.

Ten prosty argument podziałał na Tatiszczewą.

– Tak, tak – wymamrotała, patrząc na śpiącego Chapaja, i jej rozpalone spojrzenie złagodniało. – Co mi tam, i tak przypadną miss Rigley. Dam mu. Niech jeszcze z roczek pobryka. Dwa tysiące mu dam.

– A z testamentem też niedobrze wyszło – mówiła dalej zakonnica, zachęcona powodzeniem. – Miss Rigley oczywiście na to zasługuje, ale czy to będzie ładnie wobec Piotra Gieorgijewicza i Nainy Gieorgijewny? Przecież oni nie są winni, że pani ich w bezczynności wychowała i żadnej pracy nie nauczyła. Bez spadku z torbami pójdą. I wobec pana Stiepana będzie pani na tamtym świecie przykro. Tyle czasu dla pani poświęciła, wszystkie swoje najlepsze lata! I sama pani mówiła, że bardzo powiększył jej majątek. Czy to nie grzech?

– Grzech, mateczko – żalonym głosem przyznała Tatiszczewa. – Masz rację. Zaperzyłam się. Przecież nie tylko wnuków trzeba obdzielić, są i inni krewni. Hej, Tania! Zawołaj no ją... Taniu, niech poślą do miasta po Korsza. Chcę, żeby przyjechał testament przerobić.



W przerwach między wezwaniami do sypialni generałowej Pelagia głównie spacerowała po parku. Niemało czasu spędziła w budce z desek, stojącej niedaleko urwiska. Tu leżały pomalowane na niebiesko duże i małe motyki, łopaty, piły, grabie i inne narzędzia ogrodnicze z Gierasimowego arsenału. Właśnie stąd nieznany złoczyńca wziął toporek. Pelagia zbierała z podłogi i rozcierała w palcach zaschłe grudki ziemi, czołgała się na czworakach wokół domku, ale żadnych punktów zaczepienia nie wykryła. Budka nie była zamykana, siekierę mógł wziąć każdy, a śladów ani na zewnątrz, ani wewnątrz znaleźć się nie udało. Pozostawało tylko czekać, co będzie dalej.

Przez dwa dni Pelagia obeszyła park wzdłuż i wszerz. Natknęła się też na sławetny angielski trawnik – kwadracik starannie wystrzyżonej trawki, po której rzeczywiście niedawno ktoś mocno potupał, ale sprężyste ździebełka już zaczęły się prostować i widać było, że wkrótce ognisko cywilizacji odrodzi się w całej swej urodzie. Stąd już tylko krok był do Rzeki, od której wiał świeży wietrzyk, a obok trawnika poruszała zielonymi jeszcze, ale już martwymi gałązkami cienka, z lekka przywiędła osiczka. Mniszka zachodziła tu często – siadywała w białej altance nad urwiskiem, kończyła na drutach paseczek dla siostry Emilii i na długie chwile zastygała, patrząc na szeroką Rzekę, na niebo, na podmokłe łąki przeciwległego brzegu. Przyjemnie było też włóczyć się po łączkach, po zarośniętych ścieżkach, gdzie powietrze rozbrzmiewało brzęczeniem pszczół i szelestem liści.

Ale spokój był pozorny, nieprawdziwy; w naelektryzowanym powietrzu Drozdowki zakonnica czuła napięcie i słyszała jakiś dźwięk, jakby ktoś trącał cienką, do granic możliwości naciągniętą strunę. Dziwiła się nawet, że pierwszego dnia majątek generałowej wydał jej się niemalże rajskim ogrodem. Pelagia nikogo specjalnie nie

podglądała ani nie podsłuchiwała, jednak coraz to stawała się mimowolnym świadkiem jakichś niezbyt zrozumiałych scen i zadziwioną obserwatorką niejasnych stosunków między tutejszymi mieszkańcami. Także nerwowa rozmowa, której fragment usłyszała przypadkiem ze swojego okna, była jak najbardziej zgodna z porządkiem rzeczy.

Na trzeci dzień rano Pelagia brodziła bez celu wśród krzaków, mrużąc oczy od przesianego przez liście słonecznego światła, kiedy nagle zobaczyła przed sobą polankę, a na niej Szyriajewa i Poggia. Obaj stali do niej tyłem, w kapeluszach z szerokimi kresami, w płóciennych kitlach, ze szkicownikami. Wołać ich nie chciała, żeby nie odrywać od twórczej pracy, ale popatrzeć było ciekawie, zwłaszcza po tym, co słyszała poprzedniego dnia o talencie pana Stiepana.

Siostra wysunęła się zza malinowych krzewów i wspięła na palce. Zobaczyła, że pan Arkadiusz ma naszkicowany akwarelę na papierze stary dąb, który wznosił się na przeciwległym krańcu polany, a na szkicu był zadziwiająco podobny, po prostu oczu oderwać nie mogła. Praca Stiepana Trofimowicza, niestety, rozczarowała Pelagię. Farby były narzucone bez ładu i składu, byle jak: wychodził z tego ni to dąb, ni to jakiś diabeł z niewiarygodnie wielkim, rozczochranym łbem, a i pędzlem Szyriajew poruszał dziwacznie, jakby głupiego udawał – ot, maźnię, nie patrząc, potem jeszcze raz, i jeszcze. Poggio zaś kładł farby drobniutko, starannie. Siostrze jego dzieło podobało się znacznie bardziej. Tylko szybko sprzykrzyło jej się na nie patrzeć – mazanina pana Stiepana okazała się o wiele ciekawsza. Ogólnie biorąc, scena wyglądała rozczulająco: starzy towarzysze oddają się ulubionemu zajęciu i nawet ze sobą nie rozmawiają, bo i tak wszystko wiedzą – i o sztuce, i jeden o drugim.

Nagle Szyriajew machnął ręką bardziej zamaszyście niż dotąd

i z pędzla na szkic poleciał rój zielonych kleksów.

– To nie do zniesienia! – krzyknął Stiepan Trofimowicz, zwracając się do przyjaciela. – Udawać, rozważać grę światła i cieni, rozprawić o naturze, a jednocześnie – jak ja ciebie nienawidzę! Nie-na-wi-dzę!

Poggio odwrócił się do niego równie gwałtownie, tak że starzy towarzysze upodobnili się nagle do dwóch kogutów przed walką.

Pelagia zamarta i przykucnęła przestraszona. To ci będzie wstyd, jeśli przyłapią czernicę na podglądaniu.

Więcej już nie patrzyła, tylko słuchała – mimo woli, bo bała się, że zaszeleści, jeśli się cofnie.

– Byłeś z Nainą? – Był to głos Stiepana Trofimowicza. – Przyznaj się, byłeś?

W słowie „byłeś” pobrzmiwał szczególny sens, od którego Pelagia się zarumieniła i pożałowała, że z ciekawości zapatrzyła się na szkice.

– Takich pytań się nie zadaje ani takich wyznań nie czyni – tym samym tonem odpowiedział Szyriajewowi Poggio. – Nie twoja rzecz.

Stiepan Trofimowicz zaperzył się.

– Niszczyciel z ciebie, diabeł! Wszystko brudzisz, wszystko brukasz samym swym oddechem! Tyle lat ją kocham. Rozmawialiśmy ze sobą, marzyliśmy. Obiecałem jej, że kiedy... kiedy będę wolny, zabiorę ją do Moskwy. Ona zostanie aktorką, ja znów wezmę się do malarstwa i poznamy, co to szczęście. Ale ona nie chce już być aktorką.

– Za to teraz chce zostać malarką – zaśmiał się urażliwie Poggio. – W każdym razie jeszcze niedawno chciała. Czego chce teraz, nie wiem.

Szyriajew nie słuchał, wykrzykiwał jakieś słowa bez związku, ale najwyraźniej dręczące go od dawna.

– Łajdak jesteś! Nie kochasz jej nawet! Gdybyś ją kochał, to ja bym cierpiał, ale wytrzymał. A ty po prostu z nudów!

Rozległ się szum, chrzęst rozdieranego płótna. Pelagia rozsuneła

rękami krzaki, bojąc się, że dojdzie do zabójstwa. Było blisko: Szyriajew chwycił Poggia obiema rękoma za kołnierz koszuli.

– Tak, z nudów – wychrypiał ten drugi zduszonym głosem. – Z początku. A teraz straciłem głowę. Już jej nie jestem potrzebny. Jeszcze tydzień temu błagała, żebym zabrał ją do Paryża, mówiła o studiu w mansardzie z widokiem na bulwar Kapucynów, o zachodach słońca nad Sekwaną. I nagle wszystko się zmieniło. Zrobiła się chłodna, zagadkowa. A ja rozum tracę. Wczoraj... wczoraj powiedziałem jej: „Doskonale, jedziemy. Do diabła z tym! Niech będzie Paryż, mansarda, bulwar – wszystko, jak chcesz”. Puszczaj, oddychać nie mogę.

Szyriajew rozluźnił palce i z udręką w głosie zapytał:

– A ona co?

– Zaczęła się śmiać. Ja... ja... jakby coś we mnie wstąpiło. Groziłem jej. Mam czym... Ty tego nie musisz wiedzieć. Potem się dowiesz, jak już będzie wszystko jedno. – Poggio zaśmiał się nieprzyjemnie. – O, ja doskonale rozumiem, o co tu chodzi. My, Stiepanku, już się nie liczymy, przeniesiono nas w stan spoczynku bez emerytury. Ciekawsza figura się znalazła. Ale ja nie pozwolę obchodzić się ze mną jak z zasmarkanym gimnazjalistą! Gdyby wiedziała, jakie kobiety czołgały się u moich stóp! Ja ją w błoto wdepczę! Ja ją zmuszę, żeby ze mną wyjechała!

– Nikczemniku, nie waż się jej grozić! Rozgniotę cię jak robaka!

Z tymi słowy Stiepan Trofimowicz znów chwycił ekskolegę szkolnego za gardło, i to o wiele rzetelniej niż przedtem. Sztalugi poleciały na ziemię, a mężczyźni, szczepiwszy się ze sobą, padli w gęstą trawę.

– Boże, Boże, nie dopuść – cichutko zaczęła się modlić Pelagia, po czym zerwała się na nogi, bo już w tych okolicznościach szelestu nie musiała się obawiać, odbiegła o jakieś dwadzieścia kroków

i zakrzyczała:

– Chaapaj! To ty tam hałasujesz? Wstrętny chłopczyk! Znowu uciekł!

Rwetes na polanie natychmiast ustał. Pelagia już tam nie zaglądała – po co ludzi zawstydzać – jeszcze tylko trochę pokrzyczała, pobuszowała w krzakach i poszła sobie. Wystarczy, że koguty się opamiętały i znów nabrały ludzkiego oblicza. Bo przecież już niewiele do grzechu brakowało.

Postanowiła po parku więcej nie chodzić, tylko posiedzieć cichutko w bibliotece.

No i – trafiła z deszczu pod rynnę.



Ledwie rozsiała się w pustej, obszernej komnacie z wysokimi szafami, w których stały, serdecznie zapraszając do lektury, książki w pozłacanych oprawach, ledwie wdrapała się z nogami na ogromny skórzany fotel i otworzyła smacznie pachnący starym papierem tom Pascalowskich *Lettres provinciales*, kiedy skrzypnęły drzwi i ktoś wszedł – z za wysokiego oparcia fotela nie było widać kto.

– No więc tu sobie wszystko wyjaśnimy – rozległ się spokojny, stanowczy głos Sytnikowa. – W waszym domu do biblioteki mało kto zagląda, nie będą nam przeszkadzać.

Pelagia chciała zakaszleć albo się wysunąć, ale nie zdążyła. Drugi głos (należał do panny Nainy) wypowiedział słowa, po których ujawnić swoją obecność znaczyłoby postawić wszystkich w niezręcznej sytuacji:

– Znów będzie mi pan proponował rękę i serce, panie Donacie?

Ależ ona tu wszystkich opętała – pokiwała głową Pelagia i żal jej się zrobiło statecznego, chłodnego przemysłowca, który, sądząc z drwiącego tonu pytania, na wzajemność nie mógł liczyć.

– Nie, szanowna pani – wciąż tak samo spokojnie odezwał się Sytnikow.

Skrzypnęła skóra, pewnie usiedli na sofie.

– Teraz mogę zaproponować tylko serce.

– Raczy pan objaśnić, jak mam to rozumieć?

– Proszę bardzo. W ostatnich dniach poznałem panią lepiej niż przez te wszystkie miesiące, odkąd przyłażę tutaj dla pani czarnych oczu. Widzę, że się myliłem. Na małżonkę moją pani się nie nadaje, a i pani samej to niepotrzebne. Człowiek ze mnie nie gadatliwy, ale bezpośredni, w bawełnę nie owijam. Ze swych uczuć tajemnicy przed panią nie czyniłem, ale też się nie narzucałem. Dałem pani czas, by zrozumiała, że oprócz mnie porządnej pary tu dla niej nie ma. Stiepan Trofimowicz to fantasta, poza tym nudziarz, pani ze swoim charakterem po pół roku przez niego albo założy pętlę na szyję, albo odda się rozpuście. Poggio... cóż, jeśli się do czegoś nadaje, to tylko do zabawy. Przecież pani go nawet nie brała na serio, prawda? Drobnutki człowieczek, wydmuszka. A teraz jeszcze ta pani nowa skłonność. Co do mnie – nie sprzeciwiam się. Poszalejcie, ja zaczekam, dopóki pani ten kaprys nie przejdzie. Tyle że tym razem igra pani z ogniem, ten pan ma bardzo potężne zębiska. W dodatku pani go nic nie obchodzi, jego co innego interesuje. Teraz pani nie włada sobą, moje słowa to dla pani tylko uprzykrzenie, proszę jednak posłuchać Donata Sytnikowa. Ja jestem jak kamienna ściana, o którą można się oprzeć, za którą można się schować. O jedno proszę: jak upadnie pani projekt, niech pani nie rzuca się z głową w odmęt. Szkoda takiej urody. Lepiej proszę się zgłosić do mnie. Za żonę pani teraz nie wezmę, to nie byłoby rozsądne, ale za kochankę – z największą ochotą. Proszę mi tu oczyma nie błyskać, tylko słuchać, mówię serio. Jako kochance będzie pani przyjemniej i wygodniej – ani trosk gospodarskich, ani rodzenia dzieci, a ludzkiego gadania się pani nie przestraszy. I jakie tam zresztą,

na Boga, gadanie! Postanowiłem teraz główny kantor przenieść do Odessy. Na Rzece mi ciasno, na morskie drogi wychodzę. Odessa to miasto wesołe, południowe, swobodnych obyczajów. Kim zechce pani zostać, tym pani zostanie. Chce pani, proszę sobie obrazy malować, najlepszych nauczycieli pani znajdę, wasz Arkaszka do pięt im nie dorasta. A jak pani zechce, teatr jej podaruję. Sama pani będzie decydować, jakie sztuki wystawi, dowolnych aktorów może pani zatrudnić, choćby z Petersburga, a wszystkie najlepsze role będą dla pani. Mnie pieniędzy na wszystko wystarczy. A człowiek ze mnie przyzwoity, niezawodny i niezużyty jak pani wybraniec. Ot, i cała moja bajka.

Naina Gieorgijewna wysłuchiwała tej niesłychanej mowy do samego końca, ani razu nie przerwała. Co prawda, przerywać komuś takiemu jak Sytnikow nie każdy by się zdecydował – zaiste wielce solidny był to człek.

Ale kiedy zamilkł, panna roześmiała się. Nie głośno, ale tak dziwnie, że Pelagii mróz przeszedł po skórze.

– Wie pan, panie Donacie, jeśli mój, jak pan się wyraził, „projekt” rzeczywiście upadnie, to ja już wolę w odmęt się rzucić niż iść z panem. Ale on nie upadnie. Wyciągnęłam szczęśliwy los. Tam są takie głębie, że dech zapiera. Ja już nie chcę być szmacianą laleczką, którą wy wszyscy wzajem sobie wyrywacie, aż strzępy lecą. Sama będę swój los za ogon trzymać! I nie tylko swój. Jeśli żyć, to na całego. Nie jako niewolnica – jako pani!

Znów skrzypnęła skóra. To podniósł się Sytnikow.

– Nie rozumiem, o czym pani mówi. Widzę tylko, że nie jest pani w nastroju. Odchodzę zatem, a nad moimi słowami proszę się zastanowić. Ja nie rzucam słów na wiatr.

Drzwi otworzyły się i za chwilę zamknęły, ale Naina nie od razu wyszła. Po pięciu minutach, a może jeszcze później, do uszu Pelagii

dotarł nieutulony, pełen bezdennej rozpaczyny szloch i skupione pociąganie nosem. Potem rozległ się szept, ni to zły, ni to namiętny. Mniszka wsłuchała się i zrozumiała powtórzone po wielekroć słowa:

– Niechby z samego piekła, niech, niech... Wszystko jedno...

Kiedy już było można, Pelagia wyszła na korytarz i udała się do swojego pokoju. Po drodze kiwała głową z zatroskaniem. Cały czas miała w uszach ten szept.



Do pokoju jednak nie doszła, spotkała bowiem Tanię. Pokojówka niosła w jednej ręce tłumoczek, drugą ciągnęła na smyczy zapierającego się wszystkimi łapami Chapaja.

– Mateczko – ucieszyła się dziewczyna. – Nie poszłaby mateczka ze mną? Pani śpi, to ja do łaźni się wybrałam, już od rana napalone. Mateczka się umyje, a ja pieseczka popilnuję. A potem się zamienimy. Bardzo będę wdzięczna. Co to, już nawet myć się muszę razem z nim? I tak już życia nie mam przez tego potwora zaślinionego.

Pelagia na znak zgody uśmiechnęła się miło do dziewczyny. W łaźni przynajmniej nie ma kogo ani podsłuchiwać, ani podglądać.

Łaźnia stała za domem – przysadzista izdebka z bursztynowych sosnowych bierwion, z maleńkimi okienkami pod samym dachem. Z brzuchatego komina sączył się biały dym.

– Proszę się myć, ja poczekam – powiedziała siostra, gdy znalazły się w maleńkiej, czystej sionce. Usiadła na ławeczce i wzięła szczeniaka na ręce.

– No, to dzięki najpiękniejsze, tak mi siostra pomogła, tak pomogła, bo to człowiek bez przerwy biega, biega, spocony cały, a tu ani się umyć, ani nad rzeczkę pobiec – zaterkotała Tania, szybko się rozbierając i rozpuszczając zwinięte w węzeł rude włosy.

Pelagia z zachwytem przyglądała się jej smagłej, jakby wytoczonej

postaci. Po prostu Artemida, władczyni leśna, brakuje tylko kołczanu ze strzałami, przewieszzonego przez ramię.

Ledwo Tania znikła za drewnianymi drzwiami myjni, z zewnątrz rozległo się lekkie stukanie.

– Taniusiu, Tanieczko – zaszeptał w samą szczelinę drzwi męski głos. – Otwórz, serdeńko. Wiem, że tam jesteś. Widziałem, jak szłaś z tłumoczkiem.

Czyżby Krasnow? Pelagia, nieco zmieszana, zerwała się, zaszeleściła habitem.

– Słyszę, jak sukieneczką szeleścisz. Nie nakładaj jej, zostań taka, jak jesteś. Otwórz, nikt nie zobaczy. Co to, żałujesz? Przecież ci nie ubędzie. A ja na twoją cześć wierszyk ułożyłem. No, posłuchaj tylko:

Jak chmurka na niebie wysokim
Marzy, by deszczu się pozbyć,
Jak księżyc, pan srebrnooki,
Do ziemi chce się dotoczyć,
Tak ja – nie wypieram się tego -
Na Tanie uroczą spoglądam,
I już od dnia grudnia siódmego
Przelecieć ślicznotkę pożądam.

No widzisz, nawet zapamiętałem ten dzień, kiedy razem jechaliśmy saniami. Wtedy właśnie cię pokochałem. No, już dość, nie uciekaj wciąż ode mnie. Tanieczko. Przecież Piotr Gieorgijewicz wierszy o tobie układać nie będzie. Otworzysz, co?

Zalotnik zamarł, nasłuchując, a po półminucie mówił dalej, ale już z pogrózką w głosie:

– No, otwieraj, latawico, bo inaczej opowiem panu Piotrowi, jak ty wtedy z Czerkiesem... Widziałem! Zaraz przestanie zwracać się do ciebie na „pani”. I generałowej opowiem, a ona cię, szantrapę, na zbity

łeb... Otwieraj, mówię!

Pelagia gwałtownym ruchem otworzyła drzwi i złożyła ręce na piersi.

Kirył Nifontowicz w białej koszuli tołstojówce i słomkowym kapeluszu zamarł na progu, z szeroko rozłożonymi rękami i wargami ściągniętymi w serduszko w oczekiwaniu pocałunku. Niebieskie oczka zamrugały niepewnie.

– Oj, mateczka... Nie można było od razu powiedzieć? Pośmiać się zachciało?

– Z niektórych to i pośmiać się nie grzech – odrzekła surowo Pelagia.

Krasnow rzucił jej spojrzenie, w którym nie było nawet śladu zwykłej dziecinnej naiwności. Odwrócił się, dał nura za węgiel łaźni i tyle go było.

Rzeczywiście, kłębowisko jadowitych węży – pomyślała siostra Pelagia.



Po łaźni, odprężone i uspokojone, szły niespiesznie w wieczornym chłodzie, mocno owinawszy mokre głowy chustkami (Tania białą, siostra czarną). Chapaja też umyły, nie zważając na skomlenie i piski. Teraz był jeszcze bielszy, a króciutka sierść sterczała jak puch u małego kaczątka.

Koło stajni stała zakurzona czarna karetka. Ponury czarnobrody mężczyzna w brudnej czerkiesce i okrągłej wojłkowej czapeczce wyprzęgał wronę konie.

Tania chwyciła Pelagię za łokieć i zamierającym głosem wyszeptała:

– Przyjechali... Pan Bubiencow przyjechał.

I jak zaczarowana patrzyła na Azjatę, prowadzącego konie do stajni.

Pelagia przypomniała sobie pogrózkę Krasnowa i popatrzyła na swoją towarzyszkę uważnie. Twarz dziewczyny znieruchomiła, nabrała jakiegoś sennego wyrazu, źrenice jej się rozszerzyły, pełne różowe wargi – rozchyliły.

Czerkies rzucił na obie kobiety krótkie spojrzenie. Nie przywitał się, nie kiwnął głową – poprowadził za wodze drugiego konia.

Tania powoli do niego podeszła, ukłoniła się, powiedziała cicho:

– Dzień dobry, panie Muradzie. Znowu do nas?

Tamten nie odpowiedział. Stał, patrzył chmurnie gdzieś w bok, nawijał na szeroki, włochaty nadgarstek wzorzystą uzdeczkę.

Potem wrócił do karety i zaczął z niej ścierać kurz.

Tania poszła za nim.

– Zmęczony po podróży? Mleczka zimnego by nie chciał? Albo kwasku?

Czerkies nie odwrócił się, nawet ramieniem nie poruszył.

Pelagia westchnęła tylko, pokiwała głową i poszła dalej.

– O, jakie brudne ubranie ma pan na sobie – rozległ się z tyłu głos Tani. – Zdjąłby pan, tobym uprała. Do jutra wyschnie. Nocować będziecie?

Milczenie.

Wchodząc do domu, Pelagia obejrzała się i zobaczyła, że stangret Bubiencowa, wciąż tak samo ponury, idzie ku otwartym wrotom stajni, prowadząc Tanie za rękę, zupełnie tak samo jak przedtem prowadził konia. Dziewczyna posłusznie dreptała szybkimi, drobnymi kroczkami, a za nią równie pokornie włókł się na smyczy Chapaj.



Przed sypialnią generałowej stał skromnie siwy, lecz jeszcze nie stary mężczyzna o mocno pomarszczonej, uśmiechniętej twarzy, w zapiętym na wszystkie guziki czarnym surducie i również czarnych

dradedamowych porciętach, do połysku wyświeconych na kolanach. W długich rękach, zwisających niemal do pół uda, trzymał gruby modlitewnik.

– Błogosławieństwa proszę, mateczko! – zawołał ciekim głosem, ledwie zobaczył Pelagię, i zagroził jej drogę. – Tichon Jeremiejewicz Zbawieny jestem, robak niegodny. Proszę pozwolić rączkę świętą ucałować.

I już wyciągnął chwytlive, długopalczaste łapsko, ale Pelagia schowała ręce za plecami.

– Nam nie wypada – powiedziała, przyglądając się skromnisiowi. – I reguła zakazuje.

– No, to w takim razie bez rączki, po prostu znakiem krzyża proszę przeżegnać – nie upierał się Zbawieny. – Mnie i to za błogosławieństwo posłuży. Proszę nie odmawiać, jako że powiedziane jest: „Nie brzydź się wrzodów moich grzesznych, namaść je balsamem miłości twojej”.

Uzyskawszy błogosławieństwo, pokłonił się do pasa, ale z drogi nie ustąpił.

– Prawda, że z siostrą Pelagią mam zaszczyt, wysłanniczką najgodniejszego i najwielebniejszego władcy Mitrofianusza? Powiadomionym jest, iż ulokowana została w komnatce przeze mnie ongi zajmowanej, i wielcem temu rad, jako że widzę godną zaiste osobę. Sam zaś umieszczonym w skrzydle, pośród niewolników i służących, i jakby powiedziano mi: idźże precz z miejsca tego, jako że niegodnyś w onym przebywać. Nie szemram i słucham, o słowach proroka pamiętając: „A gdy prześladować was będą w tym mieście, uciekajcie do drugiego”.

– Czemu to pan do pani generałowej nie wejdzie? – spytała Pelagia, zmieszana wysłuchanymi słowami.

– Nie śmiem – lęklive rzekł Zbawieny. – Wiadomo mi, iż widok

mój owej szlachetnej bojarzynie wstrętnym jest, a i szacowny zwierzchnik mój, Włodzimierz Lwowicz Bubiencow, tu oczekiwać kazał, u bram komnaty. Pozwoli mateczka, że drzwi przed nią rozewrę.

Odsunął się wreszcie i otworzył przed Pelagią skrzydło drzwi, ale jakoś tak sprytnie się zakręcił, że mokrymi wargami dotknął jej dłoni.

W pokoju, przy łóżku, siedział szczupły, elegancki pan i kiwał założoną na kolano nogą o drobnej, wąskiej stopie. Obejrzał się na dźwięk otwieranych drzwi, ale ujrawszy zakonnice, od razu znów odwrócił się do leżącej i ciągnął przerwany wywód:

– ...kiedy tylko dowiedziałem się, że cioteczka jeszcze bardziej się pochorowała, wszystkie sprawy państwowe w diabły posłałem – i do cioteczki. Korsz mi powiedział, notariusz. Wybiera się do cioteczki jutro rano. No, a co to cioteczce do głowy przyszło kisnąć w łóżku? Wstyd po prostu. A ja już cioteczkę za mąż zbierałem się wydawać, już i narzeczonego przyważyłem, cichutkiego staruszcza. Słówka nie piśnie, jak na sznurku będzie u cioteczki chodzić.

Rzecz zdumiewająca – w odpowiedzi rozległ się słaby, lecz całkiem wyraźny śmieszek.

– No co ty, Wołodia? Co niby za staruszek? Pewnie chorusek jakiś? „Ty”? „Wołodia”? Pelagia nie wierzyła własnym uszom.

– A wcale, a wcale nie chorusek – zaśmiał się Bubiencow, błyskając białymi zębami. – I też generał, całkiem jakby nieboszczyk wujaszek. Takusieńkie wąsy, pierś jak dzwon, a jak mazurka zacznie tańcować – nie zatrzymasz.

– Przecież ty łiesz, Wołodia. – Staruszka roześmiała się drżącym głosem, po czym od razu zaczęła kaszleć i długo nie mogła się wysapać. – ...Oj, figlarz. Specjalnie wymyślasz, żeby mnie, staruchę, rozerwać. I rzeczywiście, jakby lżej mi się zrobiło.

Obecność Bubiencowa najwyraźniej chorej służyła – nawet nie

spytała Pelagii, gdzie Chapaj.

Wyglądało na to, że złowrogi inspektor, o którym Pelagia słyszała tyle niedobrego, również od samego władcy, wcale nie jest takim strasznym Belzebubem. Mniszka uznała, że Włodzimierz Lwowicz chyba nawet jej się podoba: lekki człowiek, wesoły i przystojny, zwłaszcza kiedy się uśmiecha.

Niech jeszcze posiedzi u pani Marii, oderwie ją od czarnych myśli.

Bubiencow zaczął przezabawnie opisywać, jak Zbawieny agituje dzikiego Murada za chrześcijańskim krzyżem, a przeciw mahometańskiemu półksiężycowi, i Pelagia cichutko cofnęła się do wyjścia, żeby nie przeszkadzać.

Popchnęła drzwi, a te uderzyły o coś niezbyt twardego, co natychmiast odskoczyło do tyłu. W korytarzu, zgięty we dwoje, rozkraczył się Tichon Jeremiejewicz Zbawieny. Podśluchiwał!

– Moja wina, moja wina, mateczko, ciekawością do marności świata tego zgrzeszyłem – wymamrotał, trąc czoło. – Siarczyściem uderzony i zawstydzony został. Oddalam się.

Dwaj podglądacze pod jednym dachem, nie za wiele tego? – pomyślała siostra Pelagia, patrząc w ślad za nim.



Wieczorem jak zwykle wszyscy zebrali się na tarasie przy samowarze. Włodzimierz Lwowicz zachowywał się zupełnie inaczej niż w sypialni generałowej. Był poważny, powściągliwy, kostyczny – jednym słowem, trzymał się jak człowiek znający swoją wartość i pewny, że pod każdym względem przewyższa obecnych. W tej postaci podobał się Pelagii o wiele mniej. Można powiedzieć – w ogóle jej się nie podobał.

Nie było tylko Tatiszczewej, którą Tania poła herbatą w sypialni, a ze stałych gości brakowało Sytnikowa – wyszedł, kiedy tylko do

Drozdowki zajechała czarna karetka. Wziął kapelusz, laskę i ruszył pieszo do swojego letniego domku, do którego miał jakieś trzy wiorsty przez park, łąkę i pola. Pelagia najpierw się zdziwiła, ale potem przypomniała sobie o sprzeczce, do jakiej doszło między Donatem Abramowiczem a Bubiencowem na temat dzikości starowierców, i zachowanie przemysłowca wydało jej się zrozumiałe. Na miejscu Sytnikowa rozsiadł się Zbawieny, prawie niebiorący udziału w rozmowie. Tylko na samym początku, siadając przy stole i przypatrując się całej piernikowo-cukierkowo-konfiturowej obfitości, przemówił surowo:

– Obżarstwo czystości duszy szkodzi. Toć przecie święty Kasjan nakazywał wystrzegać się łakomstwa i zbytku jadła, z nasycaniem trzewi nie przesadzać i rozkoszom podniebienia nie dać się kusić.

Bubiencow rzucił mu jednak:

– Milcz, Sraczyca, znaj swoje miejsce.

I pobożny Tichon nie tylko umilkł pokornie, ale zaczął też gorliwie zajadać się rozłożonymi na stole łakociami.

Rozmowa bardzo szybko skupiła się na jednym wątku. Ogólną uwagą zawładnął Bubiencow, opowiadając o zadziwiających odkryciach, które przeraziły Zawożsk, jutro wprawia w drżenie gubernię, a pojutrze zakołyszają nawet całym imperium.

– Słyszeliście państwo zapewne o dwóch bezgłowych trupach, wyrzuconych na brzeg w powiecie czarnojarskim – zaczął Włodzimierz Lwowicz, marszcząc chmurnie piękne brwi. – Śledztwo policyjne nie zdołało ustalić tożsamości zabitych, jako że bez głów to prawie niemożliwe, wyjaśniło się jednak, że trupy są całkiem świeże, mają nie więcej niż trzy doby, co oznacza, że zbrodni dokonano gdzieś niedaleko, w granicach zawożskiej guberni. Dowiedziawszy się o tym, zacząłem się zastanawiać, w jakim celu złoczyńca czy złoczyńcy oderżnęli ofiarom głowy.

Tu Bubiencow przerwał i z drwiącym uśmiechem przyjrzał się obecnym, jakby proponował im rozwiązać tę szaradę.

Wszyscy milczeli, nie spuszczać wzroku z opowiadającego, a panna Naina aż pochyliła się do przodu i wpiła w niego oślepiające czarne oczy. Zresztą przez cały wieczór patrzyła tylko na przybysza, niezbyt nawet się z tym kryjąc. Dziwne było to spojrzenie: Pelagii zdawało się czasem, że widzi w nim niemal wstręt, lecz i coś więcej – palące zainteresowanie i jakieś nie tylko namiętne, ale też jakby chorobliwe zdumienie.

Mniszka zauważyła, że siedzący daleko od siebie Szyriajew i Poggio, jakby się zmówili, nieustannie kręcą głowami, spoglądając to na pannę, to na przedmiot jej zapamiętałej uwagi. Na policzku Szyriajewa czerwieniło się podwójne zadrapanie (nic, tylko ślad paznokci), a u pana Arkadiusza pod prawym okiem białął puder.

Bubiencow natomiast zdawał się nie przywiązywać do spojrzeń Nainy Gieorgijewny żadnego znaczenia. Dotąd ani razu się do niej nie zwrócił, a jeśli nawet popatrywał w jej stronę, to tylko z leniwą obojętnością.

Ponieważ przerwa w opowieści przedłużała się, siostra Pelagia, ciekawa dalszego ciągu, wyraziła przypuszczenie:

– Może głowy odcięto właśnie po to, żeby zabitych nie można było rozpoznać?

– A skądże! – Wargi Bubiencowa rozciągnęły się na chwilę w zadowolonym uśmiechu. – Na takie chytre chwytły tutejsze rzezimieszki by nie wpadły. Tym bardziej że zabici to najwyraźniej nie miejscowi, bo w przeciwnym razie zauważono by, że ktoś przepadł, i ustalono, kto to. Tu o co innego chodzi.

– No więc o co? – spytał młody pan Piotr. – Niechże już pan nas nie dręczy!

– Ropsza – odpowiedział Bubiencow, złożył ręce na piersi i rozsiadł

się wygodnie w krześle, jakby wszystko już wyczerpująco wyjaśnił.

Rozległ się brzęk – to siostra Pelagia upuściła na podłogę łyżeczkę i krzyknęła z cicha, zakrywając usta dłonią.

– Co? Co? – nie dosłyszał Kirył Nifontowicz, obejrzawszy się na dźwięk łyżeczki. – Polska? Polscy zesańcy figlują? A co tak nagle? Przecież i latka mają już nie po temu.

– Ropsza? – ze zdziwieniem spytał Piotr Georgijewicz. – Zaraz, zaraz, czekajcie... To z kroniki! Nowogrodzki kupiec, któremu w tych stronach za Iwana III poganie głowę odrąbali. Ale, za pozwoleniem, co Ropsza ma do tego?

Nozdrza inspektora synodalnego drgnęły drapieźnie.

– Ropsza nic do tego nie ma, za to poganie – owszem, i to nawet dużo. Od dawna już dochodzą do nas informacje, że tutejsi Zytiacy, z pozoru przestrzegając obrzędów prawosławia, w tajemnicy oddają cześć bałwanom i odprawiają różne wstrętne obrzędy. Nawiasem mówiąc, za czasów Ropszy żyło tu to samo plemię i bożków też miało tych samych.

– Nieprawdopodobne. – Szyriajew wzruszył ramionami. – Znam Zytiaków. Cichy, pokorny narodek. Tak, mają swoje obyczaje, swoje zabobony i święta. Może i z dawnych wierzeń coś zostało. Ale zabijać, głowy obrzynać? Bzdury. I co, po Ropszy pięćsetletnią przerwę sobie zrobili?

– Otóż to, otóż to. – Bubiencow zwycięsko powiódł wzrokiem wzdłuż stołu. – Przeprowadziłem dochodzenie, które ujawniło pewien arcyciekawy fakcik. Niedawno wśród leśnych Zytiaków rozeszła się wieść, że wkrótce po Niebieskiej Rzece przyplynie na świętym korabiu bóg Szyszyga, który przez długie wieki spał na obłoku, i trzeba będzie uczestować go ulubionym pożywieniem, żeby się nie pogniewał. A ulubionym jadłem tegoż Szyszygi są, jak wynika z kroniki, ludzkie głowy. Stąd moje przypuszczenie (a właściwie

nawet nie przypuszczenie, lecz całkowita pewność), że Szyszyga do Zytiaków już przyplął i na dodatek jest diabelnie głodny.

– Co też pan wygaduje! – zawołał Stiepan Trofimowicz ze złością. – Jakież niedorzeczne domysły!

– Niestety, nie domysły. – Włodzimierz Lwowicz przybrał minę surową, a nawet, rzecz można, państwowotwórczą. – Tichon Zbawieny czasu tu na próżno nie tracił, znalazł sobie różnych człowieczków, również w najdalszych powiatach. I oto informatorzy donoszą, że wśród zytiackiej młodzieży obserwuje się niezrozumiały ferment i poruszenie. Są wiadomości, że gdzieś w głuchym ustroniu, na polanie, wzniesiono bałwana wyobrażającego boga Szyszygę i że tam właśnie dostarczono odrąbane głowy.

– Bravo! – Naina Gieorgijewna nagle zaczęła klaskać w ręce. Wszyscy patrzyli na nią ze zdumieniem. – Szyszyga i ofiary z ludzi, to po prostu genialne! Wiedziałam, panie Włodzimierzu, że nie pomyliłam się co do pana. Wyobrażam sobie, jakiego hałasu na całą Rosję narobi pan w związku z tą historią.

– Pochlebia mi pani. – Bubiencow skłonił głowę, z jakimś zdziwieniem napotkawszy jej wzrok, w którym nagle wstręt i zdumienie ustąpiły miejsca zachwytowi. – To w istocie skandal na skalę ogólnopaństwową. Rozpasanie najdzikszego pogaństwa to hańba dla mocarstwa europejskiego, a pełną winę za to ponoszą tutejsze władze, zwłaszcza cerkiewne. Dobrze, że akurat się tu znalazłem. Możecie być pewni, panie i panowie, że skrupulatnie zbadam całą tę historię, znajdę winnych i przywrócę leśnych dzikusów na łono Cerkwi.

– Nie wątpię – uśmiechnął się Poggio. – Och, szczęściarz z pana, panie Bubiencow. Taki szczęśliwy los wyciągnąć...

Ale Włodzimierz Lwowicz, jak się zdaje, na dobre wszedł w skórę męża stanu i inkwizytora: wcale nie był teraz w nastroju do żartów.

– Niepotrzebnie pan sobie pokpiwa, łaskawy panie – powiedział surowo. – Sprawa jest przerażająca, a nawet potworna. Nie wiemy, ilu takich bezgłowych leży na dnie rzek i jezior. Pewne jest też, że będą nowe ofiary. Wiemy już od zaufanych ludzi, jaki jest rytuał mordu. Nocą do samotnego podróżnego podkradają się od tyłu służebnicy Szyszygi, narzucają mu na głowę worek, zaciągają sznur na szyi i wloką w krzaki albo inne ukryte miejsce, tak że nieszczęśnik nawet krzyknąć nie może. Tam odrzynają mu głowę, ciało rzucają w błoto lub wodę, a worek ze zdobyczą niosą do gontyny.

– Oh, my God! – przeżegnała się miss Rigley.

– Trzeba koniecznie odszukać ową gontynę i wezwać uczonych z Cesarskiego Towarzystwa Etnograficznego – zaproponował z zapalem Kirył Nifontowicz. – Bałwochwalstwo, łowcy głów to przecież arcyzadkie zjawiska pod naszą szerokością geograficzną!

– Szukamy – złowrogo oznajmił Bubiencow. – I znajdziemy. Otrzymałem z Petersburga telegraficznie wszystkie konieczne pełnomocnictwa.

– Pamiętacie?! – znów ni w pięć, ni w dziewięć zawołała panna Naina. – Pamiętacie, u Lermontowa?

W ziemię podległą jego mocy
Ziarno zła rzucał bez wzruszenia
I nigdy się nie sprzeciwiło
Nic wszechpotężne jego tchnienia...^[6]

– Panowie, no, czemu tak nudzicie? Popatrzcie, jaki księżyc, ile w nim tajemniczej, złowrogiej siły! Chodźmy pospacerować po parku. No, panie Włodzimierzu, chodźmy!

Zerwała się i z uniesieniem podbiegła do Bubiencowa, wyciągając do niego szczupłą rękę. Coś się stało z panną Nainą, najpewniej coś bardzo dobrego – twarz jej lśniła od ekstazy i szczęścia, z oczu sypały

się iskry, rozdymały toczone nozdrza. Nagły poryw postrzelonej panny nikogo nie zdziwił, widać wszyscy tu już przywykli do gwałtownych zmian jej nastrojów.

– Można i pospacerować – dobrodusznie odezwał się Krasnow, wstając od stołu. – Miss, służę ramieniem. – I elegancko podsunął Angielce zgięty w rogalik łokieć. – Tylko niech pani się nie waży mnie opuszczać, bo z tyłu nadbiegną i worek na głowę... ha, ha!

Panna Tielianowa wciąż stała przed Bubiencowem z wyciągniętą ręką, ten jednak nie odwzajemnił jej gestu, tylko patrzył na piękną dziewczynę, unosząc głowę, spokojnym i pewnym wzrokiem.

– Nie mam czasu, panno Naino – powiedział w końcu obojętnym głosem. – Muszę posiedzieć z cioteczką. A jeszcze miałem zamiar przed snem sporządzić małą notatkę dla władz policyjnych. Z Petersburga zarządzono, by dać mi ochronę. To poważna sprawa. Ja już nawet pierwszą pogrózkę dziś otrzymałem, na piśmie – dołączyłem ją do akt.

Panna odpowiedziała mu uprzejmie:

– Ach, miły panie Włodzimierzu, najlepsza straż to miłość. Jej trzeba zawierzać, nie policji.

Jeśli nawet odmowa inspektora ją rozdrażniła, to nie pokazała tego po sobie.

– Cóż, jak pan chce. – Uśmiechnęła się łagodnie, odwróciła do pozostałych mężczyzn i już innym głosem, władczym, wymagającym, oznajmiła: – Idziemy do parku. Tylko, żeby było straszniej, każdy na własną rękę, będziemy się nawoływać.

Zbiegła po schodkach i zniknęła w ciemności. Szyriajew, Poggio i Piotr Gieorgijewicz bez słowa ruszyli za nią. Ostatni, co prawda, odwrócił się i zapytał:

– A siostra Pelagia? Proszę iść z nami, wieczór jest naprawdę cudowny.

– Nie, panie Piotrze, ja też odwiedzę pańską babcię.

I Pelagia poszła w ślad za groźnym inspektorem, a na tarasie został samotny Zbawieny, nakładając sobie do miseczki konfitur malinowych.



– Jutro rano poczuje się cioteczka znacznie lepiej i pojedziemy na spacer – mówił Bubiencow tonem niezachwianej pewności, trzymając panią generałową za nadgarstki i patrząc jej prosto w oczy. – Tylko najpierw zrobimy interes z notariuszem. Bardzo dobrze i roztropnie, że ciocia go wezwała. Bo też to po prostu wstyd i śmiech – Drozdówkę zostawiać rezydentce! To jakby Elżbieta angielska zapisała koronę nadwornej błaznicy. Tak się, cioteczko, nie robi.

– A komu niby mam zapisać? Piotrusiowi i Naince? – ledwie dosłyszalnie zaoponowała Tatiszczewa. – Wszystko z dymem puszcza. Sprzedadzą majątek i to nie przyzwoitemu człowiekowi, bo szlachta teraz nawet pieniędzy nie ma, tylko jakiemuś workowi złota. A ten park wykarczują i w domu założą fabrykę. Dżanetka zaś niczego zmieniać nie będzie, zostawi wszystko tak, jak jest. Piotrowi i Naince będzie dawała pieniądze, oni są dla niej jak krewni, a szaleć nie pozwoli.

– Królowa Elżbieta postąpiła inaczej: spadkobiercą uczyniła Jakuba Stuarta, chociaż miała bliższych krewnych niż on. A to dlatego, że myślała o pomyślności swojego dziedzictwa. Jakub to była prawdziwie państwowa głowa. Królowa mogła być pewna, że on nie tylko zachowa państwo, ale i wielokrotnie je umocni. Wiedziała też, że będąc nieskończenie wdzięczny swej dobrodziejce, rozsławi jej pamięć i nie skrzywdzi drogich sercu bliskich.

Najbardziej ze wszystkiego zdumiało Pelagię, że inspektor wcale nie krępował się obecnością osób trzecich. No, powiedzmy, że Tania

drzemała, bezsilnie wsparta na poręczy krzesła – umordowała się przez cały dzień, ale sama Pelagia siedziała tuż obok, przy samych nogach łóżka, i specjalnie brzęczała drutami, jak mogła najgłośniejszy, żeby się bezwstydnik opamiętał.

Ale gdzie tam!

Bubiencow pochylił się jeszcze bliżej, wciąż patrząc Tatiszczewej prosto w oczy.

– Ja przecież wiem, jak uwiecznić cioci pamięć. Ciocia nie potrzebuje ani nagrobka z marmuru kararyjskiego, ani kapliczki. To wszystko martwe kamienie. Cioci innego pomnika trzeba, żywego, pięknego, który potem rozejdzie się z Drozdowki po całej Rosji i po całym świecie. Kto będzie kontynuował cioci szlachetne i pracowite dzieło, kto wyhoduje białego buldoga? Przecież dla nich wszystkich to głupi kaprys, nedorzeczne dziwactwo. Ta cała miss Rigley psów znieść nie może.

– To prawda – zaskrzypiała pani Maria. – W zeszłym roku ośmieliła się nawet sprawić sobie kota, ale Hulaj z Łapajem rozerwali go na pół.

– No, sama ciocia widzi. A ze mnie psiarz od dziecka. Ojciec miał znakomite charty. Można powiedzieć, że wyrosłem w psiarni. Trzeba dziesięciu lat, żeby z tego zucha – Włodzimierz Lwowicz potargał za ucho Chapaja, który sapał słodko przy boku generałowej – rozwinęła się mocna, trwała rasa. Nazwie się ją tatiszczewską, tak że i sto, i dwieście lat później...

W tym momencie Chapaj, rozbudzony dotknięciem i w skupieniu przyglądający się ręce, która z roztargnieniem targała go za ucho, dokonał stanowczego czynu: ostrymi, drobnymi ząbkami capnął wypielęgowany palec.

– Ach! – krzyknął zaskoczony Bubiencow i szarpnął ręką, przez co szczeniak jak wyrzucony z procy poleciał na podłogę, ale wcale się nie obraził, tylko radośnie szczechnął, pokręcił trochę główką o okrągłym

czole i nagle ruszył prosto ku drzwiom, zamkniętym niezupełnie szczelnie, tak że została w nich niewielka szpara.

– Trzymajcie go! – Maria Afanasjewna w panice poderwała się z poduszki. – Tania, Tania! On znowu!

Pokojówka zerwała się z krzesła, oszołomiona drzemką, wstał również Bubiencow.

Krągły biały zadek uwiązał w wąskiej szczelinie, ale nie na długo. Tłuste nóżki szybciućko zatupały po podłodze, drzwi otworzyły się odrobinę szerzej i Chapaj wyrwał się na wolność.

– Stój! – krzyknął Bubiencow. – Spokojnie, cioteczko, zaraz go złapię.

W trójkę – Włodzimierz Lwowicz, Pelagia i Tania – wybiegli na korytarz. Białą sylwetkę szczeniaka widać było już na drugim końcu. Zobaczywszy, że jego wyczyn został doceniony, jak na to zasługiwał, psiak zaskowytał tryumfalnie i skręcił za węgiel.

– Ucieknie do sadu! – krzyknęła Tania. – Tam drzwi na oścież!

Chapaj biegł szybciej od pogoni: wyskoczywszy na werandę, Pelagia ledwie zdążyła zobaczyć białą plamkę, która rażno zeskoczyła ze schodków prosto w ciemność.

– Trzeba jak najszybciej go złowić, bo cioteczka rozum straci – powiedział z niepokojem Bubiencow i zakomenderował po wojskowemu: – Ty, jak cię tam, na lewo, mniszka na prawo, ja prosto. Krzyknijcie pozostałym, żeby też szukali. Naprzód!

Po chwili senny spokój parku naruszyły wielogłose wezwania.

– Chapajek! Chapajeczek! – wołała Pelagia.

– Chapaj! Chodź tutaj, zarazo! – gdzieś za malinowym gąszczem cienko krzyczała Tania.

– Panowie, Chapaj uciekł! – chwackim, kawaleryjskim tenorkiem powiadał Bubiencow rozproszonych po parku spacerowiczów.

I ci też nie omieszkali się odezwać.

– Au! – z daleka dobiegł głos Piotra Gieorgijewicza. – Nie ucieknie, męczyciel! Odnajdziemy i ukarzymy!

– Huzia, huzia! – po myśliwsku szczał z brzoźowego zagajnika Krasnow. – Miss Rigley, ja na polanę, a pani, proszę, tamtędy!

I już wszędy chrzęściły gałązki, rozlegały się wesole głosy, perlił śmiech. Zaczynała się znana wszystkim niczym swojski rytuał zabawa.

Siostra Pelagia uważnie wpatrywała się w ciemność, wytężała słuch, czy nie rozlegnie się skądś znajome popiskiwanie. I po jakichś dziesięciu minutach, już niedaleko brzegu rzeki, zobaczyła w końcu przed sobą coś maleńkiego, białego. Przyspieszyła kroku – tak, to on, Chapaj. Zmęczył się bieganiem i zleął pod wyschniętą osiką, dwa kroki od angielskiego trawnika.

– A, toś ty tutaj! – cichutko zanuciła Pelagia, myśląc tylko o tym, żeby łobuziaka nie przestraszyć: szukaj go potem przez pół nocy po wszystkich zaroślach.

Z boku szeleściły w krzakach pospieszne kroki, widocznie ktoś zmierzał w to samo miejsce.

Mniszka podkrađła się do szczeniaczka, pochyliła i ze zwycięskim okrzykiem: „Mam cię!”, chwyciła go za okrągłe, ciepłe boki.

Chapaj ani pisnął, nie poruszył się.

Pelagia przykucnęła. Serce jej zamarło, jakby odechciało mu się pompować krew, i od tego w piersi zrobiło się ciasno i bardzo gorąco.

Głowa szczeniaka była dziwnie spłaszczona, a obok leżał wielki, płaski kamień, błyszcząc w świetle księżyca wilgotną plamą przylepionej mokrej ziemi. Tuż obok widać było dołek, z którego został wyrwany.

Po śmierci mordeczka Chapaja zrobiła się jakby pociągła i smutna. Teraz rzeczywiście przypominał aniołka.

Kroki w krzakach wciąż szeleściły, ale nie bliżej, tylko przeciwnie – coraz dalej i bardziej głucho. Dopiero teraz Pelagia zrozumiała: nikt

tu wcale nie spieszył, tylko ktoś stąd odchodził.

V

Strach

Maria Afanasjewna umierała. Zaraz po zmroku, kiedy usłyszała przeraźliwe szlochanie Tani, domyśliła się, co zaszło, i straciła mowę. Leżała na plecach, chrypiała, wlepiła oczy w sufit, a jej pulchne palce drobnymi ruchami przebierały po skraju kołdry, wciąż coś strząsały, strząsały i nijak strząsnąć nie mogły.

Z miasta najlepszą trojką przywieziono doktora. Pomacał chorą tu i tam, ponagniatał, osłuchał, zrobił zastrzyk, żeby się nie dusiła, a wreszcie wyszedł na korytarz, machnął ręką i powiedział:

– Odchodzi. Księdza trzeba.

Potem siedział w salonie, pił herbatę z koniakiem, rozmawiał po cichu z Szyriajewem o widokach na udane żniwa i raz na pół godziny zaglądał do sypialni – czy chora jeszcze oddycha. Staruszka oddychała, ale coraz słabiej i słabiej, na długie chwile traciła przytomność.

Było już dobrze po północy, kiedy przywieziono wyciągniętego z pościeli księdza dziekana. Przyjechał rozczochrany, nie do końca rozbudzony, ale w pełnym stroju liturgicznym i z komunikantami. Kiedy jednak wszedł do umierającej, generałowa otworzyła oczy i stanowczo zajęczała: nie chce.

– Namaszczenia chorych nie chcesz, babusiu? – lęklonie spytał Piotr Georgijewicz, mocno podniecony dramatycznymi wydarzeniami.

Tatiszczewa prawie niedostrzegalnie kiwnęła głową.

– Co? – nachyliła się do niej siostra Pelagia. – Ojczulka pani nie chce?

Chora powoli przymknęła powieki, potem znów je rozwarła i podnosząc drżący palec, wskazała gdzieś w bok i w górę.

Pelagia spojrzała w tym kierunku. Z lewej i w górze niczego szczególnego nie było: ściana, litografia z widokiem Petersburga, portret nieboszczyka generała Tatiszczewa, zdjęcie przewielebnego Mitrofianusza w pełnym stroju pontyfikalnym.

– Chce pani, żeby to władyka namaścił panią na ostatnią drogę? – domyśliła się mniszka.

Generałowa znowu zamknęła powieki i opuściła palec. Czyli tak.

Znów posłano do Zawołzka, na biskupi dwór, i zaczęło się czekanie na Mitrofianusza.

Do samego rana nikt się nie kładł, wszyscy rozeszli się po domu. Tu cicho rozmawiały dwie czy trzy osoby, gdzie indziej znowu ktoś siedział milczkiem w samotności. Pelagia nie była w stanie obserwować zachowania obecnych, a szkoda, bo przy tej okazji mogłoby się wiele wyjaśnić. A nuż zabójca biednego, maleńkiego Chapaja czymś by się zdradził? Ale obowiązek chrześcijański stoi wyżej od ziemskich trosk, toteż mniszka nie odstępowała pani Marii, odmawiała modlitwy i szeptała słowa pociechy, których cierpiąca najpewniej nie słyszała. Dopiero o świcie Pelagia poszła po coś do sadu, nie było jej jakieś pół godziny i wróciła pogrążona w głębokiej zadumie.

Słońce weszło, zaczęło piąć się coraz wyżej i wyżej, już i południe minęło, a przewielebnego wciąż nie było. Doktor tylko głową kiwał, mówił, że chora trzyma się jedynie siłą uporów: wbiła sobie do głowy, żeby za wszelką cenę doczekać się siostrzeńca, i teraz nigdzie nie odejdzie, póki go nie zobaczy.

Przyjechał notariusz Korsz. Bubiencow odesłał Pelagę za drzwi, żeby nie przeszkadzała przerabiać testamentu. Na świadków przywołał Zbawienego i Krasnowa, bo panna Naina nie wychodziła ze

swego pokoju, jej brat poprosił, żeby go z tego obowiązku zwolnić, a Stiepan Trofimowicz tylko zmarszczył się pogardliwie: kto by w takiej chwili miał głowę do testamentów.

Bardzo się to wszystko Pelagii nie podobało, ale nic zrobić nie mogła. Pojawił się Donat Abramowicz Sytnikow, jednak nie życzył sobie wdawać się w cudze sprawy rodzinne – niech będzie, jak będzie (z czego wynikało, że wcale nie jest tak bardzo zainteresowany ugiem goriajewskim, jak się majaczyło podejrzliwej generałowej).

Tyle że Bubiencow niepotrzebnie się mordował nad umierającą, do żadnej przeróbki nie doszło. Godzinę potem Korsz wyszedł z sypialni, ocierając chustką pot, i poprosił o kwas.

– Nie ma takiego zwyczaju, żeby z jęków odgadywać ostatnią wolę – wyjaśnił ze złością siostrze Pelagii. – Nie jestem błaznem odpustowym, tylko członkiem gildii notarialnej.

I kazał zaprzęgać bryczkę, nawet na obiad nie chciał zostać.

Bubiencow wyskoczył za nim, posępny jak chmura gradowa. Dogonił krnąbrnego Korsza, wziął go za łokieć i głośno coś mu szeptał. Co – nie wiadomo, tyle że Korsz i tak wyjechał.

Usłyszano, jak Bubiencow na dworze krzyknął z wściekłością za odjeżdżającą bryczką:

– Pożałujesz pan!

Notariusz odjechał, ale za to przybywali wciąż nowi i nowi goście, którzy dowiedzieli się o smutnym wydarzeniu. Byli wśród nich i ziemianie z sąsiedztwa, i wielu gubernialnych notabli, w tym nawet marszałek szlachty. Pewnie tyle publiczności nie zjechałoby pożegnać się z generałową Tatiszczewą, gdyby nie słuchy, które szybko obiegały zawołzańskie wsie. Na twarzach zebranych, oprócz stosownego żałobnego oczekiwania, malowało się także pewne podniecenie, często rozlegały się cicho wypowiedane świszczące słowa: „testament”, „szczeniak”.

Wokół miss Rigley zrobiło się jakieś osobliwe poruszenie, z biegiem czasu coraz bardziej zauważalne. Kiedy wyjaśniło się ostatecznie, że testament pozostaje w mocy, Angielkę otoczyło coś w rodzaju wiru. Mało jej znane, a czasem wręcz w ogóle nieznajome osoby płci obojga podchodziły do niej, wypowiadały słowa pełne najgłębszego współczucia i z ciekawością zaglądały w oczy. Inni zaś, przeciwnie, ostentacyjnie unikali spadkobierczyni i całą swą postawą dawali do zrozumienia, że ją potępiają, a nawet się nią brzydzą. Biedna miss Rigley zupełnie straciła głowę i tylko co jakiś czas się zrywała, pragnąc odszukać wnuki pani Marii i koniecznie odbyć z nimi rozmowę.

Jednakże Naina Gieorgijewna mimo wszystko nie wyszła ze swego pokoju, a panicza Piotra zagarnął Bubiencow. Wyszedłszy na dwór, żeby sprawdzić, czy nie nadjeżdża wreszcie władyka, Pelagia zobaczyła, jak inspektor Synodu szybko odciąga oszołomionego Pietię dalej od zebranych: jedną ręką trzymał go za ramię, drugą gestykulował. Doszedł do niej urywek zdania: „zbadać okoliczności i oprotestować, bezwzględnie oprotestować”.

Zresztą i bez tego urzędnik państwowy miał dość spraw na głowie. Rano z miasta przyjechał do niego na złamanie karku umyślny, po południu następny. Za każdym razem inspektor zamykał się z gońcem w bibliotece, po czym tajemniczy jeździec równie szalonym galopem ruszał w przeciwną stronę. Widać było, że śledztwo w sprawie odciętych głów jest prowadzone naprawdę sumiennie.



Mitrofaniusz pojawił się pod wieczór, kiedy już go się nie spodziewano.

Pelagia podeszła, prosząc o błogosławieństwo, i powiedziała z wyrzutem:

– To się uraduje pani Maria. Naczekała się, biedactwo.

– Nic takiego – odpowiedział przewielebny, z roztargnieniem żegnając znakiem krzyża wszystkich, którzy wyszli mu na spotkanie. – Nie ona się naczekała, tylko śmierć. A jej, pustookiej, pomęczyć nie szkoda.

Archijerej był jakiś mało uroczystry, rzeczowy. Jakby nie przyjechał opatrzeć umierającą sakramentami, tylko wizytować miejscowe instytucje dobroczynne albo w jakiejś innej, ważnej, lecz roboczej sprawie.

– Przewietrz karetę, bo duszno – rozkazał służce kościelnemu, który siedział obok stangreta na kozle. Pelagii zaś powiedział: – No dobrze, prowadź.

– Władko, a komunikanty? – przypomniała siostra. – Przecież sakramentów trzeba udzielić.

– Sakramentów? No cóż, można spróbować, namaszczenie olejami na zdrowie też pomaga. Ojciec Aleksy!

Z przedniego siedzenia karety ciężko wylazł diakon w brokatowej dalmatyce i z monstrancją.

Przeszli ciemnym korytarzem. Stojący pod ścianami kłaniali się, słychać było głosy szemrzące: „O błogosławieństwo proszę, władko”. Mitrofaniusz błogosławił, ale jakby nikogo nie poznawał; twarz miał skupioną. Z sypialni wyrzucił wszystkich, zostawiając przy sobie tylko ojca Aleksę i Pelagię.

– Cóż, dziecię Boże, umierać się zachciało? – spytał leżącą, zwracając się do niej per „ty” i takim tonem, że było jasne: to nie siostrzeniec Misza pyta, tylko surowy pasterz. – Do Ojca w niebiesiach się prosisz? A On ciebie wezwał czy sama się w gości napierasz? Jeśli sama, to grzech.

Groźne słowa nie podziały jednak na Marię Afanasjewnę. Patrzyła na archijereja nieruchomym, posepnym wzrokiem i czekała.

– No dobrze – westchnął Mitrofaniusz i ściągnął przez głowę czarną podróżną sutannę, odsłaniając przetykany złotem ornat i drogocenną biskupią panagę na piersi. – Szykuj, ojcze.

Diakon położył na nocnym stoliku srebrny spodeczek i nasypał na niego z woreczka pszenicznych ziaren. Pośrodku umieścił pustą kadzielnicę, rozstawił siedem świec. Mitrofaniusz poświęcił olej i wino, nalał je do kadzielnicy, sam zapalił świece. Namaszczając umierającej czoło, nozdrza, policzki, wargi, pierś, ręce, zaczął cicho, z uczuciem, odmawiać modlitwę:

– Ojcze Święty, duszy i ciał Lekarzu, ześlij Jednorodzonego Syna Twojego, Pana Naszego Jezusa Chrystusa, chorobę wszelaką leczącego i od śmierci wybawiającego: ulecz i sługę Twoją Marię od trzymających ją w swej mocy słabości cielesnych i duchowych i ożyw ją łaską Chrystusa Twojego, modlitwami Najświętszej Władczyni naszej, Bogarodzicy, Zawsze Dziewicy Maryi...

Po siedmiokroć spełnił władyka odpowiedni obrzęd i zmówił modlitwę, za każdym razem gasząc po jednej świecy. Maria Afanasjewna leżała spokojnie, nieśmiało spoglądając na płomyki świeczek, i bezgłośnie poruszała wargami, jakby mówiła: „Boże, zmiłuj się”.

Zakończywszy modły, Mitrofaniusz przysunął do łóżka krzesło, usiadł i już zwykłym głosem powiedział:

– A z komunią świętą na razie zaczekamy. Myślę, że wystarczy namaszczenie chorych.

Tatiszczewa z niezadowoleniem skrzywiła wargi, zajęczała żałośnie, ale władyka tylko ręką machnął.

– Leż i słuchaj. Wieczorem nie skonałaś, to i teraz jeszcze zaczekasz, najpierw arcybiskup będzie z tobą rozmawiał. A jeśli umrzeć ci się zachce, to z samej tylko przekory.

Po takim wstępie przewielebny chwilę pomilczał, po czym odezwał

się już inaczej, niezbyt głośno, ale ze smutkiem i przejęciem.

– Widzisz, często się słyszy od ludzi, także takich, co wierzą nie ślepo, lecz świadomie, że życie to drogocenny dar Pana naszego. A mnie się wydaje, że to żaden dar, bo dar zakłada same przyjemności dla duszy i ciała, a śmiertelnik w życiu przyjemności ma niewiele. Udręki cielesne i duchowe, grzechy, ułomności, utrata bliskich – to jest nasze życie. Ładny dar, co? Dlatego myślę sobie, że życie rozumieć trzeba nie jako dar, tylko takie ćwiczenie, w rodzaju tych, które zadaje się mnichom, i każdy koniecznie dostaje własne – na miarę swych sił, nie więcej i nie mniej. Każdy z nas ma inną siłę duszy, dlatego i ciężar ćwiczenia jest różny. Także i termin każdy ma wyznaczony. Nad kim się Pan ulituje, tego nawet w niemowlęctwie do siebie weźmie. Innemu znów średni termin naznaczy, a kogo szczególnie chce wypróbować, tego obarczy długowiecznością. Na dar czas przyjdzie potem, po życiu. My, grzesznicy bezrozumni, boimy się tego czasu i śmiercią go nazywamy, a ta śmierć to przecież długo oczekiwane spotkanie z naszym Ojcem Wszechmiłosiernym. Pan każdego innej poddaje próbie i w nieskończonej swojej wynalazczości nigdy się nie powtarza, ale przeogromny to grzech i wielka dla Rodziciela przykrość, kiedy ktoś chce samowolnie skracać sobie naznaczony czas ćwiczenia. Nie człowiek umawia to spotkanie, lecz tylko i jedynie Bóg. Dlatego Cerkiew jest taka surowa dla samobójstwa i uważa je za najgorszy z grzechów. Źle ci, boleśnie, gorzko, ale cierp. Pan wie, ile kto w duszy ma mocy, i nadmiernego ciężaru na dziecię swoje nie nałoży. Trzeba przecierpieć, wytrzymać i przez to duszę oczyścić i podnieść. A to, co ty robisz, to właśnie zwykłe samobójstwo – rozzłościł się Mitrofaniusz, porzucając poufny ton. – Zdrowa, mocna starucha! Co ty tu za komedię grasz? Przez jakiegoś białego buldoga Panu goryczy przysparzasz, duszę swoją chcesz zgubić! Wiedz, nie dostaniesz ode mnie przedśmiertnego odpuszczenia, bo Święta

Cerkiew dla samobójców nie ma pobłażania! A jak się uprzesz, każę cię pochować za ogrodzeniem, w niepoświęconej ziemi. I testament twój przed władzami świeckimi oprotestuję, bo wedle rosyjskiego prawa testamenty samobójców mocy nie mają!

Oczy umierającej błysnęły wściekłym płomieniem, poruszyła wargami, ale nie wydała żadnego dźwięku. Za to drgnęły pobożnie złożone na piersi ręce i ta, która spoczywała na wierzchu, prawa, z trudem złożyła się w coś, co przypominało figę.

– Otóż to – ucieszył się biskup. – Diabelskim znakiem pożegnaj się z życiem. W sam raz dla ciebie... Jak umrzesz, ja twoich palców rozplatać nie pozwolę. Tak właśnie leż sobie w trumnie, z figą, niech wszyscy podziwiają.

Generałowa rozluźniła i wyprostowała palce, wytwornie ułożyła prawą dłoń na grzbiecie lewej.

Przewielebny pokiwał głową i znów przemówił po ludzku, jakby dopiero co się nie złościł.

– Popatrz, Mario, ileś to ty w życiu swoim goryczy wypła: i małżonka ukochanego pochowałaś, i czworo dzieci przeżyłaś. I nic, nie umarłaś. To te psiska tępomorde są ci droższe od najbliższych ludzi? Naprawdę, wstyd i hańba.

Mitrofaniusz zaczekał, czy nie będzie jakiegoś znaku, ale Maria tylko oczy zamknęła.

– Wiem przecież, że w tobie wciąż wiele życia siedzi, nie wyczerpał się twój czas, nie napełniłaś się życiem jak kłos ziarnem na wzór patriarchów starotestamentowych. I pomyśl jeszcze o jednym. Komu Pan długie życie naznaczył, temu trudniej od wszystkich, dlatego że próbę wyznaczono mu wyjątkowo uciążliwą. Ale za to i nagrodę dostaje szczególną. Im dłużej żyję na świecie, tym bardziej mi się wydaje, że niedołączna starość to nawet nie próba, tylko jakby jakaś łaska od Boga. To jest dopiero dar nad dary. Dopiero w sędziwej

i mądrej starości pozbywa się człowiek strachu przed śmiercią. Więdnienie ciała i nawet wygasanie rozumu to dobroczynne przygotowanie do innego życia. Śmierć nie ścina cię kosą od jednego zamachu, tylko wchodzi w ciebie powoli, po kropelce, co bodaj nie jest pozbawione rozkoszy. Nie przypadkiem wielu starców z liczby największych pokutników, tych, co dożyli późnych lat, przebywa u schyłku życia nie tyle tutaj, ile tam, w rajskiej błogości. Zdarza się, że samo ich ciało po śmierci nie ulega zepsuciu, co zdumiewa ludzi. Ale co tu mówić o świętych starcach. Każdy bardzo stary człowiek ma wszystkich znajomych – tych, których kochał, i tych, których nienawidził – już tam, czekają na niego, on sam tylko z tyłu się zatrzymał i dlatego się nie lęka. Wie doskonale, że wszyscy – i mądrzejsi od niego, i głupszy, i gorsi, i lepsi, i odważniejsi, i tchórzliwsi – wszyscy, których on znał, przekroczyli ten straszny próg – i nic. To znaczy, że nie taki on straszny...

W tym momencie Maria Afanasjewna, słuchająca długiego kazania władcyki z nadzwyczajną uwagą, uśmiechnęła się, jakby uspokojona, a Mitrofaniusz zmarszczył czarne brwi, ponieważ oczekiwał innego skutku. Westchnął, przeżegnał się, już więcej nie przekonywał.

– No cóż, jeśli czujesz, że na ciebie już czas, jeśli jesteś wezwana, zatrzymać cię nie będę. I namaszczę, i odśpiewam, i w poświęconej ziemi złożę, jak wypada. Ja tylko z serca ciebie straszylem. Umieraj, skoro tak postanowiłaś. Jeśli życie niczym więcej cię nie trzyma, niczym nie kusi, to jak ja, słaby człowiek, mam cię zatrzymać? Tylko jeszcze taka sprawa... – Biskup odwrócił się do diakona i polecił: – Idź, ojczy, przynieś.

Ojciec Aleksy kiwnął głową. Kiedy wyszedł, w sypialni zapadła cisza. Maria Afanasjewna leżała z zamkniętymi oczami i twarz miała taką, jakby spoczywała już nie na łożu, lecz pośrodku cerkwi, w otwartej trumnie, a spod wysokiego sklepienia śpiewały jej słodkie

anioły. Mitrofaniusz wstał, podszedł do wiszącej na ścianie litografii i zaczął ją z ciekawością oglądać.

Po chwili drzwi się otworzyły i diakon ze służką wnieśli pleciony kosz z małym okienkiem na wierzchu. Postawili go na podłodze, skłonili się władcyce i stanęli pod ścianą.

W koszu coś dziwacznie szeleściło i niemalże nawet popiskiwało. Siostra Pelagia z ciekawości szyję wyciągnęła i stanęła na palcach, chcąc zajrzeć przez okienko, ale Mitrofaniusz już odchylił wieczko i wsunął do kosza obie ręce.

– Widzisz, cioteczko – powiedział zwykłym, nie pasterskim głosem – chciałem ci pokazać, póki żyjesz. Dlatego właśnie spóźniłem się trochę. Na moje polecenie wysłannicy moi przeszukali całą okolicę, nawet z telegrafu skorzystałem, chociaż, jak ciocia sama wie, nie lubię tych nowinek. W miocie suki majora w stanie spoczynku, Sipiagina, znalazł się biały buldożek płci żeńskiej. I ucho, proszę spojrzeć, właściwe. A z Niżniego, w darze od kupca pierwszej gildii, Sajkina, szybkobieżnym parowym kutrem dwie godziny temu dostarczono mi też białego pieska, półtoramiesięcznego. Ten to w ogóle pod każdym względem zuch. Suczka niezupełnie jest biała, ma ryże skarpeteczki, za to wyjątkowo już krzywe łapy. Wabi się Musia. Sipiagin ledwie oddał – córeczka za nic nie chciała się rozstać. Trzeba było odłączeniem od Cerkwi za zagubienie duszy chrześcijańskiej zagrozić, co z mojej strony było nawet i prawu przeciwne. A szczeniaczek imienia na razie nie ma. Popatrz, cioteczko, na to brązowe ucho. Nos jak trzeba: różowy, nakrapiany, a najważniejsze – mordka wspaniale faflasta. Podrosną szczeniaczki, będzie można na nowo krzyżować. Tylko patrzeć, a za dwa, trzy pokolenia odrodzi się biały buldog.

Mitrofaniusz wyciągnął z kosza dwa brzuchate szczeniaki. Jeden był trochę większy, poszczekiwał ze złością i przebierał łapami, drugi zwisał spokojnie z dłoni biskupa.

Pelagia obejrzała się na umierającą i zobaczyła, że generałowa jest odmieniona, jakby ją kto zaczarował, i do trumny w żadnym razie już się nie nadaje. Wlepiała w buldożki szeroko otwarte oczy, a palce na piersi poruszały się słabo, jakby próbowały za coś chwycić.

Ledwie słyszalny, drżący głos zapytał:

– A ślinią się aby?

Przewielebny szepnął Pelagii: „Doktora!”, sam zaś podszedł do łóżka i położył szczeniaki generałowej na piersi.

– Proszę, niech ciocia sama popatrzy. Cieknie im niteczka.

Pelagia wyskoczyła na korytarz z taką twarzą, że doktor, który był akurat w pobliżu, kiwnął głową ze zrozumieniem.

– Już?

Siostra pokręciła głową, jeszcze pod wrażeniem objawionego właśnie cudu Bożego, i milcząc, pokazała drzwi na znak, że ma wejść.

Doktor wyjrzał po dwóch minutach. Na jego twarz zaskoczenie mieszało się z rzeczowością.

– Pierwszy raz w dwudziestosiedmioletniej praktyce... – powiedział do zebranych przy drzwiach i krzyknął: – Hej! Jest tam kto?! Pokojówka! Gorącego bulionu, najmocniejszego!



Władyka spotkał się z Pelagią w pokojach, w których go umieszczono, odświeżony i wesoły. Zdążył się umyć, przebrać w jasnoszarą domową sutannę i napić zimnego kwasu.

– No, co tam prawosławni? – spytał z szelmowskim uśmiechem. – Pewnie o cudownym uzdrowieniu mówią.

– Rozjechali się prawie wszyscy – zameldowała Pelagia. – I co się dziwić, takie wydarzenie! Każdemu spieszo opowiedzieć domownikom i znajomym. Ale marszałek szlachty jeszcze jest, tak samo Bubiencow ze swoim sekretarzem.

– Znaczy diabełek podwinął ogon? – Mitrofaniusz spoważniał. – Kiedy tyś tu, Pelagio, na darmo czas traciła, u nas, w Zawołżsku, takie sprawy się porobiły...

Mniszka przyjęła wyrzut pokornie, pochyliła głowę. Cóż, jej wina, nie ustrzegła maleńkiego Chapaja, a jeśli pani Marii się poprawiło, to nie przez jej starania.

– Bubiencow w wielką siłę wzrósł, tyle nabajał, taki szum na całą Rosję podniósł, po prostu nie wiem, czy się wybronię...

I przewielebny opowiedział Pelagii wszystko to, co ona już słyszała od samego Bubiencowa, tylko że Mitrofaniusz zabójstwo interpretował zupełnie inaczej.

– Te wszystkie wymysły o bożku Szyszydze to tylko brednie i głupota. Zatracili jacyś źli ludzie dwie dusze człowiecze, rozebrali i głowy odrabali – czy to dla zabawy, czy to ze złości zapiekłej, czy tam jeszcze z czegoś. Mało to takich potworów ziemia nosi? A Bubiencow się ucieszył i dawaj pajęczynę pleść. Kronika przedpotopowa trafiła mu się jak na zamówienie. Sam wiem, że nasi Zytiacy to chrześcijanie bardziej z nazwy i wielu z nich trzyma się pogańskich zabobonów, ale przecież to ludek cichy, spokojny. Nie tylko zabić, ale i ukraść nie mają w zwyczaju. A ten bies w parę dni z głębi ludzkich dusz mął wydobył, donosicieli i oszczerców namnożył. Jak w Ewangelii: „A tedy wielu się ich zgorszy, a jeden drugiego wydadzą, i jeden drugiego nienawidzić będą”. Tfu, co za paskudztwo! Teraz niektórzy wieczorem boją się z domu wyjść, drzwi antabami na noc ryglują – już takiego wstydu u nas od dziesięciu lat nie było, odkąd wszystkich rozbójników wyłapano. Ale nic: Szatan mara, Bóg wiara. Na każde złośliwe matactwo znajdzie się sposób. Tak jak teraz znalazł się tu, w Drozdowce.

I wróciwszy do radosnego tematu, Mitrofaniusz znów odzyskał humor.

– No, jak tam, Pelasiu? – Zmrużył roześmiane oko. – Czy to wybaczalny grzech, jeśli odrobinę będę z siebie dumny?

– Jakże tu nie być dumnym! – szczerze odpowiedziała siostra. – Nie pogniewa się Pan Bóg. Uratowałeś, wasza wielebność, panią Marię i wszyscy to widzieli, wszyscy potwierdzą.

– Tak, tak. Cieszę się zwłaszcza, że łajdakowi temu nieznanemu, co pieski cichaczem mordował, karty pomieszałem. A to paskudnik, pomyśl tylko, już rączki zacierał, że staruszkę zgubił, a tu masz! – I archijerej zrobił z palców tę samą figurę, którą niedawno nazwał diabelskim znakiem. – Rasy jesteśmy mocnej, ciotunia jeszcze z dziesięć lat pożyje, a jak Bóg da, to i piętnaście. I znów te swoje potwory mordziaste wyhoduje.

Całkiem krótko poprzeczwał się Mitrofaniusz i uznał widać, że wystarczy. Spojrzał pytająco na Pelagię, pokiwał głową.

– No co, okazało się, że nieproste było ćwiczenie? A ty pewnie myślałaś: głupstwo, jakieś psy śmiechu warte, nie takie kłębki rozplątywałam. Tylko, widzisz, sprawa sama się rozwiązała. Mówiłem tu „łajdak”, „paskudnik”, a trzeba było „łajdaczka”, „paskudnica”. Wszystko jest przecież jasne. Wściekła się ciocia Maria na legalnych spadkobierców i na złość im spisała testament na rzecz tej Angielki. Nie na serio, rzecz jasna, tylko na postrach. A luterance z chciwości w głowie się zmaciło, co w jej położeniu było całkiem zrozumiałe. Z rezydentki na stare lata na bogaczkę awansować! Niejednemu rozum na bakier by się przekręcił.

– Miss Rigley nie jest stara – powiedziała Pelagia. – Chyba ma nie więcej niż pięćdziesiąt lat.

– Tym bardziej. To ten właśnie wiek, kiedy człowiek zaczyna siły tracić i bać się następnego dnia. Wygonią ją stąd teraz, i słusznie. Niewdzięczność to ciężki grzech, a zdrada – najgorszy.

– Nie można dopuścić, żeby ją wygonili – stanowczo oświadczyła

Pelagia. – Miss Rigley psów nie zabijała. Kiedy podszypano trucizny Hulajowi i Łapajowi, testament nie był jeszcze zmieniony na jej korzyść. Myślę, że spadek w ogóle nie ma z tym nic wspólnego.

– Jak to „nic wspólnego”? Po co w takim razie było staruchę do grobu wpędzać? I kto to wszystko wymyślił, jeśli nie Angielka?

Mitrofaniusz ze zdziwieniem patrzył na swoją córkę duchową, a ta poruszyła w górę i w dół rudymi, do tego jeszcze wypłowiałymi na słońcu brwiami i palnęła, jakby z wysokiego brzegu skakała do rzeczki:

– Po co, sama nie rozumiem, a kto pieski pozabijał, chyba wiem.

Do drzwi zastukano delikatnie, lecz stanowczo – bardzo nie w porę. Diakon wsunął głowę.

– Wasza przewielebność, całe towarzystwo zebrało się w bawialni i bardzo prosi. Mówię im: odpoczywa po podróży, a oni „uprosz” powiadają. Marszałek szlachty tylko na władykę czeka, nawet jego karetę już zaprzężona, ale bez błogosławieństwa biskupiego nie chce nigdzie jechać. Może wyjdzie wasza przewielebność?

Archierej przeniósł wzrok z ojca Aleksego na Pelagię, na czole zarysowały mu się trzy poprzeczne zmarszczki.

– Zdaje się, Pelagio, że czeka nas długa rozmowa. Chodźmy do bawialni. Zrobię, czego przyzwoitość wymaga, a potem znów się spotkamy.



W salonie rzeczywiście zebrało się całe towarzystwo, które powitało biskupa pełnym zachwytem szmerem i pewnie rozległyby się oklaski, gdyby nie szacunek dla wysokiej godności. Bubiencow też podszedł i powiedział wylewnie:

– Dozgonna wdzięczność, władyko, za cioteczkę.

Miał za co dziękować. Teraz będzie mógł od nowa podkopywać się pod testament. Zadowolona twarz Mitrofaniusza na chwilę

sposępniała (najwyraźniej od tej właśnie myśli) i pasterz odwrócił się od nieprzyjemnego młodego człowieka, jakby zapomniawszy go pobłogosławić.

A z drugiej strony już podłaził Zbawieny, łzawo dogadując:

– Jakiż to żywot nasz: kwiat i dym, i rosa poranna zaiste. Rączkę, rączkę świętą pocałować...

– Szanowni państwo! – ogłosił Krasnow. – Właśnie narodził się wiersz. Posłuchajcie, drodzy państwo. Improwizacja. W stylu wielkiego Dierżawina! Oda na cudowne zratowanie drozdowskiej carycy Marii Afanasjewny od śmiertelnej zguby.

Bardon trącając wymowny,
Ćmy Rosjan radosnych imieniem,
Szczęsnym rozgłosić chcę pieniem
Carycy ratunek cudowny.

Od jadu gadziny szpetnej,
Twej niewolnicy występnej,
Śmierci zaznały podstępnej
Anioły twoje prześwietne.

Lecz wola Niebios odparła
Nikczemność zbrodnią ciężarną:
Władyki dłonią mocarną
Żądło obmierzłe wydarła!^[7]

– Kiryle Nifontowiczu! – zakrzyczała drżącym głosem miss Rigley, przerywając poecie deklamację i wyciągając ku niemu chude ręce. – Czy i pan się mnie wyparł?

Włodzimierz Lwowicz uśmiechnął się nieprzyjemnie.

– Doskonale! Zaiste, jak to mówią, na złodzieju czapka gore.

Jakoś samo przez się tak wyszło, że Angielka znalazła się w środku pustego koła, jakby specjalnie wystawiona na widok ogólny.

– Miss Rigley rzeczywiście nie lubiła babcinych buldogów, ale przypuszczać, że ona... Nie, nie, to nie do pomyślenia. – Piotr Gieorgijewicz pokręcił głową. – Pan jej zupełnie nie zna, panie Włodzimierzu. To znaczy, oczywiście, jeśli spojrzeć na sprawę z boku, wszystko to może się wydawać, a pewnie nawet nie może się nie wydawać, w najwyższym stopniu podejrzane. Jednakże jako człowiek znający miss Rigley od najwcześniejszego dzieciństwa mogę w zupełności za nią ręczyć i zapewniam pana, że to przypuszczenie nie ma żadnych...

– To ona, Angielka, nikt inny – przerwał jego chaotyczną obronę któryś z gości. – I zamysł, nieprawdaż, jakiś nierosyjski. Nie zwyczajnie wziąć i zabić, tylko serce człowiekowi naderwać. Bardzo przemyślnie jak na prawosławnego. Co tu gadać, sprawa jasna.

Zbawieny dodał:

– Oczy macie ku patrzeniu, uszy macie ku słyszeniu.

– Ach, przestańcie, co za bzdury! – Panna Naina podeszła do miss Rigley i wzięła ją za rękę. – Don't listen to them. They do not know what they are saying^[8] – Odwróciła się i obrzuciła wszystkich nienawistnym wzrokiem. – Już wydali wyrok! Ja Dżanety skrzywdzić nie dam!

Angielka zaszlochotała i z wdzięcznością przypadła czołem do ramienia swojej wychowanki.

– Ależ, panno Naino, nie jest w naszej mocy zapobiec wymaganemu przez prawo dochodzeniu – zauważył marszałek szlachty. – Rozumiemy, rzecz jasna, i szanujemy pani uczucia, ale niech policja zbada, czy są w tej historii cechy przestępstwa i kto ponosi odpowiedzialność. Wedle mego głębokiego przekonania mamy tu przestępstwo, które powinno być potraktowane jako próba

zabójstwa. Jestem pewien, że tak orzeknie sąd przysięgłych.

– To katorga? – pisnęła z przerażeniem miss Rigley, oglądając się na boki jak zaszczute zwierzątko. – Sybir?

– No, przecież nie Brighton – złowieszczo odpowiedział marszałek, szczytując się znajomością europejskich kurortów.

Angielka opuściła głowę i utraciwszy najwidoczniej wszelką nadzieję, cicho zapłakała. Naina Gieorgijewna, zarumieniona z oburzenia, objęła ją za ramiona i zaczęła szeptać jakieś pocieszające słowa, ale miss Rigley powtarzała tylko z goryczą:

– Nie, nie, jestem tu obca, the Jury will condemn me^[9]...

Siostra Pelagia, której serce pękało na widok tej żałosnej sceny, spojrzała błagalnie na przewielebnego. Ten uspokajająco kiwnął głową. Stuknął pastorałem o podłogę, odkaslnął i wszyscy od razu zamilkli, odwracając się do niego z szacunkiem.

– Zostawcie tę kobietę! – zagrmiał władyka. – Jest niewinna.

– No, ale co z testamentem, wasza przewielebność? – Marszałek rozłożył ramiona. – Przecież to pierwsza zasada śledztwa: cui prodest?
^[10]

– Panie hrabio – mentorsko pogroził mu palcem biskup – bułki niech wypieka piekarz. Pańska sprawa to opiekować się naszą szlachtą, a nie zajmować się śledztwem, do czego pan, proszę się nie gniewać, nawet predyspozycji żadnych nie ma.

Marszałek uśmiechnął się z zakłopotaniem, a Mitrofaniusz, wciąż niespiesznie, kontynuował:

– Nie należy lekceważyć zapewnień młodego człowieka i panny, znających tę osobę niemal od urodzenia. A jeśli panu to nie wystarczy, to za pozwoleniem: pierwszego psa zabito, kiedy testament nie był jeszcze przerobiony na rzecz panny Rigley. Gdzie tu prodest hrabiego Gawryły Aleksandrowicza, co?

– Hmm, prawda! – pstryknął palcami nonszalancki Poggio. – Bystry jest nasz władyka.

Zmieszany ostatecznie marszałek szlachty jeszcze szerzej rozłożył ramiona.

– Ale, przepraszam, kto w takim razie pozabijał psy? Czy to na zawsze pozostanie osłonięte tajemnicą?

Milczenie było tak pełne napięcia, spojrzenia, ze wszystkich stron skierowane na archijereja, były tak pełne oczekiwania, że Mitrofaniusz nie oparł się pokusie.

– Przed ludźmi osłonięte, ale Bogu wiadome – wypowiedział ważne słowa. – A poprzez Niego i sługom Jego.

Teraz w bawialni zamarł wszelki ruch. Przy drzwiach, chwyciwszy się obiema rękami za tasiemkę białego fartuszka, zastygła pokojówka Tania. Sceptycznie pochylił głowę Bubiencow. Miss Rigley podniosła chusteczkę do oczu, by otrzeć łzy, i też znieruchomiała. Nawet dumna panna Naina wpatrywała się we władzkę jak zaczarowana.

Mitrofaniusz wziął za rękę Pelagię i wyprowadził ją na środek pokoju.

– Z mojego polecenia spędziła tu kilka dni siostra Pelagia, osoba o przenikliwym oku. Nakazuję ci, córko, opowiedzieć tym ludziom to, co ujawniłaś. Ta sprawa nazbyt podnieciła umysły i zamąciła w duszach, nie będziemy więc robić z tego tajemnicy.

Pelagia spuściła wzrok i dotknęła palcem okularów tuż u nasady nosa, co było u niej oznaką niezadowolenia, ale nie wypadało jej złościć się na władzkę. Mogła tylko wykonać polecenie.

– Za błogosławieństwem waszej przewielebności, opowiem – powiedziała, przewyciężając zrozumiałe zdenerwowanie. – Ale najpierw poproszę o wybaczenie. Powinna być wcześniej się zorientować. I małeństwo niewinne by żyło, i Maria Afanasjewna uniknęłyby bolesnego wstrząsu, który omal nie wpędził jej do grobu. Spóźniłam się, dopiero dziś rano coś niecoś mi się rozjaśniło, a i to nie do końca...

Wszyscy słuchali mniszki bardzo uważnie, bodaj oprócz Włodzimierza Lwowicza – ten stał, wzięwszy się pod boki, i patrzył na zakonnice z ironicznym zdziwieniem. A i jego zauszniak, Tichon Jeremiejewicz, zaraziwszy się przykładem pana, skorzystał z chwili milczenia, żeby półgłosem, jakby sam do siebie, powiedzieć:

– A niewiasty niech milczą, albowiem nie dopuszcza się im mówić, ale poddanymi być, jako i prawo głosi.

– Proszę nie przekreślać Pisma Świętego, to grzech wielki i karze podlegający – nie przepuścił mu złościwości Mitrofaniusz. – Święty apostoł mówi „niech milczą w kościołach”, to mając na myśli, że podczas nabożeństwa niewiasty gadatliwe milczeć powinny, ale prawo chrześcijańskie ust kobietom nie zamyka. To już pan szanowny najwidoczniej z islamem pomylił.

– Moja wina, władzyko, ubogi pamięcią się stałem – pokornie odpowiedział Zbawieny i nisko, niemal do samej ziemi, ukłonił się przewielebnemu.

Pelagia przeżegnała się. Wiedziała, że już niedługo w cichej teraz bawialni rozlegnie się wycie jak w Sodomie i Gomorze, ale cóż mogła na to poradzić... Zaczęła więc mówić:

– Tu, w Drozdowce, dokonano trzech zabójstw: pierwszego – pięć dni temu, drugiego – przed trzema dniami, a ostatniego wczoraj wieczorem. Właśnie zabójstw, chociaż to nie ludzi zabijano. Pierwsze zabójstwo zostało przygotowane zawczasu, z ostrożnym rozmysłem. Ktoś chciał otruć naraz i Hulaja, i Łapaja. Za drugim i trzecim razem wyszło inaczej: zabójca w ogóle się nie przygotowywał, działał w pośpiechu, bił tym, co nawinęło się pod rękę. Kiedy zabito Łapaja, użyto siekiery, wziętej z budki w sadzie. Wczoraj wystarczył nawet zwykły kamień. Wiele to maleństwu potrzeba? Pewnie nawet pisnąć nie zdążyło...

Mniszka znowu się przeżegnała, choć po psie właściwie nie

wypadało. Ale co tam, bywa gorzej.

– Jasne jest jedno: zabójstwo psów nie ma z testamentem nic wspólnego, ponieważ, jak już mówił władyka, zmiana ostatniej woli nie wpłynęła na złowrogi zamiar mordercy. Ten człowiek i tak doprowadził swój podły zamysł do końca. Albo chciał w ten sposób zgładzić panią Marię, albo dążył do innego, nieznanego nam celu. Ale i w tym drugim wypadku jego postęпки są w dwójnasób obrzydliwe – z powodu obojętności, z jaką morderca patrzył na cierpienia nieszczęsnej kobiety. Przecież nie mógł nie rozumieć, że niszczy jej duchowe i fizyczne zdrowie... A najbardziej zagadkowe jest – Pelagia poprawiła ześlizgujące się okulary – skąd ten pośpiech z Łapajem i Chapajem? Dlaczego tak ryzykował? W obu przypadkach po parku spacerowali ludzie. Mogli go zobaczyć, zdemaskować. Ja na przykład wczoraj omal nie złapałam złoczyńcy na miejscu przestępstwa, nawet słyszałam jego kroki, ale, wstyd powiedzieć, nie odważyłam się go gonić, a kiedy nabrałam ducha – już było za późno. W okrucieństwie i bezczelności przestępcy wyczuwa się jakąś szczególną namiętność. Czy to nienawiść, czy to strach, czy to jeszcze co innego? Nie wiem i nie podejmuję się zgadywać. Cała nadzieja w tym, że zbrodniarz... lub raczej zbrodniarka sama nam opowie.

– Zbrodniarka?! – krzyknął ze zdziwieniem Szyriajew. – Czyli chce siostra powiedzieć, że zabójcą jest osoba płci żeńskiej?

Wszyscy zaczęli mówić naraz, a Mitrofaniusz spojrział na Pelagię z pewnym powątpiewaniem i zdaje się pożałował już, że upoważnił ją do wskazania przestępcy.

– A więc to jednak Angielka? – zaplątał się już ostatecznie hrabia.

Naina Gieorgijewna wyzywająco uniosła kształtny podbródek.

– Nie, przecież powiedziano już panu, że nie. Aluzja wydaje się oczywista. Oprócz miss Rigley jest tu tylko jedna kobieta – ja.

– A Tatiana Zotowna to dla ciebie nie kobieta? – obraził się młody

Piotr za swoją Dulcyneę, ale od razu zrozumiał, że wstawił się za nią nie najzręczniejszym, i zmieszał się. – Ach, Taniu, proszę wybaczyć, ja zupełnie nie w tym sensie...

Opamiętawszy się, przyskoczył do zakonnicy jak rozzłoszczony kogucik:

– Co za brednie! Obłąd! Dlaczego siostra jest taka pewna, że to kobieta? Objawienie czy jak?

Tichon Jeriemiejewicz, który najwyraźniej wciąż jeszcze nie wybaczył Pelagii zesłania do bocznego skrzydła, przytoczył odpowiednie porzekadło:

– Usta głupców głupstwa wylewają.

I obejrzał się, szukając poparcia swojego pana, ale Bubiencow nawet na niego nie spojrzął, za to na mniszkę patrzył już nie tak jak przedtem, ale z wyraźnym zainteresowaniem. Osobliwie zachowywał się teraz wysłannik Synodu: zazwyczaj w towarzystwie wywodził trele jak słowik i nie znosił, żeby komuś innemu poświęcano uwagę, tym razem przez cały wieczór ust nawet nie otworzył.

– Objawienia nie było – spokojnie odpowiedziała Pelagia – zresztą do niczego nie jest potrzebne, wystarczy zwykły ludzki rozum. O świcie udałam się tam, gdzie wczoraj zabito Chapaja. Ziemia wokół jest cała wydeptana, pewnie ktoś krążył w pobliżu tego miejsca, i to dość długo. Koło dołka, który został po kamieniu, jest ślad prawej nogi, głębszy, jakby ktoś, schylając się, wsparł się na niej. I jeszcze jeden, dokładnie taki sam, tam gdzie zabójca się pochylił, żeby uderzyć szczeniaka po głowie. Ślad zostawił damski pantofelek, na obcasie. Obuwie na obcasach noszą w tym domu tylko dwie osoby: miss Rigley i Naina Gieorgijewna. – Z torebki zawieszanej u pasa Pelagia wyciągnęła arkusik papieru z narysowanym konturem podeszwy. – Oto ten ślad, długość stopy: dziewięć i pół cala. Można przyłożyć, żeby się przekonać.

– Ja mam stopę nie dziewięć i pół cala, tylko jedenaście – oświadczyła z przestraczem miss Rigley, już drugi raz tego wieczoru znalazłszy się w ogniu podejrzeń. – Proszę, popatrzcie państwo.

I na potwierdzenie swoich słów wysoko zadarła nogę w sznurowanym buciku, ale nikt na nią nie patrzył, wszyscy bowiem rzucili się na pomoc Pelagii, do której doskoczyła panna Naina.

Egzaltowana dziewczyna krzyczała, targając zakonnicę za kołnierz:

– Wywachała, wypatrzyła, czarna myszka! Tak, ja to zrobiłam, ja! A dlaczego, to nikogo nie obchodzi!

Okulary spadły na podłogę, zatrzeszczało płótno, a kiedy Nainę Georgijewnę nareszcie odciągnięto, ze sporego zadrapania na policzku siostry ciekła krew.

I wtedy, jak przewidziała Pelagia, wszczęło się wycie niczym w Sodomie i Gomorze.

Panicz Piotr roześmiał się niepewnie.

– No nie, Naineczko, no nie. Czemu sama się oskarżasz? Znów chcesz być oryginalna?

Ale najgłośniej ze wszystkich grzmiał Szyriajew.

– Naino, ale dlaczego?! – krzyknął pełnym bólu głosem. – Przecież to straszne! Podłe!

– Straszne? Podłe? Są granice, za którymi nie ma już ani strachu, ani podłości!

Błysnęła oszalałym wzrokiem, w którym nie było nawet cienia poczucia winy, skruchy czy choćby wstydu – tylko ekstaza i dziwny tryumf. Można nawet powiedzieć, że oblicze młodej damy nabrało jakiegoś majestatu.

– Bravo! Poznałem! Makbet, akt drugi, scena chyba też druga! – Arkadiusz Siergiejewicz udał, że klaszcze. – Ci sami i Lady Makbet:

Spójrz – moje ręce są krwawe jak twoje,

Wstydzić mnie może tylko bladość serca^[11]

– Publiczność szaleje, scena zarzucona bukietami. Brawo!

– Błaznie żałosny, pacykarzu nieudolny – zasyczała niebezpieczna panna. – W sztuce nie masz czego szukać, a twoja drewniana skrzynka nie na długo cię uratuje. Już wkrótce każdy, kto zechce, będzie fotografem i jedno ci tylko zostanie: żywe obrazki na jarmarku odgrywać!

Piotr wziął siostrę za rękę.

– Naina, Naina, opamiętaj się! Nie jesteś sobą. Wezwę doktora.

W chwilę później wściekłe pchnięcie omal nie powaliło go na ziemię, a gniew rozszalałej furii spadł na krewniaka.

– Piotrusi, braciszek ukochany! Wasza wysokość! Coś się zmarszczył? Ach, nie lubisz, jak cię „wysokością” nazywają! Ty przecież u nas za demokratę paradujesz, jesteś ponad tytuły. To dlatego, Piotrusieńku, że nazwiska się swojego wstydzisz. „Książę Tielianow” jakoś tak wątpliwie brzmi. Co to za książęta, o których nikt nie słyszał? Jakbyś był Oboleńskim czy Wołkońskim, to i „wysokością” byś nie pogardził. Żeń się, żeń się z Taniuszką. Będziesz miał księżnę w sam raz dla ciebie. Tylko co ty z nią będziesz robił, Piotrusiu, co? Książki jej mądre czytał? Dla kobiety to za mało, całkiem niewystarczająco. A do czego innego nie jesteś zdolny. Trzydziestka, a wciąż kawaler. Ucieknie od ciebie do jakiegoś chwata.

– Diabli wiedzą, co to takiego! – oburzył się marszałek szlachty. – Takie nieprzyzwoitości przy władcy, przy nas wszystkich! Przecież to atak hysterii, najnormalniejsza histeria.

Stiepan Trofimowicz pociągnął gwałciicielkę dobrych obyczajów do drzwi.

– Chodźmy, Naino. Musimy porozmawiać.

Dziewczyna zaśmiała się urągliwie.

– No, a jakże, koniecznie porozmawiać i łzami czystymi się obmyć. Ależ mi pan dojadł swoją uczuciową gadaniną! Bu-bu-bu, siu-siu-siu –

przedrzeźniała Naina – obowiązki wobec ludzkości, komunია dusz, za sto lat świat zmieni się w sad. Nie żeby dziewczynę po prostu objąć i pocałować. Idiota! Wodę sitem czerpał.

Sytnikow też chciał coś powiedzieć, już nawet usta otworzył, ale po klęskach, jakie spotkały poprzedników, uznał, że rozsądniej będzie siedzieć cicho. Dostało mu się i tak.

– A pan, panie Donacie, co tak spode łba na mnie patrzy? Nie podoba się? Może piesków żal się zrobiło? A czy to prawdę mówią, że żonę swoją stukilową trującym grzybem się otruło? Wakat dla nowej małżonki się przygotowało? Nie dla mnie przypadkiem? Ja co prawda jeszcze w krótkich spódniczkach biegałam, ale z pana przecież człek solidny, daleko naprzód patrzący!

Zachłysnęła się krótkim, zdławionym szlochem i rzuciła ku drzwiom – wszyscy rozstępowali się trwożnie, usuwając się jej z drogi. Na progu Naina Georgijewna odwróciła się, omiotła spojrzeniem salę, na mgnienie oka zatrzymała wzrok na Bubiencowie (który stał z wesołym uśmiechem, najwidoczniej rozkoszując się skandalem) i oświadczyła:

– Wyjeżdżam. Zamieszkać w mieście. Myślcie o mnie, co chcecie, mam to w nosie. A na was wszystkich, ze wścibską mniszką i samym przewielebnym Mitrofaniuszem włącznie, rzucam klątwę!

I z tym kiepskim żartem na ustach wypadła z komnaty, jeszcze na pożegnanie trzasnąwszy drzwiami.

– W dawnych czasach powiedzieliby: w młódkę bies się wcielił – ze smutkiem podsumował zdarzenie Mitrofaniusz.

Obrażony Sytnikow burknął:

– U nas, w kupieckim stanie, wychłostałiby ją różgami i bies raz-dwa by się wyprowadził.

– Och, jak to babci powiedzieć? – Piotr Georgijewicz złapał się za głowę.

Bubiencow wzdrygnął się.

– Ciotuni nie można! To ją zgubi. Potem, nie teraz. Niech wróci trochę do siebie.

Marszałka niepokoiło co innego.

– Ale cóż to za dziwaczna nienawiść do psów? Chyba rzeczywiście jakieś pomieszanie. Czy jest taka choroba psychiczna – kynofobia?

– To nie pomieszanie. – Pelagia oglądała swoją chusteczkę, sprawdzając, czy przestał krwawić zadrapany policzek. Dobrze chociaż, że okulary się nie rozbiły. – Tu jakaś tajemnica się kryje. Trzeba to rozwikłać.

– A czy jest się czego uchwycić? – spytał władyka.

– Jak się poszuka, to się znajdzie. Mnie jedna rzecz spokoju nie daje...

Ale Szyriajew nie dał zakonniczy dokończyć zdania.

– Co się ze mną dzieje, zupełnie osłupiałem! – potrząsnął głową, jakby chciał odpędzić od siebie jakąś zmorę. – Zatrzymać ją! Ona się zabije! To gorączka!

Wybiegł na korytarz. W ślad za nim rzucił się młody Piotr. Arkadiusz Siergiejewicz po chwili wahania wzruszył ramionami i poszedł za nimi.

– Istne psie wesele – skonstatował Sytnikow.



Księżyc, chociaż zaczął się już cofać, wciąż jeszcze był przyjemnie okrągły i świecił nie słabiej od kryształowego żyrandola, a i gwiazdy, niczym małe lampioniki, podświetlały, jak mogły, granatowe sklepienie, toteż noc była niewiele ciemniejsza od dnia.

Władyka i Pelagia niespiesznie szli główną aleją parku, z tyłu zaś, sennie przebierając kopytami i brzęcząc uprzężą, konie wlokły za sobą niemal zlewającą się z drzewami i krzakami karete.

– ...Patrzcie go, sępa – mówił Mitrofaniusz. – Widziałas, jak po Korsza posyłał? Teraz już się nie odczepi, swoje urwie. Szurnięta panna ułatwiła mu zadanie – o jedną spadkobierczynię mniej. Ja ciebie, Pelagio, o jedno tylko proszę. Przygotuj ciocię tak, żeby jej znowu nie podcięło. Nielekko dowiedzieć się czegoś takiego o własnej wnuczce. I pomieszkaj tu jeszcze przez jakiś czas, pobądź przy niej.

– Nie podetnie. Wierz mi, ojcze, że pani Maria znacznie mniej przejmuje się ludźmi niż psami. Ja oczywiście z nią posiedzę i, jak potrafię, pocieszę, ale lepiej będzie dla sprawy, jeśli wrócę do miasta.

– Dla jakiej znowu sprawy? – zdziwił się przewielebny. – Już po sprawie. A, jeszcze chcesz się dowiedzieć, dlaczego Naina te psy wykończyła.

– To mnie właśnie ciekawi. W tym jest coś niesamowitego, aż dreszcz przechodzi. Bardzo trafnie to, ojcze, powiedziałeś, że bies się w nią wcielił.

– To przesąd. Wierzysz w szatańskie opętanie? – zdziwił się jeszcze bardziej Mitrofaniusz. – Ja przecież powiedziałem to w przenośni. Nie ma żadnego biesa, jest zło, bezkształtne i wszechobecne, i ono właśnie dusze wodzi na pokuszenie.

Pelagia posłała biskupowi spojrzenie, błyskając okularami.

– Jak to nie ma biesa? A kto dzisiaj przez cały wieczór na ludzką obrzydliwość zęby szczyrzył?

– Ty o Bubiencowie?

– A niby o kim? On właśnie jest biesem, w całym należnym rynsztunku. Złośliwy, jadowity, zniewalający. Jestem pewna, że cała ta sprawa z nim się wiąże. Widziałeś, ojcze, jakie spojrzenia panna Naina mu rzucała? Jakby spodziewała się pochwały. To dla niego przecież urządziła ten spektakl z krzykiem i zgrzytaniem zębami. My, cała reszta, to dla niej nic, tło sceniczne.

Archijerej milczał, bo żadnych takich szczególnych spojrzeń nie

zauważył, ale spostrzegawczości Pelagii ufał bardziej niż własnej.

Wyszli przez bramę parku na pustkowie. Aleja przeszła w drogę, ciągnącą się przez pole do Traktu Astrachańskiego. Władyka zatrzymał się, żeby poczekać na karete.

– A po co ci do miasta? Przecież Naina tam się nie zatrzyma, wyjedzie. Jak wiadomość o tych wyczynach się rozejdzie, nikt jej nie będzie chciał znać. I mieszkać gdzie tam nie ma. Na pewno wyjedzie – do Moskwy, do Petersburga albo w ogóle za granicę.

– Za nic. Gdzie będzie Bubiencow, będzie ona – z przekonaniem oznajmiła mniszka. – I ja też powinnam być w pobliżu. Co do ludzkiego potępienia, to Naina Gieorgijewna w swej obecnej zapiekłości tylko się nim rozkoszuje. A żyć tu ma gdzie. Słyszałam od pokojówki, że w Zawołzsku ma własny dom, odziedziczyła go po jakiejś krewnej. Nieduży, ale w ładnym miejscu i z sadem.

– Myślisz więc, że Bubiencow jest w to zamieszany? – Władyka postawił nogę na stopniu karety, ale nie spieszył się z wsiadaniem. – To by było bardzo wygodne. Gdyby przyłapać go na jakimś oczywistym paskudztwie, mniej by mu w Synodzie dawano wiary. Bez tego boję się, że nie poradzę sobie z jego zaciekłością. Najprawdopodobniej najgorsze próby jeszcze przed nami. Ty w każdym razie jutro wracaj. Będziemy razem myśleć, jak z naszym kłopotem się uporać. Pewnie i bez pani Lisicynej się nie obejdziemy.

Zagadkowe te słowa dziwnie podziały na mniskę: jakby i ucieszyła się, i przestraszyła.

– To przecież grzech, władyko. I przyrzekaliśmy sobie...

– To nic, sprawa ważna, znacznie ważniejsza od poprzednich – westchnął władyka, siadając na siedzeniu naprzeciw ojca subdiakona.
– Moja decyzja, to i ja odpowiadam przed Bogiem i ludźmi. No, błogosławię cię, córko. Żegnaj.

I kareta, rozpędzając się, niemal bezszelestnie pomknęła po

miękkiej od pyłu drodze, a siostra Pelagia zawróciła do parku.

Szła jasną aleją, w górze też było jasno, ale drzewa po obu stronach tworzyły dwie ciemne ściany i wyglądało to tak, jakby mniszka wędrowała dnem dziwnego, oświetlonego wąwozu.

Na wprost niej, na samym środku ścieżki, białął jakiś kwadrat, a pośrodku niego czerniał jeszcze mały prostokąt. Kiedy szła tędy z władką jakieś pięć czy dziesięć minut temu, niczego podobnego tu nie było.

Pelagia przyspieszyła kroku, żeby z bliska obejrzyć dziwne zjawisko. Podeszła, przykucnęła.

Dziwne: duża biała chustka, na niej książka w czarnej skórzanej oprawie. Wzięła ją do ręki – modlitewnik. Najzwyklejszy, taki, jakie się wszędzie spotyka. Co za cuda!

Pelagia chciała popatrzeć, czy nie ma tam czegoś między kartkami, ale w tym momencie z tyłu rozległ się jakiś szelest. Obejrzyć się nie zdążyła – ktoś naciągnął jej na głowę worek, ocierając policzki. Jeszcze nic nie zdążywszy zrozumieć, z samego tylko zaskoczenia, mniszka krzyknęła, ale zakrztusiła się i zasapała – na worku zaciągnęła się sznurowa pętla. Pelagię ogarnęło zwierzęce, czarne przerażenie. Zaczęła się szarpać, drapać palcami po worku, po grubym sznurze. Ale objęły ją jakieś mocne ręce, nie dając ani się wyrwać, ani osłabić uścisku. Ktoś głośno, gorączkowo dyszał jej w prawe ucho, a ona sama ani wciągnąć, ani wytchnąć powietrza nie mogła.

Spróbowała uderzyć piąstką do tyłu, ale nie była w stanie wziąć zamachu. Wierzgnęła nogą, w coś tam trafiła, ale chyba za słabo – habit złagodził siłę ciosu.

Czując, jak narasta szum w uszach i coś coraz mocniej ciągnie ją w czarną, kojącą otchłań, mniszka wyrwała z torebki u pasa robótkę, chwyciła mocniej za druty i wbiła je w coś miękkiego, raz, potem jeszcze raz.

– Uuu!

Ryk z głębi trzewi, i uścisk zelżał. Pelagia ponownie machnęła drutami, ale tym razem w pustkę.

Nikt już jej nie trzymał, nie przyduszał łokciem gardła. Padła na kolana, zerwała przeklętą pętlę, ściągnęła z głowy worek i zaczęła chrapliwie chwytać ustami powietrze, mamrocząc:

– Matko... Prze... najświętsza... Boga... rodzico... obroń... od wrogów widzialnych... i niewidzialnych...

Kiedy tylko pojaśniało jej odrobinę w oczach – rozejrzała się wokoło.

Nikogo. Ale końce drutów były ciemne od krwi.

Część druga

Patrzajcie się złych
pracowników

VI

Soiree

A teraz przepuścimy miesiąc z kawałkiem i przejdziemy od razu do rozwikłania naszej splątanej historii, ściślej – do serii wypadków, które do niego doprowadziły. Zapoczątkował je wieczór dla starannie dobranych gości w domu Olimpiady Sawieljewny Szestago. Sama poczmistrzowa wołała owo święto ku czci współczesnej sztuki nazwać dźwięcznym słowem soiree – i niech już tak zostanie, tym bardziej że owo soiree Zawołużsk nieprędko zapomni.

Co do przepuszczonego w naszej opowieści miesiąca, to nie można powiedzieć, żeby w tym czasie nic się nie działo – owszem, działo się, i to nawet bardzo wiele, jednakże wszystkie te wydarzenia nie miały bezpośredniego związku z głównym nurtem naszej opowieści, toteż przemkniemy po nich szybko, jak mawiali starożytni – „lekką stopą”.

Skromna nazwa naszej guberni zagrzmiała na całą Rosję, a nawet poza jej granicami. Niemal co dzień pisały o nas stołeczne gazety, które podzieliły się na dwa obozy: stronnicy pierwszego utrzymywali, że zawołużańska kraina stała się nowym Kulikowym Polem, na którym toczy się święty bój o Ruś, wiarę i Cerkiew Chrystusową, a ich oponenti, przeciwnie, nazywali to, co się działo, średniowiecznym ciemnogrodem i nową inkwizycją. Nawet w londyńskim „Timesie” napisano, że w imperium rosyjskim, w jakimś niedźwiedzim mateczniku zwącym się Zavołger (sic!), wykryto przypadki składania ofiar z ludzi, wobec czego trzeba było delegować tam carskiego komisarza i powierzyć mu nadzwyczajny zarząd nad całym tym terenem.

No, co do nadzwyczajnego zarządu, to Anglicy nałgali, ale w istocie działały się takie rzeczy, że aż w głowie się kręciło. Włodzimierz Lwowicz Bubiencow, uzyskawszy pełne poparcie wysokich sfer, nadał śledztwu w sprawie głów (a właściwie ich braku) iście napoleoński rozmach. Powołano Komisję Nadzwyczajną do sprawy Ofiar z Ludzi. Na jej czele stanął sam Bubiencow, a członkami tego specjalnego organu zostali przysłani z Petersburga agenci, wzmocnieni przez kilku miejscowych śledczych i policjantów, przy czym wszystkich dobrał osobiście Włodzimierz Lwowicz. Komisja nie podlegała ani gubernatorowi, ani prokuratorowi okręgowemu i nie opowiadała im się ze swoich czynności.

Więcej trupów na szczęście nie znaleziono, ale policja dokonała kilku aresztowań wśród Zytiaków, a niektórzy z zatrzymanych jakoby się przyznali: za głuchymi Bagnami Wołoczajskimi, w niedostępnych lasach, jest jakaś polana, na której w nocy z czwartku na piątek pali się ogniska ku czci Szyszygi i przynosi mu w workach dary, a co to za dary, wiadomo tylko starszyźnie.

Dzielny inspektor Bubiencow zorganizował ekspedycję i sam stanął na jej czele. Kilka dni myszkował pośród bagien i mateczników i w końcu znalazł jakąś podejrzaną polanę, co prawda bez kamiennego bałwana, za to z czarnymi śladami po ogniskach i ze zwierzęcymi kośćmi. W sąsiedniej zytiackiej wsi aresztowano sołtysa i jeszcze jednego staruszka, który podobno był szamanem. Zatrzymanych posadzono na furę, przewieziono przez gać, a na wyspie pośród moczarów napadli na konwój zytiaccy chłopci z kłonicami i nożami – chcieli odbić swoich starców. Policjanci (było ich przy Bubiencowie dwóch) wzięli nogi za pas, Zbawieny ze strachu zeskoczył w trzęsawisko i omal się nie utopił, ale sam inspektor okazał się niestrachliwy: jednego z napastników zastrzelił na miejscu, dwóch innych Czerkies zarznął swoim strasznym kindżalem, a reszta

buntowników pierzchła.

Potem Bubiencow wrócił do wsi z asystą wojskową, lecz zastał tylko puste chaty: Zytiacy zwinęli się i schronili w głębi lasu. O bohaterstwie inspektora rozpisały się wszystkie gazety, a nawet pisma ilustrowane, które przedstawiały go jako przystojnego chwata z sumiastym wąsem i orlim nosem. Od Najjaśniejszego Pana śmiałek dostał „Annę”, od Konstantego Pietrowicza zaś pochwałę, którą ludzie świadomi rzeczy uznali za więcej wartą niż carski order.

W guberni wszyscy jakby głowy potracili. Jak świat światem leśni Zytiacy nie dopuszczali się takich zuchwałości. Nawet za Pugaczowa się nie buntowali i służyli wojskom rządowym za przewodników, więc co ich teraz naszło?

Niektórzy mówili, że to Bubiencow do tego doprowadził, bezecnie zakuwszy w łańcuchy i rzuciwszy na brudną furę szacownych zytiackich starców, ale wielu, bardzo wielu inaczej rzecz oceniło. Ich zdaniem rację miał przenikliwy inspektor: wyszło na to, że w cichej toni kryły się groźne biesy.

Niespokojnie zrobiło się na Zawołżu. Nikt już teraz po leśnych drogach nie jeździł w pojedynkę – i to w naszej cichej guberni, gdzie o takiej ostrożności w ostatnich latach nawet nie myślano!

Inspektor Bubiencow rozjeżdżał wszędzie ze zbrojną ochroną, osobiście wizytował powiaty, domagał się wyjaśnień i od horodniczych, i od dowódców garnizonów, i od naczelników policji, a wszyscy mu się podporządkowywali.

Taka to powstała u nas dwuwładza. I co się dziwić? Za sprawą tej pogańskiej samowoli władcyka został skompromitowany w oczach cerkiewnej zwierzchności, toteż wielu zacnych ludzi, wyczuwszy, skąd wiatr wieje, już nie jeździło z pokłonem do pałacu arcybiskupiego, tylko do Hotelu Wielkksiążęcego, do Bubiencowa. Również władza administracyjna utraciła dawną nieugiętość.

Policmajster Lagrange, na przykład, może nie przestał całkiem słuchać gubernatora, ale każdy jego rozkaz, w najdrobniejszej nawet sprawie, w rodzaju wprowadzenia numerów dla dorożek, biegł uwierzytelnić u inspektora Synodu. Feliks Stanisławowicz opowiadał wszystkim, że baron dożywa ostatnich dni na gubernatorskim urzędzie, a wobec przyjaciół i podwładnych wyrażał nawet przypuszczenie, że następnym zawołzkim gubernatorem będzie nikt inny, tylko właśnie on, pułkownik Lagrange.

W ciągu minionego miesiąca zachwiał się cały gmach naszego gubernialnego ładu, chociaż wydawał się mocny, bo wznoszono go rozumnie, poczynając nie od dachu, jak w innych rosyjskich prowincjach, lecz od fundamentu.

Nawiasem mówiąc, alegoria ta jest zbyt skomplikowana i wymaga objaśnień.

Jakieś dwadzieścia lat temu byliśmy gubernią jak inne: nędza, pijaństwo, ciemnota, samowola władz, na drogach rozboje. Jednym słowem – zwykłe rosyjskie życie, mniej więcej takie jak we wszystkich zakątkach naszego bezkresnego imperium. Na Zawołżu było bodaj nieco ciszej i spokojniej niż w innych stronach, gdzie ludzie wiódł na pokuszenie łatwy pieniądz. U nas wszystko szło miarowo, patriarchalnie, wedle raz na zawsze ustalonych reguł.

Przypuśćmy na przykład, że kupiec chce towar spławić po rzece albo przez las przewieźć. Przede wszystkim idzie do „właściwego człowieka” (już wiadomo do jakiego, w każdym powiecie, w każdej gminie taki jest) pokłonić mu się dziesiątą częścią – i jedź sobie spokojnie, nikt cię nie ruszy, nikt nie zaniepokoi – ani źli ludzie, ani policja, ani poborcy akcyzy. A jeśli się nie pokłoniłeś, liczyłeś na sprawną ochronę lub rosyjskie „a nuż się uda” – to już miej, bracie, żal do siebie. Albo przejedziesz przez las, albo nie. A i na Rzece różne rzeczy mogą się przydarzyć, zwłaszcza nocną porą i na bystrzynie.

Chcesz w mieście sklepik czy szynk otworzyć – to samo. Porozmawiaj z „właściwym człowiekiem”, okaż mu poszanowanie, dziesięcinę przyobiecaj – i daj ci Boże wszelkiej pomyślności. I lekarz sanitarny się nie przyczepi, że po ladzie muchy łożą, a w piwnicy grasują szczury, i inspektor podatkowy małym datkiem się zadowoli.

„Właściwego człowieka” znają wszyscy – i sprawnik, i prokurator, i prystaw, ale nikt mu szyków nie miesza, bo „właściwy człowiek” jest ze wszystkimi w przyjaźni, a czasem to nawet krewny albo kum.

Zdarzało się – naznaczy stolica uczciwego naczelnika, a nawet przyśle nie tylko uczciwego, ale i stanowczego, energicznego, twardo zdecydowanego wszystko na czyste wody wyprowadzić i natychmiast królestwo sprawiedliwości i porządku ustanowić, ale i takim orłom Zawołże szybko skrzydła podcinało. Czasem po dobroci, podarunkami albo jakimś innymi uprzejmościami, a jeśli już taki zupełnie nieprzekupny się trafił, to potwarzają, obmawiają; na szczęście świadków ci u nas nie brak. „właściwy człowiek” gwizdnie tylko – kogo chcesz, obgadają.

A lat temu trzydzieści, jeszcze przed nieboszczykiem Gulko, pojawił się w naszym mieście policmajster. Strach, jaki był nieprzejejdany! Całą policję do góry nogami przewrócił: tego wygonił, tamtego oddał pod sąd, innych postraszył. Niepokój się z tego zrobił, naruszenie starych, solidnie ułożonych stosunków między poważnymi ludźmi. Minęło trochę czasu i zaczął się ów Robespierre dobierać do „właściwych ludzi”, taki był zawzięty. I na tym jego zberezeństwa się skończyły. Poszedł na kaczki polować ze swoimi współpracownikami, a tu nagle łódka się przewróciła. Wszyscy wypłynęli, samemu tylko szefowi się nie poszczęściło. Raptem pół roku u nas poszalał. I to naczelnik policji, wielki człowiek! A ze sprawnikiem jakimś nierozgarniętym czy śledczym, jeśli krnąbrny się okazał, to jeszcze prościej się postępowało: nocką rąbnie się kłonicą po

makówce albo z krzaków wypali – i po sprawie. Zwalą na rozbójników, których w naszych lasach była obfitość. Policja trochę dla przyzwoitości poszuka i zamknie sprawę z powodu niewykrycia sprawców. Ale po co o tym opowiadać, tylko czas na darmo się traci! W każdej guberni takich historii tyle co maku w korcu.

I oto z Petersburga wyznaczają nam na archijereja Mitrofaniusza, po raz drugi i na dobre. Bez mała dwadzieścia lat minęło od tego czasu. On już znał tutejsze porządki i obyczaje, toteż nie szedł przebojem, zaczął od swojego cichego resortu: popów wziął w karby, żeby z ludzi nie zdzierali, w klasztorach surowe porządki zaprowadził. Niektórych dziekanów usunął, innym przemówił do sumienia, a jeszcze nawiózł ze sobą ze stolicy duchowieństwa białego i czarnego spośród młodych, wykształconych.

W cerkwiach i parafiach odmieniło się. Księża i diaczkowie trzeźwi, służą statecznie, kazania wygłaszają obyczajne i zrozumiałe, ofiar ponad to, co się należy, nie przyjmują. Nie od razu, rzecz jasna, tak się zrobiło, dwa, trzy latka to potrwało. I nikogo na początek nie zaniepokoiła ta nowość niesłychana, ani „właściwych” ludzi, ani biorących naczelników. Cóż, odechciało się popom słodko jeść i miękko spać – ich sprawa. A że z ambon zaczęli dużo o uczciwości i miłości bliźniego rozprawiać, to przecież tak mają przykazane. I w ogóle kto by ich tam, długowłosych, na poważnie słuchał. Tymczasem jednak autorytet osób duchownych zaczął się stopniowo i niepostrzeżenie umacniać, a w cerkwiach zrobiło się nieporównanie ludniej niż przedtem.

A do tego dzięki świeżym jeszcze stołecznym stosunkom Mitrofaniusza odesłano na emeryturę dawnego gubernatora, z którym władcyka nie na żarty koty darł. Przysłano nowego, Antoniego Antonowicza von Hagenau, który miał wówczas ledwie trzydzieści lat. Był ci on cały naładowany, pełen energii, europejski, a w tym, co się

tyczy sprawiedliwości – po prostu srogi.

Powalczył baron z miejscowymi obyczajami, pobódl się z nimi, rogi sobie o tę kamienną ścianę trochę poobijał i z rozpaczy zaczął popadać w administracyjną surowość, od czego, jak wiadomo, kłopoty tylko narastają. Ale, chwała Bogu, człowiek okazał się zeń niegłupi, chociaż Niemiec, starczyło mu rozumu, żeby po radę i wskazówki przyjść do władzyki. Co to niby za cud? Jak Mitrofaniusz w swojej duchownej dykasterii się urządza, że u niego wszystko godnie i przyzwoicie, nie to co u innych gubernialnych archijerejów?

Władzyka odpowiedział, że to bardzo proste: trzeba mniej kierować, a wtedy sprawa sama sobą pokieruje. Byle stworzyć mocną podstawę, reszta sama się ułoży.

– Jak to „się ułoży”, niby skąd – gorąco oponował młody Antoni Antonowicz – kiedy narodek taki podły, drański?

– Ludzie bywają różni, dobrzy i źli – pouczał przewielebny – ale w większości są nijacy, przyjmują niczym żaby temperaturę otoczenia. Jak jest ciepło, są ciepli, jak chłodno – chłodni. Trzeba tak zrobić, żeby u nas w guberni klimat nieco się ocieplił, wtedy oni też staną się cieplejsi, lepsi. To jedyny obowiązek władzy – tworzyć właściwy klimat; o resztę Pan Bóg zadba, a i sami ludzie nie zawiodą.

– Ale jak ocieplić ten cały klimat? – starał się zrozumieć gubernator.

– Trzeba w ludziach pobudzać i pielęgnować godność. Żeby siebie i innych szanowali. Człowiek, który ceni godność, nie będzie kraść, postępować niegodziwie, żyć oszustwem – wstyd mu będzie.

Tu baron rozczarował się do archijereja i nawet ręką machnął.

– Ech, idealista z ekscelencji. W Rosji przecież jesteśmy, nie w Szwajcarii. Dawnoż to chłopów tutaj na sztuki jak bydło sprzedawano? Skąd godność wziąć? Tę wątłą roślinkę przez wieki się hoduje.

Mitrofaniusz, który był wówczas młodszy i miał słabość do efektów słownych, odpowiedział krótko i pouczającym tonem, na antyczną modłę:

– Praworządność, sytość, oświata. I więcej nic, wielce łaskawy panie.

Lubił wtedy jeszcze uraczyć rozmówcę unizonym słówkiem.

– Ach, władzyko, czy to ja mało się biję o podtrzymanie praworządności? I co z tego za pożytek?! Nikt według prawa żyć nie chce, ani ci na dole, ani ci na górze.

– I nie będą chcieli. Ludzie przestrzegają tylko praw rozumnych i korzystnych dla większości. Mądry prawodawca postępuje jak doświadczony ogrodnik w parku publicznym. Ten, kiedy obsiał trawniki, nie od razu wytycza ścieżki, tylko przedtem popatrzy, któredy ludziom wygodniej chodzić, i tam je ułoży. Żeby nie wydeptywali własnych ścieżek.

– Tak robią mądrzy. – Baron ściszył głos, wypowiadając te nieprawomyślne słowa. – A u nas, w Rosji, prawa bywają rozmaite. Nie my dwaj je wymyślamy, od tego są wyższe instancje. Ale to ja mam obowiązek pilnować, by tych praw przestrzegano.

Biskup uśmiechnął się.

– Jest prawo Boskie i jest prawo ludzkie. I przestrzegać należy jedynie tych praw ludzkich, które z Boskimi nie są sprzeczne.

Gubernator tylko wzruszył ramionami.

– Przepraszam, ale tego nie rozumiem. Jak wiadomo, jestem Niemcem. Dla mnie prawo to prawo.

– Po to właśnie jestem przy panu – odrzekł łagodnie Mitrofaniusz niepojętnemu rozmówcy. – Mnie się, łaskawco, pytaj, które prawo jest od Boga, a które od Złego. Ja objaśnię.

I objaśnił, ale to objaśnianie zajęło wiele, wiele godzin i z czasem długie rozmowy z przewielebnym weszły młodemu administratorowi

w nawyk...

NAUKI PRZEWIELEBNEGO MITROFANIUSZA

Wprowadzenie

Ci, co śledzą tę opowieść tylko z ciekawości, jak się ona skończy, oraz ci, których nie ciekawi historia naszej krainy, mogą tę wstawkę po prostu opuścić. Nie wyniknie z tego żadna szkoda dla logiki opowieści. Przytaczamy tu, we fragmentach, kilka głębokich dialogów, jakie toczył władca z gubernatorem (dokładnie trzy, chociaż było ich znacznie więcej), ponieważ rozmowy te miały dla Zawołza niezwykle istotne następstwa. Przy okazji – w uwagach zamieszczonych po każdej z rozmów – wyjaśnimy pokrótce, które z tych uduchowionych pouczeń sprawdziły się w praktyce, a które nie.

O urzędniczej chciwości

– Zgodzisz się z tym, mój synu, że żaden, nawet najlepszą wolą przepelniony zarządca nie zdoła wcielić w życie swych pożytecznych zamysłów, jeśli nie ma sprawnego narzędzia pracy w postaci zdolnych i uczciwych pomocników, tego narzędzia, które w waszym biurokratycznym narzeczu nazywa się aparatem?

– Zgadzam się w pełni.

– A co robić, jeśli aparat ów ugrzązł w nikczemnej łapczywości?

– Nie wiem, ojcze, i dlatego do ciebie przyszedłem. Co najważniejsze – wszyscy urzędnicy są tacy, a innych nie ma skąd wziąć.

– Dlaczego nie ma skąd? Po części można z obu stolic przyciągnąć mędzów szlachetnych przekonań, którzy chętnie przyjadą, bo chcą swoją wiedzę i poglądy zastosować w praktyce. A i u nas znajdują się uczciwi urzędnicy, teraz po prostu nie mają jak się pokazać.

– A jak ja rozpoznam tych uczciwych, skoro ich nie widać?

– Ja tu jestem nie pierwszy rok, wiem, kto ile jest wart, i wskażę. Ale to ledwie ćwierć sprawy, dlatego że każdego człowieka władza psuje, jeśli przyjęły się niewłaściwe zasady. I urzędnicy w większości zaczynają brać nie dlatego, że są z natury źli, tylko dlatego, że tak już jest ustalone i kto nie bierze, na tego patrzą z ukosa i zwierzchnicy, i podwładni.

– Ale jak ustalić właściwe zasady, żeby łapownictwo wyszło z mody?

– Znasz, synu, przysłowie mówiące, że ryba psuje się od głowy? Tak to zaiste jest i medycyna też utrzymuje, że wszystkie choroby zaczynają się w głowie. Można na to spojrzeć i z drugiej strony: powrót do zdrowia również zaczyna się od głowy. Zanim człowiekowi zacznie się poprawiać, sam musi chcieć wyzdrowieć i uwierzyć we własne wyzdrowienie.

– Ale od czego zacząć? To przecież najważniejsze – właściwy początek!

– Spośród ludzi uczciwych i zdolnych dobierz sobie najbliższych pomocników: wicegubernatora, zarządcę mienia państwowego, dyrektorów akcyzy i administracji gubernialnej, a także prezesów izb – sądowej, kontrolnej i skarbowej. No i oczywiście szefostwo policji, to podstawa. Na początek wystarczy. Skąd wziąć ludzi – mówiliśmy już o tym, z dziesięciu dobrych w guberni i w Rosji się zbierze. I na sam początek zawrzyjcie między sobą Umowę: nie po to bierzemy na siebie brzemię, żeby się wzbogacić, tylko żeby coś zrobić. A kto w sobie słabość poczuje – niech sam odejdzie albo się nie obraża, kiedy poproszą go, by odszedł. Niech każdy z pańskich najbliższych pomocników publicznie ujawni swój majątek i na przyszłość niech własnych dochodów i wydatków przed nikim nie ukrywa. Ja, drogi baronie, w ogóle żywię taką nadzieję, że ratunek dla Rosji przyjdzie

nie ze stolic, tylko z prowincji. Na to zresztą i zdrowy rozsądek wskazuje. Łatwiej zrobić porządek w jednej izbie niż w całym domu, łatwiej w jednym domu niż na całej ulicy, na jednej ulicy niż w całym mieście i w jednym mieście niż w całym kraju.

– No dobrze, dajmy na to, że głowa będzie uczciwa, a niżej, co niżej? W kręgu przyjaciół będziemy o pięknie tokować i nawzajem się sobą zachwycać, jacy to my dumni i nieprzekupni, a łapownicy z całej guberni jak buszowali, tak dalej będą buszować. Wszystkich się za ręce nie chwyci i pod sąd nie odda.

– Nie łapać złodziei trzeba, tylko sprawić, żeby ich nie było.

– Łatwo powiedzieć!

– I zrobić nie tak trudno. Niech pańscy najbliżsi pomocnicy, z których każdy odpowiada za jakąś ważną dziedzinę działalności, dobiorą sobie zastępców tą samą metodą – takich, co zgodzą się na Umowę. Można i niektórych obecnych na stanowisku zostawić, nawet takich, co brali porękawicze, ale nie z chciwości czy złego zamiaru, tylko dlatego, że z dawien dawna tak tu było przyjęte. No, a najgorszych zdzierców, najbezczelniejszych – tych i ja znam, i pan już zna – oczywiście trzeba pod sąd oddać i sądzić z całą surowością, to już koniecznie.

– No dobrze, założmy, że moi pomocnicy nie kradną, ich zastępcy też, no a co dalej?

– I dalej tak samo. To się, drogi baronie, nazywa psychologią. Żyje zwierzchnik z pensji, łapówek nie bierze, bo albo się boi, albo sumienie mu nie pozwala. A podwładny rozjeżdża karetą w czwórkę koni, jego żona stroje z Paryża sprowadza. Czy normalny człowiek coś takiego wytrzyma? Za nic. I małżonka mu na to nie pozwoli, bo ona paryskich strojów nie ma, a żona niższego rangą Iwana Iwanowicza – owszem. Przyciśnie zwierzchnik Iwana Iwanowicza, powie mu: ty, braciszku, albo żyj tak jak ja, albo won ze służby. Iwan Iwanowicz,

jeśli ostanie się po tym na posadzie, zacznie wilkiem patrzeć na podległego mu łapownika Piotra Pietrowicza, chociaż przedtem przyzwał mu i patronował. Z jakiej racji ów Piotr Pietrowicz miałby być lepszy od niego? I tak to pójdzie z góry na dół po całej piramidzie. Sam się, synu, zdziwisz, jak szybko u nas stan urzędniczy nabierze surowości i prawo polubi...

Uwaga. To się oczywiście nie udało, chociaż von Hagenau na wzniesienie tej idealnej piramidy stracił dużo sił i czasu. Cóż, żywi ludzie! Chociaż Chrystus nakazał kochać wszystkich jednakowo, jest to w mocy tylko świętych pustelników, którzy się za nas modlą, zwykli zaś śmiertelnicy mają i przyjaciół, i krewnych, no i – splota jest długu ozdobą. Sprawiedliwego i bezinteresownego stanu urzędniczego nigdy i nigdzie nie bywało, nie przyjął się taki również na Zawołżu. I o „właściwego człowieka” u nas zadbają, i nieprzyjaciół przy okazji przycisną, i ręka rękę myje.

Nie można wszelako powiedzieć, że teoria przewielebnego całkiem wzięła w łeb. „Prezencik w papierkach”, w Rosji powszechny, a nawet tradycją narodową uświęcony, u nas zupełnie wyszedł z użycia, częściowo zastąpiony przez sławetną „parę charcików”, rewanżem mniej uchwytnym i mimo wszystko, zgódźmy się, stanowiącym niewątpliwy postęp w porównaniu ze zwykłym łapownictwem. Zwykłe zaś łapownictwo, a tym bardziej zdzierstwo, wśród zawołżskiej urzędniczej braci zaczęto z czasem uważać za rzecz wstydlivą, czyli „niewłaściwe zasady”, o których mówił władyka, jednak się zmieniły. Królestwo sprawiedliwości wprawdzie nie nastąpiło i pełnej równości wszystkich wobec władzy też nie osiągnięto, ale jawne, bezwstydne nadużycia jeśli nie zniknęły zupełnie, to przynajmniej zostały poważnie ograniczone. I policja u nas do najostatniejszego czasu słynęła z uczciwości, i sądy, i nawet – co, zdawałoby się, nie zdarza się nigdy – urząd akcyzy. Ale o podatkach – to już w następnej rozmowie.

O przestrzeganiu prawa

– Władzyko, wiele myślałem o naszej ostatniej rozmowie i jedna rzecz nie daje mi spokoju. Mówi wasza przewielebność, że ryba psuje się od głowy i wyzdrowienie też od głowy trzeba zaczynać. Brzmi to rozsądnie, ale moim zdaniem urządzenie społeczne przypomina nie tyle rybę, ile jakiś gmach.

– Istotnie.

– A jeśli tak, to czy powstanie ładny dom, jeśli będzie się go budować od wiechy?

– Z pewnością nie, mój synu, i bardzo się cieszę, że doszedłeś do tego sam, bez mojego podpowiadania. Samym „aparatem”, choćby był najcudowniejszy, tego, co krzywe, się nie wyprostuje. Trzeba, żeby większość chciała tego samego co ty, a wtedy wysiłki twoje i twoich pomocników będą się spotykać nie ze sprzeciwem, lecz z poparciem.

– Ale każdy chce swojego i dla każdego co innego jest korzystne! Dla wielu, bardzo wielu, wygodniej i zgodniej z ich przyzwyczajeniami jest żyć tak, jak żyją – słuchać nie prawowitej władzy, tylko „właściwych ludzi”. Tak wypada prościej i taniej poważnym kupcom i drobnym handlarzom, przemysłowcom i mieszczaństwu. Czy da się ich wszystkich przekonać? Oni nawet słuchać nie będą.

– I nie trzeba przekonywać. U nas, w Rosji, słowom nie wierzą, szczególnie gdy to zwierzchność mówi. Podstawą trwałego ładu życiowego jest dobrowolne posłuszeństwo prawu.

– Władzyko! O czym ty mówisz? Skąd w Rosji dobrowolne posłuszeństwo prawu?

– Stąd, synu, skąd w drogiej twemu sercu Szwajcarii!

– No nie, naprawdę, ojczy, proszę się nie gniewać. Chciałbym, żebyśmy rozmawiali nie o idealnych schematach, tylko o krokach, które mogą mieć praktyczne następstwa.

– O tym właśnie mówię. Dobrowolne przestrzeganie prawa to nie skutek wysokiej świadomości obywateli, ale świadectwo tego, że ludziom wygodniej jest przestrzegać prawa niż je naruszać. I jeśli się zastanowisz, baronie, to przekonasz się, że w całej Rosji narusza się wcale nie wszystkie prawa, lecz tylko niektóre. Czy nie tak?

– Bodaj rzeczywiście tak jest. Dawniej, przed zniesieniem monopolu na handel wódką, wielu pędziło samogon i sprzedawało go po kryjomu, a teraz to się skończyło. Ale jeśli idzie o płacenie podatków i taks, to dziewięciu Rosjan na dziesięciu jest nie w porządku. Temu, ojcze, nie zaprzeczysz.

– Nie tylko nie zaprzeczę, mój synu, ale powiem, że bezbłędnie określiłeś samo źródło choroby zwanej upadkiem prawa. Zabijają jednostki, kradnie też niewielu, ale płacić wszystkich niezliczonych podatków, akcyz i ceł, wśród których jest wiele niedorzecznych i zbyt wysokich, nie chce nikt. I stąd się bierze całe zło: i łapownictwo, i zubożenie skarbu, i ciż sami „właściwi ludzie”, na których ani ty, ani twoi poprzednicy nie umieliście znaleźć sposobu. A największa szkoda wynika stąd, że, jak słusznie zauważyłeś, dziewięciu ludzi na dziesięciu wie, że narusza prawo. Czyli prawo nie służy im ku obronie, tylko jest dla nich zagrożeniem, a oni sami nie są już szacownymi członkami społeczeństwa, lecz złodziejaskami, których sąd i policja w każdej chwili mogą pociągnąć do odpowiedzialności. I z tego czerpią siłę „właściwi ludzie”: oni doskonale wiedzą, kto ile nie dopłacił skarbowi. Za swoją wiedzę biorą mniej niż państwo, a jeszcze bronią oszustów przed sługami prawa. W ten sposób wychodzi na to, że społeczeństwo nasze składa się z samych złodziejasków, którymi rządzą rozbójnicy. Czy będzie szanował siebie człowiek, który sam wie, że jest złodziejaskiem i łapownikiem? Nie, drogi panie, nie będzie szanował ani siebie, ani prawa.

– No, ale w tej sprawie nic się nie da zrobić!

– Słyszę w twoim głosie rozpacz, zupełnie niepotrzebną. Zrobić zaś trzeba, ot co: naznaczyć dla każdego podatnika, kimkolwiek by był, jednolity podatek, niewysoki, z góry znany i potrącany od razu od wszystkich wypłat, zarobków, umów i dochodów. I danina ta nie powinna przewyższać jednej dziesiątej, bo Kościół Święty dawno temu już sprawdził i z własnego bogatego doświadczenia wie, że dziesięcinę człowiek godzi się płacić, a więcej – w żadnym wypadku, nawet pod grozą kary Ojca Niebieskiego. A to znaczy, że i kusić losu nie ma po co. Niechże i wam płacą dziesięcinę. Kto jest biedny i z trudem dziesięć rubli na miesiąc zdobywa, od tego bierzcie rubelka, a kto milion kosi – od tego można wziąć sto tysięcy, ale takiemu człowiekowi trzeba szczególnie podziękować, okazać mu szacunek, bo jego przedsiębiorczością i zapobiegliwością państwo stoi.

– Wszystko to bardzo pięknie, ale nie gubernator podatki i cła nakłada. Przecież wiesz, władcyko, doskonale, że zasady ściągania wszelkiego rodzaju taks określa się w Petersburgu, a ja swoją wolą nie mam możliwości ich zmieniać. Za to mnie ze służby przepędzą i jeszcze pod sąd oddadzą.

– Nie oddadzą. Bo pojedziesz do stolicy i zawrzesz z rządem układ. Nigdy jeszcze nie było tak, żeby gubernia zawołńska skarbowi wszystkie należne podatki w pełni przekazała, bo mieszkańcy wykręcają się i nie chcą płacić ani trochę. Mamy same niedopłaty, jak zresztą większość innych guberni. A ty zaręczysz własnym słowem, że nakazaną sumę sprawnie wniesiesz, ale ściągać ją będziesz na swój sposób, i objaśnisz jak, żeby cię za poborcę nie wzięli. Ja ze swej strony za ciebie zaręcę, wyjaśnię, komu trzeba, na czym polega twoja idea. Zgodzą się, bo dla skarbu to czysta korzyść. Zechcą wypróbować na jednej niewielkiej i deficytowej guberni, co z tego doświadczenia może wyniknąć. Zauważ jeszcze, synu mój, i to, że w następstwie tego kroku pozbędziesz się za jednym zamachem i „właściwych ludzi”,

i większości łapowników. Nikt już im pieniędzy nie zaniesie, bo korzystniej i bezpieczniej będzie państwu zapłacić, co się należy, a za to obrony prawa zażądać. Naszym zawołzkim rozbójnikom zabraknie poparcia z dołu, a z góry ich twoja policja przycisnie, bo będzie już nie, jak przedtem, kupiona, tylko uczciwa.

Uwaga. To zaś spełniło się wszystko co do joty, a nawet przewyższyło zapowiedzi władzy. Rozbójników po lasach i miastach szybko wyłowiono, bo to przecież u nas ani Moskwa, ani Petersburg, o każdym wiadomo, co on za jeden. Z „właściwych ludzi” jedni zbiegli do innych guberni, inni na katorgę powędrowali, a co mądrzejsi – przycichli i wzięli się do dozwolonego handelku lub jakiegoś innego legalnego zajęcia. Najdziwniejsze, że po ustanowieniu jednolitego podatku mniej się zrobiło i wszystkich innych przestępstw. Może dlatego, że Zawołżanie wszyscy nagle jakoś tak zważnieli i nabrali więcej umiarkowania w słowach, postępkach, nawet w ruchach ciała? Urzędników u nas ubyło, bo władze nie potrzebowały już tylu ściągających, śledzących i kontrolujących, za to kupców i przemysłowców zjechało się z innych guberni jak nigdy: uznali za korzystne mieszkać i robić interesy na Zawołżu. W skarbie gubernialnym pieniądze się pokazały, tak że pobudowano u nas w ubiegłych latach nowe domy, szpitale i szkoły, naprawiono drogi, nawet o własnym teatrze zaczęto przemysliwać.

Ze stolic i z innych krain przyjeżdżano na nasze cuda popatrzeć, w innych guberniach chciano tak samo wszystko urządzić, ale jakoś im tam nie wyszło.

O godności

– A powiedz, synu mój, czym twoim zdaniem nędza różni się od ubóstwa?

– Nędza od ubóstwa? No cóż, człowiek biedny w odróżnieniu od

zupełnego nędzarza ma jakieś tam mieszkanie, pożywienie, ubiera się nie w łańchmany, tylko w miarę przyzwoicie. Ubóstwo bywa szlachetne, nędza jest obrzydliwa.

– Albo, jak się wyraził autor nazbyt przechwalonej powieści, nędza to przywara, za którą ze społeczeństwa kijem wyganiają.

– Za pozwoleniem, czy to Zbrodnię i karę ekscelencja tak surowo osądza?

– O literaturze, baronie, porozmawiamy przy jakiejś nadarzającej się okazji, teraz mówię o czym innym. Właśnie o tym, że człowiek głodny, obdarty i bezdomny nie może być szlachetny w zachowaniu i piękny. I chociaż w Piśmie Świętym i w Żywotach wiele czytamy o błogosławionych i prorokach, co chodzili w łańchmanach i w ogóle nie troszczyli się o wyżywienie i przyzwoitość, to branie przykładu z tych świętych pokutników doprowadziłoby zwykłych ludzi do zguby, bo straszną i przeciwną naturze rzeczą byłoby wyobrazić sobie społeczeństwo, składające się wyłącznie z osobników umartwiających swe ciało, obwieszonych łańcuchami i głoszących prorocтва. Nie tego chce od swych dziełek Pan Bóg, tylko żeby zawsze prowadzili się godnie.

– Z tym zgadzam się w zupełności, chociaż to jakiś niezupełnie rosyjski punkt widzenia, ale mimo wszystko chciałbym wstawić się za panem Dostojewskim. Czymże to naraziła się ojcu powieść Zbrodnia i kara?

– Ach, nie daje ci, synu, spokoju pan Dostojewski. Cóż, proszę bardzo. Uważam, że autor zanadto ułatwił sobie zadanie, kiedy kazał dumnemu Raskolnikowowi zabić nie tylko obrzydliwą staruchę lichwiarkę, ale i jej łagodną, niewinną siostrę. Tu już imć Dostojewski przestraszył się, że za samą lichwiarkę nie zechce czytelnik przestępcy potępić: niby że takiej paskudnicy to w ogóle nie szkoda. A u Pana Boga paskudników nie bywa, wszyscy są Mu jednakowo

drodzy. Gdyby więc tylko na przykładzie lichwiarki pisarz umiał całą nieprzyzwoitość zabójstwa ukazać – wtedy co innego.

– Niedopuszczalność, chce wasza wielmożność powiedzieć?

– Niedopuszczalność. Wziąć do ręki siekierę czy jakiś inny przedmiot i drugiemu człowiekowi czaszkę zmiażdżyć – to przede wszystkim niegodne imienia ludzkiego. No bo czym jest grzech? Grzech to właśnie postępek, w którym człowiek zatracą godność. Tak, tak, drogi panie Antoni, setny już raz wracam do tego tematu, bo im dłużej żyję na świecie, tym bardziej się upewniam, że kamieniem węgielnym sprawiedliwego społeczeństwa i wręcz powołaniem człowieka jest poczucie godności. Mówiłem ci, że godność stoi na trzech wielorybach, a ich imiona to: praworządność, sytość, oświata. O przestrzeganiu prawa mówiliśmy dosyć, o pożytku z rozumnej, Bogiem natchnionej oświaty sam mi mówiłeś bardzo wymownie, nie mam więc tu już nic do dodania. Ale te wspaniałe materie nie mogą nam przesłaniać podstawy podstaw, ludzkiego brzucha, który nie przypadkiem czasem żywotem, czyli życiem, się nazywa. Bo kiedy brzuch pusty, to już nie jest nędza, nędzarz z pustym brzuchem jest jak zwierzę, które tylko o tym myśli, jak ten brzuch napełnić, i na żadne inne, wznioślejsze pobudki sił mu nie staje.

– Ale w związku z czym mi to, ojcze, mówisz?

– Ano z tym, że ty władzę sprawujesz i najpierwsza twoja powinność na tym polega, żeby każdemu mieszkańcowi guberni zapewnić kęs chleba i dach nad głową, bo bez tych podstaw człowiek nie może mieć godności, a człowiek bez godności nie jest obywatelem. Nie wszyscy mogą być bogaci, i zresztą to niepotrzebne, ale syci powinni być wszyscy. Potrzebują tego nie tylko upośledzeni, ale w nie mniejszym stopniu i cała reszta, żeby nie jedli białego chleba, wstydliwie kryjąc się przed głodnymi. Nie będzie godny ten, co ucztuje, kiedy wokół niego nędza i skowyt.

– Tak właśnie jest, włądyko. Myślałem o tym i nawet podliczyłem, że na pomoc naprawdę potrzebującym nie trzeba zbyt wielkich środków. Czy jednak to wszystko jest takie proste? Czy wystarczy nakarmić głodnych, żeby w ludziach od razu zrodził się Selbstachtung^[12]!

– Nie, synu mój. Nie od razu. Sytość to tylko początek. Trzeba też wykorzenić nawyk obrażania jednostki, do czego w Rosji starodawnym obyczajem żadnej wagi się nie przywiązuje. U nas przecież, sam wiesz, od ciężkiego słowa jeszcze nikt nie umarł, a szturchańce i policzki od zwierzchności prosty naród za ojcowską perswazję przyjmuje. I bicie jest wszędzie rozpowszechnione. Co to za Selbstachtung z chłostą? Umówmy się więc: w naszej guberni już nikogo i za nic bić się nie będzie, nawet z woli chłopskiego zebrania, gdzie swoi osądzają swoich. Trzeba tego zakazać raz na zawsze. Ja duchownym też polecę w cerkwiach głosić, żeby rodzice dzieci nie bili, najwyżej tylko takich zuchwalców, do których rozumne słowo nie dociera. Z bitych nie obywatele wyrastają, tylko niewolnicy. Dobrze by było jeszcze przeklinania zakazać, ale to oczywiście marzenie. Sam czasami tym grzeszę.

– A jeszcze doskonale by było, włądyko, gdyby u nas w urzędach zaczęto do prostych ludzi mówić per „pan” i „pani”. Dla Selbstachtung to bardzo ważne. Może by także, rosyjskim zwyczajem, po imieniu i otczestwie, też byłoby dobrze.

– Że dobrze, to racja, ale czy nie za wcześnie? Przestraszą się chłopiny, jeśli im tak z nagłą „panować” zaczną. Pomyślą, że to jakiś podstęp zwierzchności, jak w sześćdziesiątym pierwszym przy uwłaszczeniu. Nie, z tym trzeba poczekać, aż niebite pokolenie podrośnie.

– Ach, ojczy, wyobraź sobie tylko, jakie błogosławione czasy nastaną, kiedy nasi obywatele, zamiast dostawać na gubernatorów

takich dziwaków jak ja, będą mogli z własnej woli przeprowadzać elekcję i wybierać ze swego grona najgodniejszego, takiego, którego znają i szanują! Wtedy to zapanuje na rosyjskiej ziemi prawdziwy raj!

– Ale i z tym nie należałoby się spieszyć. Niech z początku filistrzy nasi godności trochę nabiorą i w obywateli się przemienia, a potem to już i elekcję będzie można przeprowadzać. Bo inaczej to Filipka szynkarza na gubernatora wybiorą, jeśli on im na plac parę beczek sikacza wytoczy...

Uwaga. Co się tyczy godności, to nie wiemy, co by tu dodać, bo materia jest subtelna, w liczbach nie da się jej ująć, a i czasu niewiele minęło – niebite pokolenie, o którym mówił władyka, nie wyszło jeszcze ze szkolnej ławy. Całkiem pijanych, takich, co po rowach się walają, ostatnio widuje się u nas rzadziej. I kiedy ludzie na ulicę wychodzą, to ubierają się trochę przyzwoiciej. Ale może dlatego, że dzięki wspomnianemu wyżej rozwojowi handlu i różnych przemysłów mniej jest teraz biedy. Naprawdę nie wiemy... Chociaż w zeszłym roku taka zdarzyła się historia: dzielnicowy Sztukin przezwał mieszczanina Sieledkina „świnia”. Dawniej Sieledkin takie wyzwisko jak pieszczotę by przyjął, a teraz odpowiedział służbowemu człowiekowi: „Sam jesteś świnia”. I sędzia pokoju nie dopatrzył się w tym żadnej winy.

No to może i więcej mają teraz w sobie Zawołzanie godności?

VII

Soiree

(ciąg dalszy)

...ogólnym zaś następstwem wszystkich tych rozmów stało się to, że powolutku, rok po roku, życie na Zawołżu ruszyło ku lepszemu, tak że w sąsiednich guberniach zaczęli nam zazdrościć. No i widać zauroczyli. Nic innego, tylko Zły nie mógł ścierpieć naszej pomyślności.

Następnego dnia po tym, jak Włodzimierz Lwowicz Bubiencow niczym rzymski tryumfator przywiózł do miasta pojmanych zytiackich starców (przy niebywałym napływie tłumów, dla których dwaj skuci słudzy Szyszygi, nie mówiąc już o trupach na furze, stanowili niecodzienne widowisko), Mitrofaniusz zwołał u siebie nadzwyczajne spotkanie najbliższych stronników, które z posępnym humorem nazwał naradą w Filach^[13] I wstępne przemówienie rozpoczął w odpowiednim do tej alegorii duchu:

– Feldmarszałek Kutuzow mógł opuścić Moskwę, dlatego że miał gdzie się cofać, a my, panowie, cofać się nie mamy dokąd. Stolica to nie tyle ośrodek życia społecznego, ile pewien jego symbol, a bez symbolu można jakiś czas się obyć. My zaś wszyscy żyjemy na Zawołżu, jest ono dla nas nie oderwanym symbolem, tylko naszym wspólnym jedynym domem, i oddawać go na urągowisko złym siłom nie mamy ani prawa, ani możliwości.

– Na pewno tak – potwierdził z przejęciem Antoni Antonowicz.

A Matwiej Bencjonowicz Berdyczowski dodał także:

– Nie wyobrażam sobie życia poza Zawołzem, ale jeśli zapanują porządki ustanawiane przez tego inkwizytora, to nie będę mógł tu egzystować.

Mitrofaniusz kiwnął głową, jakby nie oczekiwał innej odpowiedzi.

– W różnych okresach każdego z nas trzech zapraszano, by służyć w stolicy na bardziej widocznej niwie, ale nie pojechaliśmy. Dlaczego? Dlatego, że zrozumieliśmy: stolica to królestwo zła i ten, kto tam trafia, gubi sam siebie i naraża swoją duszę. Tu natomiast mamy świat prosty i dobry, bo znacznie bliższy przyrodzie i Bogu. Na prowincji, sprawując władzę i robiąc swoje, można zachować żywą duszę, w Petersburgu to niemożliwe. Ze stolicy płynie sama tylko szkoda, sam tylko gwałt nad naturą rzeczy. I naszym wspólnym obowiązkiem jest obronić powierzony nam kraj przed tą napaścią. Diabeł jest potężny, ale jego moc nie może być trwała, ponieważ opiera się nie na zaletach człowieka, lecz na jego przywarach, a więc trzyma się nie na sile, tylko na słabości. Zwykle zło samo siebie niszczy, rozpada się od wewnątrz. Jednak czekać, aż to się stanie, nie mamy prawa, dlatego że zbyt dużo dobra, które z trudem zbudowaliśmy, rozpadnie się jeszcze wcześniej niż zło. Trzeba działać. I zebrałem was, panowie, żeby ułożyć plan.

– Proszę sobie wyobrazić, władyko, że myślałem o tym samym – powiedział baron. – I oto co mi przyszło do głowy. Mój starszy brat, Karl Antonowicz, jak waszej wielbności wiadomo, piastuje godność koniuszego i raz na miesiąc bywa zapraszany na małą kolacyjkę u najwyższych osób, gdzie Najjaśniejszy Pan rozmawia z nim zupełnie zwyczajnie i wypytuje o najrozmaitsze rzeczy. Napiszę do Karla szczegółowy list i poproszę go o pomoc. To państwowa głowa i na pewno potrafi przedstawić sprawę tak, że imperator nie pozostanie obojętny na nasze kłopoty.

– Niestety, drogi synu – westchnął archijerej. – Konstanty

Pietrowicz rozmawia z Najjaśniejszym Panem o wiele częściej niż raz na miesiąc. Należy sądzić, że Jego Cesarska Mość jest przychylnie nastawiony do Bubiencowa i niełatwo będzie zmienić jego zdanie. Dla zbyt wielu wpływowych osób w Petersburgu nasz skandal jest wygodny. Przecież przy tej okazji całą Rosję można wychłostać.

Antoni Antonowicz powiedział zatroskanym głosem:

– Ale coś przecież trzeba robić. Ten pajak synodalny już mi się po nocach śni. Mam sen, że leżę i nie mogę się poruszyć, a on wciąż mnie oplata, oplata swoją lepką pajęczyną. Ze wszystkich stron...

Nastąpiła ciężka pauza, którą szybko przerwał Matwiej Bencjonowicz. Pobladł nagle i oświadczył stanowczym głosem:

– Panowie, wiem, co trzeba zrobić. Wyzwę go na pojedynek, ot co! Jeśli nie zechce się strzelać, będzie zhańbiony w oczach całej społeczności, nikt go więcej za próg nie wpuści i wszystkie zawołzkie damy, które teraz tańczą wokół inspektora jak opętane, odwrócą się od niego. A jeśli zgodzi się na pojedynek, oberprokurator przepędzi go z posady. Czy tak, czy siak – dla nas korzyść.

Wysłuchawszy tego oryginalnego pomysłu, inni uczestnicy narady aż osłupieli. Baron pokręcił głową.

– Ale przecież jeśli się zgodzi, to panu rzeczywiście wypadnie się z nim strzelać i on już zniszczonej kariery nie odpuści. Co pan będzie robił przy barierze, drogi panie Matwieju? Widziałem na polowaniu, jak pan strzela. Zamiast trafić w cieciorkę, czapkę mi pan podziurawił. I o dzieciach proszę pomyśleć.

Berdyczowski zbladł jeszcze bardziej, bo obdarzony żywą wyobraźnią od razu zobaczył w myślach małżonkę w żałobie, a dzieci w czarnych sukieneczkach i garniturkach, ale nie ustąpił.

– A niech...

– Ach, głupstwa jakieś! – Gubernator machnął ręką. – Poza tym nie będzie pan mógł go wyzwąć, on nie da panu powodu.

Tu Berdyczowski stał się nagle z białego pałowym i przyznał się do dawnego wstydlwego zdarzenia:

– Powód jest. On mnie w nos pstryknął, i to mocno, do krwi, a ja to zniosłem. Też o dzieciach pomyślałem...

– Wedle pojedynkowego regulaminu – wyjaśnił baron posiadaczowi osobistego szlachectwa – wyzwanie nadsyła się w ciągu doby po wyrządzeniu obrazy, w żadnym razie później. Zatem spóźnił się pan.

– No to ja jemu też dam po nosie. On już będzie wiedział, o co chodzi!

– On może i zrozumie, ale inni nie rozumieją – wtrącił się przewielebny. – Jeszcze wpakują pana do domu wariatów jako niebezpiecznego dla otoczenia. Nie, to bez sensu. A zresztą pojedynek to rzecz niechrześcijańska. Ja na coś takiego swojego błogosławieństwa nie dam.

– W takim razie ot co... – Berdyczowski w skupieniu chwycił się za nos i pokręcił nim w jedną i w drugą stronę. – Można spróbować inaczej, przez konia trojańskiego.

– Jak to? – zdziwił się Antoni Antonowicz. – Kto będzie tym koniem?

– Policmajster Lagrange. Stał się prawą ręką Bubiencowa i ten wiele spraw mu powierza. A ja na przemiłego Feliksa Stanisławowicza mam to i owo po mojej prokuratorskiej linii.

Berdyczowski mówił teraz spokojnie i rzeczowo, głos już zupełnie przestał mu drżeć.

– Trzy dni temu Lagrange wziął od kupca staroobrzędowca, Pimienowa, podarek. Siedem tysięcy asygnatami. Sam go wymusił, zagroziwszy aresztowaniem za obelżywe słowa o obrzędach Cerkwi prawosławnej.

– Co też pan! – krzyknął baron. – Toż to niesłychane!

(Zdziwienie pana gubernatora było całkiem zrozumiałe, bo, jak już mówiliśmy, w naszej guberni proste łapownictwo, do tego jeszcze ze strony wysokiego urzędnika, całkiem już odeszło w mitologiczną przeszłość).

– A jednak wziął – nie inaczej, tylko spodziewając się powrotu dawnych obyczajów. Mam też oświadczenie Pimienowa. Na razie żadnych kroków nie podjąłem. Mogę porozmawiać z Feliksem Stanisławowiczem. To człowiek niezbyt mądry, ale rozumie. Na pozór pozostanie dalej zausznikiem Bubiencowa, ale po kryjomu będzie mi ze wszystkimi szczegółami meldować o knowaniach i zamiarach naszego miłego przyjaciela.

Mitrofaniusz stęknął.

– Och – westchnął – nie wiem, nie wiem... Będę się modlił, spytam Najwyższego, czy taki podstęp jest dopuszczalny. To prawda, że On czasem zezwala zło złem wypleniać, ale jednak to niedobra rzecz.

– Jeszcze gorzej będzie siedzieć z założonymi rękami i nic nie robić, a wasza wielebność, cokolwiek mu się zaproponuje, to niezadowolony – powiedział z wyrzutem gubernator do władzyki.

– Masz rację, synu. Lepiej zgrzeszyć niż bezwolnie złu pobłażać. Napisz do brata, drogi baronie, i niech on z Najjaśniejszym Panem porozmawia. Żeby majestatowi nie tylko z jednej strony w ucho dmuchało. A ty, Matwieju, działaj wedle swego rozumienia. – Do Berdyczowskiego władzyka zwracał się po prostu, bez ceremonii, bo znał go jeszcze jako podrostka. – Uczyć cię nie muszę. I jeszcze coś... – Mitrofaniusz zakaszłał. – Baronie drogi, lepiej niech pan żonie o naszych zamiarach nie mówi.

Na długim obliczu gubernatora odmalowało się głębokie cierpienie.

– A ty, ojczy? – zapytał pospiesznie Berdyczowski, żeby jakoś wybrnąć z niezręcznej sytuacji. – Jakie działania podejmie wasza wielebność?

– Będę się modlił – wypowiedział biskup ważne słowa. – Żeby Pan Nasz zesłał wybawienie. A także mam wielką nadzieję na pomoc pewnej nieznaney wam osoby...



A zatem odchodzące lato ojcowie naszej guberni żegnali w niepokoju i rozterce, i to mając po temu jak najpoważniejsze powody, ale prawdą jest i to, że nigdy jeszcze nasze zawołzkie towarzystwo nie żyło tak podniecająco jak w te sierpniowe i wrześnieowe dni.

I nie idzie tu tylko o polityczny i religijny wstrząs, który w kilka zaledwie dni rozstawił naszą krainę na całą Rosję. Wydarzenia takie mogą niepokoić umysły, ale nerwów zbytnio nie łechcą, a u nas obserwowało się właśnie to szczególnego rodzaju nerwowe pobudzenie, do którego doprowadzić mogą tylko podniecone i oszalałe z ciekawości kobiety.

Wiadomo przecież, że stan nerwowy społeczności określają głównie nastroje przedstawicielek słabszej płci. Kiedy one nudzą się i pogrążają w melancholii – wszystko na świecie marnieje, usycha, szarzeje. Kiedy zaś ogarnięte podnieceniem strząsają z siebie senność – życie od razu nabiera tempa, rozkwita, wypełnia się dźwiękami i barwami. W stolicach damy prawie stale albo drżą w ekstazie Współuczestnictwa w Wielkim Wydarzeniu, albo żyją przedsmakiem tego zachwycającego stanu i tym właśnie tłumaczy się odwieczne kobiece pragnienie wyrwania się z prowincji do Petersburga albo w ostateczności do Moskwy, gdzie zgiełk i ogień, i migotliwy blask nieustającego święta. W głębi kraju zaś damy z powodu ciszy i szarzyzny wpadają w histerię i melancholię, a z dawna odrętwiałe uczucia wybuchają tym ognisćiej, kiedy staje się cud i nad znajomymi do znudzenia penatami rozbłyska nagle słońce Prawdziwego Skandalu.

I od razu mamy i dramat, i namiętności, i najrozkoszniejsze plotki – przy czym wszystko to w pobliżu, tuż-tuż, a dama jest niemal na scenie, nie patrzy przez lornetkę z czwartego balkonu jak w stolicach.

W samym centrum tego porywającego życia, którego areną od pewnego czasu stał się Zawoższk, znajdował się Włodzimierz Lwowicz Bubiencow, niegdyś grzesznik, dziś bohater, czyli postać dla kobiecego serca niebezpieczna nawet nie podwójnie, tylko do kwadratu. Stosunki emisariusza Synodu z gubernatorową Ludmiłą Płatonową, poczmistrzową Olimpiadą Sawieljewną i jeszcze kilkoma lwicami lokalnego znaczenia stały się głównym tematem roztrząsań we wszystkich naszych bawialniach i salonach. Na temat natury tych stosunków wypowiedano najrozmaitsze poglądy, od miłosiernych po arcyzuchwałe, i trzeba przyznać, że te drugie wyraźnie przeważały.

Innym, niemal równie pikantnym celem plotek była Naina Gieorgijewna Tielianowa. Opuściwszy dwór swojej babci, przeniosła się do Zawoższka i nie okazywała najmniejszej ochoty salwować się ucieczką do obcych krajów, czyli stało się dokładnie tak, jak zapowiadała przenikliwa siostra Pelagia. Wszyscy oczywiście wiedzieli o brzydkiej roli, jaką odegrała panna Naina w historii z nieszczęsnymi psami, i mało kto teraz chciał utrzymywać znajomość z nie całkiem zrównoważoną księżniczką, jednakże panna ani trochę się nie przejmowała powszechnym potępieniem. Wyrażane niegdyś przez siostrę Pelagię obawy, iż Naina znajdzie się w trudnym położeniu, jeśli zostanie bez spadku po babci, były zupełnie bezpodstawne. Okazało się bowiem, że oprócz bardzo ładnego domku, odziedziczonego po niedawno zgasłej krewnej, Tielianowa miała również własny kapitał, także zapisany jej przez jakiegoś dalekiego wujaszka. Nie było to Bóg wie jakie bogactwo, ale całkiem wystarczające, żeby trzymać pokojówkę i ubierać się wedle ostatniej mody. Panna Naina całkiem otwarcie pojawiała się wszędzie, gdzie

tylko miała ochotę, i w ogóle zachowywała się tak, że czasami nawet przyćmiewała swoimi wyskokami misjonarskie i miłosne dokonania Włodzimierza Lwowicza.

Ileż warte były choćby codzienne przedwieczorne wyjazdy postrzelonej panny na bulwar Pilerski, nasze Champs-Elysees!

Wystrojona w suknię (za każdym razem inną), która nasze damy przyprawiała o zawrót głowy, w ogromnym kapeluszu z piórami, pod ażurową parasolką, Naina Gieorgijewna przejeżdżała niespiesznie po esplanadzie, zuchwale przyglądając się spotykanym damom, a na placu Świątynnym nakazywała stangretowi stanąć pod Hotelem Wielkoksiążęcym i długo, czasami pół godziny, wpatrywała się uparcie w okna bocznego skrzydła, w którym kwaterował inspektor Bubiencow. Znając ten jej zwyczaj, o ustalonej godzinie przy ogrodzeniu zbierał się już niewielki tłumek gapiów i wytrzeszczał oczy na przedziwną pannę. Nikt co prawda ani razu nie widział, żeby drzwi hotelu otworzyły się i inspektor zaprosił księżniczkę do środka, ale ta nieprzystępność wzmagала jeszcze skandaliczny charakter sytuacji.

A w wigilię Ścięcia Głowy Jana Chrzciciela zapachniało w mieście nowym skandalem, przy czym na razie jeszcze nie było jasne, na czym właściwie on polegał. Ale był to zapach właśnie skandalu, ostry, bezsporny. A krążące po mieście słuchy budziły najbardziej obiecujące nadzieje.

Szykowało się wydarzenie dla Zawożska rzadkie, a nawet niemalże niebywałe: publiczna wystawa artystyczna, i to nie jakichś tam rysunków gimnazjalistów czy akwarelek członków towarzystwa Urzędnicy na rzecz Dobrych Obyczajów, lecz pokaz obrazów fotograficznych stołecznej znakomitości – Arkadiusza Siergiejewicza Poggio.

Vernissage dla zaproszonych – z szampanem i przekąskami – był

wyznaczony dokładnie na dzień tego smutnego święta, które, jak wiadomo, wymaga przestrzegania najściślejszego postu. Już w tym czuło się jakieś wyzwanie dla poczucia przyzwoitości. Ale jeszcze bardziej znacząca i dająca wiele do myślenia była tajemniczość, z jaką patronująca wystawie Olimpiada Sawieljewna Szestago rozsyłała zaproszenia wśród wąskiego kręgu przyjaciół i znajomych. Powiadano, że ci nieliczni szczęśliwcy ujrzą coś zupełnie wyjątkowego, i wyrażano denerwujące obawy, że tego, co najbardziej interesujące, potem nikt już nie zobaczy, a może pokaz publiczny w ogóle się nie odbędzie.

Poczmistrzowa pławiła się w promieniach powszechnej ekscytacji. Nigdy dotąd nie otrzymywała tylu zaproszeń na najrozmaitsze wieczory, imieniny i żurfiksy. Nie jeździła do wszystkich, tylko przebierała w propozycjach starannie, zachowywała się w sposób intrygujący, a na zgłaszane wprost prośby o zaproszenie odpowiadała, że pomieszczenie jest za małe i sam artysta protestuje przeciw nadmiarowi gości, bo wtedy niewygodnie będzie patrzeć na jego prace. Od następnego dnia po wernisażu – zapraszamy serdecznie.

Wreszcie nadszedł pamiętny wieczór.



Wystawę zorganizowano w domu poczmistrza, w oddzielnym skrzydle z drzwiami wychodzącymi wprost na ulicę. Tu, w tym wygodnym lokum, Arkadiusz Siergiejewicz mieszkał już cały miesiąc, odkąd opuścił Drodzówkę. Do wyjazdu doszło z niezupełnie zrozumiałego powodu, nie zauważono bowiem żadnej sprzeczki między mieszkańcami dworku a Poggiem; niektórzy, najbardziej przenikliwi obserwatorzy odnotowali jednak, że jego wyprowadzka zbiegła się w czasie z emigracją Nainy Giorgijewny. Na parterze mieszkania znajdował się obszerny salon, gdzie urządzono właściwą

wystawę, a przed salonem mieściła się jeszcze bawialnia. Na piętrze były dwa pokoje: jeden służył panu Arkadiuszowi za sypialnię, drugi zaś, z zasłoniętymi na głucho oknami, za pracownię fotograficzną.

Zaproszeni goście przybywali stopniowo, dlatego zapobiegliwość gospodyni, która przygotowała w bawialni stół z przekąskami, oceniono należycie.

Jedni z pierwszych zjawili się Stiepan Trofimowicz Szyriajew i Piotr Gieorgijewicz Tielianow, co ostatecznie obaliło przypuszczenie o kłótni między Arkadiuszem Siergiejewiczem a mieszkańcami Drozdowki. Szyriajew był blady i spięty, jakby przewidywał, że z wystawy wyniknie dlań coś nieprzyjemnego, za to jego młody towarzysz wiele żartował i wciąż próbował ukradkiem wsunąć nos do zamkniętego salonu, tak że pani Olimpiada musiała w końcu otoczyć urwisa specjalnym nadzorem.

Oprócz tego ze strony artysty zaproszeni byli Donat Abramowicz Sytnikow i Kirył Nifontowicz Krasnow. Generałowa Tatiszczewa, chociaż poprawiła się już po chorobie, z dworku jeszcze nie wyjeżdżała, a gdyby nawet wyjeżdżała, to wątpliwe, czy zaszczyciłaby swą obecnością wystawę nielubianego „pstrykacza” (właśnie tak zaczęła w końcu nazywać pana Arkadiusza, z pewnością mając na myśli dźwięk, jaki wydawał przy robieniu zdjęć jego aparat fotograficzny).

Ze strony gospodyni gości było znacznie więcej: Włodzimierz Lwowicz ze swoim nieodłącznym sekretarzem, gubernialny marszałek szlachty Gawryła Aleksandrowicz (tym razem z małżonką), kilku liberalnych przyjaciół spośród najbardziej zaufanych i sprawdzonych, a jeszcze przybysz z Moskwy, niejaka Polina Andriejewna Lisicyna, która gościła w Zawołżsku od niezbyt dawna, ale zdążyła się już zaprzyjaźnić ze wszystkimi filarami miejscowego towarzystwa. Małżonek Olimpiady Sawieljewny nie został

dopuszczony do udziału w soiree ze względu na swą niewrażliwość na sztukę, a poza tym jego uczestnictwo wobec obecności Bubiencowa wydawało się oczywistą niedorzecznością.

Wszyscy już się zebrali i z minuty na minutę oczekiwano najważniejszej osoby, Włodzimierza Lwowicza, którego zatrzymały sprawy wagi państwowej, ale obiecał, że niezawodnie przybędzie. Goście zdążyli dobrze pokrzepić się szampanem i z rosnącym zaciekawieniem popatrywali na bohatera uroczystości. Poggio przechodził od grupy do grupy, dużo żartował i nerwowo wycierał chusteczką ręce, coraz to popatrując na drzwi – zapewne dręczyła go niecierpliwość i w myślach poganiał spóźniającego się Bubiencowa.

W pewnej chwili podszedł do moskwianki, koło której uwijał się jeden z miejscowych postępowców, i z przesadzonym ożywieniem zawołał:

– Polino Andriejewna, pani koniecznie musi pozwolić zrobić sobie portret! Im dłużej patrzę na pani twarzyczkę, tym ciekawsza mi się wydaje. A jeszcze cudowniej by było, gdyby namówiła pani siostrę do wspólnego pozowania. To po prostu zdumiewające, jak różne mogą być rysy, noszące jednocześnie wszystkie oznaki rodzinnego podobieństwa!

Lisicyna uśmiechnęła się, błysnąwszy żywymi karymi oczyma, i nic na to nie odpowiedziała.

– Proszę się nie gniewać, Poline, ale ten podwójny portret najdobitniej dowiódłby wszystkim, jak zbrodniczo postępują ze sobą kobiety, które postanowiły oddalić się od świata. Pani siostra Pelagia to szara myszka, a pani – ognista lwica. Ona – matowy księżyc, pani – oślepiające słońce. Zarys nosa, brwi, oczu – identyczne, ale nikt i za nic was nie pomyli. Ona jest pewnie o wiele od pani starsza?

– Czy to komplement, czy pragnienie ustalenia mojego wieku? – Lisicyna roześmiała się, ukazując równe białe zęby, i żartobliwie

uderzyła artystę po ręce czarnym wachlarzem ze strusich piór. – I niech pan nie śmie przy mnie obgadywać Pelagii. Tak rzadko się widzimy! Przyjeżdżam raz na sto lat, a ją właśnie wysłano do jakiegoś odległego klasztoru.

Pomachała swą bronią, owiewając obnażone ramiona, przeuroczo obsypane jasnobrzoskwiniowymi piegami, wstrząsnęła wspaniałą rudowłosą fryzurą i przymrużyła oczy, by spojrzeć na zegarek.

– Pani jest krótkowzroczna? – spytał spostrzegawczy Poggio. – Za dwadzieścia dziewiąta.

– Krótkowzroczność jest u nas rodzinna – przyznała Polina Andriejewna i uśmiechnęła się rozbrajająco. – A nosić okulary krępuję się.

– Pani i w okularach byłoby ładnie – zapewnił z galanterią pan Arkadiusz. – No więc, co będzie z portretem?

– Za nic. Jeszcze na wystawę go pan pośle. – Lisicyna przeszła na konspiracyjny szept. – A jaką to pan ma niespodziankę, co? Może coś nieprzyzwoitego?

Poggio uśmiechnął się nieco wymuszonym uśmiechem i nic nie odpowiedział. Ruda czarownica patrzyła na niego z dołu, ciekawie marszcząc okrągłe czoło, jakby próbowała rozwiązać jakąś łamigłówkę.

Ach, ale po co dalej mamić czytelnika, skoro i tak już wszystkiego się domyślił.

Przed zdenerwowanym artystą stała (w wydekoltowanej aksamitnej sukni wizytowej, w białych rękawiczkach po łokcie, z grzywą przemyślnie zakręconych miedzianorudych loków) nie żadna Polina Andriejewna Lisicyna, tylko...

To znaczy nie całkiem nie Polina Andriejewna Lisicyna, bo niegdyś tak właśnie ją nazywano, ale potem zmieniła imię, zrezygnowała z używania otczestwa i została po prostu Pelagią.

Żeby zrozumieć, jak dokonało się nieprawdopodobne, a nawet

czarodziejskie przekształcenie zakonnicy w światową damę, będziemy musieli cofnąć się o dwa tygodnie.

Lato dożywało wówczas ostatnich dni, w górę Rzeki płynęły barki z astrachańskimi i carycyńskimi arbuzami, a władca Mitrofaniusz dopiero co odbył męczącą „naradę w Filach”.



– ...To jest niebezpieczne nie tylko dla mnie i dla gubernatora. To by było pół biedy, a nawet ćwierć. Ale teraz zagrożony jest cały nasz układ. Jako pasterz nie mogę siedzieć z założonymi rękami, kiedy żarłoczna bestia pożera moje stado. Wciąż jestem na widoku, ręce mam związane, wokół mnie podglądacze Bubiencowa roją się jak muchy, nie wiadomo nawet, komu wierzyć. Już donieśli, że wczoraj z gubernatorem i Matwiejem coś skrycie knuliśmy, wiem to z pewnością. Bez ciebie, Pelagio, nie dam rady. Ratuj. Będziemy z dwóch stron pożar gasić. Jak w zeszłym roku, kiedy jeździłaś ze mną do Kazania szukać skradzionej ikony Matki Boskiej z Athos.

Tak przewielebny zakończył swoją mowę.

Mitrofaniusz i jego duchowa córka spacerowali we dwójkę po ścieżkach biskupiego sadu, chociaż dzień był pochmurny i z nieba popadywał deszczyk. Oto do czego doszło – władca obawiał się we własnych komnatach poufną rozmowę prowadzić. Ciekawskich uszu nie brakowało.

– To znów mam odgrywać Polinę? – westchnęła mniszka. – Zarzekałeś się przecież, ojczy, zapewniałeś, że to ostatni raz. Nie mówię ze strachu, że mnie rozpoznają i z klasztoru wygonią. Mnie ten teatr nawet sprawia przyjemność. Tego właśnie się boję. Pokusy światowej. Bardzo mi się serce od tych maskarad ożywia. A to grzech.

– Grzech to już moje zmartwienie – powiedział surowo Mitrofaniusz. – Ja ci to nakazuję pod zakonnym posłuszeństwem, ja

będę odpowiadał. Cel szlachetny, a środek bezprawny wprowadzie, ale nieuczciwości w tym nie ma. Idź do siostry Emilii, powiedz, że wysyłam cię do eufimjewskiego klasztoru. A sama pojedziesz parowcem do Jegorjewa, tam zmienisz się jak należy, a pojutrze masz tu być znowu. Ja cię wprowadzę do domów, gdzie bywa Bubiencow – i do hrabiego Gawryły Aleksandrowicza, i do gubernatorostwa, i do innych. A dalej już sama dawaj sobie radę. Masz. – Biskup podał Pelagii skórzaną sakiewkę. – Toalety zamówisz u Leblanca, nakupisz różnych perfum, pomad, no – wszystkiego, co potrzebne. I kudły swoje ryże we fryzurę ułóż, jak w Kazaniu, z takimi tam loczkami. No, z Bogiem.



Zamieszkała Pelagia – nie, nie Pelagia, tylko młoda moskiewska wdówka, Polina Andriejewna Lisicyna – u pułkownikowej Grabbe, starej przyjaciółki Mitrofaniusza. Staruszka nie wiedziała o maskaradzie, ale przyjęła gościa serdecznie, ulokowała wygodnie i wszystko by było wspaniale, gdyby kochanej Antoninie Iwanownie nie strzeliło do głowy, że miłą, nieszczęśliwą damę trzeba jak najszybciej wydać za męża.

Wynikło stąd dla konspiratorki mnóstwo niezręcznych sytuacji. Pułkownikowa prawie co dzień zapraszała na herbatę młodych i niezupełnie młodych panów kawalerskiego lub wdowiego stanu i niemal wszyscy oni, ku wielkiemu zakłopotaniu Poliny Andriejewny (tak już będziemy ją nazywać), wykazywali bardzo żywe zainteresowanie jej białą cerą, błyszczącymi oczyma i fryzurą „spizowy hełm”: na górze całkiem gładko z przedziałkiem, z tyłu fale, a z boków po trzy kręcone loki. Dochodziło nawet do współzawodnictwa. Na przykład inżynier Surkow, bardzo przystojny mężczyzna, przychodzi w gości z ogromnym bukietem chryzantem,

a inspektor gimnazjum Połuektow zjawia się z wielkim koszem i potem przez cały wieczór pierwszy jest o drugiego zazdrosny.

Siostra Emilia, która nim wstąpiła do klasztoru, trzy razy była zaręczona i dlatego uważała się za wielką znawczynię męskich obyczajów, pouczała, że mężczyźni okazują określonego rodzaju (tak właśnie mówiła: „określonego rodzaju”) uwagę nie wszystkim kobietom, lecz tylko tym, które dają im jakiś znak, niekiedy nawet mimo woli. Spojrzeniem jakimś albo nagłym rumieńcem, albo też nieuchwytnym zapachem, na który męskie nosy są nadzwyczaj wrażliwe. Ten znak mówi: jestem przystępna, można się do mnie zbliżyć. I na dowód Emilia, która była również nauczycielką przyrody, przytaczała przykłady z życia zwierząt, głównie, nie wiadomo dlaczego – psów. Krystyna, Olimpiada, Ambrozja i Apolinaria słuchały tego z zapartym tchem, bo w świecie w ogóle nie zdążyły się zapoznać z męskimi obyczajami. Pelagii zaś robiło się smutno, bo z doświadczeń wyniesionych z odgrywania roli pani Lisicynej wynikało bez żadnej wątpliwości: daje ona znać o swej przystępności, oj, z całą pewnością daje. Może wzrokiem, może rumieńcem, może po trzykroć przeklętym zdradzieckim zapachem. Najbardziej nieprzyjemne było to, że w roli lekkomyślnej pani Lisicynej czernica czuła się jak ryba w wodzie i zwykła jej niezdarność dziwnym trafem gdzieś się ulatniała. Dziewczyna nabierała pewności w zachowaniu, wdzięku w ruchach, a nawet, kiedy szła, biodra zaczynały się zachowywać nader podejrzanie, tak że niektórzy mężczyźni wręcz się oglądali. Po każdym przeistoczeniu trzeba było niejedyn tysiąc pokłonów złożyć i po sto razy modlitwę do Najświętszej Panny odmówić, żeby spłynął błogosławiony spokój.

Na razie jednak wyglądało na to, że tym razem Pelagia bierze grzech na swoją duszę prawie bez pożytku. Przez dwa tygodnie niezmordowanego włączenia się po proszonych wieczorach, obiadach

i balach nie udało jej się dowiedzieć wiele pożytecznego. Bubiencow u Nainy Gieorgijewny nie bywał, ona u niego też nie. Jeśli się gdzieś spotykali, to po kryjomu. Choć i to było wątpliwe, jeśli pamiętać o codziennych demonstracjach księżniczki Tielianowej pod bocznym skrzydłem hotelu. Raz, zaszedłszy wraz z poczmistrzową do apartamentu Włodzimierza Lwowicza, Pelagia zobaczyła na stole kopertę zaadresowaną ukośnym charakterem pisma i z literami „NT” u dołu, ale koperta wałała się tam nierozpieczętowana i – jak wszystko wskazywało – nie pierwszy dzień.

Nieco pomyślniejsze były działania podjęte przez panią Lisicyną w związku ze sprawą zytiacką.

Ciekawa okoliczność wynikała z rozmowy z anatomopatologiem Wieslem, jednym z protegowanych litościwej Antoniny Iwanowny. Okazało się, że Bubiencow wywiózł ze złowrogiej polany leśnej, gdzie wcześniej znajdowała się gontyna krwiożerczego Szyszugi, próbki gleby, przesyconej jakąś cieczą podobną do krwi, a polecenie zanalizowania tego trofeum otrzymał właśnie Wiesel. Badanie w laboratorium wykazało, że jest to w rzeczy samej krew, ale nie człowieka, tylko łosia, o czym zameldowano policmajstrowi Lagrange’owi. Jednak prasy o tej ważnej okoliczności nie poinformowano.

Rotmistrz żandarmerii Priszybiakin, odkomenderowany z Petersburga do pomocy Komisji Nadzwyczajnej, gorąco dysząc pani Polinie w ucho i łaskocząc wypomadowanymi wąsami, opowiedział w tajemnicy o suszonych głowach ludzkich, znalezionych jakoby u zytiackiego szamana, i obiecał pokazać je ładnej wdówce, jeśli odwiedzi go w hotelu. Lisicyna uwierzyła, przyszła – i cóż? Żadnych suszonych głów Priszybiakin nie pokazał, zamiast tego strzelił korkiem od szampana i zaczął pchać się z łapami. Trzeba było niby to z niezręczności trafić go łokciem w pachwinę, od czego rotmistrz stał

się błądy i milczący, zamyczał tylko i wzrokiem cierpiętника odprowadził wyfruwającego z klatki gościa.

Lepiej się udało z sędzią śledczym Borysenką, też z Komisji Nadzwyczajnej. Na balu w Klubie Szlacheckim, popisując się przed ciekawską ślicznotką, poskarżył się, że aresztowani Zytiacy są uparci, sumiennych zeznań składać nie chcą, a ci, co opowiadają o Szyszycie i ofiarach, wciąż płaczą się w zeznaniach i myślą, tak że potem trzeba poprawiać i przepisywać protokoły.

Wszystko to dawało do myślenia, ale za mało tego było, żeby „zawołńska partia” mogła przeprowadzić zdecydowaną kontrofensywę przeciw petersburskiemu najazdowi. Dlatego właśnie Polina Andriejewna przywiązywała takie znaczenie do otwarcia wystawy fotografii: znów wypływał wątek drozdowski i tym razem, zdawało się, coś mogło się wyjaśnić. Czy przypadkiem nie ma to związku z tajemniczą pogróżką, którą Arkadiusz Siergiejewicz straszył pannę Nainę? I znów będzie tam Bubiencow. W ogóle – trzeba było koniecznie zdobyć zaproszenie na wernisaż, co się w końcu Polinie Andriejewnie udało dzięki pomysłowości i nieprzeciętnemu uporowi.

W przeddzień sławetnego soiree pani Lisicyna zakłopotowała się nie na żarty z powodu umieszczonego w zaproszeniu zalecenia: „Damy w sukniach z dekoltem”. Nawet idąc na bal, Polina Andriejewna osłaniała ramiona, pierś i plecy gazową pelerynką, którą miejscowe modnisie uznały za najnowszy moskiewski szyk i już sobie pozamawiały u Leblanca takie same. Zlekceważenie surowego nakazu gospodyni wyglądałoby jednak na afront, tym bardziej zauważalny, że moskwianka, jak wszystko wskazywało, była niemalże jedyną damą uhonorowaną zaproszeniem na wernisaż Olimpiady Sawieljewny. Narażać się głównej konfidentce i sojuszniczce Bubiencowa byłoby co najmniej nierozsądne.

Biedna Pelagia prawie pół dnia przesiedziała u siebie w sypialni

przed toaletką z lustrem, to podciągając wycięcie bezwstydney aksamitnej sukni niemal do samego podbródka, to znów opuszczając zwiewną tkaninę do nakazanej przez monsieur Leblanca granicy.

Trzeba było zresztą przyznać, że dekolt wyglądał wcale, wcale, ponieważ pod jesień piegi z przodu niemal zupełnie zeszyły, za to wdrapały się na ramiona – najpewniej wskutek zajęć pływackich – i zdaniem Poliny Andriejewny nadawały tej części anatomii podobieństwo do dwóch złocistych pomarańczy. Dopiero wszyscy będą się gapić.

Straszne, ale wyboru nie było.



Zabrzączał mosiężny dzwoneczek – ktoś wszedł do sieni z ulicy i Lisicyna zobaczyła, że Arkadiusz Siergiejewicz aż się wspiął na palce i wyciągnął szyję.

Był to Bubiencow i jego nieodstępny Patrokles – Zbawieny. Polina Andriejewna zdążyła zauważyć skrzywione rozczarowaniem wargi artysty i wraz ze wszystkimi odwróciła się do nowo przybyłych.

Bubiencow nie uznał za stosowne przeprosić za spóźnienie i tylko z lekka skinął gościom głową. Gospodyni uścisnął dłoń i troszeczkę przytrzymał jej długie, blade palce, od czego pani Olimpiada od razu zarumieniła się i wyładniała.

– No, to wszyscy już są! – zawołała wesoło. – Cóż, panie Arkadiuszu, otworzy pan sezam? – I pokazała zamknięte drzwi salonu.

– No nie, tak nie można. Trzeba dać spóźnionym możliwość wypicia po kielichu wina – sprzeciwił się artysta, znów oglądając się na drzwi wejściowe. – Naprawdę, szampan jest o wiele bardziej pociągający od moich nudnych pejzaży.

– Dziś post – surowo przywołał go do porządku Tichon Jeremiejewicz. – A my z Włodzimierzem Lwowiczem Boży ludzie

jesteśmy. Lepiej pokaż nam pan swoje obrazki.

Bubiencow co prawda już miał kieliszek przy ustach, ale od razu go odstawił. Wyczekująco unosząc brwi, wielki człowiek powiedział:

– No cóż, w rzeczy samej. Proszę otworzyć. Popatrzymy, czymże to pan tak wszystkich intrygował.

Poggio zbladł. Wreszcie, przewyciężywszy zdenerwowanie i jakby sam zły na siebie, powiedział, bardzo szybko wyrzucając z siebie słowa:

– Dobrze, niech tak będzie. A więc, panie i panowie, jak niektórym z was wiadomo, przyjechałem tutaj, żeby wykonać cykl prac na wystawę w moskiewskim Muzeum Rumiancewskim. Tytuł wystawy – Ruś odchodząca. Poetycki świat starego szlacheckiego dworu, obraz zapuszczonego sadu, oplecione bluszczem altanki, przedwieczne mgiełki i inne romantyczne bzdurki. A zresztą, po co opisywać – popatrzcie państwo sami.

Przesadnie gwałtownym, jakby rozpaczliwym gestem artysta pchnął skrzydło drzwi, zapraszając do salonu.

Niewielka wystawa – bodaj nie więcej niż trzy dziesiątki prac – była urządzona prosto, ale umiejętnie. Z lekka chwiejące się światło palników gazowych nie dawało blików, sprawiało natomiast, że czarno-białe obrazy zdawały się prawdziwsze, żywsze, bardziej rzeczywiste. Po obu stronach wisały na ścianach prześliczne pejzaże i studia, ukazujące niepozorną, lecz czarującą urodę drozdowskiego parku, rzecznej potęgi, starzejącego się ziemiańskiego domu. Widzowie przechodzili powoli wzdłuż szeregu fotografii, z uznaniem kiwali głowami, po czym dochodzili do ściany przeciwległej do wejścia i zastygali, nie ruszając się dalej, tak że dość szybko powstał tam zator.

Polina Andriejewna znalazła się w pobliżu zaczarowanego miejsca jedna z pierwszych i cicho krzyknęła, chwyciwszy się za serce.

Pod trzema wielkimi na arszyn pracami biegł wspólny podpis: „Nad zatoką”. Na każdym zdjęciu widniała naga kobieta, najwyraźniej – ta sama. Mówimy „najwyraźniej”, bo twarzy modelki nie było widać. Na lewej fotografii siedziała w kucki w pobliżu wody, z opuszczoną głową, a jej długie włosy, z wplecionymi w nie wodorostami, spływały w dół. Na prawym zdjęciu leżała plecami do widzów, z ręką zarzuconą nad głowę; na bliższym planie widać było piasek, na dalszym – słoneczne błyski odbijające się w wodzie. I wreszcie środkowa fotografia przedstawiała ją do pasa i en face: kobieta stała po biodra w wodzie, zakrywszy twarz rękoma, na mokrych jasnych włosach miała wianek z lilii, a spomiędzy z lekka rozsuniętych palców pobłyskiwały iskierki roześmianych oczu. Trzeba przyznać, że prace wykonane były po mistrzowsku, ale oczywiście nie dlatego wszyscy się koło nich stłoczyli.

Wyglądało na to, że to właśnie był ten wspaniały, przerażający, niebywały skandal, którego nadejście Zawołżsk wyczuł swym wrażliwym nosem! I rzecz wcale nie w tym, że pokazana została naga natura. Może i jesteśmy niedźwiedzim matecznikiem, ale przecież nie jakąś Persją, i widokiem aktu, choćby fotograficznego, nikt naszych miłośników sztuki w pomieszczenie nie wprawi. Nie, tu cała rzecz polegała na osobie modelki, której kształty widzowie oglądali z żarliwym zainteresowaniem. Ona to czy nie ona?

Donat Abramowicz stęknął, chwycił brodę w garść, z potępieniem pokiwał głową, ale odchodzić na bok nie spieszył się, gdzie tam! Przeciwnie, nałożył pince-nez, zupełnie do niego niepasujące, i zaczął studiować szczegóły, jakby oceniał partię towaru.

Na Szyriajewa żal było patrzeć. Rumieniec oblał go po same włosy, pierś falowała mu gwałtownie, palce gorączkowo to prostowały się, to zwijały w pięści. Także Poggio zachowywał się dziwnie. Patrzył na własne dzieła z bolesnym, niepewnym uśmiechem, a o publiczności

jakby zupełnie zapomniał.

Ostatni podszedł Bubiencow. Z miną znawcy, pochyliwszy głowę na bok, obejrzał tryptyk. Uśmiechnął się i zapytał:

– Kimże jest ta nimfa?

Arkadiusz Siergiejewicz wzdrygnął się i niedbale machnął ręką.

– Ach, jedna z miejscowych. Miła, prawda?

W tym momencie z tyłu rozległ się głośny, drwiący głos:

– A cóż wy tam, szanowni państwo, oglądacie? Pewnie jakieś arcydzieło?

W drzwiach stała Naina Gięorgijewna, nieopisanie piękna w białej sukni, przepasanej szeroką purpurową szarfą, w aksamitnym kapeluszu z woalką, przez którą przezierały ogromne czarne oczy.

Wyglądało na to, że główny skandal jeszcze przed nami.

– Ach, zjawiła się pani jednak?! – zawołał Arkadiusz Sięrgiejewicz, robiąc krok w jej stronę. – Późno! A może myślała pani, że żarty sobie stroję?

– Zrobiłam to specjalnie – odpowiedziała nowo przybyła, podchodząc do zebranych. – Ciekawam była sprawdzić, jakie to w was biesy siedzą.

Z ostentacyjną powolnością obeszła krajobrazową część wystawy, przy jednym, niespecjalnie wyróżniającym się studium nawet się zatrzymała – zapewne żeby zaintrygować zebranych. Wreszcie dotarła do grupki stłoczonej wokół tryptyku. Wszyscy pospiesznie się rozsunęli, żeby ją przepuścić.

Kiedy Tielianowa oglądała gorszące fotografie, było bardzo cicho. Polina Andriejewna zauważyła, że niektórzy ze szczególnym zainteresowaniem porównują linię szyi niebezpiecznej panny i modelki przedstawionej de derriere^[14]. Wychodziło na to, że podobieństwo jest, i to niemałe.

Wreszcie Naina Gięorgijewna odwróciła się. Pierwotnej pewności

siebie jakby jej ubyło, a oczy pod cieniutką siatką zabłyszczały jakoś tak aż nazbyt jaskrawo – czy przypadkiem nie od łez?

– A co tu ma do rzeczy zatoka? – zapytał głośno Kirył Nifontowicz Krasnow, najwyraźniej próbując rozładować napiętą sytuację. – To motyw z Puszkina, z Rusłana i Ludmiły?

– Właśnie tak – odpowiedział Poggio, patrząc płomiennym wzrokiem na piękną Nainę.

– A więc przedstawił tu pan rusałkę, o to chodzi! „Tam dziwy są: jest upiór leśny, siedzi wśród drzew rusałka blada”.

Rozciągając czerwone wargi w bezlitosnym uśmiechu, Arkadiusz Siergiejewicz powiedział przeciągle:

– Możliwe. Albo z tegoż Rusłana inny fragment... – I dodał, skandując wyraźnie każde słowo: – „Rycerzu, była to Naina!”^[15]

Bez jednego słowa (i to było najstraszniejsze) Stiepan Trofimowicz rzucił się ku swemu staremu koledze i wściekle uderzył go pięścią w twarz, tak że artysta zatoczył się na ścianę, a z rozbitych ust na brodę pociekła krew.

– Stiepan, co ty?! – zawołał z przerażeniem Piotr Georgijewicz, chwytając Szyriajewa z tyłu za ramiona. – Co z tobą? – I nagle skojarzył sobie: – Myślisz, że to Naina?!

Potem nastąpiła scena zdecydowanie nieprzyzwoita. Kilku mężczyzn powstrzymywało Stiepana Trofimowicza, który wyrywał się, nic przy tym nie mówiąc, tylko chrypiał. Piotr Tielianow, zakrywszy twarz rękoma, szlochał na głos, Poggio zaś, podobny z zakrwawionymi ustami do wilkołaka, przeciwnie – zachłystywał się ni to kaszlem, ni to histerycznym chichotem.

Naina Georgijewna nagle gwałtownie odwróciła się do Bubiencowa, który z beztroskim uśmiechem przyglądał się batalii, i zapytała dźwięcznym głosem:

– Co, wesoło panu?

– A czemu nie? – odpowiedział cicho inspektor.

– Książę Ciemności – wyszeptała Naina Georgijewna, odskoczyła od niego z lękiem i jeszcze ciszej dodała coś całkiem niezrozumiałego:

– Książę i księżniczka, jak to się składa...

I nie czekając na koniec starcia, błyskawicznie wybiegła na zewnątrz.

– Pani Tielianowa nie w pełni opanowała sztukę opuszczania sceny – ironicznie zauważył Włodzimierz Lwowicz, zwracając się do pani domu. – Zwyczajnie wyjść jakoś w żaden sposób jej się nie udaje, musi wybiegać.

Olimpiada Sawieljewna wyglądała jak zwycięska Nike – soiree przeszło wszelkie jej oczekiwania.

– Dosyć, panowie! – powiedziała głośno. – Doprawdy, co za dziecinada! To szampan jest wszystkiemu winien. Proszę przyjść jutro na otwarcie dla szerokiej publiczności. Myślę, że będzie ciekawie.

Tylko że nazajutrz do żadnego otwarcia dla szerokiej publiczności nie doszło, bo otwierać nie było co.

I nie miał kto.

VIII

Ciż sami, ale nie wszyscy

Ale po kolei, po kolei, bo tu ważny jest każdy, nawet na pierwszy rzut oka najmniej znaczący szczegół.

Kiedy o wpół do dziesiątej rano Arkadiusz Siergiejewicz nie wyszedł na śniadanie, Olimpiada Sawieljewna z początku nie pomyślała niczego szczególnego, bo gość ze stolicy, jak wypada przedstawicielowi wolnego zawodu, punktualnością się nie odznaczał. Jednakże po kwadransie, kiedy omlet nie mógł już dłużej czekać, wysłała lokaja. Ten przeszedł przez podwórko i ulicę, bo inaczej do wydzielonego skrzydła nie można było dojść, zabrzączał dzwonkiem, potem dla pewności jeszcze zastukał – żadnej odpowiedzi.

Poczmistrzowa zaniepokoiła się wówczas, czy artyście nie zrobiło się niedobrze po wczorajszych przeżyciach i całkiem solidnym ciosie, jaki wymierzył mu Stiepan Trofimowicz Szyriajew. Lokaja wyprawiono jeszcze raz, ale już z kluczem. Ten zresztą okazał się niepotrzebny, ponieważ Poggio, jak zawsze roztargniony, nie zarygłował drzwi. Posłaniec dostał się do środka i po paru chwilach napęłnił dom przeraźliwym krzykiem.



Trzeba tu wyjaśnić, że zabójstwa w naszym mieście ostatnimi laty zdarzały się nadzwyczaj rzadko. Ściśle mówiąc, ostatni raz taki grzech odnotowano zaprzeszłego lata, kiedy dwóch wozaków pokłóciło się o pewną jarmarczną carmencitę i jeden nazbyt zapalczywie zdzielił drugiego polanem po łbie. A jeszcze przedtem do zabójstwa doszło

pięć lat wcześniej i znów nie wskutek jakiegoś zbrodniczego zamiaru, tylko z miłości: dwóch gimnazjalistów z szóstej klasy postanowiło strzelać się w pojedynku. Któryś z nich, teraz już nikt nie dojdzie który, przejął list miłosny drugiego, adresowany do ładniutkiej córeczki naszego miejskiego archiwisty Benewoleńskiego. Pistoletów chłopcy nie mieli, strzelali do siebie ze strzelb myśliwskich i obaj zginęli na miejscu. Pisały o tym wszystkie gazety, chociaż oczywiście nie narobiły takiego hałasu jak w związku z obecną sprawą Zytiaków. A biedną dziewczynę, która stała się mimowolną przyczyną podwójnego zabójstwa, ojciec na zawsze wyprawił z Zawołzka do krewnych w jakiejś dalekiej guberni, bodaj do samego Władywostoku.

Tym razem jednak nie chodziło o pijacką bójkę czy młodzieńczą zapalczywość: występowały tu wszystkie objawy zamierzonego, przemyślanego morderstwa, wyróżniającego się w dodatku wyjątkowym bestialstwem. Trupy bez głów, nie wiadomo czyje i Bóg wie z jakiej głuszy przytargane – to jedno. Całkiem zaś co innego, kiedy coś tak strasznego zdarza się w samym Zawołzku, przy najlepszej ulicy, a ofiarą jest stołeczna znakomitość, którą znało całe najlepsze towarzystwo. Najbardziej zaś przerażające było to, że zbrodnię – w to absolutnie nikt nie wątpił – popełnił ktoś z tego właśnie towarzystwa, w dodatku z powodów nadzwyczaj rozpalających wyobraźnię (nie ma co nawet mówić, że o skandalicznym zakończeniu soiree u poczmistrzowej jeszcze tego samego wieczoru wiedziało całe miasto).

O tych motywach głównie rozprawiano, co zaś do osoby zabójcy, to wysuwano różne przypuszczenia, a nawet powstały w związku z tym co najmniej trzy partie. Najliczniejsza była „szyriajewska”. Następna co do wielkości widziała winowajczynię w obrażonej Nainie Giorgijewnie, po której od czasu historii z psami można było spodziewać się wszystkiego. Trzecia zaś partia miała w podejrzeniu jej

brata, powołując się na jego nihilistyczne przekonania i kaukaską krew. Powiedzieliśmy „co najmniej trzy”, ponieważ istniała również czwarta partia, nieliczna, lecz wpływowa, bo zawiązana w kołach zbliżonych do gubernatora i Matwieja Bencjonowicza Berdyczowskiego. Jej członkowie szeptali, że tak czy inaczej maczał w tym palce Bubiencow, ale ci najwyraźniej brali własne pragnienia za rzeczywistość.

Nic dziwnego, że już w południe cały Zawołżsk dowiedział się o strasznym wydarzeniu. Mieszkańcy sprawiali wrażenie zarazem podnieconych i przybitych, a ogólny stan umysłów był taki, że władyka nakazał odprawić w cerkwiach oczyszczające modlitwy i sam wygłosił w soborze kazanie. Mówił o ciężkich próbach zesłanych na miasto i było jasne, że miał na myśli nie tylko zabójstwo fotografa.



Zanim władyka udał się na mszę, do pałacu biskupiego przybył wezwany przez umyślnego podprokurator Berdyczowski.

– Wiesz co, Matusza – powiedział władyka, obleczony już w ornat i sakkos, ale jeszcze bez mitry i panagii – ty tego śledztwa nikomu nie przekazuj, weź się do niego sam. Nie wykluczam, że może tu wyjść na jaw coś prowadzącego do wiadomej ci osoby. – Mitrofaniusz rzucił szybkie spojrzenie na uchylone drzwi. – Pomyśl tylko. I zabitego, i osobę, której, jak wszystko wskazuje, nieboszczyk chciał dokuczyć, nasz spryciarz doskonale zna, a z tą drugą wiązą go nawet jakieś szczególne stosunki. On też osobiście należał do niewielkiego grona osób, które były obecne przy wczorajszych igrzyskach...

Matwiej Bencjonowicz zamachał rękoma i nawet przerwał przewielebnemu, co nigdy wcześniej się nie zdarzało.

– Ojczy, ja tego w żaden sposób nie mogę się podjąć! Przed wszystkim trzeba będzie jechać na miejsce zabójstwa, a ja

nieboszczyków się boję...

– No, no! – Mitrofaniusz pogroził mu palcem. – Słabość serca trzeba przezwyciężyć. Jesteś prokuratorem czy nie? Zobaczysz, zabiorę cię ze sobą na cmentarz Staroswiacki, skąd trumny przenoszą, bo Rzeka całkiem brzeg podmyła. Ja będę, jak się należy, modlitwy odmawiał, a tobie powierzę nadzór nad wydobywaniem szczątków. To ci dobrze zrobi na wzmocnienie nerwów.

– Ach, nie tylko o nieboszczyka chodzi. – Berdyczowski błagalnie zajrzał władcyce w oczy. – Ja nie mam daru śledczego. Sporządzić akt oskarżenia czy nawet przesłuchanie poprowadzić – to mi wychodzi bardzo dobrze, ale sędzia śledczy w sprawie karnej to ze mnie żaden. To ty, ojczy, masz talent do rozwiązywania zagadek. Szkoda, że nie wypada, by władca sam tam jechał, to jego godności nie przystoi.

– Sam nie pojedę, ale dodam ci do towarzystwa swoje oko. Wejdz, córko! – zawołał przewielebny, odwracając się ku drzwiczkom, które prowadziły do wewnętrznych pokoi.

Do gabinetu, gdzie biskup rozmawiał z podprokuratorem, weszła chudziutka mniszka w czarnym apostołniku i również czarnej kamiławce, kłaniając się bez słowa. Berdyczowski, który znał już Pelagię i wiedział, że cieszy się ona szczególnym zaufaniem Mitrofaniusza, wstał i odpowiedział jej równie pełnym szacunku ukłonem.

– Weź ze sobą siostrę Pelagię – nakazał archijerej. – Jest spostrzegawcza, umysł ma bystry i bardzo może ci się przydać.

– Ale tam na pewno jest już policja i sam Lagrange. – Podprokurator rozłożył ręce. – Jak ja wyjaśnię, że przychodzę w takim dziwnym towarzystwie?

– Powiesz, że po kazaniu władca przyjdzie poświęcić ten dom zbrukany złem, a najpierw przysyła zakonnicę, która ma wszystko tak przygotować, by wyglądało przyzwoicie i nie obrażało oczu

przewielebnego. A co do Lagrange'a, to rozumiem, że on, szelma, teraz u ciebie jak na sznurku chodzi? – I zerknąwszy na Pelagię, dodał: – Powiedz mu, że czernica jest cicha, pokorna, uboga duchem i w śledztwie nie przeszkodzi.

Kiedy jechali kolaską po Szlacheckiej, milczeli oboje, bo Pelagię taki mądry i wielce uczony towarzysz podróży nieco onieśmielał, Matwiej Bencjonowicz zaś nie był przyzwyczajony obcować z duchownymi osobami (Mitrofaniusz tu się nie liczy, to było co innego), a już zupełnie nie wiedział, jak prowadzić rozmowę z mniszką.

Wreszcie, znalazłszy sposobny temat, otworzył usta i powiedział:

– Mateczko...

Ale zacukał się, bo przyszło mu do głowy, że kobiecie całkiem niestarej, choćby nawet mniszce, raczej nie będzie przyjemnie, że w taki sposób zwraca się do niej łysawy i nieco już otyły mężczyzna dobrze po trzydziestce.

Zresztą Pelagia zawsze wprawiała go w zakłopotanie, chociaż dotąd nie tak często miał okazję z nią rozmawiać. Z punktu widzenia pana Matwieja zakonnica odznaczała się bardzo niewygodną cechą, tą mianowicie, że raz wyglądała na dojrzałą i doświadczoną kobietę, a innym razem, jak choćby w tej chwili, po prostu na dziewczynkę.

– To znaczy... siostró – poprawił się. – Przecież siostra jest siostrą – a to już wyszło zupełnie głupio – Poliny Andriejewny Lisicynej?

Zakonnica jakoś niejasno kiwnęła głową i Berdyczowski przestraszył się, czy nie naruszył nieznanego mu przepisu etykiety, w myśl którego z mniszkami nie należy rozmawiać o ich żyjących w świecie krewnych.

– Tak tylko spytałem... To bardzo mądra i sympatyczna osoba, i do siostry troszkę podobna. – Spojrzał ostrożnie na swoją towarzyszkę, kołyszącą się obok na skórzanym siedzeniu kolaski, i dodał: – Tylko

trošeczkę.

Nie wiadomo, do czego doprowadziłaby ta niezupełnie zręczna rozmowa, gdyby powóz nie wjechał na plac Świątynny, główny plac naszego miasta, przy którym znajduje się i sobór katedralny, i dom gubernatora, i główne instytucje, i konsystorz, i Hotel Wielkoksiążęcy, w którym sto lat temu rzeczywiście zatrzymał się wielki książę Konstanty Pawłowicz podczas swej podróży inspekcyjnej po wschodnich guberniach cesarstwa.

Tam właśnie, przy żeliwnym ogrodzeniu tej najlepszej zawołoskiej hotelerii, tłoczyli się ludzie, szumieli, pchali się, i widać było nawet policyjne czapki. Działo się tam coś jawnie skandalicznego, i to w bezpośrednim sąsiedztwie przybytków władzy duchownej i świeckiej, na co Matwiej Bencjonowicz, jako osoba urzędowa, nie mógł nie zwrócić uwagi. Prawdę mówiąc, podprokurator w ogóle miał słabość do sytuacji, które pozwalały mu zaprezentować możliwości, jakie daje władza.

– Proszę zaczekać, siostrzyczko – powiedział z godnością do Pelagii, stangretowi kazał się zatrzymać i poszedł rozejrzeć się w sytuacji.

Solidnego urzędnika przepuszczono bez przeszkód w samo centrum zbiegowiska. Okazało się, że wszyscy gapią się na człowieka Wschodu, Bubiencowowskiego abreka.

Czerkies był pijany w trupa i samotnie wykonywał jakiś szaleńczy taniec, głównie w milczeniu, ale od czasu do czasu pokrzykiwał coś gardłowo. Dreptał w miejscu, drobiąc wielkimi stopami w obszarpanych miękkich butach, niekiedy nadzwyczaj zręcznie zaczynał tańczyć na palcach i potwornej wielkości kindzątem opisywał nad wygoloną głową świetliste koła. Od razu było widać, że płaśa w ten sposób już od dawna i ma zamiar oddawać się temu zajęciu jeszcze długo.

– A to co znowu? – spytał surowo Berdyczowski rewirowego.

– Sam pan przecież widzi, wasza wielmożność. Niedługo godzina będzie, jak tak szaleje bez chwili przerwy. A przedtem w traktierni „Zwierciadlanej” lustra tłukł i posługaczy pokopał, wcześniej był w szynku „Samson”, gdzie też rozrabiał, bo i tam przyszedł już mocno pijany.

– Czemu go nie powstrzymaliście?

– Próbowaliśmy, wasza wielmożność. Ale on stójkowemu Karasiukowi mordę rozkwasił, a mnie mało swoim tasakiem nie zarażał.

– Zastrzelić go trzeba – powiedział ze złością policjant, który zakrywał twarz zakrwawioną chustką, zapewne ówże Karasiuk. – Nic innego nie pozostaje, dopóki kogoś nie okaleczył.

– Ja ci zastrzele! – syknął na niego rewirowy. – Przecież to samego Włodzimierza Lwowicza Bubiencowa człowiek.

– A pan co się gapi? – odwrócił się Berdyczowski do Tichona Jeremiejewicza Zbawienego, który też tu sterczał w pierwszych szeregach tłumu. – Proszę zabrać stąd waszego dzikusa.

– Toć ja za nim już od nocy chodzę – powiedział żałośnie Zbawieny. – Nie pij, mówię, nie pij. Ale czy to on posłucha? Nie powinien on wódeczki pić, całkiem nie powinien, Nierosyjski to człowiek, co on może? Albo w ogóle do ust nie bierze, albo pół wiadra wychła i całkiem się zbiesi. Spoił go jakiś zły człowiek. Teraz, póki nie padnie, tańczyć będzie.

Matwiej Bencjonowicz, czując na sobie spojrzenia całego tłumu, oświadczył władczym, nieznoszącym sprzeciwu głosem:

– Niedozwolone. To nie jakiś zaułek, tylko plac Świątynny. Wkrótce władyka przyjedzie tu kazanie wygłaszać. Zabrać go natychmiast!

Z tłumu ktoś krzyknął (proszę, owoce godności):

– Patrzcie go, mądrala! Idź, sam go zabierz, jakeś taki zuch!

I tu zrozumiał pan Matwiej, że wpadł w pułapkę, którą sam na siebie zastawił. Co też mu strzeliło do głowy, żeby zatrzymać kolaskę! A cofać się nie miał jak. I od rewierowego z pobitym stójkowym też nie było co oczekiwać odsieczy.

Zacisnąwszy szczęki, żeby dodać sobie odwagi, Berdyczowski zrobił jeden krok, potem drugi i podszedł bliżej do straszego tancerza. Ten nagle zaśpiewał jakąś dziką, ale na swój sposób melodyjną pieśń i zaczął bardzo szybko wymachiwać kindziałem.

– Natychmiast przerwać! – wrzasnął co sił podprokurator.

Czerkies tylko popatrzył na niego purpurowym, pijanym spojrzeniem.

– Mówię do ciebie!

Berdyczowski znów podszedł bliżej, potem jeszcze.

– Ech, narwany – powiedział ktoś z tyłu w tłumie. Nie wiadomo, czy miał na myśli podprokuratora, czy Czerkiesa, ale Matwiej Bencjonowicz wziął to do siebie i nabrał trochę otuchy. Wyciągnął rękę, żeby schwytać górala za rękaw, i nagle – szszsz! – przy samych palcach Berdyczowskiego błysnęła krzywa stalowa klinga, a od rękawa surduta odpadły dwa równo odcięte herbowe guziki.

Matwiej Bencjonowicz, krzyknąwszy mimo woli, odskoczył w bok i rozwścieczony taką utratą twarzy krzyknął do rewierowego:

– Żywo po Bubiencowa! Jeśli nie uspokoi swojego abreka, rozkażę strzelać mu w nogi!

– Włodzimierz Lwowicz raczy jeszcze spać i budzić się nie kazał – objaśnił Zbawieny.

– Spójrz pan, czekam dziesięć minut, ani sekundy dłużej. – Berdyczowski ze złością pomachał srebrną cebulą. – I rozkażę strzelać!

Tichon Jeremiejewicz podreptał w kierunku hotelu, a na placu zapanowało nabrzmiące ciekawością milczenie.

Czerkies jak nakręcony wciąż odprowadzał swój do niczego niepodobny taniec. Berdyczowski stał z zegarkiem w ręku, czując się arcygłupio. Karasiuk z widocznym zadowoleniem ładował naboje do rewolweru.

Kiedy do upływu terminu ultimatum pozostała minuta, rewirowy powiedział nerwowo:

– Wasza wielmożność, proszę zaświadczyć, że ja nic wspólnego...

– Idzie! Idzie! – zaszumiało w tłumie.

Z bramy hotelu niespiesznie wyszedł Włodzimierz Lwowicz w jedwabnym szlafroku i tureckiej czapeczce z kutasikiem. Tłum rozstał się przed nim. Inspektor zatrzymał się, wsparł pod boki i przez pewien czas wpatrywał się w swojego półoszalałego janczara. Potem ziewnął i powoli ruszył wprost na niego. Któraś z bab cicho krzyknęła. Czerkies jakby nie patrzył na swego pana, ale jednocześnie, wciąż podtańcowując, powoli cofał się ku ścianie hotelu. Bubiencow posuwał się cały czas równie leniwie, nie wymówiwszy ani jednego słowa, dopóki Czerkies nie oparł się o ścianę i zamarł na miejscu. Wzrok miał całkiem nieruchomy, jakby martwy.

– Natańczyłeś się, durniu? – powiedział inspektor w zapadłej nagle ciszy. – Obudź się, idiemy.

Po tych słowach odwrócił się i nie patrząc za siebie, poszedł z powrotem w kierunku bocznego skrzydła hotelu. Murad posłusznie zmierzał za nim, z boku powoli stąpał Zbawieny.

Wszyscy w milczeniu odprowadzali wzrokiem malowniczą trójkę.

Jakiś diaczek przeżegnał się i powiedział basem:

– I dał im władzę nad duszami nieczystymi.

Przeżegnała się i Pelagia, która, jak już wiemy, nigdy nie czyniła znaku krzyża bez powodu.



Pod drzwiami mieszkania, które do niedawna zajmował biedny artysta fotografik, też stał gęsty tłum ciekawskich, a przy ganku groźnie wybałuszał oczy przodownik policji. Pelagia, nim weszła do środka, znów się przeżegnała i znów nie bez przyczyny.

Bawialnia wyglądała prawie tak samo jak poprzedniego dnia, tylko stoły, na których podczas soiree stało wino i przekąski, były puste. Tym bardziej przerażający obraz objawił się oczom mniszki w salonie. Wszystkie zdjęcia były nie tylko zdarte ze ścian, ale i porwane w drobniutkie strzępy, które zaścielały całą podłogę. Ktoś rozszalały stracił sporo czasu, żeby obrócić wystawę Poggia w proch i pył.

Z pierwszego piętra zbiegł po schodkach rzeczowy policmajster Lagrange. Na widok Berdyczowskiego zajaśniał przymilnym uśmiechem.

– Matwiej Bencjonowicz we własnej osobie? Postanowił pan samemu...? No cóż, słusznie.

Policmajster z ukłonem ucisnął rękę Berdyczowskiemu, ze zdziwieniem spojrzął na Pelagię, ale wyjaśnienie podprokuratora zadowoliło go w zupełności i potem już nie zwracał na mniszkę najmniejszej uwagi. Widać było, że Feliks Stanisławowicz jest w najwspanialszym nastroju.

– Co tutaj oglądać! – Niedbale machnął ręką na obrócony w perzynę salon. – Zechce pan na górę, tam dopiero jest obrazek.

Na górze były tylko dwa pokoje – sypialnia i jeszcze jeden, w którym, jak już mówiliśmy, Arkadiusz Siergiejewicz urządził sobie pracownię fotograficzną. Do tego pokoju, bliższego, przybysze zajrzeli najpierw.

– Proszę uniżenie – pokazał z dumą Lagrange. – Rozwalone do cna.

I rzeczywiście, pracownia wyglądała jeszcze straszniej niż sama wystawa. Pośrodku pokoju leżał ni to rozbity jednym uderzeniem, ni to rozdeptany aparat marki „Kodak”, a wokół, niczym błyszczące

kawałeczki lodu, walały się odłamki szklanych płyt fotograficznych.

– Ani jedna się nie ostała, wszystko w drobny mak – wciąż tak samo chwacko, jakby szczyjąc się zdolnościami nieznanego przestępcy, wyjaśnił policmajster.

– Ślady? – zainteresował się Berdyczowski, popatrzawszy na dwóch funkcjonariuszy policji, czołgających się po podłodze z lupami w rękach.

– Jakie tam ślady! – odpowiedział jeden, nieco starszy, podnosząc wymiętą, przepitą twarz. – Sam pan widzi, jakby stado słoni przeszło. Głupstwami się zajmujemy, odłamki składamy. Tu ot, pod każdą płytą przyczepiony jest paperek z nazwą. „Biała altanka”, „Zachód nad Rzeką”, „Rusałeczka”. Zbieramy odłamek do odłamka, jak w dziecinnej zabawce „Złóż obrazek”. A nuż znajdzie się coś pożytecznego. Szanse, oczywiście, nikłe.

– No, no. – Berdyczowski półgłosem spytał Lagrange’a: – A gdzie... nieboszczyk?

– Idziemy – roześmiał się Feliks Stanisławowicz. – Nocą pan nie zaśnie. Po prostu martwa natura.

Matwiej Bencjonowicz wytarł czoło chusteczką i ruszył korytarzem za swym odzianym w granatowy mundur Wergiliuszem. Pelagia cichutko szła z tyłu.

Poggio leżał na łóżku i uroczyście patrzył w sufit, jakby myślał o czymś bardzo ważnym – na pewno nie o jakimś żalonym statywie, który przygwoździł go do łóżka i sterczał, zaciśnięty sklepieniem klatki piersiowej.

– Oczywiście na miejscu. – Policmajster wskazał trupa palcem obciążonym białą rękawiczką. – Cios, raczy pan zauważyć, zadano dokładnie pionowo. Widocznie zabity leżał, nie próbował wstać. Najpewniej spał. Otworzył oczy i w tej samej chwili... królestwo niebieskie. A kruszyć i łamać zaczął zabójca dopiero potem.

Podprokurator zmusił się do obejrzenia trzech złożonych nóżek statywu, wbitych głęboko w ciało trupa. Były drewniane, ale w dolnej części okute mosiądzem i zapewne ostro zakończone.

– Mocne uderzenie – powiedział, udając obojętność, i spróbował objąć palcami górną część trójnoga, jednak palce się nie zetknęły. – Kobieta by tak nie potrafiła. Za ciężkie i nie chwyciłaby, jak należy.

– Też tak myślę – zgodził się Lagrange. – A zatem to nie Tielianowa. Cała sprawa to w istocie kaszka z mleczkiem. Czekałem tylko na śledczego, a moi ludzie już dokonali pełnego przeszukania. Protokolik zechce pan podpisać?

Berdyczowski aż się zmarszczył wobec tak wyraźnego naruszenia procedury – protokołu przeszukania bez przedstawiciela prokuratury sporządzać nie wolno. Zaczął więc czytać dokument umyślnie powoli, ale wszystko było w idealnym stanie: Lagrange, trzeba przyznać, znał się na policyjnej robocie.

– Co pan o tym sądzi? – spytał Matwiej Bencjonowicz.

– Może chodźmy na dół, do salonu, póki tego nie wyniosą – zaproponował Feliks Stanisławowicz.

Tak też zrobili.

Stanęli w kącie pustego salonu, policmajster zapalił fajkę, podprokurator wyciągnął zeszytik. Tutaj też zjawiała się siostra Pelagia: czołgała się po podłodze, niby to sprzątajac śmieci, a w rzeczywistości zbierając fragmenty fotografii i składając jeden do drugiego. Rozmówcy nie zwracali na nią uwagi.

– Słucham. – Berdyczowski przygotował się do notowania.

– Krag zamieszanych w sprawę mamy wąski. Tych, co mogli mieć jakieś powody do zabójstwa, jest jeszcze mniej. Trzeba ustalić, kto z tych ostatnich nie ma alibi – i po krzyku.

Wspaniale wyglądał w tym momencie Lagrange: oczy płonęły mu ogniem, wąsy zwycięsko drgały, ręka energicznie rąbała powietrze,

fachowe terminy rozpląwały mu się w ustach niczym landrynki. Wydaje się, że w ostatnich tygodniach Feliks Stanisławowicz przestał uważać Zawołżsk za miasto nudne i nieotwierające perspektyw. Sama sprawa zytyacka ile była warta! Ale w tamtej główne fanfary i litaury były najwyraźniej przeznaczone dla Bubiencowa. Za to tutaj, przy badaniu tego wielce apetycznego zabójstwa, nikt nie mógł wejść policmajstrowi w drogę. Znow pojawiła się wspaniała możliwość zademonstrowania mądremu i niebezpiecznemu panu Berdyczowskiemu, że jest się niezastąpionym, mimo że obecnie ta okoliczność stała pod wielkim znakiem zapytania w związku z wpadką pana Feliksa w sprawie łapówki.

– Niech pan sam oceni, panie prokuratorze. – Lagrange strzepnął jakiś pyłek z rękawa Berdyczowskiego. – Związek nocnego zabójstwa z wieczornym skandalem jest oczywisty. Tak?

– Powiedzmy.

– Na soiree u Olimpiady Sawieljewny obecnych było, nie licząc dam, dziesięć osób. No, pana inspektora Synodu i pana marszałka szlachty pominiemy, bo to ptaki wysokiego lotu, a i trudno się dopatrzeć jakichś motywów. Poza tym ze strony nieboszczyka zaproszeni byli: administrator Szyriajew, księżę Tielianow, kupiec pierwszej gildii Sytnikow i ziemianin Krasnow. Ze strony gospodyni: dyrektor gimnazjum Sonin, przysięgły notariusz Kleist i architekt Brandt. Jeszcze Włodzimierz Lwowicz przyprowadził ze sobą swego sekretarza Zbawienego.

– Powiedzmy – powtórzył Berdyczowski, szybko poruszając ołóweczkiem. – A podejrzewa pan oczywiście najpierw Szyriajewa, potem Tielianowa?

– Nie tak szybko – uśmiechnął się upojony policmajster. – Na pierwszym etapie śledztwa wolałbym nie zmniejszać liczby podejrzanych. Na przykład damy. Księżniczka Tielianowa była

głównym obiektem wczorajszego skandalu. Jeśli nawet nie zabiła sama, to mogła być inspiratorką lub współuczestniczką, o czym jeszcze powiem. A teraz pani Lisicyna.

Pelagia zamarła, nie do końca złożąwszy zdjęcie nagiej kobiety na piasku.

– Bardzo niezwykła osoba. Nie wiadomo, co ona właściwie tyle czasu robi w Zawołzsku. Sprawdziałem – niby to przyjechała odwiedzić swoją siostrę, zakonnice. To po co w takim razie po balach i salonach parady? Wszędzie bywa, wszyscy ją znają. Bystra, kokietka, mężczyznom w głowach zawraca. Bez wątpienia – awanturnica.

Berdyczowski zerknął z zakłopotaniem na Pelagię, ale ona już chyba nie słuchała – w skupieniu układała skrawki zdjęć.

– Dziś rano posłałem telegraficzne zapytanie do departamentu, czy Polina Andriejewna Lisicyna nie pojawiała się w jakiejś sprawie. I co pan myśli? Pojawiała się, i to trzykrotnie! Trzy lata temu w Fermie w sprawie zabójstwa pokutnika Pafnucego. Rok temu w Kazaniu w związku z kradzieżą cudownej ikony i jeszcze w Samarze w sprawie zatonięcia parowca „Swiatogor”. Za każdym razem była świadkiem w procesie. Ładnie, co?

Berdyczowski znów popatrzył na mniszkę, już nie z zakłopotaniem, tylko pytająco.

– Tak, ciekawe – przyznał. – Ale stwierdziliśmy już, że kobieta nie mogłaby dokonać takiego zabójstwa.

– Mimo wszystko pani Lisicyna jest diabelnie podejrzana. No, ale Bóg z nią, zorientujemy się. A teraz przejdźmy do podejrzanych pierwszego stopnia, czyli do tych, co dawno znali Poggia i mieli lub mogli mieć powody go nienawidzić. – Lagrange podniósł palec wskazujący. – Pierwszy to oczywiście Szyriajew. Zakochany w Tielianowej do szaleństwa, próbował zabić Poggia od razu tam, na

wernisażu, bez żadnych sztuczek – ledwie go odciągnięto. Drugi to brat, Piotr Tielianow. – Policmajster podniósł środkowy palec. – Tu prawdopodobnie gra rolę również urażona miłość własna. Tielianow najpóźniej ze wszystkich zrozumiał, że jego siostrę znieważono, i tym samym wyszedł na ni to durnia, ni to tchórza. Niezrównoważony młody człowiek o złych skłonnościach, objęty nadzorem policyjnym. A ja całe to nihilistyczne towarzystwo uważam za zdolne do każdego paskudztwa. Skoro taki na same podstawy państwa się zamierza, to co dla niego znaczy życie jednego człowieka? A tu w pewnym sensie można go nawet zrozumieć: bronił czci siostry. Ale to jeszcze nie wszyscy. – Do dwóch palców dołączył trzeci, serdeczny, co prawda do połowy zagięty. – Sytnikow. Skryty jegomość, ale też z namiętnościami. Wedle posiadanych przeze mnie informacji bardzo nieobojętny na czary Tielianowej. Tu ma pan motyw: zazdrość wobec szczęśliwszego współzawodnika. Donat Abramowicz sam po nocy nie pójdzie zabijać ludzi, uzna, że to poniżej jego godności, ale któregoś ze swoich zuchów posłać by mógł. Wszyscy jego pracownicy, co do jednego, to starowiercy. Brodaci, posepni, na władzę wilkiem patrzą. – Zdaje się, że policmajstrowi podobała się wizja starowierców zabójców. – A co, bardzo proste. Trzeba będzie Włodzimierzowi Lwowiczowi zameldować...

– A skoro o inspektorze mowa – z niewinną minką wtrącił Berdyczowski – to z nim przecież też nie wszystko jasne. Powiadają, że Tielianowa rzuciła Poggia nie tak po prostu, tylko dla Bubiencowa.

– Bzdury. – Policjant machnął rozczapierzoną dłoń. – Babskie plotki. To znaczy Tielianowa może i usycha dla Włodzimierza Lwowicza. Nic dziwnego – mężczyzna wyjątkowy. Ale on jest wobec niej zupełnie obojętny. A jeśli nawet przedtem coś między nimi było – gdzie motyw? Zazdrość o kochankę, na której człowiekowi w ogóle nie zależy, a która nie chce się od niego odczepić? Dlatego miałby

zabić? To się, drogi panie, nie zdarza.

Wypadało przyznać, że Lagrange ma rację.

– Co zatem będziemy robić? – spytał Berdyczowski.

– Myślę, że na początek nieźle by było całą trójkę porządnie przesłuchać...

Policmajster nie dokończył – zauważył, że z boku, nieco dalej, stoi mniszka. Skrawki zdjęć, starannie ułożone w kwadraty, leżały na podłodze pod ścianami.

– A co tu siostra ciągle coś węszy?! – zawołał z rozdrażnieniem Feliks Stanisławowicz. – Posprzątane, to proszę sobie iść. A jeszcze lepiej wymieść stąd te wszystkie śmieci.

Pelagia ukloniła się bez słowa i poszła na piętro. Urzędnicy policyjni, którzy przeprowadzali przeszukanie, siedzieli w pracowni i palili papierosy.

– No, jak tam siostrunia-malunia? – spytał wesoło ten z wymiętą twarzą, który poprzednim razem mówił o płytach. – Coś się zgubiło?

Mniszka zobaczyła, że szklanych odłamków już nie ma na podłodze, wszystkie zostały zebrane i poukładane, zupełnie jak fotografie w salonie. Wesołek podążył za jej spojrzeniem i zauważył:

– Tam są takie rzeczy, że siostrzyczka nijak nie powinna na to patrzeć. Wesoły pan był z tego całego Poggia. Szkoda, teraz się go już nie wskrzesi.

Pelagia zapytała:

– Proszę mi powiedzieć, dobrodzieju, czy jest tu płyta z naklejką „Deszczowy poranek”?

Śledczy przestał się uśmiechać i ze zdziwieniem uniósł brwi.

– Dziwne, że siostrzyczka pyta. Tu na liście „Deszczowy poranek” jest, a płyty nie znaleźliśmy. Ani kawałka. Widocznie był z niej niezadowolony i postanowił wyrzucić. A co siostra o tym wie?

Pelagia milczała, zmarszczywszy czoło. Myślała.

– No, to co z tym „Deszczowym porankiem”? – nie ustępował wymięty.

– Nie przeszkadzaj, synu, modłę się – odpowiedziała z roztargnieniem zakonnica, odwróciła się i zeszła na dół.

Rzecz w tym, że w salonie brakowało fotografii pod tym właśnie tytułem. Wszystkie zebrane ze skrawków obrazy odpowiadały pozostawionym na ścianach podpisom, nawet te trzy z nagą nieznajomą, przez które doszło do skandalu. Ale ze zdjęcia skromnie nazwanego „Deszczowy poranek” nie został żaden, nawet najmniejszy kawałek.

– ...A Bubiencowa mimo wszystko też trzeba przesłuchać! – usłyszała Pelagia, wchodząc do salonu.

Podprokurator i policmajster najwidoczniej w żaden sposób nie mogli się porozumieć co do kręgu podejrzanych.

– Obrazić takiego człowieka podejrzeniem! Panie Berdyczowski, zastanów się pan! Oczywiście w pełni panu podlegam, ale... No, co tam jeszcze? – warknął Lagrange na Pelagię.

– Należałoby zebrać wszystkich, co tu wczoraj byli, i pomodlić się razem za spokój duszy sługi Bożego, który właśnie nas opuścił – powiedziała mniszka, patrząc na niego nieśmiało promiennymi, karymi oczyma. – Kto wie, może okrutnik by się pokajał?

– Marsz stąd! – wrzasnął Lagrange. – Po co ją pan tutaj przywiózł?!

Berdyczowski nieznacznie skinął Pelagii głową i wziął policmajstra za łokieć.

– A wie pan, co warto by zrobić? Modlić się oczywiście nie ma co, ale za to konfrontacyjkę, eksperymencik taki śledczy przeprowadzić, byłoby całkiem niegłupio. Zbierzemy wszystkich wczorajszych gości, niby po to, by odtworzyć, kto gdzie w jakiej chwili się znajdował i co mówił..

– Znakomicie! – podchwycił Lagrange. – Pan ma prawdziwy talent

kryminologiczny! Koniecznie wezwiemy też Tielianową. Na sam jej widok wszystkie koguty się zaperzą i zabójca na pewno sam się wyda. Przecież zbrodni najwyraźniej nie dokonano z zimną krwią, tylko z namiętności. Namiętny człowiek na pewno się nie pohamuje. Dziś wieczorem ich zbierzemy. A ja nie będę tracił czasu – sprawdzę alibi każdego z głównych figurantów.

– I proszę dopilnować obecności Bubiencowa, to już koniecznie.

– Gubi mnie pan, panie Matwieju, rżnie bez noża oddanego sobie człowieka – poskarżył się gorzko policmajster. – A jak Włodzimierz Lwowicz się na mnie rozzłości?

– Żebym ja się na pana nie rozzłościł – odpowiedział cicho Berdyczowski.



Wszystko urządzono dokładnie tak jak podczas fatalnego soiree, nawet razem z przekąskami i winem (choć, oczywiście, nie z szampanem, to by już była przesada). Na szczęśliwą myśl, by przekształcić ponizającą procedurę policyjną w wieczór poświęcony pamięci Arkadiusza Siergiejewicza, wpadła gospodyni, pani Olimpiada, która dziś czuła się jak solenizantka jeszcze bardziej niż poprzedniego dnia. To znaczy rano, dowiedziawszy się o tragedii, z początku oczywiście przestraszyła się, po kobiecemu użaliła nad biednym Poggiem i nawet popłakała, ale trochę później, kiedy się okazało, że skandaliczna sława soiree przeszła jej najśmielsze marzenia, a główne wypadki, być może, dopiero ją czekają, przygnębienie całkiem opuściło poczmistrzową i drugą połowę dnia zajęło jej energiczne przywracanie do stanu używalności czarnej sukni z mory, która przesiąkła naftaliną, wisząc w szafie od ostatniego pogrzebu.

Skład uczestników tego nowego wieczoru, tym razem nie proszonego, lecz raczej wezwanego, też był niemal identyczny. Ze

zrozumiałych powodów świecił nieobecnością Arkadiusz Georgijewicz Poggio, a jego niepomszczonego ducha reprezentowali podprokurator i policmajster. I jeszcze, w przeciwieństwie do wczorajszego dnia, od początku obecna była Naina Georgijewna. Poinformowana urzędowym zawiadomieniem o eksperymencie śledczym, przybyła punktualnie o oznaczonym czasie, o dziewiątej, chociaż Feliks Stanisławowicz przypuszczał, że trzeba będzie sprowadzać ją pod konwojem.

Winowajczynie nieszczęścia (a właśnie za taką uważała ją większość obecnych) od razu zaćmiła i zepchnęła na dalszy plan panią domu. Księżniczka Tielianowa była dziś jeszcze piękniejsza niż zwykle. Wspaniale wyglądała w liliowej żałobnej sukni, długie czarne rękawiczki podkreślały nieskazitelny kształt rąk, a aksamitne oczy lśniły jakimś szczególnym, zagadkowym światłem. Zachowywała się bez najmniejszego skrępowania, a nawet przeciwnie – jak prawdziwa caryca, dla której zwołano całą tę stypę.

Główny podejrzany był cichy, milczący, zupełnie inny niż wczoraj. Polina Andriejewna zauważyła zdziwiona, że tym razem na jego twarzy maluje się spokój, a nawet zadowolenie.

Za to Piotr Tielianow wydawał się cały najeżony, bez przerwy obrażał przedstawicieli władz, głośno oburzał się na haniebny charakter obmyślonego przez nich spektaklu, a od siostry demonstracyjnie się odwracał, okazując, że nie chce mieć z nią nic wspólnego.

Spośród innych uczestników zwracał na siebie uwagę Krasnow, który stale chlipał i wycierał nos w przeogromnych rozmiarów chustkę. Na początku wieczoru oznajmił, że pragnie odczytać ode poświęconą pamięci nieboszczyka, i zdążył zadeklamować pierwsze dwie strofy, nim Berdyczowski mu przerwał, zwracając uwagę, że podobne wystąpienie jest nie na miejscu. Strofy brzmiały następująco:

Padł w kwiecie wieku i sławy
Soczewki i światła artysta.
Zabłyśnął losu miecz krwawy,
Bo tak chciał zbrodniczy sadysta.

Zgaśł płomień przez bogów natchniony,
Zdmuchnięty przez ciemne moce,
I świat się pogrążył, zdumiony,
W nieprzeniknionej pomroce.

Inspektor Bubiencow znów przyjechał ostatni i znów nie raczył nikogo przeproszać, gdzieżby tam – to Lagrange rozpływał się w kwiecistych usprawiedliwieniach, prosząc o wybaczenie, że odrywa zapracowanego człowieka od spraw wagi państwowej.

– Cóż, spełnia pan swój obowiązek – rzucił ze znużeniem Bubiencow, biorąc od sekretarza teczkę z papierami i sadowiąc się w fotelu. – Mam tylko nadzieję, że to nie potrwa długo.

– Wczorajszego dnia rozmawiał z wami i znienacka nasza na mnie straszna godzina śmierci. Wszyscy bowiem znikamy, wszyscy pomrzemy, królowie i książęta, bogaci i ubodzy, i wszelakie istnienie ludzkie – powiedział z uczuciem Tichon Jeriemiejewicz i po tych żałobnych słowach rozpoczął się właściwy eksperyment.

Feliks Stanisławowicz od razu chwycił byka za rogi.

– Panie i panowie, proszę do salonu. – Mówiąc to, pchnął drzwi prowadzące do sąsiedniego pomieszczenia.

Całkiem tak jak poprzedniego dnia goście opuścili bawialnię i przenieśli się do sali wystawowej. Dziś co prawda fotografii tam nie było, zostały tylko osierococone papierowe paseczki z tytułami bezpowrotnie utraconych dzieł.

Policmajster zatrzymał się przy podpisie „Nad zatoką”.

– Mam nadzieję, że wszyscy pamiętają trzy fotografie, które wisały

tu, tu i tu – Lagrange trzykrotnie dotknął palcem nagiej tapety – a przedstawiały pewną nieubraną osobę.

Odpowiedziało mu milczenie.

– Wiem, że twarz modelki na żadnym ze zdjęć fotograficznych nie była w pełni widoczna, chciałbym jednak, żeby państwo wspólnym wysiłkiem spróbowali odtworzyć niektóre rysy. Dla śledztwa określenie tożsamości tej kobiety jest sprawą nadzwyczajnej wagi. A może ktoś z obecnych ją zna?

Policmajster popatrzył wprost na księżniczkę Tielianową, ale ta nie zauważyła jego badawczego spojrzenia, bo w ogóle nie patrzyła na niego, tylko na Bubiencowa. Ten zaś siedział z dala od wszystkich i w skupieniu studiował jakiś papier.

– No cóż, znakomicie – przeciągle i złowieszczo powiedział Lagrange. – Pójdziemy w takim razie drogą powolną i niedelikatną. Będziemy odtwarzać wygląd modelki stopniowo, zwracając uwagę zwłaszcza na te partie, które zazwyczaj są ukryte pod odzieniem, bo o twarzy raczej niewiele się dowiemy. Zaczniemy jednak od głowy. Jakiego koloru włosy miała ta osoba?

– Jasne, ze złocistym odcieniem – powiedziała marszałkowa. – Bardzo gęste i nieco kręcone.

– Doskonale. – Policmajster kiwnął głową. – Dziękuję pani, Eugenio Anatoljewno. Takie mniej więcej? – wskazał palcem loki spływające spod kapelusika panny Nainy.

– Bardzo podobne – wymamrotała zarumieniona hrabina.

– Szyja. Co powiecie państwo o szyi? – spytał Feliks Stanisławowicz, wzdychając z miną człowieka, którego cierpliwość jest na wyczerpaniu. – Następnie możliwie najbardziej szczegółowo omówimy ramiona, plecy, biust, brzuch, nogi. I inne części ciała, z biodrami i pośladkami włącznie, bez tego w żaden sposób się nie obejdziemy.

W głosie Lagrange'a zabrzmiała pogróżka, a krępujące słowo „pośladki” wymówił śpiewnie, ze szczególnym naciskiem.

– A może jednak obejdziemy się bez tego? – zwrócił się policmajster już wprost do Nainy Georgijewny.

Ta uśmiechała się spokojnie, wyraźnie rozkoszując się i zwróconymi na nią spojrzeniami, i ogólnym zmieszaniem. Sama nie okazywała nawet najmniejszych śladów zawstydzenia, które wczoraj w tym samym miejscu niemal wycisnęło jej łzy z oczu.

– No więc przypuśćmy, że ustalicie, jak wyglądały piersi i pośladki. – Wzruszyła ramionami. – A dalej co? Zaczniecie rozbierać do goła wszystkie mieszkanki guberni i urządzać oględziny?

– Czemu wszystkie? – wycedził Lagrange. – Tylko te, które mamy na liście podejrzanych. I oględziny nie będą potrzebne, po co nam taki skandal? Wystarczy porównać pewne znaki szczególne. Przecież obecne przesłuchanie to czysta formalność, ma na celu wyłącznie sporządzenie protokołu. Rozmawiałem już wcześniej z niektórymi z obecnych i wiem między innymi, że na prawym pośladku interesująca nas osoba ma dwa wyraźne pieprzyki, a poniżej piersi – jasną plamkę pigmentową wielkości półrubłówki. Nie zdaje sobie pani sprawy, księżniczko, jak spostrzegawcze jest męskie oko, kiedy chodzi o takie szczególiki.

To ruszyło nawet nieugiętą pannę Nainę – oblała się rumieńcem i nie wiedziała, co odrzec. Z pomocą pospieszyła jej Lisicyna.

– Ach, panowie, a co my tak tu wciąż o jednych i tych samych fotografiach! – zaszcebiotała, próbując skierować nieprzyjemną rozmowę na inne tory. – Tu przecież było tyle cudownych pejzaży! O tam, na przykład, wisiała zachwycająca wprost praca, do tej pory jestem pod wrażeniem. Nie pamiętacie państwo? Nazywała się „Deszczowy poranek”. Co za ekspresja, co za gra światła i cienia!

Matwiej Bencjonowicz spojrział na nie w porę wyrywającą się

damę z wyraźnym niezadowoleniem, a Lagrange groźnie zmarszczył brwi, mając zamiar przywołać szczebiotkę do porządku, za to Naina Gieorgijewna wyraźnie ucieszyła się ze zmiany tematu.

– No proszę, jeśli już o czymś warto by porozmawiać, to o tym ciekawym obrazku! – wykrzyknęła, śmiejąc się. – Ja też wczoraj zwróciłam na niego szczególną uwagę, chociaż nie z powodu ekspresji. Tam, łaskawa pani, najbardziej rzucała się w oczy wcale nie gra światła i cienia, tylko pewien niezwykle interesujący szczegół...

– Dosyć! – ryknął czerwony z wściekłości Lagrange. – Nie uda się pani zbić mnie z tropu! Całe to kręcenie nic nie da, tylko na darmo tracimy czas.

– Zaiste – oznajmił Zbawieny. – Powiedziano bowiem: „Błogosławieni, którzy uszy swoje zatykają, by niemożliwego nie słuchać”. I powiedziano jeszcze: „Wśród bezrozumnych bacz czasu swego”.

– Tak, Lagrange, pan rzeczywiście na próżno traci czas – powiedział nagle Bubiencow, odrywając się od papierów. – Jak Boga kocham, ja mam spraw po prostu zatrzesienie, a pan tu z tym melodramatem... Przecież dopiero co mi pan meldował, że ma niepodważalny dowód. Wykładaj go pan i po krzyku.

Słyszając to, podprokurator Berdyczowski, któremu nie było nic wiadomo ani o „niepodważalnym dowodzie”, ani o samym fakcie składania przez policmajstra jakichś meldunków inspektorowi Synodu, spojrział surowo na Lagrange’a. Ten zaś, stropiony i nie wiedząc, przed kim usprawiedliwiać się najpierw, zwrócił się do obu przedstawicieli władzy naraz.

– Włodzimierzu Bencjonowiczu, ja przecież chciałem możliwie najplastyczniej odmalować zbrodnię, odtworzyć całą jej logikę. I to z miłosierdzia. Chciałem dać przestępcy szansę na okazanie skruchy. Myślałem tak: teraz ustalimy, że na zdjęciach była księżniczka

Tielianowa, Szyriajew wybuchnie, zacznie się za nią wstawiać i przyzna się...

Wszyscy z krzykiem odskoczyli od Stiepana Trofimowicza. On zaś stał jak skamieniały i tylko szybko obracał głową to w prawo, to w lewo.

– Przyzna się? – wsiadł na policmajstra Berdyczowski. – Podobno ma pan dowód przeciw Szyriajewowi?

– Panie prokuratorze, nie zdążyłem zameldować... to znaczy, nie żeby nie zdążył... – zabełkotał Lagrange. – Ja tak dla efektu, moja wina.

– Ale co takiego? Mów pan z sensem! – krzyknął na niego podprokurator.

Feliks Stanisławowicz otarł spocone czoło.

– Co tu mówić, sprawa jest jasna. Szyriajew jest zakochany w Tielianowej, marzył, żeby się z nią ożenić. A tu pojawił się stołeczny pogromca serc, Poggio. Rozkochał, zawrócił w głowie, uwiódł. Jest zupełnie jasne, że do tych aktów pozowała mu właśnie ona. Szyriajew i przedtem wiedział, co łączy Poggia i Tielianowa, albo przynajmniej się tego domyślał, ale co innego tylko sobie coś wyobrażać, a co innego zobaczyć oczywisty dowód, na dodatek o tak skandalicznym charakterze. Nie podejmuję się roztrząsać motywów, dla których Poggio zdecydował się na ten nieprzyzwoity wyskok, bo nie ma to bezpośredniego związku z badanym przestępstwem. Wczoraj na oczach wszystkich Szyriajew rzucił się na rywala z pięściami i pewnie zabiłby go tu na miejscu, gdyby nie został odciągnięty. Zaczekał więc do nocy, dostał się do mieszkania i doprowadził sprawę do końca. A potem, wciąż niesyty zemsty, zmiażdżył wszystkie owoce twórczości swojego zacieklego wroga i sam aparat, z pomocą którego Poggio tak ciężko go obraził.

– Ale o tym wszystkim mówiliśmy już wcześniej –

z niezadowoleniem zauważył Berdyczowski. – To wersja prawdopodobna, ale zbudowana na samych przypuszczeniach. Gdzie tu „niepodważalny dowód”?

– Panie prokuratorze, obiecałem panu, że sprawdzę alibi wszystkich zasadniczych figurantów. I właśnie tym moi agenci dziś się zajmowali. Pan Piotr Tielianow wczoraj upił się w sztok, krzychał i płakał do późnej nocy, a potem słudzy trzeźwili go naparem. To alibi. Pan Sytnikow prosto stąd udał się na ulicę Warszawską do zakładu madame Gruber i przebywał tam do samego rana w towarzystwie niejakiej Zemfiry, wedle paszportu zwanej Matrioną Siczkiną. To też alibi.

– A to ci dwupalczasty! – powiedział Bubiencow i aż zagwizdał. – Założę się, że Zemfira Siczkina z wyglądu chociaż trochę przypomina pannę Nainę, na którą Jego Rozważność od dawna już się oblizuje.

Donat Abramowicz osłupiał i pozostawił tę supozycję bez odpowiedzi, ale rzucił na Bubiencowa takie spojrzenie, że stało się jasne: przypuszczenie przenikliwego psychologa było trafne.

– No, a co do pana Szyriajewa – policmajster mimo wszystko poszedł na efekt – to on żadnego alibi nie ma. Co więcej, ustalono z całą pewnością, że nie wrócił do Drozdowki na nocleg, w żadnym hotelu w mieście się nie zatrzymał i u nikogo z tutejszych znajomych też się nie pojawił. Pan pozwoli, że zapytam – zwrócił się surowo do Stiepana Trofimowicza – gdzie i jak spędził pan minioną noc?

Szyriajew opuścił głowę i milczał. Pierś unosiła mu się ciężko i opadała.

– Panowie, proszę bardzo, oto niepodważalny dowód, równoznaczny przyznaniu.

Lagrange obrazowym gestem pokazał Berdyczowskiemu i Bubiencowowi zdemaskowanego zbrodniarza, po czym trzykrotnie zaklaskał głośno w dłonie.

Weszło dwóch policjantów, najwidoczniej z góry o wszystkim uprzedzonych, bo od razu podeszli do Szyriajewa i wzięli go pod rękę. Aresztant wzdrygnął się całym ciałem, ale i tym razem nic nie powiedział.

– Doprowadzić na komendę – rozkazał policmajster. – Umieścić w szlacheckiej. Niedługo przyjedziemy z panem Berdyczowskim i przesłuchamy.

Szyriajewa poprowadzono do wyjścia. Obracał się wciąż, żeby popatrzeć na księżniczkę, ona zaś przyglądała mu się z dziwnym uśmiechem, osobliwie jak na nią miękkim i niemalże pieszczotliwym. Nie zamienili ze sobą ani słowa.

Kiedy aresztanta wyprowadzono, Zbawieny przeżegnał się i rzekł:

– Nie popuszczaj nazbyt długo zło czyniącym, ale raczej wydawać ich na męki.

– Jak widać – skromnie powiedział Lagrange, zwracając się przede wszystkim do Bubiencowa i Berdyczowskiego – dochodzenie rzeczywiście zajęło mi niewiele czasu. Panie i panowie, dziękuję wszystkim za pomoc w śledztwie i proszę o wybaczenie, jeśli naraziłem państwa na kilka nieprzyjemnych chwil.

Te powściągliwe i szlachetne słowa zostały wypowiedziane z odpowiednim do sytuacji dostojeństwem i kiedy odezwała się panna Naina, wszyscy z początku uznali, że ma na myśli właśnie Feliksa Stanisławowicza.

– Oto co znaczy szlachetny człowiek, nie taki jak inni – powiedziała z zadumą, jakby do siebie, i nagle podniosła głos. – Niestety, panowie stróże prawa, wypadnie wam uwolnić Stiepana Trofimowicza. Specjalnie chciałam go wypróbować – powie czy nie powie? I patrzcie, nie powiedział! Jestem pewna, że na katorgę by poszedł, a nie wydał... Nie popełnił on żadnego zabójstwa, bo całą minioną noc spędził u mnie. Jeśli mało wam moich słów –

przesłuchajcie pokojówkę. Kiedy wczoraj rzucił się tu w obronie mojej czci, coś we mnie drgnęło... No tak, ale to nie wasza sprawa. Co tak oczy wybałuszyliście?

Roześmiała się w niezwykle nieprzyjemny sposób i dziwnie spojrzała na Bubiencowa, jednocześnie wyzywająco i błagalnie. Ten uśmiechnął się bez słowa, jakby czekając, czy nie dojdzie do jeszcze jakichś wyznań. Kiedy jednak stało się jasne, że wszystko zostało powiedziane, eksperyment śledczy ostatecznie spalił na panewce, a Lagrange zupełnie stracił rezon i nawet dar mowy – inspektor spytał ironicznie przedstawicieli władz:

– No jak, po koncercie? Można iść? Sraczyca, przynieś no płaszcz.

Sekretarz pokornie wyskoczył z salonu i po półminucie wrócił, już w kapturze, a swemu panu podał lekki aksamitny płaszcz z pelerynką i czapkę.

– Mam zaszczyt... – sardonicznie ukłonił się Bubiencow i skierował do wyjścia.

Od tyłu w swoim eleganckim stroju wyglądał zupełnie jak fircykowaty oficer gwardii, którym, prawdę mówiąc, do niedawna jeszcze był.

– Ten sam płaszcz – głośno i śpiewnie powiedziała Naina Gieorgijewna. – Ta sama czapka. Jakże ona jaśniała w świetle księżyca...!

Trudno było orzec, czy panna Tielianowa odgrywa niepocieszoną Ofelię, czy rzeczywiście straciła rozum i majaczy.

– Wyjedziemy z waszego zgniłego blocka. Może pobierzemy się i nawet będę miała dzieci. Wtedy wszystko zostanie mi wybaczone – bredziła wciąż księżniczka. – Ale najpierw trzeba pospłacać długi, żeby wszystko było sprawiedliwie. Prawda, panie Włodzimierzu?

Bubiencow, stojący już w samych drzwiach, obejrzał się na nią z wesołym zdziwieniem.

A wtedy Naina Gieorgijewna majestatycznie przeszła koło niego, z lekka otarłszy się ramieniem, i znikła w bawialni. Wyglądało na to, że jednak nauczyła się opuszczać scenę nie biegiem, tylko zwykłym krokiem.

– Żelaaazna panna – powiedział przeciągle i z wyraźnym zachwytem Sytnikow. – Nie wiem, komu ona ma zamiar spłacać długi, ale nie chciałbym być na jego miejscu.

– Nnno tak – podsumował Berdyczowski. – A Szyriajewa, drogi panie Feliksie, trzeba będzie wypuścić.

Policmajster wymamrotał:

– To jeszcze nic nie znaczy. Przesłuchać jednak koniecznie trzeba. I Szyriajewa, i Tielianową, i pokojówkę. Może ma miejsce zмова przestępcza. Od takiej historycznej i nieprzyzwoitej osoby można oczekiwać najrozmaitszych wygibasów.

Nikt go już jednak nie słuchał. Uczestnicy eksperymentu jeden za drugim ruszyli do wyjścia.



Polina Andriejewna Lisicyna wróciła na kwaterę u pułkownikowej bardzo zatroskana. Uniknęła rozmów i wypytywań, gdyż szacowna Antonina Iwanowna położyła się zaraz po kolacji i o tej późnej godzinie już słodko spała.

Znalazłszy się w swoim pokoju, rudowłosa dama rozebrała się szybko, ale nie wzięła się do wieczornej toalety, jak należałoby oczekiwać, lecz wyciągnęła z sakwojaża zawiniątko z czarnym strojem i w niewiele więcej niż minutę przeobraziła się w pokorną siostrę Pelagię. Cichutkim krokiem przeszła przez korytarz i kuchennymi drzwiami wymknęła się na ulicę.

Bezksiężycowa, wietrzna noc chętnie przyjęła czarno ubraną zakonnice w swoje równie czarne objęcia i Pelagia jak niemal

niedostrzegalny cień ruszyła wzdłuż śpiących domów.

Z jej punktu widzenia „eksperyment śledczy” policmajstra Lagrange’a okazał się pożyteczny, i to bardzo – do tego stopnia, że postanowiła natychmiast porozmawiać z Nainą Georgijewną w cztery oczy, nie czekając do jutra. Zagadkowe zdjęcie zatytułowane „Deszczowy poranek” nie zostawiło żadnego śladu w pamięci Poliny Andriejewny, a tymczasem instynkt jej podpowiadał, że tam właśnie może kryć się klucz do całej tej brzydkiej historii. Oczywiście mogła udać się do księżniczki wprost od poczmistrzowej, pod postacią pani Lisicynej, ale przyzwoite damy nie rozjeżdżają samotnie po nocnym mieście, a tym bardziej nie chodzą pieszo, to by zbyt rzuciło się w oczy, mało kto natomiast zwróci uwagę na skromną mniszeczkę.

Iść trzeba było dość daleko, do samego brzegu Rzeki, gdzie stał stary dom, który panna Naina otrzymała w spadku. Zbliżała się północ. O tej porze w Zawołzsku nie śpią tylko zakochani i posterunkowi (ci zresztą też śpią, tyle że w budkach strażniczych), dlatego po drodze zakonnica nie spotkała żywej duszy.

Dziwnie wygląda nasze spokojne miasto w brzydką, jesienną noc. Jakby na wezwanie jakiejś tajemniczej siły cała ludność ulotniła się w nieznaną dal i zostały tylko ciemne domy z czarnymi oknami, dopalające się latarnie i absurdalnie wyglądające dzwonnice z osieroconymi krzyżami. A kiedy rozdygotane nerwy pchają człowiekowi do głowy wszelkie możliwe głupstwa, bardzo łatwo można sobie wyobrazić, że nocą w Zawołzsku doszło do zmiany władzy i do samego świtu, póki nie wróci słońce i światło, będą tu rządzić siły ciemności, po których można oczekiwać wszelkich paskudstw i łgarstw.

W ogóle – źle było w mieście. Pusto, martwo, niespokojnie.

IX

Noc. Rzeka

Kiedy Pelagia skręciła w zaułek Warrawkiński, prowadzący do domu księżniczki Tielianowej, niebo bezgłośnie – przez co było to jeszcze straszniejsze – zapłonęło oślepiającą błyskawicą, po której ciemność wydała się tak gęsta, że mniszka przestała rozróżniać zarysy domów i mimo woli się zatrzymała. Ledwie oczy przywykły, zrobiła kilka kroków – znów biały wybuch i znów trzeba było, zmrużywszy oczy, czekać, aż rozszerzą się porażone piekielną jasnością źrenice. Ale tym razem z daleka dobiegł przetaczający się z wolna łoskot gromu.

I tak już szło dalej: dziesięć, dwadzieścia kroków w piekielnych ciemnościach, potem chwila szaleńczego, szatańskiego blasku i znów ciemność, wypełniona głuchym porykiwaniem nadciągającej nad miasto burzy.

Dom odnalazła z łatwością. To on właśnie zamykał zaułek Warrawkiński. Kolejna błyskawica oświetliła maleńką willę z martwą, zabitą deskami mansardą, drewniany płot, a za nim drzewa z liśćmi o odwróconych przez porywisty wiatr białych spodach. Kiedy ucichł łoskot gromu, dało się słyszeć, jak gdzieś za domem, za drzewami, z rozdrażnieniem szumi zaniepokojona Rzeka. Tu brzeg wznosił się szczególnie wysoko, a łęgi zwężyły o prawie trzysta sążni, toteż w najspokojniejsze nawet dni ściśnięty nurt opływał urwisko, pieniać się i burząc, w niepogodę zaś Rzeka w ogóle wściekała się tak, jakby gniewała się na miasto, które ją przygniotło, i chciała je zwalić w swoje pienne wody, podmywszy przedtem znienawidzony jar.

Sad zaczynał się za domem, a potem jakoś niepostrzeżenie przechodził w brzozowy zagajnik, gdzie w pogodne wieczory lubiła spacerować zawołńska publiczność – bo zaiste cudownie piękny był widok, otwierający się z urwiska na ogrom rzeki. Było oczywiste, że zagajnik jest skazany, że za rok, dwa, najwyżej pięć Rzeka podmyje go, zwali i uniesie z prądem w dół, do samego Morza Kaspijskiego albo i dalej. Fala wyrzuci namokły i przesycony solą pień brzozowy na daleki perski brzeg i zbiorą się smagli ludzie, by popatrzeć na takie dziwowisko. Po wiosennej powodzi jedna z brzoź zaczęła się już zsuwać ze stromizny, ale utrzymała się ostatnią odnogą korzenia, zawisała nad bystrzyną, podobna do białego palca wskazującego. Co zuchwalsi mali chłopcy odważali się na niej huścić i wielu mówiło, że trzeba drzewo zepchnąć w dół, bo inaczej dojdzie do nieszczęścia, ale wciąż jakoś nikt nie mógł się na to zdobyć.

Pelagia wzdrygnęła się pod podmuchem wiatru, postąpiła przy furtce, patrząc w ciemne okna. Wyglądało na to, że wypadnie zbudzić pannę Nainę. Niezręcznie jakoś, ale jak mus, to mus.

Furtka otworzyła się z terkotem. Wielogłośnie, niczym klawisze rozeszłego fortepianu, zaskrzypiały stopnie starego ganku. Mniszka wsłuchiwała się: czy nie dojdą z wewnątrz jakieś dźwięki? Cicho. A może nikogo nie ma?

Zdecydowanie chwyciła za mosięzną kołatkę zastępującą dzwonek i głośno zastukała. Znów wytężyła słuch.

Nie, ktoś tam jednak był – czy to rozległ się jakiś głos, czy może skrzypnęły zawiasy u drzwi?

– Otwórzcie! – zawołała siostra. – To ja, siostra Pelagia z archijerejskiego dworu!

Słuchać coś? Nie, ani szmeru.

Szarpnęła drzwi – zamknięte na zasuwę. Czyli są w domu, ale śpią, nie słyszą. Albo słyszą, tylko nie chcą wpuścić.

Pelagia znów zastukała, trochę dłużej, dając do zrozumienia, że nie odejdzie z kwitkiem. Mosiądz grzmiał tak dźwięcznie, że ktoś, albo gospodyni, albo pokojówka, powinien był się obudzić.

I znów skądś z głębi domu, już wyraźniej, doszedł uszu Pelagii cichy, jakby przyzywający głos. Rzekłbyś, że ktoś cicho zanucił kawałek jakiejś melodii i zamilkł.

To już było zupełnie dziwne.

Pelagia zeszła z ganku, przemknęła pod oknami. Jak należało oczekiwać, były uchylone – wieczorem przed burzą zrobiło się duszno. Podkasawszy habit niemal do pasa, mniszka wspięła się na stopień, uchwyciła parapetu i pchnęła ramę.

Ale co z tego – ciemno, choć oko wykol!

– Hej! – bojaźliwie zawołała Pelagia. – Jest tam kto? Panno Naino! Jest tam pani? Panno Naino!

Żadnej odpowiedzi, tylko podłoga skrzypnęła – może ktoś się poruszył, może po prostu dom westchnął.

Siostra przeżegnała się i w tym samym momencie niebo rozświetlił jaskrawy wybuch, od którego w pokoju pojaśniało jak w słoneczne popołudnie. Nie na długo, na sekundę, ale Pelagia zdążyła zobaczyć maleńką bawialnię i pośrodku, na podłodze, coś białego, podłużnego.

– Matko Przenajświętsza, Bogarodzico, poratuj i zmiłuj się – wymamrotała i zaczęła wdrapywać się na parapet.

Ładna mi „żelazna panna”! Wróciła do domu i zemdląca. I nic dziwnego, po takich przejściach! Ale co z pokojówką?

Pelagia przykucnęła, pomacała wokół rękami, trafiła na coś ciepłego. Cienka tkanina bluzki, miękka pierś, twarz. Siostra wyjęła z torebki u pasa zapałki fosforowe, potarła.

Ale nie była to żadna Naina Georgijewna, tylko zupełnie nieznajoma okrągłolica dziewczyna o prostych włosach, w nocnej koszuli i chusteczce narzuconej na ramiona. Pewnie pokojówka.

Dziewczyna miała zamknięte oczy, za to usta – na wpół otwarte. Włosy wyglądały dziwnie – przy końcach jakby jasne, a wyżej, nad czołem, czarne i błyszczące. Pelagia dotknęła ich i z krzykiem cofnęła rękę. Mokra. Jej palce też poczerniały. Krew!

W tej chwili zapałka zgasła i Pelagia na czworakach, tak jak była, cofnęła się w stronę okna. Okulary z cichym stukiem spadły na podłogę, ale nie miała ochoty po nie wracać.

Przewalić się przez parapet i uciekać na złamanie karku z tego straszego, milczącego domu!

Ale znowu rozległ się ten sam dźwięk co przed chwilą – cichy, jakby przyzywający głos. Tylko teraz słyhać było, że to nie wołanie ani śpiew, tylko słaby jęk. Doszedł on skądś z ciemnego wnętrza domu, zatem uciekać w żaden sposób nie było można.

Mniszka z zamierającym sercem wyprostowała się, szybko przeżegnała lewą połowę piersi i zwróciła się w myśli z modlitwą do swej patronki, świętej Pelagii, którą niepokoiła tylko w razie absolutnie skrajnej konieczności.

– Módl się o mnie do Boga, święta Boża pokutnico Pelagio, jako i ja sercem całym do ciebie, prędkiej pomocnicy i opiekuna duszy mojej, przybiegam...

I od razu pomogła jej męczennica, przepiękna Rzymianka w spiżowym byku spalona. Słabiutka błyskawica na chwilę rozjaśniła mrok i Pelagia zobaczyła na parapecie świecę w mosiężnym lichtarzu. Był to dobry znak, dodający otuchy.

Zapałka złamała się w drżących palcach, po niej i druga, ale od trzeciej świeczka zapłonęła i teraz można było lepiej się rozejrzeć.

Pierwszą rzeczą, która rzuciła się w oczy, był wyraźny ślad buta na parapecie, noskiem do wnętrza. Pelagia zdecydowanym ruchem odwróciła się plecami do okna i wyżej podniosła rękę z lichtarzem. Teraz widać było, że wokół głowy pokojówki rozlała się ciemna

kałuża. Połyskiwały zgubione okulary. Pelagia podniosła je i zobaczyła, że lewe szkiełko pękło, ale nie przejęła się – nie miała do tego głowy.

Obraz zarysowywał się następujący: nocą, kiedy mieszkańcy domu leżeli już w łóżkach, ktoś wlaźł przez okno i widocznie narobił hałasu; pokojówka, usłyszawszy odgłos, wyszła i otrzymała cios w głowę czymś ciężkim.

Pelagia przysiadła, palcami dotknęła skroni w miejscu, gdzie powinna pulsować żyłka. Nie pulsowała, dziewczyna była martwa. Zakonnica wymamrotała modlitwę, ale bez stosownego skupienia, bo cały czas wyteęzała słuch.

Znów jęk, i to blisko, jakieś dziesięć kroków.

Stąpnęła naprzód raz, drugi, trzeci, gotowa przy pierwszym sygnale niebezpieczeństwa rzucić świecę i wycofać się biegiem do otwartego okna.

Przed nią czerniał otwór drzwi.

Korytarz?

Pelagia zrobiła jeszcze jeden krok i zobaczyła Nainę Georgijewnę.

Księżniczka leżała w korytarzu na podłodze, tuż obok wejścia do bawialni.

Miała na sobie peniuar i koronkowy czepek. Wyszywany aksamitny pantofelek bez piętki walał się z boku. Dalej, w głębi korytarza, widać było uchylone drzwi, najpewniej prowadzące do sypialni. Ale Pelagia nie mogła teraz zastanawiać się nad rozmieszczeniem pokoi – czepek panny Nainy był całkiem przesiąknięty krwią, a ogromne oczy pogromczyni serc spoglądały w górę zupełnie nieruchomo; odbijały się w nich dwa maleńkie ogniki. I jeszcze siostra zobaczyła wielki kamień, czerniejący na podłodze troszeczkę dalej. Mimo woli przypomniała sobie leżącego pod drzewem martwego Chapaja i przeżegnała się.

Naina Georgijewna żyła jeszcze, ale umierała – zakonnica

zrozumiała to od razu, ledwie namacała palcami ostry brzeg zmiążdżonej kości ciemieniowej. W swoim czasie, kiedy Pelagia przechodziła nowicjat, pierwszym jej ćwiczeniem była praca w szpitaliku klasztornym, tak że doświadczenia w sprawach medycznych jej nie brakowało.

Długie rzęsy drgnęły, wzrok umierającej powoli, jakby niechętnie, skupił się na zakonniczy.

– A, siostra Pelagia. – Naina Gieorgijewna nie zdziwiła się wcale, a nawet jakby się uradowała, ale też niezbyt mocno, ot tak, w miarę.

Wyraźnie, nieco przeciągając słowa (tak bywa przy urazach czaszki), powiedziała:

– Zaraz umrę. – I jakby nieco zdziwiona własnymi słowami dodała:
– Ja to czuję. I nic szczególnego. W ogóle się nie boję. Nawet nie boli.

– Pobiegnę, wezwę pomoc – chlipnęła Pelagia.

– Nie trzeba, już po wszystkim. Nie chcę być znowu sama w ciemności.

– Kto tak panią...

– Nie widziałam... Szelest. Zawołałam – Duniasza milczy. Wyszłam popatrzeć – uderzenie. Potem nic. Potem słyszę gdzieś daleko, daleko kobiecy głos. Woła: „Panno Naino!” A nikogo nie ma. Ciemno. Myślę: gdzie ja jestem, co się ze mną dzieje...? – Księżniczka poruszyła kącikami warg, widocznie chciała się uśmiechnąć. – To dobrze, że umieram. To najlepsze, co mogło się zdarzyć. A to, że siostra jest tutaj, to znak, cud Boski. To znaczy, że On mi wybacza. Winna jestem przed Nim. Nie zdążę opowiedzieć, już wszystko odpływa. Siostro, po prostu odpuść mi grzechy. Nie szkodzi, że nie jesteś księdzem, wszystko jedno... osoba duchowna.

Pelagia, szcękając zębami, zaczęła wygłaszać przepisane słowa:

– Kroplom deszczu podobne złe i małe dni moje letnim czasem marnieją, nikną już z wolna, Władco, wybaw mnie...

Naina Gieorgijewna powtarzała: „Zmiłuj się, zmiłuj się...” – ale coraz ciszej. Z każdą chwilą ubywało jej sił. Kiedy mniszka skończyła odmawiać kanon, księżniczka już nie mogła dobyć z siebie słów i tylko uśmiechała się słabo.

Pelagia nachyliła się i spytała:

– Co było na fotografii? Tej z deszczowym porankiem?

Zdawało się, że odpowiedzi już nie będzie. Ale po minucie blade wargi się poruszyły.

– Tam osika...

– Co osika?

– Ży... wa. I mo... tyka.

– Kto „żywa”? Jaka motyka?

Z tyłu zaskrzypiała podłoga, i to nie cichutko jak przedtem, ale całkiem mocno, jakby pod czyjąś ciężką stopą.

Pelagia odwróciła się i cicho krzyknęła. Z ciemnej framugi drzwi do sypialni, powoli, niczym w strasznym śnie, wypływała czarna sylwetka.

– Aaa! – Zakonnica zachłysnęła się krzykiem i upuściła świecę, która od razu zgasła.

Najpewniej tylko to uratowało Pelagię. Zapadła zupełna ciemność, w której rozległ się odgłos szybkich kroków i wprost nad głową skulonej mniszki, owiawszy jej czoło falą powietrza, świsnęło coś ciężkiego.

Siostra, nie wstając, odwróciła się i rzuciła do bawialni. Tam też było zupełnie czarno, w mroku tylko trzy szare prostokąty okien odcinały się mętnie. Z tyłu dochodził czyjś ochryply oddech, szuranie nóg po wywoskowanej podłodze. Ani Pelagia, ani jej prześladowca nie mogli się wzajemnie widzieć. Bojąc się zdradzić jakimś dźwiękiem, siostra zastygła na miejscu, wpatrzona w ciemność. Puk-puk-puk – tłuło się jej biedne serduszko i ten dźwięk niczym łomot bębna

wypełniał, tak przynajmniej zdawało się Pelagii, całą bawialnię.

Ktoś poruszał się w ciemności, ktoś zbliżał się korytarzem. Znów coś świsnęło: sssszsz! I jeszcze raz, już bliżej: sssszsz!

To on na ślepo wymachuje pałką, czy co tam ma – zrozumiała Pelagia. Dłużej zostawać na miejscu nie mogła. Odwróciła się i skoczyła ku środkowemu szaremu prostokątowi. Po drodze przewróciła krzesło, przeklinając swoją zwykłą niezręczność, ale jakoś utrzymała się na nogach. Za to tamten, biegnąc w ślad za nią, chyba potknął się o krzesło i z łoskotem upadł na podłogę. Zwykły człowiek krzyknąłby albo zaklął, lecz ten nawet się nie odezwał.

Pelagia wdrapała się na parapet, zaczepiła połą habitu o występ. Szarpnęła z całej siły, ale gruba tkanina nie poddała się. Z tyłu mocna ręka chwyciła mniszkę za kołnierz i od tego dotknięcia siły czernicy jakby się zdziesięciokrotniły. Szarpnęła się mocno, habit zatrzeszczał w podołku i przy kołnierzu, a Pelagia – Bóg jednak ustrzegł – zwała się na zewnątrz. Sama nie zdawała sobie sprawy, czy mocno się uderzyła. Zerwała się. Popatrzyła w prawo, w lewo.

Po prawej furta i ulica. Tam nie można. Zanim otworzy furtkę – on ją schwyta. A jeśli nawet zdąży wyskoczyć na ulicę, to w habicie i tak nie ucieknie.

Ta myśl przemknęła jej przez głowę w ułamku sekundy, a w następnym ułamku tejże sekundy Pelagia już biegła w lewo, za węgiew domu.

Z góry, bez żadnego ostrzeżenia, lunął deszcz tak gęstymi strugami, że siostra omal się nie zachłysnęła. Teraz już w ogóle nic nie można było zobaczyć. Biegła przez sad, przez zagajnik, wyciągnawszy przed siebie ręce, żeby nie wpaść na pień.

Gdzieś blisko uderzył piorun. Pelagia obejrzała się w biegu i zobaczyła białe pnie, szklistą ścianę deszczu i jakieś dwadzieścia kroków za sobą coś czarnego, rozczapierzonego, ruchomego.

A całkiem nie było gdzie się podziać. Jeszcze dziesięć kroków i w twarz powiało przepaścią. Pelagia nie zobaczyła urwiska, tylko właśnie poczuła jego powiew. Rzeki zaś w ogłuszającym plusku ulewy nie było słychać.

Przed nią czerniała przepaść, za nią człapały po kałużach czyjeś stopy, niezbyt spieszenie, bo prześladowca rozumiał doskonale, że mniszka nie ma dokąd uciekać, i widocznie sądził, że mogłaby się skryć gdzieś pod krzakiem.

Z lewej coś ledwie ledwie bielą w mroku. Jakiś palec wskazywał na wprost i nieco w górę, tam gdzie wieczorami zapala się pierwsza gwiazda.

Brzoza! Ta, co zawisała nad urwiskiem!

Pelagia podbiegła do na wpół obalonego drzewa, opuściła się na czworaki i poczołgała naprzód, starając się nie myśleć o tym, że ma pod sobą dwadzieścia sążni pustki. Dotarła do korony i zastygła, objęła mocniej pień, przytuliła się policzkiem do mokrej, szorstkiej kory. Widać ją z brzegu czy nie?

Oczywiście, że widać – czarne na białym!

Pelagia gwałtownie zerwała się, usiadła, zwiesiła nogi w przepaść. Szarpnęła czarną chustkę, rzuciła w dół. Zaczęła ściągać przez głowę habit, ale ten, ciężki, namokły, lecieć w ciemność nie chciał, czepiał się łokci, podbródka. Kiedy wreszcie się poddał, to z zemsty zabrał ze sobą okulary. Ale co za pożytek z okularów, kiedy i tak nic nie widać!

Pelagia odwróciła się twarzą do brzegu i usiadła, przyciskając się plecami do grubego ułamanego konara. Była w samej tylko płóciennej koszulce i drżała na całym ciele, ale nie z zimna, tylko z lodowatego, przenikającego do szpiku kości przerażenia.

– Opiekunko, opiekunko... – szeptała i w żaden sposób nie mogła sobie przypomnieć dalszego ciągu modlitwy do Przenajświętszej Matki Boskiej.

Twarz zalewał jej deszcz, którego strugi biły w skośnie sterczący pień, daleko w dole łomotała Rzeka, ale wyteżony słuch Pelagii wyławiał też inne dźwięki.

Uderzenia drewna o drewno. Kroki. Trzask gałązek.

Kiedyś to się wreszcie skończy – powiedziała do siebie Pelagia. To nie może trwać wiecznie. Tamten pokręci się, pokręci i pójdzie.

Ale czas jakby stanął w miejscu. Może to właśnie jest koniec świata – pomyślała nagle mniszka. Może wszystko tak właśnie się skończy: mrok, upusty niebieskie, rozdzierające serce przerażenie, kroki w ciemności – wszystko jedno, niczego straszniejszego już się nie wymyśli.

Ach, błyskawica, błyskawica – że też musiała przeciąć niebo właśnie teraz! Przecież burza już prawie odeszła w stronę zarzecznych lasów, zostały tylko deszcz i wiatr.

Ale zagajnik rozświetlił się pożegnalnym błyskiem i Pelagia zobaczyła bliżusienko, między błyszczącymi od wody krzakami, czarną postać. A jeszcze gorsze było, że ją, Pelagię, też zauważono.

Kroki zbliżyły się. Brzoza zakołysała pod ciężarem czyjejs stopy.

Mniszka, pomagając sobie rękami, popęzła na pośladkach dalej i dalej. Pień zaskrzypiał, ugiął się. Teraz sterczał nad urwiskiem już nie skośnie, tylko równolegle do Rzeki.

– Poszedłby pan sobie! – zawołała Pelagia drżącym głosem, bo nie miała już siły znosić milczenia. – Nie wiem, kim pan jest, nie widziałam. Nie ma pan czego się obawiać. Proszę nie obciążać duszy jeszcze jednym grzechem, już dość ich pan ma. A i tak nie złapie mnie pan tutaj, razem spadniemy.

Czarny, milczący cień chyba sam się zorientował, że drzewo nie wytrzyma podwójnego ciężaru.

Przez jakąś minutę było cicho. Potem rozległy się dźwięki, których sens Pelagia nie od razu zrozumiała. Coś zachlupotało, zamlaskało,

zastukało. Brzoza jakby ożyła – zakołysała się, zaskrzypiała.

Podważa korzeń – zrozumiała nagle Pelagia. A kiedy zrozumiała – strach jakby ręką odjęło. Widać strach to drugie imię nadziei. Jeśli nadziei nie ma, to i bać się nie ma czego.

I przypomniała sobie modlitwę: „Opiekunko gorliwa, łaskawa Matko Boża! Do Ciebie przybiegam ja, potępiona, a ze wszystkich grzeszna najbardziej: wysłuchaj głosu modlitwy mojej i skargi moje i jęki usłysz...”

Przy słowach: „jakoby statek w głębi wód pogrążam się w morze grzechów moich”, pień zaczął się pochylać coraz szybciej, aż zrzucił mniszkę w czarną wyjąca otchłań.

Rozłożywszy ręce, Pelagia bezszelestnie i swobodnie leciała przez pustkę na spotkanie szumu, ryku i plusku.

„...i na zawsze, i na wieki wieków. Amen”.

Rzeka przyjęła ją niespodziewanie miękko i sprężysto. Pelagia nie poczuła żadnej wilgoci, bo i tak była przemoczona na wskroś, a domyśliła się, że znajduje się już nie w powietrzu, ale pod wodą, tylko dlatego, że coś przyhamowało i spowolniło jej spadanie.

Zaczęła machać rękoma, odbiła się nogami i skierowała ku górze, gdzie dotąd miała tyle swobody i powietrza. Lecz woda nie chciała jej puścić, tylko wciąż ją gdzieś ciągnęła, kręciła nią i już zupełnie nie było czym oddychać. Jeszcze raz, dwa, trzy i otworzę usta, niech się dzieje, co chce – przeleciało tonącej przez głowę. Ale nie miała już sił znieść tego dłużej. Szeroko rozwarła usta, gotowa wypełnić płuca Rzeką, ale wargi wessały nie wodę, tylko powietrze i bryzgi, bo właśnie w tej chwili głowa Pelagii wynurzyła się między spienionymi bałwanami.

Odetchnęła łapczywie, i jeszcze, i jeszcze, zapominając o wydechu, zakaszła się, a prąd już ciągnął ją z powrotem w dół i mniszka znowu skryła się pod wodą.

Tym razem wychynąć na powierzchnię było jeszcze trudniej – coraz cięższe trzewiki wciąż starały się ustawić ciało do pionu, żeby Rzeka mogła łatwiej ściągnąć Pelagię na dno. Ale ona zwinęła się w kłębek, zerwała balast z nóg i walka z wodą stała się łatwiejsza. Siostra zatrzepotała się w opływających ją objęciach wartkiego nurtu, odepchnęła się od niego i ruszyła w górę, w górę, w górę.

Znów zaczęła łykać powietrze, a Rzeka niosła swą zdobycz gdzieś w mrok i jakby dla zabawy obracała ją to zgodnie z ruchem wskazówek zegara, to w przeciwną stronę. Blisko – nie dało się dosięgnąć ręką, ale można było zobaczyć – sterczało i podrygiwało coś jasnego, poruszającego się w tym samym kierunku i z tą samą prędkością. Pelagia nie tyle zobaczyła, ile domyśliła się zarysów połamanych gałęzi i zrozumiała: to jej brzoza, przyjaciółka w nieszczęściu.

Wcale, ale to wcale niełatwo było przebyć te dwa sążnie, które oddzielały zakonnice od drzewa. Rzeka, zdaje się, wyobraziła sobie, że Pelagia chce się z nią pobawić, i chętnie odpowiedziała na zaproszenie. Wystarczyło, że mniszka zbliżyła się do brzozy, niemal sięgając palcami śliskiej kory, a już nurt lekko i wesoło, jak drzazgę, odrzucał pień na bok. Raz zawlókł go daleko i Pelagia straciła z oczu zbawczą sylwetkę. Ona sama na wodzie długo by się nie utrzymała – za bardzo nią rzucało to w prawo, to w lewo, za bardzo nią kręciło, a jeszcze od czasu do czasu zalewała ją fala, tak że niewiele brakowało, by się zachłysnęła.

A kiedy Pelagia już pogodziła się ze zniknięciem drzewa, ono samo wypłynęło z ciemności i jeszcze stuknęło ją z tyłu gałązką po potylicy.

Z początku bardzo już osłabła siostra po prostu trzymała się zatopionego w wodzie konara, uradowana, że nie musi się szamotać i walczyć. Gdy nieco odpoczęła, zaczęła gramolić się na pień. Kilka razy ześlizgiwała się, skaleczyła sobie ramię, ale w końcu udało jej się

dosiąć drzewa.

Kiedyś, dawno temu, w innym życiu, Pelagia była niezłą amazonką i lubiła rankiem galopować po łące, aż w środku wszystko zamierało od pędu. Coś podobnego czuła i teraz, ale ruchu można było się domyślić bodaj tylko po owiewającym twarz wietrze, bo rzeka nagle stanęła w miejscu. Pelagia utworzyła z nią jedną całość, była jej częścią. Po prostu siedziała na drewnianej ławie, która nigdzie już nie zmierzała, jedynie lekko kręciła się w miejscu.

Teraz zniknął nie tylko czas, ale i przestrzeń. Pojawiło się za to zimno, na które wcześniej Pelagia nie zwracała uwagi. I znów poczuła ulewę, bijącą ciężkimi kroplami po czole i policzkach.

Najpierw zaszczekały zęby, potem zadrżały ramiona, a całkiem źle się zrobiło, kiedy ręce utraciły czucie. Dalszy ciąg można było sobie wyobrazić zupełnie jasno: za chwilę palce się rozegną, wypuszczą gałąź, niefortunna amazonka zostanie zrzucona do Rzeki, a sił do walki z prądem już jej nie stanie.

Tak właśnie będzie, nie inaczej, innej możliwości nie ma.

Decyzja pozostawała tylko jedna, straszna. Samej rzucić się w wodę i dopóki mięśnie ostatecznie nie zdrętwiały, spróbować dotrzeć do brzegu. Ale w którą stronę płynąć? W prawo czy w lewo? Spadła do Rzeki z wysokiego lewego brzegu, ale ile czasu od tej chwili upłynęło, nie wiadomo. Mogło ją łatwo znieść na środek, a może w ogóle aż pod prawy brzeg. Długo płynąć nie będzie mogła. Jeśli wybierze zły kierunek, to koniec – wszyscy święci i wieczne odpoczywanie.

No cóż, jeśli tak, to znaczy, że Pan postanowił wezwać do siebie swoją sługę Pelagię. Wstyd zakonnicy bać się śmierci. Kiedy kostucha wyskakuje jak zbroj z za węgła i dyszy w twarz gorącym, śmierdzącym oddechem, to trudno, nawet nie wstyd się przestraszyć.

Ale jeśli jest czas, żeby się przygotować, zebrać siły ducha, to bać się śmierci i głupio, i grzesznie.

Siostra zdecydowanym ruchem ześlizgnęła się w wodę na lewo od pnia i jak najmocniej odepchnęła od niego nogami. Prąd był tu już nie taki wściekły – najwyraźniej ciasna gardziel została z tyłu i Rzeka wydostała się na równinę. Dziwnie było płynąć w ciemności nie wiadomo dokąd i wkrótce Pelagia straciła orientację, czy trzyma kierunek, czy zboczyła. Ręce i nogi rytmicznie robiły swoje, ale strasznie przeszkadzała długa koszula, lepiąca się do kolan. Ją też ściągnąć? Pelagia wyobraziła sobie, jak Rzeka wyrzuca na brzeg jej trupa, gołego, z rozpuszczonymi włosami. No nie. Jak już tonąć, to w koszuli.

A wszystko wskazywało, że przyjdzie utonąć. Ręce już prawie odmawiały posłuszeństwa, a brzegu wciąż nie było i nie było. Wybacz, Panie Boże – ze znużeniem pomyślała Pelagia. Uczciwie zrobiłam wszystko, co mogłam. Odwróciła się na plecy i zdała na łaskę nurtu. Szkoda tylko, że w niebo nie mogła popatrzeć – dobrze by było na ostatku choć małą gwiazdeczkę zobaczyć, ale gdzie tam...

Kiedy głowa i ramiona utknęły w czymś, co stawiało opór, Pelagia nie od razu zrozumiała, że to piasek.



Brzegu nie było widać, ale mogła go dotknąć rękoma.

Pelagia uklękła i pogładziła dłońmi zimną, wilgotną ziemię. Zmówiwszy modlitwę dziękczynną za cudowne ocalenie, wyjęła koszulę i usiadła, splatając ramiona. I tak nie wiedziała, gdzie jest ani dokąd ma iść. Deszcz padał jeszcze przez jakiś czas. Kiedy ustał, siostra znów wyjęła koszulę i dla rozgrzewki zaczęła skakać to na jednej, to na drugiej nodze. Posiedzi, poskacze, znów posiedzi, znów poskacze, a koszula bieleje mętnie, rozwieszona na zagrzebanym w ile pniu.

Skacząc tak i głośno uderzając się w boki, mniszka zauważyła, że ciemność zaczyna ustępować. O, widać brzeg wody i martwą mewę na

piasku, a z tyłu wprawdzie wszystko zlewa się w jedną masę, ale nie z powodu ciemności, tylko dlatego, że nad wąskim pasem płaskiego brzegu wznosi się wysokie urwisko. Jeśli wpatrzeć się uważnie, to widać i skraj urwiska, i szare niebo nad nim.

Pelagia lękliwie przysiadła na piętach. Nie daj Boże, wyjdzie sobie jakiś nocny marek pospacerować przed świtem po świeżej rosie, popatrzy z brzegu w dół i ładny obrazek zobaczy: długowłosa wiedźma skacze na golasa, wymachuje rękami. Straszycie jakieś.

Naciągając mokrą, zimną koszulę, Pelagia po raz pierwszy zastanowiła się nad swoim położeniem. Po pierwsze, prąd wyniósł ją nie wiadomo dokąd, może nawet nie ma tu żadnych ludzkich siedzib. A po drugie, jeśli nawet ktoś tu mieszka, to też sprawa nie jest prosta. Widział kto, żeby zakonnica w takiej postaci pokazywała się ludziom?

Pochodziła pod urwiskiem i wypatrzyła niewyraźną ścieżynkę prowadzącą na górę. Było stromo, pod nogami co rusz trafiały się ostre kamienie, toteż Pelagia patrzyła raczej w dół niż w górę, ale kiedy mimo wszystko zadarła głowę, żeby sprawdzić, czy daleko jeszcze – krzyknęła. Nad urwiskiem białało coś dziwnego, czego z dołu nie było widać – coś zgrabnego, wysokiego, nieruchomego. Zarysy dziwnej budowli wydały się mniszce znajome. Wspięła się jeszcze trochę, teraz już patrząc nie pod nogi, lecz w górę.

Altanka. Białe słupki, ażurowe ścianki, zaokrąglony daszek. Dobrze znana altanka w drozdowczańskim parku, ta, z której tak przyjemnie podziwiał się Rzekę.

Pelagia jeszcze nie umiała powiedzieć, czy to dobrze, czy źle, że prąd zniósł ją właśnie do Drozdówki. Oczywiście znajomi ludzie pomogą chętniej od nieznajomych, ale za to i wstyd będzie większy.

Drzewa w parku stały mokre, posępne. Z ziemi podnosiła się biaława mgła, na razie jeszcze dość rzadka, ale z wolna gęstniejąca. Było zimno, mokro. A do prawdziwego świtu pozostało jeszcze sporo

czasu. Co robić?

Pelagia, szcękając zębami, biegła w podskokach aleją w kierunku domu. Jakoś tam dosiedzi do rana, ukryje się na podwórzu, a kiedy wyjrzy Tania lub jakaś inna kobieta z czeladzi, zawoła ją cichutko. Nic więcej nie może zrobić. Nie włada się przecież do generałowej w takim nieprzystojnym stanie, ze zlepionymi rudymi kudłami, i jeszcze w środku nocy.

Przysiadła koło łaźni. Szarpnęła drzwi – zamknięte, szkoda, zawsze byłoby trochę cieplej. Na dworze zimno przenikało na wskroś, nawet podskoki nie pomagały.

Nagle przypomniała sobie budkę ogrodnika. Jej to już na pewno się nie zamyka.

Pobiegła z powrotem aleją. Mokra koszula obrzydliwie lepiała się do nóg.

Jest domek. No właśnie, drzwi są otwarte.

Pelagia weszła do ciemnej komórki. Ostrożnie, żeby nie nastąpić na coś ostrego, dotarła do kąta i usiadła. Przynajmniej sucho, dzięki ci, Panie, i za to.

Powoli, powoli świtało. Już widać było szczeliny w ścianach z desek i sprzęt: grabie, łopaty, siekierę, małe i duże motyki.

Motyki? Jak powiedziała panna Naina? Żywa osika i motyka?

Co miała na myśli?

Ponieważ nic innego i tak nie mogła robić, Pelagia zaczęła rozważać osobliwe słowa. A więc na zdjęciu zatytułowanym „Deszczowy poranek” utrwalona była jakaś motyka, a także drzewo osikowe. Żywe. A jakie jeszcze bywają osiki, martwe czy jak?

Umierająca panna zapewne bredziła. Chociaż nie – wyrzekła te słowa w odpowiedzi na pytanie Pelagii.

Drzew osikowych w parku było dosyć, a jedno żywsze od drugiego.

Ale nie! Siostra aż się wyprostowała. Jedna rzeczywiście była

martwa – ta, koło której leżał zabity niewinny mały Chapajek. Może o tym drzewie mówiła księżniczka? Że na zdjęciu było jeszcze żywe? Ale co w tym szczególnego i co ma z tym wspólnego motyka?

Pelagia nie mogła już usiedzieć na miejscu, w głowie kłębiły jej się najrozmaitsze przypuszczenia. Ale po co siedzieć tutaj, skoro można pójść i popatrzeć?

Wydostała się z budki i kłusem pobiegła tam, gdzie z ziemi sterczało uschnięte drzewo. Tu, w parku, znała wszystko, nie przeszkadzał jej ani mrok, ani mgła, toteż po minucie znalazła się przy sławetnym angielskim trawniku, koło którego tkwiła martwa osika.

Co też jest w niej takiego?

Pelagia przykucnęła, dotknęła pomarszczonych listków, przesunęła dłoń z góry na dół po gładkim pniu. Co to tu przy korzeniach takie przekopane? Ach, tak, to Chapaj rozgrzebał łapami.

Ale nie, chyba jednemu szczeniakowi nie udałoby się tyle nakopać.

Zakonnica utknęła nosem przy samej ziemi, oglądając jamkę.

Przypomniało jej się, jak zaraz pierwszego dnia ogrodnik Gierasim powiedział, że głuptaska Chapaja tatuś z dziadkiem nauczyli ziemię żreć. Czy nie tutaj?

Jeśli się dobrze przyjrzeć, to i trawa z tej strony, przy osice, była nie taka jak wokoło, tylko niższa i rzadsza.

Co tu mogło zainteresować psy?

Pelagia wzięła drzazgę, zaczęła dłubać w ziemi, lecz ta poddawała się opornie. Szybciej będzie, jeśli pobiegnie do budki po łopatę.

Tak też zrobiła. Ale wzięła nie łopatę, tylko motykę, wygodniej będzie ryć.

Splunęła w dłonie, tak jak robili kopacze, kiedy doprowadzali do archijerejskiego pałacu rurę od wodociągu, zamachnęła się, uderzyła, odwaliła grudę ziemi. Potem jeszcze, i jeszcze. Poszło szybko. Gdzieś przy dziesiątym uderzeniu Pelagia nawet dygotać przestała – rozgrzała

się. Nad trawą kłębiła się mgła, sięgająca kolan.

Ostrze weszło w coś, co zachrząściło jak kapusta. Pelagia pociągnęła – na ostrzu wisiało coś okrągłego, ciemnego, rozmiarów głowy dziecka. Mniszka zamarła, w uszach czemuś zaczęło jej dzwonić, ale nie od razu dotarło do niej, że to jest właśnie to – dziecinna główka: żółtoliliowa, ze zlepionymi jasnymi włosami i trupio zapadniętymi oczodołami.

Pelagia poruszyła wargami, odrzuciła na bok motykę z koszmarnym znaleziskiem, i to tak gwałtownie, że poślizgnęła się na mokrej ziemi i zwała w dół, który sama wykopała. Pojękując, zaczęła się gramolić, chwyciła za zimny, śliski korzeń, a ten z łatwością wysunął się z ziemi.

I Pelagia zobaczyła, że nie jest to żaden korzeń, tylko ręka z nadgarstkiem – owłosiona, z sinymi paznokciami i małym kikucikiem zamiast palca serdecznego.

A wtedy biednej zakonnicy pociemniało w oczach, bo są przecież granice ludzkiej wytrzymałości, i niczego już, chwała Bogu, bać się nie musiała. Zwiotczała więc, zmiękła i w głębokim omdleniu ześlizgnęła się na dno jamy.

X

Charcik

Pelagia otworzyła oczy i zobaczyła nad sobą sklepienie niebieskie. Było ciemnogrnatowe, niskie, usypane matowymi, nieruchomymi gwiazdami i trzymało się tak, jak opisano w starych księgach – na czterech słupach. Potwierdzało się więc, że Kopernik nie miał racji, co siostry wcale nie zdziwiło, a nawet ją uradowało. Nad leżącą zawisł, zasłaniając sobą sporą część sfery niebieskiej, władca Mitrofaniusz – ogromny, siwobrody, o pięknej i smutnej twarzy. Pelagia zrozumiała, że to właśnie on jest Panem Bogiem Sabaothem, i ucieszyła się jeszcze bardziej, ale i zadziwiła własną ślepotą: jakże mogła wcześniej nie zrozumieć takiej prostej i oczywistej rzeczy? Jasne stało się również, że wszystko to sen, ale radosny sen, niosący pociechę, a może nawet wieszczę.

– Co tak oczy wytrzeszczasz, osobo zgorszenie szerząca? – spytał Sabaoth, tak jak przystoi Bogu, niby surowo, a przecież z miłością. – Zbrukałaś przezacne archijerejskie łóżce żeńskim ciałem, którego tu nigdy od początku świata nie bywało, i jeszcze się uśmiechasz! Jak ja teraz spać tutaj będę? Pewnie doznam udręki pokusy cielesnej, gorzej od świętego Antoniego. Uważaj, Pelasiu, oddam cię pod sąd konsystorski za gorszycielstwo i dopiero zobaczysz! Ładna mi oblubienica Chrystusowa: wala się cała brudna, mokra, prawie na golasa, a do tego w jamie z takim paskudztwem! No, zmiłujże się, wyjaśnij mi, pasterzowi bezrozumnemu, jak cię tam zaniósł? Jak się domyśliłaś, że głowy zabitych tam właśnie są zakopane? A mówić możesz? – Mitrofaniusz pochylił się jeszcze bardziej i z niepokojem

położył na czole Pelagii przyjemnie chłodną rękę. – A jeśli trudno ci mówić, to lepiej nie mów. No, patrz, czoło masz całe mokre. Doktor mówi, że to gorączka od mocnego wstrząsu. Przeszło dobie leżałaś nieprzytomna. I na rękach cię nosili, i w karecie wozili – a ty jak Śpiąca Królowa. Co się z tobą działo, co?... Milczysz? No, pomilcz sobie, pomilcz.

Dopiero teraz zakonnica odgadła tajemnicę słupów i sfery niebieskiej. Był to baldachim nad starym łóżem w sypialni archijereja: z brokatowymi gwiazdami, wyszytymi na granatowym aksamicie.

Siostra czuła się bardzo słaba, ale ani trochę chora – znużenie było raczej przyjemne, jak po długim pływaniu.

Przecież właśnie pływałam – przypomniała sobie – i to jak długo!

Poruszyła wargami, spróbowała się odezwać. Wyszło trochę chrypliwie, ale wyraźnie:

– Aaa.

– Co ty, co ty? – spłoszył się biskup. – Powiedz, co ci podać. Może zawołać doktora?

I już się zerwał, gotów biec po pomoc.

– Siądź, władyko – powiedziała Pelagia, ostrożnie macając obolałe mięśnie ramienia. – Siądź i posłuchaj.

I opowiedziała przewielebnemu o wszystkich wydarzeniach, od samego „eksperymentu śledczego” aż do strasznych wykopków, na których samo wspomnienie zadrżał jej głos, a do oczu napłynęły łzy.

Mitrofaniusz słuchał, nie przerywał, tylko w najbardziej krytycznych momentach dogadywał: „Panie, Ojcze Niebieski” albo „Synu Boży” – i żegnał się znakiem krzyża.

Kiedy zaś mniszka zakończyła opowieść, osunął się na kolana przed wiszącą w kącie ikoną Zbawiciela i zmówił niedługą, ale pełną przejęcia modlitwę dziękczynną.

Potem usiadł przy łóżku i mrugając szybko powiekami, powiedział:

– Wybacz mi, Pelasiu, na rany Chrystusa, że na takie straszne rzeczy cię naraziłem. A ja sobie, Herodowi władzy żądnemu, do godziny śmierci nie wybaczę. Żadne szlachetne zamysły razem z biskupim pastorałem nie są warte tego, żeby na duszę chrześcijańską, i to na słabe kobiece ramionka, zwałać takie brzemię.

– O słabych kobiecych ramionkach nawet słuchać przykro – rozzłościła się zakonnica. – Ciekawam, ilu mężczyzn tyle by po Rzece przepłynęło w taką burzę, i to jeszcze nocą. A co do zamysłów i pastorału, to nimi też nie ma co pomiatać. Gdzie w Piśmie Świętym jest powiedziane, że trzeba złemu duchowi bez walki ustępować? Chyba już nie ma nic gorszego. Lepiej opowiedz mi, ojcze, co się tu wyjaśniło, kiedy byłam nieprzytomna? Powiedziałeś „głowy”? Czy to te same, które jakoby Szyszdyze w darze złożono? Ja, co prawda, widziałam tylko jedną, dziecinną, i jeszcze odrąbaną rękę. Skąd ręka?

– Czekaj, czekaj, patrzcie ją, ile to pytań wyterkotała. – Mitrofaniusz zakrył Pelagii usta ręką. Palce władzyki przyjemnie pachniały okładkami książek i kadzidłem. – W jamie była też druga głowa, niewiele brakowało, żebyś się do niej dokopała. Było i ubranie. Tak, to te same głowy – od ciał, które Rzeka w zeszłym miesiącu wyrzuciła. I tożsamość teraz ustalono – po rękę bez palca. Pamiętasz? Martwy mężczyzna miał odrąbane przedramię. Widać dlatego właśnie je odrąbano, żeby utrudnić rozpoznanie, bo to przecież bardzo charakterystyczna para.

– Ae gib zo? – zahuczała Pelagia przez biskupią dłoń, chcąc powiedzieć: „Ale kim są?”

Władzyka zrozumiał.

– Kupiec Awwakum Wonifatjew z powiatu głuchowskiego i jego dziewięcioletni syn, mały Sawwa. Mężczyzna przyjechał do Donata Abramowicza Sytnikowa, żeby sprzedać las, i zginął. A w domu się nie połapali, bo powiedział żonie, że opuszcza ją na zawsze i już nie wróci.

Źle ze sobą żyli, ona była od niego o wiele starsza. Wonifatjew chciał widocznie za uzyskane z transakcji pieniądze gdzieś w innym miejscu życia sobie ułożyć. Ale nie wyszło... Ustalono, że Sytnikow kupił las za trzydzieści pięć tysięcy i pieniądze wypłacił Wonifatjewowi na miejscu, gotowizną, po czym ojciec z synem wyszli, choć już pora była późna. Sytnikow, jak mówi, proponował im bryczkę, ale kupiec odmówił. Powiedział, że wynajmie trojkę w zajeździe w pobliskiej wsi, Szełkowie, ale tam Wonifatjewów nikt nie widział. Policja oczywiście zabrała Sytnikowa na przesłuchanie, ale myślę, że jest niewinny. Zbyt bogaty z niego człowiek, żeby dla trzydziestu pięciu tysięcy takim grzechem obciążać duszę. A może Szatan chciwości się w to wdał, wszystko się zdarza. Ale nie w tym rzecz... – Oczy Mitrofaniusza błysnęły zapalczywym blaskiem. – Najważniejsze to...

Zdjął rękę z ust Pelagii, żeby unieść tryumfująco palec, i mniszka natychmiast skorzystała z udzielonej jej swobody wypowiedzi.

– ...że inspektor Bubiencow się zbłądził – dokończyła za przewielebnego.

Archijerej uśmiechnął się.

– Chciałem powiedzieć: „szatańskie knowania zostały pohańbione”, ale ty, córko moja, wyraziłaś się ściślej. Wychodzi na to, że Wonifatjewów zabito dla pieniędzy, żadnych ofiar z ludzi nie było, nie ma też gontyny Szyszygi. Niepotrzebnie dręczył Bubiencow nieszczęsnych Zytiaków. Całe jego śledztwo i cała jego Komisja Nadzwyczajna są funta kłaków niewarte. Taki nam wszystkim Pan Nasz podarunek sprawił. Dzięki tobie, dzięki twoim talentom i twojej dzielności go otrzymaliśmy. Został się nasz czarcik z figą. Odjedzie teraz jak niepyszny i jeszcze protektor go zrugą za taką konfuzję.

– Nie odjedzie – cicho i stanowczo powiedziała siostra Pelagia. – I nie zrugają go.

Mitrofaniusz chwycił ręką za wiszący na piersi krzyż.

– Jak to „nie odjedzie”? Jak to „nie zrugają”? A niby dlaczego? Co on tu ma teraz robić?

– W więzieniu siedzieć – odparła zakonnica. – I zruganiem się nie wymiga. Tu, ojcie, katorgą pachnie. Latek ze dwadzieścia. Za podwójne morderstwo z chęci zysku, a jeszcze z zabiciem nieletniego, sąd w żadnym razie mniej nie da.

– Mściwość to ciężki grzech – rzekł władzyka pouczająco – i ulegać temu uczuciu nie należy. Bubiencow to oczywiście obrzydliwiec, ale taka zbrodnia byłaby zbyt potworna nawet jak na niego: zgładzić dwóch niewinnych, w tym dziecko, głowy im odciąć – i wszystko po to, by karierę sobie zapewnić? To już, córeczko moja, za wiele. Oczywiście z początku i ja, człowiek grzeszny, podnieciłem się, kiedy mi ta myśl do głowy przyszła, ale potem ochłonąłem. Nie, Pelasiu miła, nasz fanfaron nikogo nie zabijał, po prostu postanowił wykorzystać sprzyjający zbieg okoliczności. Przecież w starej kronice jest wzmianka o odrąbanej głowie i bożku Szyszydze. Pasuje jak ulał! Co nam wiadomo o mordzie na Wonifatjewach? Bardzo niewiele. Że zabito ich gdzieś w pobliżu Drozdowki, a zatem od dworku Sytnikowa daleko odejść nie zdążyli. Pieniądze zabrano, ciała strącono z urwiska do Rzeki, która je potem niżej wyrzuciła. Głowy, rękę i ubranie zakopano w sadzie, pod osiką. Teraz złoczyńcy (albo złoczyńców) się nie odnajdzie. Za późno.

Pelagia, nie słuchając, wykrzyknęła:

– Ach, to dlatego ona psy...!

Usiadła raptownie na łóżku, lecz od gwałtownego ruchu pokój zakołysał się, popłynął i siostra znów się położyła. Odczekała, aż minie zawrót głowy, i mówiła dalej:

– Teraz wszystko jasne. Oczywiście nie chodziło o spadek. Chodziło o same buldogi. Biegały, gdzie chciały, uganiały się po całym parku. Wyniuchały pod osiką ciekawy zapach, zaczęły się podkopywać,

a panna Naina to zauważyła. Pewnie za pierwszym razem po prostu je przepędziła, a one znowu i znowu. Wtedy właśnie postanowiła otruć...

– Czekaj, czekaj. – Mitrofaniusz zachmurzył się. – Chcesz powiedzieć, że kupca z synem zabiła i głowy im odrąbała Naina? Bzdura!

– Nie, zabiła nie ona. Ale wiedziała, kto to zrobił, i wiedziała o głowach.

– Wspólniczka? Panna Tielianowa niby? Ale po co?

– Nie wspólniczka, raczej świadek. Mimowolny. Jak to się mogło stać?

Pelagia nie patrzyła na przewielebnego. Szybko poruszała brwiami, marszczyła piegowaty nosek, pomagała sobie rękoma – jednym słowem, myślała.

– Często włóczyła się wieczorami, a nawet nocą, po parku. Romantycznym dziewczętom to się zdarza. Najpewniej zobaczyła, jak zabójca zakopuje głowy.

Mitrofaniusz pokręcił głową z niedowierzaniem.

– Zobaczyła i zachowała dla siebie? Przecież to szatańska zbrodnia!

– Właśnie! – Mniszka się poderwała. – Właśnie dlatego, że szatańska! W tym rzecz! Przecież ona mówiła zagadkowo o draństwie i piekle. „Miłość to zawsze draństwo”, to jej słowa.

– Ale cóż to ona, diabłu służyła? – zdziwił się biskup.

– Ach, co też, władyko, jakiemu tam diabłu! Służyła miłości.

– Nie rozumiem...

– No, oczywiście. – Pelagia nieuprzejmie machnęła ręką, jakby rozmawiała sama z sobą. – Dziewczyna namiętna, z wyobraźnią, udęczona niewyżytymi uczuciami. Od dzieciństwa rozpieszczona, nieprzeciętna, ale i okrutna. Żyła jak we śnie, kochała jedyne go porządnego człowieka w swoim otoczeniu – Szyriajewa. Mówiła z nim o tym, co piękne, co wieczne. Marzyła, by zostać aktorką. I tak by

dożyła staropanieństwa, bo pani generałowa to dama mocnego zdrowia, a do jej śmierci Szyriajew wciąż siedziałby w Drozdowce – ani by nie wyjechał, ani o rękę nie poprosił. To prawda, że w jego rozumieniu byłoby to niemoralne – wymuszać coś na ludziach od niego zależnych. Kłopot w tym, że to człowiek bardzo skrupulatny. Kochał pannę Nainę do szaleństwa, ale na jej niewinność nie nastawał. Chociaż powinien był – dodała mniszka półgłosem. – Kto wie, może by teraz żyła.

– Z tym to ty daj spokój, nie agituj mi tu za rozpustą – przywołał swą córę duchową do porządku przewielebny. – I nie rozpraszaaj się, mów do rzeczy.

– Potem nagle pojawił się Poggio, człowiek z innego, wielkiego świata. No, temu to już skrupuły nie przeszkadzały! Zawrócił pannie w głowie, uwiódł. I prawdę mówiąc – niewiele się utrudził, dojrzała była tak, że mógł ją zerwać jak wisienkę. Marzenia o aktorstwie jej przeszły, zachciało się zostać malarką. Ale kiedy zjawiłam się w Drozdowce, Paryż i paleta były już zapomniane, a Poggio porzucony. Naina Georgijewna chodziła posępna, milcząca, zachowywała się tajemniczo i mówiła zagadkami. Wydało mi się nawet, że jest nie całkiem przy zdrowych zmysłach. I tak też było. Skoro nie zawahała się zabić psów, skoro już doszło do tego, że nie obchodziło jej życie babki i omal rzeczywiście staruszki do grobu nie wpędziła, to znaczy, że zakochała się naprawdę bez pamięci i ta miłość wyparła z niej wszystkie inne uczucia.

– W kim, w Bubiencowie? – spytał władyka, ledwie nadążający za galopującą myślą Pelagii. – Przecież on do Drozdowki tylko wpadał jak po ogień. Choć w damskich sprawach to z niego znany majster. Oczywiście mógł uwieść i widać uwiódł. Tylko co mają do tego wszystkiego Wonifatjew z synkiem?

– A to bardzo proste. Tego wieczoru, kiedy doszło do sprzedaży

lasu, Sytnikow był najpierw u sąsiadów. Pił herbatę na werandzie, opowiadał o kupcu i przyszłej transakcji. Gościł tam wtedy też Bubiencow, doszło nawet do sprzeczki między nim a panem Donatem na temat obyczajów starowierców, opowiadano mi o tym. Potem, kiedy Sytnikow obraził się i wyszedł...

– Tak, tak! – przerwał jej podniecony Mitrofaniusz. – Pozwól, teraz ja sam! Zakochana, a najpewniej także uwiedziona panna (Bubiencow przecież już przedtem bywał w Drozdowce) spacerowała nocą po sadzie. Może, ogarnięta namiętnością, nie mogła usnąć, może czekała, aż wróci obiekt jej uczuć. Podpatrzyła, jak pozbywa się trupów, i wyobraziła sobie, że to jakiś obrzęd satanistyczny, a Bubiencow to ni mniej, ni więcej, tylko sam Szatan. A że kochała go bezgranicznie, postanowiła też do wojska szatańskiego wstąpić! Przypadła temu biesowi do piersi, przysięgła...

– Ach, co też ekscelencja wymyśla! – Mniszka zamachała na niego rękoma. – Ty, ojczy, powinieneś romanse do czasopism układać. Niczego mu nie przysięgła, a najpewniej zamarta z przerażenia i niczym nie zdradziła swej obecności. Ileż razy ona przy mnie aluzyjnie do niego przemawiała... teraz sens jej słów jest jasny... ale Bubiencow uśmiechał się tylko i wzruszał ramionami. Widać nawet przez myśl mu nie przeszło, że ona wie o wszystkim. I wtedy, w noc zbrodni, raczej nie wzięła go za Szatana. Z początku była pewnie w rozterce, nie wiedziała, co myśleć ani jak postąpić. Ale miłość kobiety wszystko potrafi usprawiedliwić. Pamiętam, jak Naina Gieorgijewna powiedziała: „Miłość to też przestępstwo”, z naciskiem na „też”. Oto co miała w głowie... Postanowiła obronić ukochanego. Dlatego właśnie trucizny psom podsypała. Widziałam, kiedy Bubiencow przyjechał... to już było przy mnie... jak ona na niego z początku patrzyła: bardzo dziwnie, nawet ze wstrętem. Ale wszystko nagle się zmieniło, gdy zagadał o sprawie Zytiaków. Zauważyłam

i zdumiałam się: panna Naina jakby zmartwychwstała. Ożywiła się, zarumieniła i na Bubiencowa patrzyła już inaczej – tylko z uwielbieniem i zachwytem. Bo doszło do niej, po co głowy odrąbał. Zamiast się przerazić i odsunąć od niego, doznała olśnienia. Okazało się, że jej ukochany to nie zwykły rabuś, tylko człowiek o gigantycznych ambicjach, igrający ludźmi niczym prawdziwy demon. Oto co znaczyły słowa: „Panie Włodzimierzu, nie pomyliłam się co do pana”. I fragment Demona Lermontowa zadeklamowała. A kiedy on zaczął mówić o pogroźkach i ochronie, znów powiedziała aluzyjnie: „Najlepsza straż to miłość”. Dawała do zrozumienia, że będzie mu wierną pomocnicą i obrończynią, a on się nie domyślił. – Pelagia westchnęła ze smutkiem. – Kobieta, prawdziwa kobieta, ofiarna i niewyrachowana w miłości.

– Ty do takiej miłości wzdychać nie śmiej – zasepił się Mitrofaniusz. – Takiej miłości dla ciebie już nie ma. Umarła twoja miłość. A zamiast niej dano ci miłość inną, najwyższą. I Oblubieńca innego, jeszcze piękniejszego niż poprzedni. Jesteś zaręczona Chrystusowi. Pamiętaj.

Siostra uśmiechnęła się lekko, słysząc surowy głos przewielebnego.

– Tak, mnie się trafił lepszy Oblubieniec niż biednej Nainie. Wszystko mu wybaczyła – że to drań, zbrodniarz, diabeł wcielony. Ale nie wybaczyła tego, czego żadna kobieta wybaczyć nie może: że nie kochał. Gorzej – okazywał jej chłodną, obraźliwą obojętność. Ja, władyko, dziwię się Bubiencowowi. Przecież wyraźnie widać, że do wszystkich swych zamierzeń przywykł wykorzystywać słabą płęć, i należy sądzić, że doskonale rozeznaje się w kobiecych duszach. Jak mógł nie dostrzec na czas niebezpieczeństwa ze strony Nainy, okazać taką nieostrożność? Z początku była mu do czegoś potrzebna, może miał jakieś mętne widoki na spadek po generałowej? A potem pewnie się domyślił, jak sobie poradzić bez wnuczki Tatiszczewów. A może

Naina, ze swoją opętańczą namiętnością i zamiłowaniem do afektacji, wydała mu się zbyt męcząca. Tak czy inaczej, swoim chłodem Bubiencow doprowadził pannę do ostateczności. Już to samo dobitnie świadczy, że nie podejrzewał nawet, co ona wie, i do czasu brał jej aluzje za przejaw skłonności do pozy i melodramatu. Na soiree u pani Olimpiady Bubiencow zobaczył fotografię, która go zaalarmowała. Zdjęcie jak zdjęcie, nazywało się „Deszczowy poranek”. Zakątek parku po deszczu: trawa, krzaki, osiczka – nic szczególnego. Nikt z pozostałych widzów na to skromne studium nawet nie zwrócił uwagi, były tam przecież obrazki o wiele efektowniejsze. Ale co będzie, jeśli ktoś wcześniej czy później przyjrzy się niebezpiecznemu zdjęciu? Należało je zniszczyć, a zrobić to można było tylko za pomocą jakiegoś manewru odciągającego, żeby śledztwo od razu zwróciło się w inną stronę.

– Co też takiego strasznego było na tym obrazku?

– Myślę, że osika, pod którą zakopano głowy. W dodatku sfotografowana nazajutrz po podwójnym zabójstwie. Osiczka, chociaż już skazana, bo jej korzenie zostały podcięte ostrą motyką, jeszcze nie zdążyła zeschnąć i wyglądała jak żywa. I najważniejsze – o drzewo oparta była zapomniana przez mordercę motyka. A może leżała obok, w trawie – tego nie wiem. Ktoś z mieszkańców albo stałych gości Drozdowki mógł zwrócić uwagę na ten dziwny szczegół, skojarzyć go z niezrozumiałym usychaniem drzewka, przypomnieć sobie podeptany trawnik i śmierć Chapaja i wyciągnąć wnioski niebezpieczne dla zbrodniarza.

– Tak, tak. – Archijerej kiwnął głową. – A gdzie później podziiała się motyka?

– Może morderca wrócił po nią za dnia i odniósł na miejsce. A najpewniej – zrobiła to Naina Gieorgijewna.

– Czyli Bubiencow zabił Poggia i zdemolował całą wystawę tylko

z powodu tej fotografii?

– Tak, nie ulega wątpliwości. Przecież ze wszystkich zdjęć i ze wszystkich płyt przepadł tylko „Deszczowy poranek”. Gorszące zdjęcia z nagą Tielianową w ogóle przestępcy nie interesowały. Ale skandal bardzo się Bubiencowowi przydał: jawne i oczywiste podejrzenie padło na Szyriajewa.

– Teraz widzę, że tak właśnie było. – Mitrofaniusz schylił głowę na bok, rozważając, czy wszystko się zgadza, i najwidoczniej wnioski go zadowoliły. – Ale decydując się na zabójstwo Tielianowej, Bubiencow ogromnie ryzykował. Przecież o tę zbrodnię już nie można było podejrzewać Szyriajewa, skoro właśnie przesłuchiwała go policja.

– Ale Szyriajew, kiedy panna Naina oświadczyła, że spędził z nią całą noc, i tak był już wolny od podejrzenia o zabicie Poggia. A ryzykować Bubiencow musiał, bo podczas „eksperymentu” księżniczka dała mu jasno do zrozumienia, że wszystko wie i kryć go więcej nie będzie. Pamiętasz, ojczy, mówiłam ci, jak zagroziła, że długi pospłaca? I spłaciłaby, bo uwolniła się od diablích sztuczek i dłużej nie chciała służyć demonowi. Może cierpliwość jej się skończyła, może duma się w niej przebudziła. A może dokonała wyboru – na korzyść pana Stiepana. Tylko już za długo igrała z ogniem. Bubiencow nie mógł pozostawić jej żywej nawet jeden dzień więcej. I zabił. A jednocześnie służącą. Co znaczy dla takiego „ducha wygnania”^[16] czyjeś maleńkie życie?

– I ciebie też mało nie zabił – cichym i strasznym głosem powiedział władzyka, a wzrok miał w tej chwili taki, że świecę można było od niego zapalić.

– Tak. I to nawet dwa razy.

Pelagia westchnęła i opowiedziała, jak w Drozdowce, kiedy odprowadziła przewielebnego do bramy parku i potem wracała aleją, ktoś próbował ją udusić.

– Wtedy nikomu nic nie powiedziałam, bo to byłoby tylko Bubiencowowi na rękę. Znów zwałiby na Zytiaków. Co za prezent dla synodalnych dochodzeniowców – napad na zakonnicę! Bubiencow akurat poprzedniego dnia opowiadał, jak Zytiacy na pustej drodze swoim ofiarom worki na głowę zarzucają. Teraz jest jasne, dlaczego chciał mnie udusić. Pamiętasz, ojcze, że kiedy wobec wszystkich zdemaskowałam Nainę Georgijewnę, powiedziałam, że to nie koniec?

– Tak, pamiętam – przytaknął władyka. – Powiedziałaś, że kryje się tu jakaś tajemnica i trzeba ją rozwikłać.

– Głupio powiedziałam, nieostrożnie – westchnęła Pelagia i skromnie schyliwszy głowę, dodała: – Widać Bubiencow wysoko ocenił moje zdolności, skoro postanowił się zabezpieczyć.

Mitrofaniusz warknął groźnie:

– Bóg miłociw i wybacza draniom różne zabójstwa, jeszcze gorsze od tych. Ale jam nie Bóg, tylko grzeszny człowiek, i za ciebie zetrę Bubiencowa na miazgę. Ty mi tylko powiedz, czy można działać wedle prawa, czy trzeba szukać innych środków? Przecież ani za pierwszym, ani za drugim razem nie widziałaś, kto na ciebie napadł? Czyli dowodów nie mamy?

– Tylko pośrednie.

Pelagia poczuła się dość silna, by usiąść na łóżku. Biskup podłożył jej pod plecy poduszki.

– Mamy trzy przestępstwa, wyraźnie ze sobą związane: najpierw zabito ojca i syna Wonifatjewów, potem Arkadiusza Siergiejewicza Poggio, a w końcu Nainę Tielianową z pokojówką – zaczęła wyjaśniać siostra. – Ze wspomnianych już przyczyn Bubiencow należy do liczby podejrzanych we wszystkich trzech wypadkach. Tak?

– Nie on jeden miał związek z każdym z tych wydarzeń – zaoponował biskup. – I w Drozdowce, i na obu spotkaniach u poczmistrzowej obecni byli także Szyriajew, Piotr Tielianow,

Sytnikow i jeszcze ten wierszokleta, jak mu tam... Krasnow! Oni też mogli mieć jakieś swoje przyczyny, żeby zabić Wonifatjewów. A do dwóch pozostałych mordów doprowadził sprawcę strach przed zdemaskowaniem.

– Słusznie, ojciec. Tylko pan Piotr odpada, dlatego że w dniu, kiedy do Sytnikowa przyjechał kupiec, młodego pana w Drozdowce nie było, nie wrócił jeszcze wtedy z miasta. Przy mnie o tym mówiono, zapamiętałam. Co do Krasnowa i Sytnikowa, to zabić Wonifatjewa oczywiście mogli. Pierwszy choćby dla tych trzydziestu pięciu tysięcy, drugi... no, powiedzmy, że pokłócił się o coś ze swoim gościem. Tyle że ani Krasnowa, ani Sytnikowa księżniczka by nie kryła.

– Zgoda. A co z Szyriajewem? – spytał przewielebny, już raczej dla porządku.

– Zapomniałeś, ojciec. Ustaliliśmy, że zabójstwa w zaułku Warrawkińskim nie mógł dokonać Stiepan Trofimowicz, bo wciąż jeszcze siedział w areszcie.

– Tak, tak, słusznie. Czyli oprócz Bubiencowa nikt wszystkich trzech zabójstw popełnić nie mógł?

– Na to wygląda. Ale nie trzech zabójstw, tylko pięciu – poprawiła Pelagia. – Przecież pierwsze i ostatnie były podwójne. Kiedy się starannie wszystko rozpatrzy, zostaje tylko jeden podejrzany, Włodzimierz Lwowicz. Proszę sobie przypomnieć, że w noc zabójstwa Poggia inspektor był zupełnie sam – Murad Dżurajew upił się w sztok i pętał po knajpach, a sekretarz Zbawieny próbował przemówić hulace do rozumu. Czy to nie sam Bubiencow spoił sługę, wiedząc, jak to się skończy?

Zakonnica rozłożyła ręce.

– No i to jest wszystko, czym dysponujemy. W zwykłych okolicznościach wystarczyłoby tego do zaareztowania w charakterze podejrzanego, ale Włodzimierz Lwowicz to przypadek szczególny.

Jeśli nawet prokurator Berdyczowski wyda nakaz, to obawiam się, że policmajster nie posłucha. Powie, że podstawa za słaba. Dla niego przecież Bubiencow to i car, i bóg. Nie, z aresztowania nic nie wyjdzie.

– A to już nie twoje zmartwienie – rzekł stanowczo Mitrofaniusz. – Ty swoje zrobiłaś. Teraz leż, nabieraj sił. Nakażę, żeby cię nie niepokojono, a jak czegoś ci będzie trzeba, pociągnij za ten aksamitny sznurek. Służka w mig przybiegnie i zrobi, co potrzeba.

Władyka z miejsca pokazał, jak ciągnąć za sznurek, i rzeczywiście – po sekundzie w uchylonych drzwiach pojawiła się ascetyczna, rzadziutką bródką ozdobiona głowa w kamiławce.

– Potapiuszu, każ posłać po Matwieja Berdyczowskiego. I żywo, na jednej nodze.



Podprokurator Berdyczowski bardzo się denerwował.

Nie z powodu policmajstra – ten był z nim gładziutki jak z jedwabiu. To znaczy z początku, kiedy zobaczył nakaz aresztowania, pobladł i cały, aż po korzonki włosów, oblał się potem, ale gdy Berdyczowski wyjaśnił mu, że po fiasku sprawy zytiackiej karta inspektora Synodu tak czy inaczej jest raz na zawsze przebita. Feliks Stanisławowicz nabrał ducha i przystąpił do działania nadzwyczaj energicznie.

Podprokurator nie wątpił zatem w lojalność policji, niepokoiła go tylko wielka odpowiedzialność zadania, a jeszcze bardziej – znikomość dowodów przestępstwa. Prawdę mówiąc, dowodów jako takich nie było – same tylko podejrzane okoliczności, na których podstawie nie sposób oprzeć porządnego aktu oskarżenia. No, był Bubiencow tam i tam, no, mógł zrobić to i jeszcze owo, ale co z tego? Dobry obrońca takie przypuszczenia w pył zetrze. Potrzebna była solidna praca przygotowawcza i Matwiej Bencjonowicz nie miał pewności, że da sobie radę. Przez chwilę pomyślał nawet z zazdrością

o śledczych z dawnych czasów. Ci to mieli życie! Łapiesz podejrzanego, zakuwasz w dyby i on sam się miluteńko przyznaje. Oczywiście Berdyczowski, człowiek świątły i cywilizowany, pomyślał o dybach nie na serio, ale jeśli oskarżony się nie przyzna, sprawa weźmie w łeb, a nie taki to człowiek z Włodzimierza Lwowicza Bubiencowa, żeby miał sam przeciw sobie zeznawać. Wszystkie nadzieje wiązał Berdyczowski z przesłuchaniem pomagierów inspektora – Zbawienego i Czerkiesa. Popracować by z każdym z osobna i tylko patrzeć, a wyjdą na jaw jakieś niezgodności, haczyki, niteczki. Jak się pociągnie za taką niteczkę, to cały kłębek się rozmota.

Ech, żeby tak próba ucieczki albo, jeszcze lepiej, stawianie oporu przy aresztowaniu... – rozmarzył się pan Matwiej, kiedy już jechali zatrzymać podejrzanego.

Na wszelki wypadek – bądź co bądź, idzie o aresztowanie mordercy – przygotowali operację lege artis. Lagrange zebrał trzy dziesiątki stójkowych i posterunkowych, kazał przesmarować rewolwery i samodzielnie sprawdził, czy wszyscy pamiętają, jak się strzela. Przed wyjazdem policmajster narysował na papierku plan.

– To kółeczko, panie prokuratorze, to plac. Kropkowana linia – ogrodzenie, za nim podwórze Hotelu Wielkoksiażęcego. Wielki kwadrat to sam hotel, mały – skrzydło generalskie. Bubiencow jest u siebie, moi ludzie to sprawdzili. Połowę sił rozstawię wokół placu, reszta ukryje się za ogrodzeniem. Do środka wejdziemy tylko ja z panem i dwóch, trzech ludzi...

– Nie – przerwał mu Berdyczowski. – Do środka wejdem sam. Jeśli wtargniemy hurmem, zobaczą nas przez okno i, nie daj Boże, zamkną się, zniszczą dowody. A ja mam wielką nadzieję, że znajdziemy tam coś pożytecznego. Wejdem spokojniutko, jakby z wizytą. Zaproszę Bubiencowa na rozmowę, no, choćby do gubernatora. A jak wyjdziemy na dziedziniec, to tu właśnie gołębiczka aresztujemy. Jeśli

zaś napotkam trudności, krzyknę do pana o pomoc.

– Po co ma pan gardło wyteżać? – Zupełnie już oswojony Lagrange pokiwał z wyrzutem głową. – Proszę, oto moja świstaweczka. Dmuchnie pan i od razu stanę przed panem, jakby mnie wiatr przywiał.

Prawdę mówiąc, oprócz względów profesjonalnych miał imć pan Matwiej także osobiste powody, żeby pochwycić Bubiencowa własnymi rękoma. Wielką miał ochotę skwitować się z podłym petersburżaninem za pamiętny pstryczek w nos. Ze smakiem niegodnym chrześcijanina, ale przecież nie mniej przez to rozkosznym, wyobrażał sobie, jak wykrzywi się i zblednie zarozumiała Bubiencowowska fizys, kiedy on, Berdyczowski, rzuci ot tak, niedbale:

– Raczy pan założyć ręce za plecy. Aresztuję pana.

Albo jeszcze lepiej, tonem towarzyskiej pogawędki:

– A wie pan, łaskawco, jest pan aresztowany. Taka, widzi pan, nieprzyjemność.



Mimo wszystko, kiedy samotnie przechodził przez podwórze, poczuł się nieswojo. Ścisnęło go w żołądku, zaschło w gardle.

Żeby wziąć się w garść, podprokurator jakieś pół minuty stał na ganeczku generalskiego skrzydła. Tu, w zgrabnym parterowym domku, mieścił się najlepszy w całym hotelu apartament, przeznaczony dla wysokich osobistości, które przybywały do guberni w sprawach państwowych, a także po prostu dla bogaczy, którzy uważali za poniżające gnieździć się pod jednym dachem z innymi gośćmi.

Okna skrzydła były zaciągnięte zasłonkami i Berdyczowski nagle się przestraszył: czy aby Lagrange się nie pomylił? A jeśli Bubiencowa

tu nie ma?

Lęk o powodzenie akcji przepłoszył zwykłą nerwową słabość i podprokurator nawet nie pociągnął za dzwonek, jak miał zamiar, tylko po prostu pchnął drzwi i wszedł.

Z korytarza trafił do dużego pokoju, który był cały zastawiony otwartymi kuframi i walizami. Przy stole siedzieli Zbawieny i Murad Dżurajew, przesuając na planszy białe i czarne kamienie. Pewnie tryktrak – domyślił się Berdyczowski, który nie uznawał żadnych gier poza szachami i preferansem.

– Zameldujcie panu Bubiencowowi, że chce go niezwłocznie widzieć podprokurator gubernialny Berdyczowski – powiedział lodowatym tonem Matwiej Bencjonowicz, zwracając się do sekretarza.

Ten ukłonił się z uszanowaniem i zniknął za drzwiami prowadzącymi do dalszych pokoi. Czerkies rzucił na przybysza okiem i znów wlepił wzrok w planszę, mamrocząc coś niezrozumiałego. Charakterystyczne było, że dziki człowiek nawet w mieszkaniu nie zdejmował papachy i nie rozstawał się z nieodłącznym kindziałem.

Wrócił Zbawieny i powiedział:

– Proszę pokornie.

Pochmurny Bubiencow siedział przy stole i coś pisał. Nie wstał, nie przywitał się, tylko na ułamek sekundy oderwał wzrok od papierów i spytał:

– Czego trzeba?

To nieskrywane grubiaństwo ostatecznie uspokoiło pana Matwieja, bo jak wiadomo – pies, który głośno szczeka, nie kąsa. A kąsać Bubiencow już nie miał czym: zębki się stępiły.

– Zbiera się pan do wyjazdu? – upewnił się grzecznie podprokurator.

– Tak. – Włodzimierz Lwowicz ze złością rzucił obsadkę i na

zielonym suknie rozprysnęły się atramentowe bryzgi. – Odkąd gubernator na pański wniosek zarządził przerwanie śledztwa, ja już tu nie mam co robić. No, ale nic, panowie zawołżczanie, pojedę do Petersburga i wrócę. I wtedy cały ten wasz przytułek rozpirzę na cztery wiatry.

Nigdy jeszcze Matwiej Bencjonowicz nie widział inspektora Synodu tak rozdrażnionego. I gdzie to się podział jego zwykły, leniwie protekcyjny ton?

– Tak zaraz to się nie uda – westchnął jakby przepraszająco Berdyczowski.

– Co „się nie uda”?

– Wyjechać. – Podprokurator rozłożył ręce, na dobre wchodząc w rolę. – Antoni Antonowicz prosi, by zechciał pan natychmiast udać się do niego. A nawet rozkazuje.

– „Rozkazuje”? – wybuchnął Bubiencow. – Pluję na jego rozkazy!

– To już jak pan uważa, tylko ekscelencja polecił nie wypuszczać pana z granic guberni, dopóki nie przedstawi pan zadowolających wyjaśnień w związku z bezprawnym aresztowaniem zytiackiej starszyny i zabiciem trzech Zytiaków, którzy chcieli ich uwolnić.

– Bzdury! Wszyscy wiedzą, że Zytiacy napadli na przedstawicieli władzy z bronią w ręku. Sami sobie winni. A co do bezprawności aresztowania starszyny, to jeszcze zobaczymy. Bałwochwalców kryjecie? No nic, z tego też zdacie sprawę przed Konstantym Pietrowiczem. – Włodzimierz Lwowicz wstał i włożył surdut. – Czort z wami. Zajadę do waszego Hagenaua. Nie dla niego, tylko dla małżonki. Milutka osóbką. Ucałuję rączkę na pożegnanie.

Oczy Bubiencowa błysnęły niedobrym blaskiem – najwyraźniej inspektor miał zamiar zrobić gubernatorowi na ostatku jakiś poniżający kawał.

Jeszcze czego! – pomyślał Matwiej Bencjonowicz, z trudem

powstrzymując tryumfalny uśmiezek. Za krótkie rączki, łaskawco.

Wyszli do bawialni. Kompani inspektora już nie grali w tryktraka: Zbawieny pakował sakwojaż, a Czerkies stał przy oknie i wypatrywał czegoś na dworze.

I nagle stała się rzecz nieoczekiwana. Więcej – nieprawdopodobna, a nawet niewyobrażalna.

Murad dwoma kocimi skokami dopadł Berdyczowskiego i krótkimi, żelaznymi palcami chwycił go za gardło.

– Zdrada! – krzyknął ochryple. – Wołoda, ne idź! Tam zasadzka!

– Co ty wygadujesz? – Bubiencow popatrzył na niego zdziwiony. – Rozum straciłeś?

Berdyczowski wyrwał z kieszeni świstawkę i dmuchnął ile sił w płucach. W tej samej sekundzie z podwórza dobiegł tupot mnóstwa stóp.

Góral uderzeniem żylastej pięści zbił Berdyczowskiego z nóg, skoczył do jednej z waliz i wyciągnął rewolwer z długą lufą.

– Stój! – krzyknął Bubiencow, ale było już za późno.

Murad wybił lufą szybę i trzy razy wypalił na zewnątrz. Rozległo się rozzwierające wycie, a w następnej chwili z podwórza uderzyły w odpowiedzi wystrzały, i to tak gęste, że ze ścian i sufitu poleciały odpryski sztukaterii, na fortepianie pękł wazon z chryzantemami i zegar ścienny nagle zaczął rozpaczliwie wydzwaniać.

Zbawieny padł na podłogę i popęzł ku drzwiom prowadzącym do gabinetu. Przykucnął też Bubiencow. Kiedy palba nieco ucichła, powiedział wzgardliwie:

– Murad, bałwan jesteś. Nawarzyłeś kaszy, to teraz sam wyżeraj. Ja wychodzę przez kuchenne drzwi i do stajni. Pogalopuję do Pitra. Nic się nie martw, wszystko jakoś zakłajstruję. A ty popukaj jeszcze troszeczkę, żebym mógł się oderwać, i poddaj się. Ja cię uwolnię. Zrozumiałeś?

I nie czekając na odpowiedź, zniknął schylony za drzwiami. Zbawieny, wciąż na brzuchu, poczołgał się za nim.

– Zrozumiałem, Wołoda, czego tu ne rozumec – powiedział niegłośno Czerkies. – Tylko Murad poddawać se ne ume.

Wysunął rękę z za framugi, wycelował i strzelił. Na podwórzu znów ktoś krzyknął i zaczęto walić stamtąd salwami. Uchwyciwszy odpowiedni moment, abrek wypalił ponownie, ale tym razem nie miał szczęścia. Papacha spadła na podłogę, podskoczyła sina, wygolona głowa i na policzku zarysowała się purpurowa bruzda, z której natychmiast zaczęła się sączyć krew. Murad ze złością wytarł twarz rękawem brudnego beszmetu i strzelił nad parapetem.

Matwieja Bencjonowicza już od dobrej minuty rozdzierała męcząca walka wewnętrzna. Na jednej szali był tylko obowiązek, na drugiej – żona, dwanaścioro (a właściwie prawie trzynaścioro) maleństw i do tego jeszcze własne życie. Mówiąc wprost – ładunek nierówny. Berdyczowski zdecydował, że będzie siedzieć cichutko – koniec końców, można też posłać za Bubiencowem pogoń. Ale ledwie podjął to zbawienne postanowienie, pukania ucichła i podprokurator, przeżegnawszy się, krzyknął rozpaczliwie:

– Lagrange! Kuchenne drzwi!

Murad odwrócił się z wściekłością i Berdyczowski zobaczył niewiarygodnie ogromną czarną dziurę, mierzącą mu prosto w nasadę nosa. Kurek sucho szczękął raz, potem drugi i Czerkies, zakławszy nie po rosyjsku, odrzucił bezużyteczny rewolwer.

Ale wizja cudownego ocalenia zamajaczyła biednemu panu Berdyczowskiemu tylko na chwilę, bo syn Kaukazu wyrwał z pochwy swój potworny kindżał i pochyłony rzucił się na podprokuratora.

Berdyczowski bez przekonania stuknął straszego człowieka w szczękę, ale równie dobrze mógłby walić pięścią w kamień. Zahipnotyzowany tajemniczym migotaniem szerokiej głowni, Matwiej

Bencjonowicz zamarł.

Czerkies chwycił swojego jeńca za szyję, przyłożył mu zimną stal do gardła i dysząc w twarz krwią i czosnkiem, powiedział:

– Potem cebe rznonc bende, ne teraz. Esli teraz, oni mne od razu zabijom. A tak esce długo bendzemy rozmowe rozmawac. Wołoda dalej odedze – wtedy zarzne.

Matwiej Bencjonowicz zmrużył oczy, nie mógł znieść bliskości wściekłych oczu, czarnej brody i ociekającego krwią policzka.

Z zewnątrz dobiegł okrzyk Feliksa Stanisławowicza:

– Goń kolaskę na Kupiecką! Wy trzej – jazda na rogatki. Spuścić szlabany! Jelisieiew, bierz trzech i do stajni!

Teraz Bubiencow nie ucieknie – zrozumiał Berdyczowski, ale ta myśl nie przyniosła mu pociechy. Trudno było oddychać z obcą ręką ściskającą szyję, od mdlącego strachu robiło się duszno i nawet przyszło mu na myśl: lepiej by już rznął, byle się ta męka skończyła.

Za parapetu ostrożnie wysunął czubek głowy Lagrange.

– Berdyczowski, żyjesz pan?

Odpowiedział Murad:

– Wejdiesz, martwy bendze.

Słyszac te słowa, policmajster nabrał śmiałości, wysunął rękę z rewolwerem, uśmiechnął się.

– No, jak tam, Dzurajew, wystrzelało się kuleczki? Policzyłem. Tknij tylko jego wielmożność, a zabiję jak wściekłego psa. Żywcem brać nie będę, przysięgam na rany Chrystusa.

– Murad smercy se ne boi – pogardliwie rzucił rozbójnik, osłaniając się Berdyczowskim jak tarczą.

Feliks Stanisławowicz powoli wdrapał się na parapet.

– Teraz to już łziesz, braciszku. Jej, beznosej, wszyscy się boją.

Ostrożnie spuścił nogi na podłogę.

– Eszcze krok i rzne – cicho, ale z naciskiem obiecał Czerkies.

– Dobrze, dobrze – uspokoił go policmajster. – Patrz, odkładam rewolwer.

I rzeczywiście, położył go na samym skraju parapetu, tak że lufa wystawała nad podłogą, po czym skrzyżował nogi.

– Słuchaj, Dzurajew, zawrzyjmy pokój. – Lagrange wyciągnął papierośnicę, zapalił. – Podziurawiłeś mi dwóch ludzi. Za to trzeba by cię położyć na miejscu. Ale jeśli teraz wypuścisz jego wielmożność i poddasz się, ja cię żywego dostarczę do więzienia. I nawet obić nie pozwolę, oficerskie słowo honoru.

Murad tylko mruknął.

– No jak, dogoniliście? – spytał podwładnych Feliks Stanisławowicz, odwracając się w kierunku podwórza.

Coś mu tam odpowiedziano, ale słów nie można było zrozumieć.

– Ach, bydlaki, poszkapiliście?! – zaryczał groźnie pułkownik i z wściekłością uderzył pięścią w parapet, i to tak niezręcznie, że trafił dokładnie w sterzczącą lufę.

Po tym uderzeniu rewolwer, w pełnej zgodzie z prawami fizyki, opisał w powietrzu skomplikowane salto i gruchnął o podłogę na samym środku salonu.

Czerkies wypuścił zakładnika i jednym drapieżnym skokiem znalazł się przy broni.

I tu okazało się, że sztuczkę z latającym rewolwerem przemyślny policmajster wykonał celowo. Ni stąd, ni zowąd w ręku pana Feliksa znalazł się drugi rewolwer, nieco mniejszy, i plunął w Dzurajewa ogniem i dymem.

Kula odrzuciła górala pod ścianę, ale on natychmiast zerwał się na nogi i machnąwszy kindzalem, ruszył na pułkownika.

Lagrange wycelował dokładniej i wystrzelił jeszcze trzykrotnie, za każdym razem trafiając w cel, ale Murad wciąż nie padał, tylko każdy kolejny krok przychodził mu z coraz większym trudem.

Kiedy dzieliło go od parapetu jakieś pół sążnia, pułkownik zeskoczył na podłogę, przystawił Czerkiesowi lufę wprost do czoła i szczyt ogolonej czaszki rozpadł się na drobne kawałki.

Zabity kołysał się przez chwilę i w końcu runął na wznak.

– To ci bies żywotny. – Policmajster, pochylając się nad ciałem, ze zdziwieniem pokiwał głową. – Odmieniec jakiś. Patrzcie tylko, jeszcze oczami mruga. Jakby komuś opowiedzieć – nie uwierzyłby.

Potem podszedł do półżywego od tych wszystkich wstrząsów Berdyczowskiego i przykucnął obok.

– No, ale z pana, panie Matwieju, śmiałek! – I pokiwał głową z podziwem. – Że też nie bał się pan krzyknąć o kuchennych drzwiach!

– I co z tego? – słabym głosem powiedział podprokurator. – Bubiencow i tak uciekł.

Lagrange roześmiał się, szczerząc białe zęby.

– Gdzie tam uciekł! Mamy go. I sekretarzyka też. Tu zaraz, w stajni.

– Jak to...? – podprokurator, nic już nierozumiejący, zamrugał powiekami.

– Specjalnie zacząłem kłąć dla Czerkiesa. Żeby ta sztuczka z bronią wypadła bardziej przekonująco.

Berdyczowski z zachwyty i ulgi nie od razu wiedział, co odrzec.

– Ja... Naprawdę, panie Feliksie, pan jest moim wybawcą... Nigdy tego panu nie zapomnę...

– Chciałoby się bardzo, żeby pan nie zapomniał – powiedział dzielny policmajster, przymilnie zaglądając podprokuratorowi w oczy.

– Dalej będę panu służył wiernie jak pies, szlacheckie słowo honoru. Tylko niech już pan nie nadaje biegu tej historii z łapówką, niech ją wszyscy diabli. Bies mi w głowie zamać. Ja nawet kupczykowi pieniądze zwróciłem. Szepnie pan za mną słówko władcyce i panu gubernatorowi, co?

Berdyczowski westchnął ciężko, przypomniał sobie, jak grzmiał na urzędniczą słabość do podarunków, niczym chwast niszcząca wszystkie dobre zamiary: jak nie pieniądze, to sławetne charciki.

A uratowane życie to co, może kiepski charcik?

XI

W sądzie

Proces w sprawie zawoźskich zabójstw rozpoczął się w nowym gmachu sądu gubernialnego, wspaniałym, obszernym i pięknym. Antoni Antonowicz von Hagenau sam zatwierdził projekt architektoniczny i osobiście nadzorował budowę, ponieważ przywiązywał do tej konstrukcji szczególną wagę. Mawiał, że po wyglądzie instytucji sądowych zawsze można ocenić, czy w danej miejscowości szanują prawo. W Rosji budynki sądów zwykle są brudne, ciasne i zaniedbane, dlatego dochodzi w nich do wszelakich oszustw i nadużyć. Gubernator zaś żywił niezachwiane (choć może naiwne) przekonanie, że jeśli sala sądowa zdradzać będzie jakieś podobieństwo do czystej i pięknej świątyni, to i liczba pogwałceń prawa znacznie spadnie. I jeszcze jeden wzgląd miał na myśli nasz administrator, kiedy nakazał przeznaczyć na budowę sądu tak znaczną sumę: nowy sąd powinien stać się symbolem złotego wieku zawoźskiej historii, wzniesionego na trwałym fundamencie prawa i sprawiedliwości.

Budowę zakończono w samą porę, bo poprzednia sala sądowa nie pomieściłaby nawet honorowych gości przybyłych na proces. W nowej zaś świątyni Temidy zasiadło bez trudu blisko pięciuset widzów. Oczywiście była to zaledwie garstka tych, co chcieli być obecni na głośnej rozprawie, ale mimo wszystko dla ludzi niezbędnych miejsc starczyło. Do niezbędnych, oprócz gości oficjalnych i honorowych, zaliczono także zawoźską śmietankę towarzyską, licznych dziennikarzy, stołecznych literatów, a także

przedstawiciele prawniczego stanu, którzy niczym szarańcza zlecieli się z całej Rosji na te sądowe igrzyska. Szczególnie liczna obecność prawników brała się również stąd, że obrony podjął się sam Łomejko, gwiazda rosyjskiej adwokatury i europejska znakomitość. Nikomu jeszcze nie zataił się w pamięci zeszłoroczny tryumf Guriusza Samsonowicza, który uzyskał całkowite uniewinnienie dla aktorki Granatowej, sądzonej za zastrzelenie żony kochanka, antreprenera Anatolijskiego.

Przeciw tak groźnemu adwersarzowi nie można było oczywiście wystawić niezbyt rozgarniętego prokuratora gubernialnego, toteż władcyka i gubernator częściowo argumentami, częściowo gwałtem skłonili Berdyczowskiego, by wziął na siebie obowiązki oskarżyciela publicznego. Do takiego wyboru skłaniało również zachowanie pana Matwieja podczas zatrzymania niebezpiecznych przestępców, dzięki któremu zyskał on sławę bohatera, jeśli nie w skali ogólnorosyjskiej, to na pewno w gubernialnej.

Reputacja śmiałka i człowieka czynu sprawiała Berdyczowskiemu niezmierną przyjemność, choć w głębi duszy doskonale wiedział, że wcale na taką opinię nie zasługuje. Ale i zapłata za sławę okazywała się wcale nietania.

Już na dwa tygodnie przed procesem podprokurator z przejęcia stracił sen i apetyt. Sam nie wiedział, czego bardziej się bać: groźnego Łomejki, złośliwych języków reporterów czy gniewu wszechmocnego Konstantego Pietrowicza. Ten ostatni przysłał na proces całą deputację pod przewodnictwem zastępcy oberprokuratora Synodu, Gellera: przecież z każdego punktu widzenia wychodziło na to, że zawołzski skandal wyrządza wielką szkodę prestiżowi najwyższego organu imperium stojącego na straży wiary.

Mniejsza o to, że Berdyczowski miał po raz pierwszy wystąpić przed szeroką (a i wysoką) publicznością. Cóż – trochę by się zacinał,

trochę głos by mu drżał: to wszystko nic, to można prowincjonalnemu prokuratorowi wybaczyć. Gorsze było, że pozycja oskarżenia wyglądała nienadzwyczajnie.

Za radą obrońcy Bubiencow nie złożył w śledztwie żadnych zeznań. Milczał zuchwale, patrząc na spoconego Matwieja Bencjonowicza jak na stonogę, polerował paznokcie, ziewał. Po powrocie do celi pisał skargi do wyższych instancji.

Zbawieny natomiast, aresztowany jako podejrzany o współudział, mówił dużo, ale nic pożytecznego nie zeznał. Coraz więcej skarżył się na zdrowie i wygłaszał pobożne sentencje. Wynikało z tego, że najistotniejsze dowody trzeba będzie wydobyć bezpośrednio na procesie.

Tak stały sprawy w dniu, kiedy przed szczęśliwymi posiadaczami zaproszeń rozwarły się wysokie odrzwia nowego sądu i zaczęła się rozprawa, której sądzone było znaleźć się nie tylko w annałach naszej gubernialnej historii, ale i w podręcznikach jurysprudencji.



Rozkład miejsc w sali sądowej wyróżniał się tym, że za stołem sędziów postawiono jeszcze dwa rzędy foteli dla najznakomitszych gości. Zasiedli tam między innymi: zastępca oberprokuratora Świętego Synodu z dwoma najbliższymi pomocnikami, gubernator i gubernialny marszałek szlachty, obaj z małżonkami, gubernatorzy dwóch sąsiednich guberni (oczywiście także z żonami) i włądyka Mitrofaniusz, z za którego ramienia wyglądała jak czarny ptaszek cicha mniszeczka, przez długi czas w ogóle przez publiczność niezauważana.

Przewodniczył najbardziej szacowny i najuczeńszy z naszych sędziów, generalskiego stopnia, ze wstęgą orderową. Wszyscy wiedzieli, że złożył już prośbę o dymisję z tytułu podeszłego wieku, i dlatego oczekiwali od niego pełnej bezstronności – każdemu przecież

pochlebiałoby zakończenie długiej i zaszczytnej kariery tak wyjątkowym procesem. Dwoma pozostałymi członkami składu sędziowskiego byli cieszący się wielkim autorytetem sędziowie pokoju, jeden jeszcze całkiem niestary, drugi zaś bodaj jeszcze starszy wiekiem od przewodniczącego.

Stołecznego adwokata publiczność powitała różnymi oklaskami, od których ten od razu zrobił się postawniejszy i wyższy, niczym rosnące ciasto drożdżowe. Skromnie i z godnością ukłonił się sądowi, widzom i szczególnie, z demonstracyjnym szacunkiem, władcyce Mitrofaniuszowi, co miejscowi ocenili jak najbardziej pozytywnie. Guriusz Samsonowicz sam miał w sobie coś z archijereja: tak samo reprezentacyjny, jasnooki, z rozłożystą siwiejącą brodą.

Życzliwie powitano także prokuratora – co prawda klaskali mu raczej tylko aborygeni, ale za to głośniej niż stołecznemu koryfeuszowi. Berdyczowski, blady, z posiniałymi wargami, ukłonił się sztywno i zaszeleścił grubym plikiem papierów.

Zacząła się długa procedura prezentacji przysięgłych, przy czym obrońca przejawiał rzadko spotykaną surowość, zdecydowanie odrzuciwszy i dwóch kupców starowierców, i jakiegoś zytiackiego seniora, i nawet, nie wiadomo dlaczego, dyrektora gimnazjum. Oskarżyciel żadnych protestów przeciw zaciekłości obrony nie składał, wyraźnie okazując, że dla niego skład ławy przysięgłych nie ma znaczenia, bo sprawa i tak jest jasna.

W tym też duchu utrzymana była mowa Matwieja Bencjonowicza. Zaczął, jak należało się spodziewać, mętnie i niezbyt pewnie, a nawet już przy drugim zdaniu wziął się do wycierania nosa, ale potem nabrał wigoru (zwłaszcza kiedy z sali współczująco mu zaklaskano) i dalej mówił żwawo, gładko, niekiedy nawet z natchnieniem.

Przygotowany był sumiennie, a najistotniejszych kawałków wyuczył się nawet na pamięć. Pod koniec drugiej godziny

oskarżycielowi udawało się już wytrzymać efektowną pauzę, wskazywać oskarżycielsko palcem na podsądnego, a nawet wznosić oczy ku niebu, co mało któremu prokuratorowi wychodzi bez popadania w śmieszność. Mowę Berdyczowskiego wielokrotnie przerywano oklaskami, a raz nawet urządzono mu owację (stało się to, kiedy w najbardziej wzruszający sposób opisywał uwiedzioną i porzuconą księżniczkę Tielianową: tu już wiele dam otwarcie pochlipywało).

Mowa udała się znakomicie, były w niej nader subtelne niuanse psychologiczne i druzgoczące pytania retoryczne. Chętnie przytoczylibyśmy ją ze szczegółami, ale zajęłoby to za wiele miejsca, jako że trwała przeszło trzy godziny. No i w zestawieniu ze znanymi już czytelnikowi wnioskami siostry Pelagii nie zawierała niczego istotnie nowego, chociaż pospieszne i nieco przasne konkluzje zakonnicy nabrały w wystąpieniu podprokuratora wagi, siły przekonywania, a nawet blasku. Z żalem opuszczając całą psychologię i wzloty krasomówcze, przedstawimy pokrótce tylko główne punkty aktu oskarżenia.

Zarzucono zatem Bubiencowowi zamordowanie kupca Wonifatjewa i jego małoletniego syna, zabójstwo petersburskiego artysty fotografa Arkadiusza Poggio, zabójstwo księżniczki Nainy Tielianowej i jej pokojówki Jewdokii Syskinej, wreszcie opór podczas aresztowania, wskutek czego dwóch policjantów zostało ciężko rannych, a jeden z nich śmiertelnie. Prokurator wniósł o skazanie Bubiencowa na dożywotnią katorgę, a współuczestnika jego przestępstw, Zbawienego, który nie mógł nie wiedzieć o zbrodniach zwierzchnika, a w dodatku próbował zbiec i uniknąć aresztowania – na rok więzienia, a następnie zesłanie.

Matwiej Bencjonowicz usiadł mocno ochrypły, ale zadowolony z siebie. Dostał huczne oklaski, również od przyjezdnych prawników,

co było pomyślnym znakiem. Otarł pot z czoła i pytająco spojrzął na władkę, który w czasie przemówienia niejednokrotnie wspierał protegowanego, z aprobatą kiwając głową i przymykając oczy. Teraz też archijerej odpowiedział na spojrzenie prokuratora zachęcającym skinieniem. No cóż, mowa rzeczywiście udała się panu Matwiejowi.



Sesję wznowiono po przerwie, podczas której przyjezdni prawnicy gorąco dyskutowali o perspektywach sprawy. Większość skłaniała się do tego, że oskarżenie jest skonstruowane z głową i małomiasteczkowy prokurator swoim wystąpieniem podsunął Łomejce twardy orzech, ale z mecenasa nie taki człowiek, żeby spasować. Na pewno błysnie jeszcze bardziej wirtuozerskim krasomówstwem i zaćmi złotoustego prowincjusza.

Ale na tym właśnie polegał uznawany przez wszystkich geniusz wielkiego adwokata, że nie tyle spełniał pokładane w nim nadzieje, ile w zupełnie szczególny sposób je przewyższał.

Początek jego mowy wyglądał co najmniej dziwnie.

Łomejko wyszedł naprzód, stanął plecami do widzów i bokiem do przysięgłych, za to twarzą do ławy sędziowskiej, co samo w sobie było niezwykle. Potem ni to z roztargnieniem, ni to w rozterce rozłożył ręce i na długo zastygł w tej osobliwej pozie, w ogóle nic nie mówiąc.

Sala najpierw ucichła, po chwili zaszumiała, zaskrzypiała krzesłami, a obrońca wciąż milczał. Odezwał się dopiero, gdy przewodniczący w zakłopotaniu zaczął wiercić się na krześle, a w sali znów zapanowała napięta cisza.

– Po prostu nie wiem... Nie wiem, co mam powiedzieć o mowie, którą wygłosił szanowny oskarżyciel – cichym, ufnym tonem zwrócił się Guriusz Samsonowicz do sądu i nagle, ni w pięć, ni w dziewięć, oświadczył: – No cóż, ja przecież wyrośłem niedaleko stąd.

Dzieciństwo upłynęło mi na Rzece. Przesyciło mnie to powietrze, wychowało mnie, wykołysało... Potem wyjechałem, porwało mnie szumne, światowe życie, ale, wiecie, duszą od Rzeki mimo to się nie oderwałem. Powiem bez patosu, tak jak myślę. Tu, wśród gęstych lasów i skromnych, niezbyt urodzajnych pól, bije serce Rosji. Oto dlaczego, panowie – w tym miejscu głos mówcy niepostrzeżenie się zmienił, stopniowo nabierając sprężystości, siły i bodaj skrytej groźby – oto dlaczego, panowie, po prostu cierpię, kiedy dowiaduję się o przejawach dzikości i azjatyckości, które, niestety, nazbyt często zdarzają się w głębi Rosji. Słyszałem wiele dobrego o Zawołżsku i zaprowadzonych tu porządkach, toteż szczerze wierzę, że Wysoki Sąd nie da podstaw do podejrzeń o uprzedzenia i patriotyzm lokalny. Żałuję, że tym właśnie mało apetycznym aromatem powiało na mnie, a także na wielu gości waszego miasta, z wypowiedzi mojego szanownego oponenta.

Po takim początku sędziowie z jednej strony troszeczkę się zezłościли, ale też i odrobinę zdenerwowali, bo jakby na nowo ujrzeli i gorączkowo notujących reporterów, i gazetowych rysowników, i surowych publicystów, reprezentujących tu opinię publiczną bezkresnego imperium.

A adwokat już odwrócił się od sędziów i wbił wzrok w przysięgłych. Do nich zwrócił się zupełnie prosto i nie czuło się w jego tonie żadnej pogroźki:

– Panowie, chciałbym jeszcze raz zwrócić uwagę na to, co oczywiście rozumiecie i beze mnie. Dziś uczestniczymy w najważniejszym wydarzeniu w waszym życiu obywatelskim. Takiego procesu w tym spokojnym mieście jeszcze nie było i, daj Bóg, nigdy więcej nie będzie. Długo dręczyłem panów pytaniami i wielu kandydatów odrzuciłem, ale zrobiłem to wyłącznie w interesie prawa. Rozumiem doskonale, że wszyscy jesteście żywymi ludźmi. Każdy

z was na pewno wyrobił sobie już własne zdanie, omawialiście okoliczności sprawy z rodziną, przyjaciółmi, znajomymi... Błagam was tylko o jedno. – Łomejko rzeczywiście złożył dłonie w błagalnym geście. – Nie osądzajcie tych dwóch z góry. I tak jesteście nastawieni przeciwko nim, bo w waszych oczach ucieleśniają oni obcą i wrogą siłę, której imię – stolica. Odnosicie się do tej siły podejrzliwie i nieufnie, często, niestety, nie bez przyczyny. Nie wykluczam, że Bubiencow kogoś z was obraził lub rozzłościł. To trudny, niewygodny człowiek. Takim zawsze przytrafiają się jakieś paskudne historie – czasem z własnej winy, czasem z kaprysu niesprawiedliwego przeznaczenia. Jeśli panowie sędziowie pozwolą mi odejść na chwilę od rozpatrywanej sprawy, opowiem jedną króciutką historyjkę o Włodzimierzu Lwowiczu. A zresztą, to nie będzie żadne odejście, bo przecież decydujecie o losie człowieka i powinniście dobrze wiedzieć, co to za człowiek...

Obrońca znów zrobił pauzę, jakby sprawdzając, czy uważnie go słuchają. Słuchali po prostu wspaniale – panowała zupełna cisza, tylko krzesła poskrzypywały.

– Ta anegdota ukaże pewnie mojego klienta w jeszcze bardziej niekorzystnym świetle, ale mimo wszystko ją opowiem – bo też niezwykle wyraziście objawia się w niej osobowość... Tak więc w wieku zaledwie piętnastu lat Włodzimierz Lwowicz zakochał się. Namiętnie, bezrozumnie, tak jak to bywa we wczesnej młodości. W kim, zapytacie. Tu właśnie kryje się owa bezrozumność, ponieważ wybranką serca młodego pazia była osoba z carskiego rodu. Jej imienia nie wyjawię, bo obecnie jest małżonką jednej z europejskich koronowanych głów.

Wśród dziennikarzy nastąpiło poruszenie: kalkulowali, o kim mowa, i jak się zdaje – szybko wykalkulowali.

– Młody Włodzimierz najpierw napisał do jej cesarskiej wysokości

list miłosny, a potem został schwytany, kiedy błąkał się nocą pod oknami jej sypialni. Doszło do arcynieprzyjemnego skandalu. Żeby pozostać w Korpusie Paziów, chłopiec musiałby wybłagać przebaczenie u dowództwa. Odmówił tego kategorycznie, tym samym zamykając sobie drogę do świetnej dworskiej kariery. Wspomniałem o tej starej historyjce, byście lepiej zrozumieli, na czym polega główna osobliwość charakteru mojego klienta. Jest to człowiek dumny, panowie, i na to nie ma rady. Kiedy wysuwają przeciw niemu potworne w swej nedorzeczności oskarżenie, on nie zniża się do usprawiedliwiania. On dumnie milczy.

Należy przypuszczać, że adresatami „historyjki” mecenasa Łomejki byli nie tyle sędziowie przysięgli, w większości ludzie niemłodzi i stateczni, ile żeńska połowa audytorium, której nastrój zazwyczaj określa atmosferę w tego rodzaju procesach. Kobiety zaś, już przedtem popatrujące na Bubiencowa z pożądliwym zainteresowaniem, oceniły anegdotkę tak, jak na to zasługiwała, a ciekawość ich uległa bodaj pewnej metamorfozie – z przede wszystkim lękliwej stała się przede wszystkim współczująca.

Odniosłszy to ważne, chociaż na pozór skromne zwycięstwo, zręczny adwokat od razu ujawnił swój podstęp.

– Ach, jaka szkoda, że do składu sądu przysięgłych nie dopuszcza się przedstawicielek płci pięknej! – westchnął z absolutną szczerością.
– Są o tyle miłsierniejsze od mężczyzn. Ale ja, panowie przysięgli, wcale nie proszę was o miłosierdzie, ani, broń Boże, o pobłażliwość dla Włodzimierza Lwowicza.

Tak jakoś wychodziło, że o drugim oskarżonym specjalnie się nie mówiło. Bądź najpokorniejszy Tichon Jeremiejewicz był dla lwa adwokatury za mało interesujący, bądź też Łomejko słusznie przypuszczał, że uniewinnienie głównego oskarżonego najnaturalniej w świecie pociągnie za sobą zdjęcie oskarżeń z jego przybocznego.

– Wasza pobłażliwość byłaby dla tego dumnego człowieka udręką. Przede wszystkim dlatego – tu głos obrońcy nagle nabrał potężnej dźwięczności spizowego dzwonu – **ŻE ON WASZEJ POBŁAŻLIWOŚCI NIE POTRZEBUJE!**

Część przysięgłych zasępiła się na te słowa, a adwokat w kilku lekkich krokach podbiegł do długiego stołu, za którym siedziało dwunastu przedstawicieli ludu, i miękko, po ludzku poprosił:

– Nie litujcie się nad nim. Po prostu zapomnijcie o swoich uprzedzeniach. Przecież sędzicie go nie za zły charakter, nie za nonszalancję i nie za ambicję, lecz za straszne, krew w żyłach mrozące zbrodnie, których, zapewniam was, Bubiencow nie popełnił. Co też wam zaraz dowiodę.

Zatem wszystko, co było dotąd, stanowiło tylko uwerturę do właściwej obrony. Słuchacze zaszurali nogami, sadowiąc się wygodniej w oczekiwaniu długiego wystąpienia, ale Łomejko wyłożył swoją argumentację w niecały kwadrans.

– Panowie, wysłuchaliście niezwykle kwiecistej mowy oskarżyciela, bardziej podobnej do zawodzenia ojca Hamleta niż do poważnego dyskursu prawniczego.

W otoczeniu zastępcy oberprokuratora rozległ się śmieszek aprobaty.

– Widziałem, panowie, że ta mowa, niestety, wywarła na was wrażenie. A przecież cała była oparta wyłącznie na tanich efektach. Brak dowodów osłonięte marną literaturą i domysłami, za którymi nic nie stoi. Nie chcę nikogo obrażać, ale był to kliniczny przykład prowincjonalnego krasomówstwa w najgorszym stylu. W Moskwie i Petersburgu taka napuszona gadanina już dawno wyszła z mody. Tam naszego oskarżyciela po prostu by wygwizdano, tak jak na to zasługuje kiepsko grający aktor.

Matwiej Bencjonowicz aż poczerwieniał i z oburzeniem odwrócił

się do przewodniczącego, ale ten wyglądał na trochę zbitego z tropu. Wyraźnie zmieszani byli także przysięgli.

– A teraz do rzeczy. – Ton czarodzieja zmienił się znów, z szyderczo współczującego na suchy i rzeczowy. Mówił już nie słynny orator, tylko pedantyczny uczonek, przedstawiający naukowo dowiedzione i dla każdego jako tako rozumnego człowieka oczywiste fakty. – Opowiem wam, panowie, jak to wszystko wyglądało w rzeczywistości. Znałem prawdę od samego początku, kazałem jednak moim klientom trzymać usta zamknięte, ponieważ miejscowi śledczy, najwyraźniej nie bezstronni, są spragnieni zemsty i z pewnością wypaczyliby okoliczności sprawy, tak jak od niepamiętnych czasów kochali robić posłuszni krętacze w naszej ciężko doświadczonej Rusi.

Na oklaski, które wywołała ta uwaga wśród liberalnej części audytorium, mecenas nie zwrócił najmniejszej uwagi. Przeczekał po prostu, aż publiczność swoje odklaszcze, i ciągnął dalej.

– Noc, pusta droga. Przez szare chmury złowieszczo prześwituje księżyc. Pachnie deszczem, huczy wiatr. Drogą idzie dwóch wędrowców: jeden brodaty, z ostrzyżonymi pod donicę włosami, drugi – jeszcze zupełne dziecko. Mężczyzna objął chłopaczka za ramiona, a ten przytulił jasnowłosą główkę do ojca i idzie, podrzemując. Wokół cisza – ani żywej duszy, żadnego ruchu, tylko z lasu dochodzi przeciągłe pohukiwanie sowy...

Łomejko zasłonił ręką oczy i mogło się zdawać, że tam, na dłoni, otwierają się przed nim jakieś żywe obrazy, a on tylko opisuje to, co widzi.

– Nagle na skraju drogi wyrasta jakaś mętna figura. Nieznajomy podnosi rękę, jakby czegoś chciał. Ufny kupiec pyta: „Czego ci trzeba, dobry człowieku?” I wtedy nieznajomy dźga go nożem w gardło, potem obala na ziemię i poszerza krwawą ranę od ucha do ucha. Na

oczach zdrętwiałego z przerażenia, płaczącego dziecka zabija ojca. A potem wstaje, chwyta chłopczyka za chudziutkie ramionka i patrząc wprost w rozszerzone z przerażenia oczęta, przecina ostrym nożem cienką szyjkę. Błaganie o litość przechodzi w zdławione chrypienie, potem w bulgot... Zaczekajcie, to jeszcze nie wszystko! – zawołał adwokat, zwracając się do histerycznie szlochających słuchaczek. – Jeszcze nie opisałem wam tego, co najbardziej przerażające. Jak zabójca okalecza martwe ciała, odcinając im głowy. Jak chrzęszczą kręgi, jak tryska fontanną czarna krew... A teraz popatrzcie na Włodzimierza Lwowicza. – Gwałtowny zwrot, wyciągnięta ręka. – Powiedzcie w zgodzie z sumieniem, czy wyobrażacie sobie byłego porucznika gwardii, inspektora Synodu, w roli takiego rzeźnika? Oczywiście nie!... Teraz o zabójstwie fotografika Poggia. Bez względu na wszystkie domysły prokuratora jest zupełnie jasne, że była to zbrodnia w afekcie. Włodzimierz Lwowicz spędził w waszym mieście dosyć czasu. Zdążyliście z pewnością zbadać jego charakter i zwyczaje. Znaście i jego niezmienny chłód, i jego zblazowany styl bycia, na wielu robiący tak przykre wrażenie. Czy rzeczywiście możecie sobie wyobrazić, jak ten powściągliwy, rozważny człowiek wymachuje statywem, w szaleństwie drze fotografię i miażdży stopami szklane płyty? No więc przyjrzyjcie mu się lepiej! Macie przed sobą człowieka szczupłego, wąskiego w ramionach, delikatnej budowy. Czy dałby radę zadać ciężkim trójnogiem cios tak szatańskiej siły?

Wysunąwszy ten pierwszy rzeczowy argument (bo wszystko inne na razie było niczym więcej niż psychologią), adwokat znów wrócił do sfery uczuć, mówiąc wciąż tym samym surowym i wcale nie sentymentalnym tonem:

– Dobrze, panowie, zostawmy na razie dowody logiki i rozumu, zwróćmy się do serca, do instynktu, który nigdy nas nie zawodzi. Zdarza się, że rozsądek uparcie mówi nam: to jest czarne, to jest

czarne, i my już zaczynamy mu wierzyć, a potem serce nagle ocyka się, potrząsa głową – serce potrząsające głową niezbyt się adwokatowi udało, ale wszyscy byli tak przejęci, że nie zwrócili uwagi na to, iż alegoria jest dość wątpliwa – i wykrzykuje: „Ale gdzież tam czarne, kiedy jest białe!” Zwracam się do dam, siedzących na sali. Niejedna z pań żartowała, śmiała się, a nawet, proszę wybaczyć, kokietowała Bubiencowa. Muzykowała z nim, jeździła na pikniki, i tak dalej, i temu podobne. Czy naprawdę dopuszczają panie taką myśl, że ten amator kobiecej urody był zdolny rozwalić kamieniem głowę księżniczki Tielianowej? Popatrzcie, panie, tylko na ten koszmarny, toporny przedmiot. – Łomejko wskazał potężny brukowiec, leżący na stole wśród innych dowodów rzeczowych. – Czy możecie sobie wyobrazić pana Włodzimierza z takim narzędziem w ręku?

– Nie! Nigdy! – głośno krzyknęła z sali pani Olimpiada Szestago i wiele dam gorąco ją poparło.

– Mają panie wątpliwości – skonstatował obrońca. – I słusznie, bo niczego takiego oskarżony nie zrobił. Zapytacie: kto w takim razie zabił tych wszystkich nieszczęśników? Kto jest tym potworem? Chętnie wam odpowiem. Panowie śledczy spoza drzew nie dostrzegli lasu, a przecież dla człowieka nieuprzedzonego, dla każdego, kto nie ma kłapek na oczach, istota sprawy jest zupełnie oczywista.

Adwokat wziął się pod boki, wysunął naprzód brodę i rzucił do boju główne siły.

– Tak, Bubiencow jest winien. Ale winien nie zabójstwa, tylko niewybaczalnej ślepoty. Zresztą tak samo jak wielu obecnych. On, podobnie jak wy, nie potrafił rozpoznać dzikiego potwora, który przez długi czas cieszył się jego opieką. Tak, tak, zrozumieliście mnie dobrze. Mordercą za każdym razem był Murad Dżurajew, to absolutnie jasne. Dla takiego człowieka jak on zarząca kupca z synem to tyle co nic. A trzydzieści pięć tysięcy, które miał przy sobie

Wonifatjew, to dla Dżurajewa ogromne pieniądze. Był tamtego dnia w Drozdowce, dowiedział się o kupnie lasu, a dalej to już wszystko poszło bardzo prosto. Stangretowi o wiele łatwiej opuścić dom niż gościowi, na dodatek tak znakomitemu. A i z oderżnięciem głów taki baszybuzuk, sami rozumiecie, nie miał trudności.

Było to czyste, niewątpliwe touche! I najlepiej potwierdził to szmer, który przetoczył się po sali.

– A teraz przypomnijmy sobie okoliczności śmierci Poggia. Tej nocy Dżurajew szalał. Włóczył się po traktierniach i szynkach, to się pojawiał, to znikał. Czemu nikt się nie zastanowił, dlaczego ten niepijący góral kaukaski nagle zahulał? A przecież sprawa i tym razem jest zupełnie jasna. Jeśli było w Dżurajewie coś ludzkiego, to jego psie oddanie gospodarzowi. Wiedział, że Bubiencow i Poggio uderzali do jednej kobiety. Kaukascy górale odnoszą się do tego rodzaju konfliktów zupełnie inaczej niż my, cyniczni i przesyceni Europejczycy. Nie zapominajmy i o tym, że z punktu widzenia Dżurajewa Naina Tielianowa nie była jakąś tam kobietą z rodu giaurów, tylko córką kaukaskiego kniazia. Wolno nam sądzić, że Murad akceptował wybór swego pana nawet, zdaje się, bardziej niż on sam. – Ta subtelna uwaga znalazła zrozumienie u żeńskiej części audytorium. – Pan Zbawieny mi mówił, że opowiadał Czerkiesowi o skandalu, do jakiego doszło na wernisażu, o tym, że Poggio postanowił pohańbić księżniczkę Tielianową, wystawiając nieprzystojne fotografie na widok publiczny. Ci z obecnych, którzy bywali na Kaukazie, mogą sobie wyobrazić, jak taki postępek obraża cześć dziewczyny i każdego, kogo łączą z nią więzy pokrewieństwa czy jakiegokolwiek inne. Ta, którą Czerkies uważał za godną swego pana, została – niech damy wybaczą mi grubiański zwrot – wystawiona na golasa na uciechę publiczności.

Ale szum przeszedł po sali! Ale zaskrzypieli ołówkami reporterzy!

– Na Kaukazie takie zniewagi zmywa się krwią. Stąd i wyjątkowa brutalność zabójstwa, i szaleńcze niszczenie fotografii, wszystkich bez wyjątku. Tylko niepohamowany wschodni temperament zdolny jest do takiego szaleństwa. Te zaś wątpliwe domysły na temat drzewa osikowego i motyki, które słyszeliśmy od prokuratora, nadają się, przepraszam, najwyżej do romansu kryminalnego. Śledztwo próbowało zbudować na zupełnie przypadkowym zbiegu okoliczności cały gmach oskarżenia. Nic dziwnego, że ta nedorzeczna konstrukcja rozsypała się od pierwszego pchnięcia... No, a co do trzeciego zabójstwa, to w ogóle wszystko jest proste. Dżurajew zabił głównego wroga, ale to go nie zadowoliło. Pijackie oszołomienie minęło, ale ból obrazy, zadanej jego panu, dalej dręczył dzikie serce. Przecież jeszcze większą obrazę wyrządziła panu ta, któraomalże nie została jego żoną. Nie dość, że zdradziła, to jeszcze prowadziła się jak godna pogardy rozpustnica. W świecie muzułmańskim, jak wiadomo, takie kobiety się kamieniuje. Na śmierć. Tak właśnie postąpił Dżurajew. Wziął do ręki kamień i zabił Tielianową. A że przy okazji zgładził Bogu ducha winną pokojówkę, to co dla takiego dzikusa znaczy jedna chrześcijańska dusza więcej?

Mecenas Łomejko westchnął z goryczą i machnął ręką.

– I jeszcze ostatnia rzecz. Proszę nie zapominać, że podczas arestowania to właśnie Dżurajew stawiał opór władzy. To naturalne, tylko on jeden miał po temu ważne powody.

Zakończył Łomejko nieefektownie, byle jak, zapewne zgodnie z najlepszym stołecznym szykiem.

– Panowie, nie mam nic więcej do powiedzenia. Jak panowie widzą, męczyłem was krócej niż prokurator. Dlatego że ja mam argumenty, a on – sentymenty. Decydujcie. To wasze prawo i wasz obowiązek. Ale sprawa jest zupełnie jasna.



Nie rozległy się owacje, bo reakcja na mowę była dwoista: stronnicy Bubiencowa otwarcie tryumfowali, jego przeciwnicy najwyraźniej przeżywali rozterkę.

Natychmiast podniósł rękę prokurator i zaczęły się wystąpienia stron.

– A więc pański klient to niewinna owieczka, która nawet nie wiedziała, jakiego wilka okrywa własną skórą?! – zapalczywie wykrzyczał Berdyczowski znakomitą, dopiero co wymyśloną ripostę.

Wielu roześmiało się, bo Włodzimierz Lwowicz na owieczkę w żadnym razie nie wyglądał. Zachęcony tym Berdyczowski ciągnął dalej:

– Czy pan obrońca nie uważa, że historia z głowami nawinęła się inspektorowi Synodu w samą porę? Ledwie Bubiencow przybył do nas, na Zawołże, z misją wykorzenia pogaństwa, od razu ni stąd, ni zowąd pojawili się ludzie z obciętymi głowami, kropka w kropkę jak w kronice sprzed czterystu lat?

Łomejko upewnił się ironicznie:

– To może mój klient kronikę też napisał?

Znów rozległ się śmiech, i to głośniejszy niż poprzednim razem. W sztuce szermierki słownej zawołzski podprokurator wyraźnie ustępował stołecznemu rębajle.

– Ważne jest nie tyle, kto konkretnie zabijał. – Berdyczowski poszedł na istotne ustępstwo, bo nie miał czym obalić dowodów obrony. – Być może sam Bubiencow rąk sobie nie brudził. Ale jeśli krew przelewał Dżurajew, to działał za wiedzą Bubiencowa!

– Ma pan dowody? – Mecenas zmrużył oczy. – Czy po prostu młóci pan powietrze jak przedtem?

– Ciemny, niewykształcony góral kaukaski nie umiałby samodzielnie ułożyć takiej sprytnej intrygi – zdenerwował się Berdyczowski. – I w subtelnościach sztuki fotograficznej też się raczej

nie orientował. Przecież on nie tylko zdjęcia podarł, ale i płyty porozbijał. Skąd taka znajomość techniki fotograficznej? I przypominam, że zabójca zabrał właśnie to zdjęcie i tę płytę, które mogły zdradzić miejsce ukrycia trupów. Jak pan to objaśni?

Mecenas uśmiechnął się z wyższością.

– Ależ bardzo prosto, drogi kolego. Demolując wystawę, Dzurajew zobaczył, że na jednym ze zdjęć jest utrwalone aż nazbyt mu znajome miejsce. Przyjrzał się – i dostrzegł motykę, której zapomniał schować. Nietrudno było się domyślić, jak groźny dla zabójcy jest taki obrazek. Ot, i cała zagadka! A jeszcze, panie oskarżycielu, chciałbym złożyć zdecydowany protest przeciw obrzydliwemu lekceważeniu przedstawicieli mniejszości narodowych, które zabrzmiało w pańskich słowach. „Ciemny, niewykształcony góral kaukaski”. Według pana to jakby niezupełnie człowiek. A to jak najbardziej człowiek, po prostu innej tradycji i wiary, ale z własnymi wyobrażeniami o honorze, o wiele surowszymi niż nasze. Wielka szkoda, że policja zabiła Dzurajewa. Chętnie podjąłbym się jego obrony. Wstydz się pan, łaskawco. Wszystko chcielibyśmy mierzyć naszą miarką, a przecież na świecie nie tylko Rosjanie żyją.

Nagrodą dla obrońcy za te słuszne słowa były gorące oklaski postępowej części audytorium, przy czym głośniejsze od innych klaskali publicyści. Berdyczowski zaś zaczerwienił się boleśnie, bo miał dokładnie takie same poglądy.

– A próba ucieczki? Czemu Bubiencow miałby uciekać, jeśli jest niewinny? – połapał się podprokurator.

Łomejko spuścił wzrok, jakby zawstydził się tak prostodusznego pytania.

– Za pozwoleniem, a co miał robić, kiedy Czerkies zaczął strzelaninę? Wasze dzielne dzierzymordy podziurawiłyby kulami wszystkich trzech. A i w sprawiedliwe śledztwo Bubiencow w żaden

sposób nie mógł uwierzyć. I widzimy, że co do tego miał słusność.

Berdyczowski spojrział na podsądnego i zobaczył, jak wargi inspektora drgnęły w tryumfującym uśmiechu.

– No, jak długo można? – powiedział dość głośno zastępca oberprokuratora Synodu. – Chyba już wszystko jasne jak słońce.

Matwiej Bencjonowicz rzucił rozpaczliwe spojrzenie na włądykę Mitrofaniusza i ten nagle dał mu jakiś znak.

– Panie przewodniczący – natychmiast oznajmił Berdyczowski. – Chcę prosić o wysłuchanie świadka oskarżenia.

Kiedy wyjaśniło się, że świadkiem będzie sam archijerej guberni, obrońca zerwał się i zawołał:

– Protestuję! Włądyka nie miał nic wspólnego ze śledztwem, uważnie przestudiowałem materiały sprawy. To znaczy, że wystąpienie jego przewielebności to wyłącznie próba wykorzystania autorytetu szanowanej osoby w celu wywarcia wpływu na nastroje przysięgłych.

Mitrofaniusz uśmiechnął się, rozbawiony nieco myślą, że sąd mógłby nie udzielić mu głosu. Przewodniczący zaś, poczerwieniawszy na hemoroidalnej twarzy, odpowiedział ostro stołecznej gwiazdzie:

– Nieprawda! Chociaż włądyka formalnie nie uczestniczył w dochodzeniu, to wszystkim doskonale wiadomo, że kierował działalnością śledczych. Oprócz tego przenikliwość jego przewielebności w podobnych sprawach jest szeroko znana, i to nie tylko w naszej prowincji – ostatnie słowo sędziego szczególnie mocno podkreślił, odpłacając adwokatowi za wcześniejsze szpilki – ale i poza jej granicami.

– Wola sądu. – Mecenas grzecznie skłonił głowę, lecz zanim usiadł, powiedział: – Błagam, włądyko, proszę nie nadużywać swego pasterskiego słowa! Ono wiele waży, ale i odpowiedzialność za nie jest wielka.

Pojawienie się takiego świadka było prawdziwą, zdumiewającą sensacją. Jeden z gorliwych rysowników ześlizgnął się nawet z krzesła na podłogę i cichutko podczołgał bliżej, żeby uchwycić uroczystą i majestatyczną pozę biskupa, wygłaszającego słowa przysięgi.

Mitrofaniusz nie zwrócił się wcale do przysięgłych, tylko od razu do obrońcy, jakby uznając go za kluczową postać tej zacieklej batalii sądowej.

– Mówił pan o odpowiedzialności – jasno i głośno zaczął przewielebny. – I powiedział pan głęboką prawdę. Na każdym, kto przemawia przed sądem ludzkim, ciąży wielka odpowiedzialność. Ale nieporównanie większa odpowiedzialność ciąży na nas w obliczu przysiężnego Sądu. O tym zdaje się pan zapomniał.

Łomejko pokornie opuścił głowę, jakby nie śmiał się sprzeciwić tak szanownemu oponentowi, ale też nie odstępował od swego zdania.

– A przecież jest pan utalentowanym człowiekiem o wyrafinowanym umyśle – z wyrzutem w głosie ciągnął Mitrofaniusz. – Po co ta cała ekwilibrystyka? Kupiec z synem, trzech biednych Zytiaków, artysta, dwie młode kobiety, policjant, a jeszcze ten góral – tyle dusz straconych. I wszystkie jak na złość związane z Bubiencowem. Przecież pan nie zaprzeczy? U nas, na Zawołżu, było cicho i spokojnie. Potem pojawił się ten człowiek i jakby ktoś zły urok rzucił na naszą błogosławioną krainę. Zaczęły się zabójstwa, wzajemne podejrzania, nienawiść, podłość, donosy, właśnie w rodzinach, strach. Powiem teraz coś, co wielu wolnomyślicielom i ateistom wyda się zabobonem i zacofaniem, ale to czysta prawda. Wokół nas i pośród nas krążą ludzie noszący w duszy Zło. Takich ludzi jest wielu, a wyglądają oni dokładnie tak samo jak wszyscy inni. Dlatego nie boimy się ich, ufnie otwieramy przed nimi serca i ramiona. – Tu przewielebny wyraziście obrzucił wzrokiem galerię, na której siedziały nasze zawołżskie damy. – A rozpoznajemy nosicieli Zła tylko wtedy, kiedy

z jakiegoś powodu, dla jakichś własnych korzyści, przychodzi im do głowy zranić lub zgładzić właśnie nas. I wtedy my wyjemy, żałujemy, ale już trudno nas uratować, bo ci źli pracownicy mają stalowe zęby, żelazne pazury, a serce wykute z kamienia.

Władyka przypominał w tej chwili starotestamentowego proroka, a grzmiał tak, jakby w Dolinie Śmierci pod Bałakławą prowadził szwadron do szarży na angielskich huzarów.

– Wiecie, co zważyło się na naszą gubernię? Przybyło do nas Zło. I my, tu mieszkający, poczuliśmy to wszyscy – jedni wcześniej, inni później. Pański klient to nie po prostu zły człowiek. To sługa Zła. Całe jego życie, całe jego zachowanie o tym świadczy. I to niebezpieczny sługa, bo wykształcony, chytry, pomysłowy, śmiały i przystojny. Tak, tak, przystojny. Zły uzbroił go w miodem płynące usta, uwodzicielski głos, władzę podporządkowywania sobie słabych i wiele innych darów.

W tym miejscu Bubiencow wyciął sztuczkę: wystawił za plecami władyki różki i wysunął język. Ktoś zachichotał, ale na większości obecnych ten wyskok wywarł bardzo przykre wrażenie.

– Popatrzmy na te jego wyczyny, którym nawet pan nie będzie zaprzeczał – ciągnął dalej biskup, nadal zwracając się tylko do adwokata. – Mówił pan, że ojca i syna Wonifatjewów zabił nie on, tylko jego sługus. Przypuśćmy – tylko przypuśćmy – że to prawda. Ale z jednego strasznego przestępstwa Bubiencow zrobił drugie, jeszcze gorsze: rzucił potwarz na cały naród, podniósł falę nienawiści i nietolerancji, urządził haniebną i nikczemną polowanie na ludzi innej wiary. A jak postąpił z Nainą Tielianową? Uwiódł tę pannę, zniszczył jej życie i natrząsał się z grzesznego może, ale przecież szczerego uczucia. A i uwiódł ją nie z miłości i nawet nie z namiętności, ale z chwilowej chętki, albo jeszcze gorzej – dla interesu. Tak czy inaczej, popchnął Nainę Tielianową do

obrzydliwych czynów i do bezpośredniego współudziału w potwornym zabójstwie. A potem ją zgubił. Tak, tak, w każdym wypadku to on zgubił i Nainę Gieorgijewną, i jej pokojówkę, i artystę.

Tego już Łomejko nie mógł znieść, bo widział, jakie wrażenie mowa władcy robi na przysięgłych.

– Za pozwoleniem! – zawołał, wstając z miejsca. – Wasza przewielebność mówi to w sensie przenośnym, a prawo przenośni nie uznaje! Panie przewodniczący, to jest absolutne naruszenie procedury i reguł! Ja protestuję!

– A może i nie w przenośnym – o wiele ciszej przemówił Mitrofaniusz. – Jakimi to dowodami próbował pan obalić oskarżenie? Wąty Bubiencow nie miałby siły przebić piersi Poggia ciężkim statywem aparatu fotograficznego? A zdaje się, że użył pan słów „szatańska siła”? Bardzo odpowiedni zwrot. Bo ja myślę właśnie o szatańskiej sile, kiedy widzę, ile złośliwej energii i diabelskiej gorliwości przejawiał pan Bubiencow w trakcie swej niestrudzonej działalności w naszej guberni. Tak, on jest drobny i szczupły, ale wiadomo, że ludzie takiej budowy dysponują szczególnym zapasem energii nerwowej. W ataku szaleństwa czy wściekłości potrafią się wykazać nadludzką mocą, co potwierdza również nauka medyczna. A zresztą, po co szukać daleko... – Władcyka udał, że dopiero w tej chwili przyszedł mu do głowy stosowny przykład. – Pan sam w zeszłym roku na procesie mieszczanki Baranowej doskonale to opisał. Pańska klientka, siedemnastoletnia szwaczka, udusiła gołymi rękami swojego dręczyciela i jeszcze w swym zacierzewieniu dociągnęła sześciopudowe cielsko do sadzawki. Czytałem w gazetach pańską mowę, która zapewniła Baranowej niezbyt surowy wyrok. Pamięta pan, jak rozprawiał o „neurotycznym zapamiętaniu”?

Był to cios o druzgoczącej sile, tym skuteczniejszy, że zwałił się na mecenasa Łomejkę zupełnie niespodziewanie. Kto by się spodziewał

po prowincjonalnym biskupie takiej wiedzy?

A władca już ciągnął dalej:

– Przystudiował pan materiały sprawy, wie pan zatem, że ktoś próbował zabić mniszkę Pelagię Lisicynę, kiedy wykryła sztuczki Nainy Tielianowej z białymi buldogami. Wśród dowodów rzeczowych znajdują się worek i sznur, narzędzia niedosłego zabójstwa. Bubiencow był obecny przy zdemaskowaniu Tielianowej, czego nie można powiedzieć o Muradzie Dżurajewie. Jeśli to Dżurajew jest jedynym przestępcą, to skąd się dowiedział, że siostra Pelagia może się okazać niebezpieczna?

Adwokat spojrzał pytająco na Bubiencowa, ale ten tylko wzruszył ramionami.

– A jeszcze... – Mitrofaniusz zawiesił głos, dając do zrozumienia, że teraz nastąpi punkt kulminacyjny. – Proszę mi powiedzieć, panie mecenasie, kogo kochała Tielianowa: Murada Dżurajewa czy może jednak Bubiencowa?

Do publiczności sens pytania dotarł nie od razu, ale bystry Łomejko pobladł i szarpnął się za brodę.

– Martwi, panie mecenasie, też umieją zeznawać, dał im Pan Bóg taką moc. Zaplątawszy się w zabawy słowne, stracił pan z oczu najważniejsze: Naina Tielianowa dopuściłaby się takich szaleństw – ukrywania szczątków, zabijania psów – tylko dla kogoś, kogo całą duszą kochała. Ale nie dla prymitywnego Czerkiesa, którego pan nam tak uparcie podsuwa do roli zabójcy. Co pan na to powie? Kto tu spoza drzew nie widzi lasu?

Minęło pół minuty, minuta. Tytan myśli prawniczej milczał. Sala wstrzymała oddech, czując, że w tej chwili wazą się losy całego procesu.

Wtedy Mitrofaniusz pierwszy raz zwrócił się do podsądnego i ostro zapytał:

– A co pan na to powie, panie przestępco?

Włodzimierz Lwowicz zaczerwienił się i już nawet otworzył usta, ale w tej samej chwili nastąpiło coś, czego zapewne nie mógł przewidzieć nawet przemądry władyka.



– Aaaa! – rozległ się przeraźliwy ryk, a właściwie wycie, i Tichon Jeremiejewicz Zbawieny, do tej pory siedzący cicho, cichuteńko, tak że wszyscy o nim niemal zapomnieli, wybiegł z odgradzonego sektora dla oskarżonych na środek.

Padł na kolana, trzykrotnie pokłonił się sądowi, przysięgłym i publiczności, bijąc czołem o podłogę i dławiąc się gorączkowym szlochem. Strażnicy chwycili go pod ramiona, usiłowali podnieść, ale podsądny zdecydowanie nie chciał wstać i trzeba było ciągnąć go jak worek z powrotem na ławę oskarżonych.

– Znowuż, znowuż mój grzech! – wykrzykiwał oszalały sekretarz. – A niech mnie szatani, przeklętego!

Sędzia groźnie zadzwonił i Zbawieny znów skłonił się pokutnic.

– Wasza miłosierność! – wyjęczał ze szlochem. – Daj mi słowo szczerym sercem powiedzieć.

Po czym odwrócił się do swojego sąsiada z ławy oskarżonych, modlitewnie składając ręce, i zawołał:

– Włodzimierzu Lwowiczu, przyznaj się pan! Wybacz mi, małego rozumu człeczynie, ale nie ma już we mnie siłeczki! Wieleśmy z panem nagrzeszyli, och, wiele! Prawdę władyka powiedział o złych pracownikach, to właśnie my. Na Chrystusa Pana błagam, pokajaj się!

Policjanci musieli chwycić pobladłego z wściekłości Bubiencowa za ramiona i we dwóch ledwie zdołali go utrzymać, co najbardziej przekonująco potwierdziło słowa przewielebnego o sile neurotycznego szaleństwa.

Mitrofaniusz majestatycznie przemaszerował na swoje miejsce. Publiczność nie śmiała klaskać, ale pełna szacunku cisza, którą odprowadzono władykę, była większym wyrazem tryumfu niż wszelkie owacje.

– Czy chce pan złożyć zeznania? – zapytał przewodniczący.

– Tak! Chcę! – Zbawieny otarł rękawem mokrą od łez twarz. – Szczerym sercem! Duszy swojej chcę ulżyć!

Wstał i przemówił drżącym głosem:

– Zaprawdę wszechobecne jest Zło, a jam sługa jego wielce nikczemny! Winien jest Włodzimierz Lwowicz, pan Bubiencow, tych wszystkich strasznych zabójstw, on to zabijał. Ale i jam grzeszny, winny, jako żem milczał, ukrywał i dopomagał, ze słabości i lęku o żywot mój doczesny!

Bubiencow zerwał się, odtrącając na boki strażników, ale na pomoc rzuciło im się dwóch innych i w czwórkę posadzili rozwścieczonego podsądnego na miejsce. Ruszać się już oskarżony nie mógł, ale krzyknął:

– Co ty, Sraczyca, oszalałeś?

– O, proszę! – Tichon Jeremiejewicz zatrzepotał całym ciałem. – I teraz drzę na sam dźwięk głosu jego. Zaiste Szatan zeń. Czarów i pokus pełen. Wielka jest mu dana władza nad rodem człowieczym. I ja, robak marny, nie oparłem się pokusie, kiedym rozmach skrzydeł jego wyrozumiał. Do grodu tego cichego przybył on, żeby w proch, popiół i jęk go obrócić, a wszystko gwoli swej osoby wyniesienia. Umyślił on sobie na same szczyty ziemskiej władzy się wznieść, a dla tego przed niczym by się nie zatrzymał. Mówił on mnie: „Trzymaj się. Sraczyca, mojej poły i nie bój się, palców nie rozluźniaj. Sam zlecę i ciebie ze sobą wyniosę”. A jeszcze i tak do mnie mówił: „Uważaj, Sraczyca, jeśli przeciw mnie pójdziesz – jak glistę rozdepczę”. I rozdeptałby, taki to już człowiek. Zamroczył, zastraszył, zapochlebił

i psem jego wiernym zostałem. Wielęm ja, grzesznik, podłego i paskudnego zdziałął. Jednym tylko się nie zbrukałem – zabójstwem, a i to dla słabości nerwów...

Zbawieny zaniósł się szlochem i nie mógł z siebie słowa wydobyć, tak że przystaw musiał dać mu wody. Uspokoiwszy się nieco, skruszony grzesznik podjął opowieść:

– A jeszcze żartował! O innych, powiadał, ambitnych mówią, że „po głowach idą”, a ja dosłownie po głowach wysokusieńko się wdrapię. Wiele można by opowiedzieć, jak on Zytiaków tych nieszczęsnych tumanił, męczył i zastraszał. I ja w tyle żem nie pozostawał, pochwały jego chciało mi się zasłużyć... A z Wonifatjewami tak to wyszło. Ma Włodzimierz Lwowicz straszliwości długi, z dawnych jeszcze czasów. To tu, na Zawoźzu, w lwiej takiej postaci chodził, a w Pitrze to on tak więcej zajęczkiem śmiga, przed wierzycielami się kryje. To mu i w karierze przeszkadza, toć jemu już i Konstanty Pietrowicz wyrzucał – nie wypada tak synodalnemu urzędnikowi. I jak raz, kiedy w Drozdowce w gościach byliśmy, u generałowej, rozmowa na kupca tamtego przyjezdnego zesła. Pan Włodzimierz zaraz mnie na bok i szepnie: a spytaj no Sytnikowa, za ile on las chce kupować.

– Co ty łiesz?! – krzyknął wściekle ze swego miejsca Bubiencow, a sędzia uprzedził: jeszcze słowo i będzie wyprowadzony z sali.

– A co tam teraz łąć! – Zbawieny obejrzał się bojaźliwie na swego dawnego protektora. – Teraz prawdę trzeba mówić. No tak. Jak się dowiedział, że ten Wonifatjew dostanie tysięcy trzydzieści, może nawet i czterdzieści, zaraz mu się oko rozjarzyło. A ja siedzę, nic takiego nawet do głowy mi nie przychodzi. Kiedy Sytnikow, na Włodzimierza Lwowicza rozeźlony, do wyjścia się zbierał, on mi mówi: dogoń, proś niby, żeby się na mnie nie gniewał, a za jedną razą zapytaj, czyby nie przywiózł swego gościa tutaj, ciekawie by na takiego dzikusa popatrzeć. Ja myślę sobie: on tak dla sprawy, plan miał

wtedy taki, żeby pod starowierców się podkopać. To dopiero potem go olśniło i na pogan się przestroił. No dobra. Wracam, melduję. Że niby nie, nie przywiezie. Kupiec, targ ubiwszy, jedzie dalej, nawet na późną porę nie będzie zważał. No, no, powiedział Włodzimierz Lwowicz i tak jakby ciekawość do tego stracił. Ot, i tyle. A nocą zapukałem do drzwi jego – na pomysł taki maleńki wpadłem, oj, podlutki pomysł, nie będę mówić jaki, bo wstyd i do rzeczy się nie odnosi. Stukam, pukam – nie otwiera. Ja żem się najpierw zdziwił, bo sen to ma lekki, a potem pomyślałem, że to on pewnie z panną z Drozdowki nocuje.

Tichon Jeremiejewicz wytarł chwytnym łapskiem czoło, znów łyknął wody.

– A kiedy z rana do niego zaszedłem, zauważyłem, że płaszcz jego mokry jest – przed świtem deszczyk polał. Ale i wtedy uwagi nie zwróciłem. Kilka dni przeszło, znaleźli tych tam bezgłowych i Włodzimierz Lwowicz od razu o zytiackich ofiarach zagadał. Taki z niego znawca wszystkich ichnich wierzeń i obyczajów się okazał, żem się tylko dziwował. No i ucieszyłem się, oczywiście. Jak to się dobrze obracało, całkiem jak na nasze zamówienie...

Mówiący zaciął się, machnął ręką.

– Nie, nie będę teraz kręcić. Chcę wszystko jak na spowiedzi wyznać. Zalaął się we mnie taki robaczek już na samym początku. Bo to jakoś tak strasznie składnie wychodzi, myślę sobie. Jakby nam Zły wywróżył... Że sam Włodzimierz Lwowicz bezgłowych podrzucił, to mi oczywiście do głowy nie przychodziło. Dopiero teraz, kiedy wszystko jedno do drugiego się poskładało, to i o Sytnikowie sobie przypomniałem, i o pustym pokoju, i o mokrym płaszczu... I z artystą, fotografem niby, jasne, jak on wszystko urządził. Sam Murada spoił, nikt inny. Żebym ja się pod nogami nie plątał, żebym za pijanym Muradem całą noc jak piesek po szynkach się włóczył. Wydaje mi się, że Włodzimierz Lwowicz już wtedy zamyślał w razie czego zabójstwa

te na Muradka zwalić. Inaczej na co by mu ten trójnog się zdał? – Zbawieny wskazał na dowód rzeczowy. – Można było i jakoś tak prościej. A siłę Włodzimierz Lwowicz ma dużą, on tylko na oko taki cherlawy, ale cały żyłasty jest, a jak we wściekłość wpadnie – nie daj Bóg nawinać mu się pod rękę... No, a pod koniec to w ogóle mnie się wstydzić przestał. Po doświadczeniu śledczym, kiedy panna Tielianowa otwarcie grozić mu zaczęła, on się czarniejszy od chmury zrobił. Chodził po pokoju, myślał, a potem mówi nagle: „Na noc wyjdę. A ty, jak ktoś wpadnie albo spyta, powiesz, że niby spać poszedł”. Wrócił dopiero nad ranem. Cały przemokły, brudny...

Zeznania Tichona Jeremiejewicza zostały przerwane w najbardziej oburzający i nieprzyzwoity sposób.

Skorzystawszy z tego, że czujność strażników osłabła, Bubiencow lekko i nawet z gracją przeskoczył przez barierkę, podbiegł do swojego niewiernego zauszniaka, na odlew huknął go w ucho, a potem powalił na ziemię i wczepił się mu w gardło swoimi drobnymi, ale mocnymi palcami.

Strażnicy rzucili się na odsiecz Zbawienemu i zaczęła się przeohydna scena. Trzeba było ogłosić przerwę w posiedzeniu.



Kiedy rozprawę wznowiono, oskarżonych ulokowano daleko od siebie, przy czym Bubiencow siedział w kajdankach między dwoma strażnikami. Wyglądał zgoła niesynodalnie: na czole czerwienił mu się solidny krwiak, kołnierz miał naderwany, oczy błyszczące gorączkowo, jednym słowem – prawdziwy Szatan.

Jego sekretarzowi dostało się jeszcze bardziej. Ucho miał spuchnięte i odstające, nos jak burak (Bubiencow zdażył go jeszcze zębami chwycić), a najgorsze było, że nie mógł mówić, bo żelazne palce Włodzimierza Lwowicza przydużyły mu gardło. Tichon

Jeremiejewicz podjął nawet próbę, ale jego sapania i chrypienia okazały się kompletnie niezrozumiałe i przewodniczący postanowił nie męczyć cierpiętника, tym bardziej że sprawa i tak wydawała się już ostatecznie wyjaśniona.

Zamierzając wygłosić pouczenie dla przysięgłych, sędzia raczej dla porządku zapytał, czy ktoś z obecnych nie dysponuje jakimiś innymi informacjami, które mogłyby wzmocnić stanowisko oskarżenia lub obrony.

W tym właśnie momencie woźny sądowy podał mu świstek papieru. Sędzia przeczytał, ze zdumieniem podniósł brwi i wzruszywszy ramionami, oświadczył:

– Zgłosił się jeszcze jeden świadek. Ścisłej – zgłosiła się, bo to kobieta. Pelagia Lisicyna. Zgodnie z prawem mam obowiązek udzielić jej głosu. Świadek chce poprzeć oskarżenie?

Spojrzał ponad okularami na salę, wypatrując, czy ktoś wstaje z miejsca.

W audytorium zahuczało, bo świadek pojawił się za plecami sędziego, wyszedł z foteli dla honorowych gości.

Małą postać w czarnym stroju powitano szmerem. Wszyscy byli już zmęczeni długim siedzeniem i silnymi przeżyciami, a w dodatku – co tu jeszcze można było dodać? Tak czy inaczej, większej kary niż dożywotnia katorga oskarżony nie dostanie, a i mniejszym wyrokiem na pewno się nie wywinie. Nawet władyka niechętnie kiwnął kłobukiem, uznawszy widocznie, że jego duchowa córka uległa pokusie świeckiej próżności.



Mowa Pelagii Lisicynej była wprawdzie niezbyt długa, ale miała dla procesu zupełnie wyjątkowe znaczenie, dlatego przytoczymy ją w całości i dosłownie. W tym celu na pewien czas przerwiemy naszą

opowieść, oddając głos beznamietnemu protokołowi sądowemu. Stenografem był syn proboszcza naszego soboru, Leonid Kriestowozdwiżeński, wielce uzdolniony młody człowiek, któremu niejedną wróży wybitne sukcesy na niwie literackiej, ale protokół sporządził jak najbardziej sumiennie, bez żadnych upiększeń, tyle że czasem, zapaliwszy się, włączał tu i ówdzie uwagi, upodabniające nieco ten oficjalny dokument do sztuki teatralnej. Ale niech już tak zostanie. Od siebie dodamy tylko, że przez cały czas swego wystąpienia siostra Pelagia mówiła bardzo cicho, toteż w ostatnich rzędach nie wszyscy dobrze słyszeli.

Zaczniemy więc od tego miejsca, kiedy świadek, wygłosiwszy słowa przysięgi, przeszedł do właściwych zeznań.

Lisicyna: Panowie sędziowie i przysięgli, Bubiencow nie popełnił zabójstw, o które jest oskarżony.

W sali szum i krzyki. Zauważalne poruszenie wśród przysięgłych.

Przewodniczący: Interesujące oświadczenie. W takim razie kto?

Lisicyna: Bubiencow to oczywiście niegodziwiec, władyka wszystko to bardzo trafnie opisał, ale on nie jest zabójcą. I Wonifatjewów, i Arkadiusza Siergiejewicza, i Nainę Gięorgijewnę z pokojówką zabił ten oto człowiek. On i mnie dwa razy chciał zabić, ale Pan Bóg strzegł.

Pokazuje podsądnego Zbawienego. Ten chce coś krzyknąć, ale nie może z przyczyny uszkodzonego gardła. Głośny szum w sali.

Przewodniczący (dzwoniąc): Na jakiej podstawie świadek składa takie oświadczenie?

Lisicyna: Może najpierw wyjaśnię, dlaczego Bubiencow nie jest zabójcą. No, choćby z tymi głowami... Wciąż nie dawało mi spokoju, dlaczego Naina Gięorgijewna robi pod adresem Bubiencowa ciągle aluzje, a nawet mu wręcz grozi, a on nie przejawia żadnego niepokoju i swoim lekceważeniem jeszcze bardziej ją rozpala. Po co mu było tak igrać z ogniem? Przecież wystarczyło jej powiedzieć słowo i byłaby

jak jedwab. Niezrozumiałe. Z drugiej strony nikogo innego prócz Bubiencowa księżniczka by w takiej sprawie nie kryła, a i z całego jej zachowania wynikało, że wie coś szczególnego. A dziś, kiedy władyka zwrócił na to naszą uwagę, dowiódłszy bezzasadności podejrzeń pod adresem Murada Dżurajewa, przypomniałam sobie nagle słowa Nainy Gieorgijewny, wypowiedziane ostatniego wieczoru, kiedy po eksperymencie śledczym Bubiencow zbierał się do wyjścia. „Ten sam płaszcz. Ta sama czapka. Jakże ona jaśniała w świetle księżycy...” Nikt z obecnych nie pojął tych słów, a zresztą wszyscy przywykli do tego, że księżniczka lubi wyrażać się zagadkowo. Ale teraz jakby mi zasłona z oczu spadła. Kiedy panna Naina to powiedziała, Bubiencow już szedł ku drzwiom i ona widziała go od tyłu. Rozumiecie?

Przewodniczący: Nic nie rozumiem. Ale proszę mówić dalej.

Lisicyna: No jakże! Teraz bardzo dobrze widzę, jak to wszystko było. Nocą, kiedy zabito Wonifatjewów, ona spacerowała po parku. Może miała nadzieję, że wyjdzie Bubiencow, który wtedy już do niej ostygnął, bo zaczął liczyć na to, że załapie się na spadek po Tatiszczewej bez udziału panny Nainy. A może po prostu nie mogła spać, ogarnięta zrozumiałym niepokojem. I nagle widzi wśród drzew Bubiencowa, a dokładniej – jego sylwetkę: płaszcz, znajomą czapkę. Prawdopodobnie widzi z daleka, bo inaczej niewątpliwie by go zawołała. Bubiencow zachowuje się tak tajemniczo, że panna postanawia nie zdradzać swojej obecności, tylko go śledzić. Nie wiem, czy zabójca zdążył do tego czasu wrzucić ciała do rzeki, ale to, jak zakopuje odrąbane głowy, Tielianowa niewątpliwie widziała. Jako dziewczyna wrażliwa i skłonna do fantazji uznała z pewnością tę nieprawdopodobną scenę za jakiś tajemniczy rytuał. Albo zdrętwiała ze strachu – co nawet naturalne w podobnych okolicznościach. Właśnie w takim stanie – strachu i odrętwienia – zastałam ją trzy dni później, kiedy przyjechałam do Drozdowki. Panna Naina starannie

strzegła tajemnicy zakopanych głów i w tym celu musiała nawet uśmiercić białe buldogi, tak drogie sercu jej babci, ale w stosunku do Bubiencowa księżniczka trwała w zupełnym pomieszeniu. Kiedy jednak Włodzimierz Lwowicz pojawił się znowu i opowiedział o rozpoczętym śledztwie przeciw krwiożerczym poganom, Naina Gieorgijewna wyobraziła sobie, że teraz rozumie plan ukochanego: plan potwornie zuchwały i porywająco nieludzki. To wtedy właśnie powiedziała o Demonie. Wydało jej się zapewne, że szatańskie igranie losami ludzkimi to sztuka o wiele bardziej upajająca niż teatr czy malarstwo. Nie ona pierwsza uległa takiej pokusie.

Przewodniczący: Wszystko to bardzo prawdopodobne. Ale na jakiej podstawie świadek sądzi, że zbrodniarzem jest właśnie Zbawieny?

Lisycyna: Sam opowiedział, że wypytywał Sytnikowa o przyjezdnego kupca. I tylko ze słów Zbawienego wiadomo nam, że rozmowa ta odbyła się na prośbę Bubiencowa. W dodatku, chociaż Bubiencow siedzi po uszy w długach, trzydzieści pięć tysięcy to nie jest suma, która wybawiłaby go z kłopotu. U nas w mieście mówi się, że długi Bubiencowa idą w setki tysięcy. Czy chciałoby mu się ubabrać dla sumy tak, wedle jego pojęć, nieznacznej? Co innego Zbawieny. Dla niego trzydzieści tysięcy to majątek. A poza wzbogaceniem miał też inny cel: pomóc swemu protektorowi w karierze i awansować razem z nim. Tak więc głowy odrzynał nie tylko dla zatarcia śladów, ale jeszcze z dalekosiężnym zamiarem, który się w pełni powiódł. Być może to właśnie Zbawieny podsunął Bubiencowowi pomysł wykorzystania bezgłowych trupów w sprawie Zytiaków. (Poruszenie na sali). Tichon Jeremiejewicz to człowiek wyjątkowo przewidujący. Dokonując przestępstwa, za każdym razem podejmował środki ostrożności. Kiedy poszedł zabić Wonifatjewów, wziął płaszcz i czapkę swojego zwierzchnika. A nuż ktoś zobaczy? I zobaczył! Murada Dżurajewa w noc morderstwa Poggia na pewno spał także Zbawieny.

Nic dla niego nie znaczyło zostawić go na godzinę, gdy Czerkies pił w kolejnym szynku.

Przewodniczący: „Nic nie znaczyło” to nie dowód.

Lisicyna: Wysoki Sąd ma rację. Ale jeśli mogę... (Podchodzi do stołu z dowodami rzeczowymi i bierze statyw aparatu fotograficznego. Podchodzi z nim do podsądnego Bubiencowa). Panie Włodzimierzu, proszę wyciągnąć ręce. (Podsądnym Bubiencowem siedzi bez ruchu, patrząc na Lisicynę. Potem wyciąga skute ręce ponad barierką). Proszę spróbować objąć trójnog palcami. Widzicie, panowie? Oskarżony Bubiencow ma bardzo drobne ręce. On by po prostu nie mógł uchwycić tego ciężkiego statywu dość mocno, by zadać cios o takiej sile. Stąd wynika w sposób zupełnie oczywisty, że nie on zabił Arkadiusza Siergiejewicza Poggio.

Głośny zgietk w sali. Okrzyki: „No, przecież ma rację!”, „A to ci mniszka!”, i inne podobne.

Przewodniczący dzwoni.

Lisicyna: Proszę mi pozwolić na jeszcze jedną demonstrację. (Podchodzi z trójnogiem do podsądnego Zbawienego). A teraz, panie Tichonie, niech pan spróbuje.

Zbawieny szybko chowa za plecy ręce, które dotąd opierał na barierce. W sali wiele osób zrywa się na nogi.

Przewodniczący dzwoni.

Lisicyna: Statyw jest taki duży, że zwykłemu mężczyźnie raczej nie udałoby się chwycić go rękami, a pan Zbawieny ma niezwykle duże dłonie. Dla niego to zadanie nie byłoby trudne... I jeszcze mam prośbę do sądu. Czy można by zrobić obdukcję cielesną pana Zbawienego? A konkretnie – zbadać jego prawe biodro i udo? Rzecz w tym, że kiedy w parku w Drozdowce zarzucono mi na głowę worek, dwukrotnie wbiłam druty do wełny w nogę napastnika. Dostyc głęboko. Powinny zostać cztery ślady od ukłuć.

Zbawieny (zrywa się z miejsca i syczy): Wiedźma! Wiedźma!

XII

Czarny mnich

Po wystąpieniu siostry Pelagii posiedzenie trwało jeszcze przez pewien czas, ale koniec sprawy był jasny, a i uwaga publiczności się rozproszyła. Zbawienego odprowadzono na obdukcję i rzeczywiście – na jego prawym udzie znaleziono cztery różowe kropki. Do wystąpień stron nie doszło, bo prokurator po tylu raptownych zwrotach popadł w otępienie, adwokat zaś wyglądał na zupełnie zadowolonego: sprawy jego klienta układały się nieźle, a do odpowiedzialności za los Zbawienego wcale się nie poczuwał.

Tichon Jeremiejewicz, rzecz dziwna, ani nie płakał, ani nie lamentował. Na pytanie, czy przyznaje się do zabójstw, tylko pokiwał głową. Siedział z nieruchomą twarzą i przymkniętymi oczyma i, zdawało się, nie słuchał ani pouczenia sędziego dla przysięgłych, ani odpowiedzi ławy, ani nawet wyroku. Jego pomarszczona twarzyczka wygładziła się i nawet nabrała jakiejś powagi, przedtem zupełnie tej fizjonomii obcej. Bubiencow zaś, przeciwnie, zachowywał się nadzwyczaj nerwowo: wciąż się kręcił, to spoglądał na swojego sekretarza, to wykręcał szyję, żeby popatrzeć na siostrę Pelagię, i twarz jego w takich chwilach przybierała wyraz zdziwiony, a nawet głupkowaty. Mniszka, nawiasem mówiąc, do końca procesu ani razu nie podniosła wzroku, toteż niepoważnego zachowania Włodzimierza Lwowicza najpewniej nie zauważyła.

Wyrok nikogo nie zdziwił. Tichon Jeremiejewicz Zbawieny, który się nie pokajał i nie zwrócił zagrabionych pieniędzy, dostał dożywotnią katorgę. Włodzimierza Lwowicza natomiast uwolniono

spod straży od razu w sali sądowej i już po godzinie opuścił naszą gubernialną stolicę, zhańbiony w oczach większości, ale i opłakiwany skrycie przez niektóre osoby.

A potem wszystko w Zawołzsku zaczęło się powoli uspokajać i układać. Jakby kamień wpadł do stawu i z początku woda się zapieniła, poleciały bryzgi i utworzyły się kręgi, ale wkrótce ich bieg spowolniał, ustał, gładzizna się wyrównała i cicha toń znów usnęła, chociaż długo jeszcze wyskakiwały na powierzchnię dźwięczne banieczki.

Ludmiła Płatonowna von Hagenau po długiej przerwie poszła się wypowiedzieć u władzyki. Wyszła zapłakana, z zaczerwienionymi, ale jasnymi oczyma. Potem Mitrofaniusz odbył długą rozmowę również z gubernatorem, którego całkowicie uspokoił, dając mu do zrozumienia, że nie ma powodu do obaw. Tajemnicy spowiedzi przewielebny nie odstąpił i w ogóle mówił raczej aluzyjnie, ale potem i tak nałożył sam na siebie surową pokutę.

Podprokurator Berdyczowski wstawiał się u gubernatora za Lagrange'em, ale spotkał się z odmową. Mógł wprawdzie już uznać dług wdzięczności za spłacony, ale zaszedł jeszcze do archijereja, bez żadnej nadziei, po prostu dla czystego sumienia. Mitrofaniusz jednak nieoczekiwanie odniósł się do tego wstawiennictwa ze zrozumieniem i powiedział tak: „Lagrange'a pod sąd oddawać nie trzeba. Ani też przeganiać ze stanowiska. Myślę, że nie jest to wcale człowiek stracony. Przecież mógł najprościej w świecie urządzić się tak, że Murad by cię zabił i byłoby po krzyku. Powiedz panu Feliksowi, że pomówię z gubernatorem”.

Policmajster pozostał na stanowisku i teraz też spowiada się u przewielebnego.



Ale przed tymi wszystkimi wypadkami, dokładnie w sam dzień procesu, doszło do jeszcze jednego wydarzenia, o którym warto wspomnieć oddzielnie.

Kiedy przysięgli udali się na naradę, a w sali wszyscy zaczęli mówić jednocześnie, dzieląc się wrażeniami z procesu i przypuszczeniami co do przyszłego wyroku, władyka uznał, że nie przystoi osobie jego stanu pozostawać wśród pogrążonej w czczej gadaninie ciżby, i na zaproszenie przewodniczącego udał się do pokoju dla honorowych gości. Na siostrę Pelagię skinął palcem na znak, by szła za nim. Kroczył korytarzem posepny, patrzył pod nogi i ze złością stukał biskupim pastorałem.

Kiedy znaleźli się sam na sam, mniszka z miną winowajczyny pocałowała przewielebnego w rękę i dosyć mętnie zaczęła się tłumaczyć:

– Masz słusność, ojcze. Bubiencow to siewca Zła i pomiot piekielny. Teraz wyjdzie na wolność i chociaż jego kariera w Synodzie jest skończona, to on jeszcze za życia moc rozmaitego zła wyrządzi. Siłę ma wielką. Rany wyliże, podniesie się i znów zacznie siać nienawiść i nieszczęście. Ale przecież nie można wykorzeniać nieprawdy nieprawdą! Ja przecież dopiero w najostatniejszej chwili zrozumiałam, jak to było, bo inaczej tobym niezawodnie poprosiła twojego, ojcze, błogosławieństwa, zanimbym zabrała głos. A jeszcze pewniej – prosiłabym, żeby to ojciec świadczył. Ale czasu, żeby się porozumieć, w ogóle nie było, sędzia już miał kończyć rozprawę. No i dlatego wyrwałam się ze swoimi myślami. A wyszło tak, że wobec całego miasta postawiłam ojca w niekorzystnym świetle. Czy może mi ojciec wybaczyć?

Patrzyła na biskupa niemal z przerażeniem. Mitrofaniusz westchnął ciężko, pogładził swoją duchową córę po głowie.

– Że na durnia i zarozumialca przez ciebie wyszedłem, to i dobrze.

Żebym się nie puszył za bardzo. I w cudze laury nie stroił. Znam tę swoją grzeszną słabość i za nią właśnie zostałem ukarany. Ale to by było jeszcze pół biedy. Zawstydyłaś mnie, Pelagio, bardzo zawstydyłaś. I nastraszyłaś. Jak to zgrabnie wychodzi, kiedy się na świat przez kolorowe szkiełko patrzy! A kolor człowiek dobiera taki, żeby mu był po sercu. I wtedy widzisz swego osobistego wroga nie po prostu jako kogoś, kto ci źle życzy, tylko jako przestępcę i zakałę całego rodzaju ludzkiego, przyjaciela zaś swojego, choćby wiele grzechów miał na sumieniu, jako świetlistego anioła. Niech politycy na świat przez kolorowe szkiełka patrzą, pasterzowi nie wolno. Zwykle powinien mieć szkło, a jeszcze lepiej – gołym okiem niech patrzy... – Władyka ze skruszoną miną pokiwał głową. – I że złem zła się nie zwalczy, też masz słusność. Po prostu zamiast jednego zła zaprowadzisz inne, większe. A Bubiencowowskie zło jest szczególne. Nie na prawa się zamierza, tylko na dusze ludzkie. Takiemu złu sędziowie nie zaradzą, taką rzecz tylko Cerkiew Boża ma siłę dźwignąć. To Cerkwi obowiązek: odnajdywać i piętnować zło.

Siostra wzdrygnęła się i powiedziała szybko:

– A ja, ojczy, myślę, że Cerkiew Boża całkiem inne ma przeznaczenie. Nie trzeba odnajdywać zła ani go piętnować. Z tego tylko strach się rodzi. Nie złem mamy się zajmować, tylko dobrem. Łagodnością trzeba działać i miłością. Ze strachu nic dobrego nie wyniknie.

– To ty tak o strachu Bożym sobie rozmyślasz? – groźnie spytał biskup. – Opamiętaj się, Pelagio!

– O nim też. Boga nie trzeba się bać, tylko kochać Go. I trzeba, żeby Cerkwi też się nie bano, tylko ją kochano. A jednoczyć się z doczesną władzą to w ogóle dla Cerkwi grzech.

– A niby dlaczego grzech? – nie tyle się rozżłościł, ile zdziwił Mitrofaniusz. – To niby w Zawołzsku jest gorzej przez to, że Antoni

Antonowicz mnie słucha?

Szkoda, że nie udało się dokończyć tej rozmowy, bo do pokoju zajrzał podniecony Berdyczowski i oznajmił:

– Władyko, po wszystkim! Przysięgli wyszli niemal od razu. Zbawieni winny – jednogłośnie. Bubiencow niewinny – też jednogłośnie. Reporterzy nawet nie czekali na wyrok. Tu, w korytarzu, się tłoczą. Na ciebie, władyko, czekają.

– Na mnie? – spytał archijerej i głos mu zadrżał. – No cóż, wypiję ten gorzki kielich, zasłużyłem. – Wstał i zdecydowanie pociągnął Pelagię za rękę. – Wychodź pierwsza. To twoja godzina. Tylko nie pusz się za bardzo. Pamiętaj, że jesteś Chrystusową oblubienicą.

Ledwie Pelagia przekroczyła próg korytarza, oślepta od wybuchów magnezji i zrobiwszy dwa kroczki, zatrzymała się zagubiona. Zdążyła tylko zobaczyć mnóstwo ożywionych męskich twarzy, w większości bez bród, z podkręconymi wąsami.

Mocne ramiona odepchnęły mniszkę na bok. Surduty i marynarki otoczyły przygarbionego ze skruchą władykę.

Jeden z mężczyzn, brzydki, o wydatnych szczękach – sam Carenko, słynny publicysta petersburski – odezwał się z uszanowaniem:

– Władyko, twoja majestatyczna mądrość wywarła na publiczności niezwykle głębokie wrażenie. Wygłosiłeś, wasza wielbność, wspaniałą mowę, w której zdemaskowałeś Zło w osobie inspektora Bubiencow, może nawet niewinnego przed ludzkim sądem, lecz po stokroć winowajcę na Sądzie Bożym. Drobnego zaś zabójcę, zwykłego przestępcę, pozwoliłeś, wasza wielbność, zdemaskować swej pomocnicy, co też ona sprawnie wykonała, niewątpliwie wedle wskazówek waszej przewielebności.

– Nie, nie! To ona sama! – wykrzyknął z przerażeniem Mitrofaniusz. – To wszystko Pelagia!

Taki wzruszający objaw skromności przyjęty został

porozumiewawczymi uśmiechami, a wielu reporterów od razu zapisało słowa archijereja w notesach, dojrzawszy w nich zachwycającą pokorę i niechęć do światowego rozgłosu.

– Oczywiście. – Carenko uśmiechnął się przenikliwie. – Wasza przewielebność nie ma z tym wszystkim nic wspólnego. I w poprzednich sprawach, wyjaśnionych dzięki jego współdziałaniu, zasługa też przypadała siostrze Poliksenie.

– Pelagii – poprawił z roztargnieniem władcyka, szukając wzrokiem pomocnicy.

Pelagia stała przy otwartym oknie, odwrócona do dziennikarzy plecami. Przygnębiona? Obrażona?

Uspokójmy od razu czytelnika. Siostra wcale nie była obrażona. Po prostu stała i patrzyła przez okno, dlatego że tam akurat szykowało się – a ściśle mówiąc, już się zaczynało – wydarzenie, o którym wspomnieliśmy nieco wyżej.

Plac, na który wychodziły okna sądu gubernialnego, był w tej przedwieczornej godzinie prawie zupełnie pusty. Pod latarnią leniwie przekomarzały się dwa psy uliczne, chłopczyk w sukiennym kaftanie i smarowanych dziegiem butach skakał na jednej nodze przez kałużę. Ale z odległej strony placu, od wylotu Małej Kupieckiej, dochodził dźwięczny stukot kopyt po bruku, gruchot kół, brzęk uprzęży. Cały ten łoskot żwawo się przybliżał i wkrótce już można było zobaczyć spienioną parę siwosrokatych koników, ciągnących resorowaną kolaskę. Na koźle, wymachując knutem, stał pokryty kurzem mnich w czarnym, łopoczącym na wietrze habicie, prostowłosy, o rozwianych długich kosmykach, a potem dało się zauważyć, że dziwny woźnica ma całe czoło we krwi i niesamowicie wybałuszone oczy. Nieliczni przechodnie, widząc taki obrazek, zastygali na miejscu.

Mnich podjechał do gmachu sądu, ściągnął wodze, zatrzymał rozpędzone konie, zeskoczył na ziemię i krzyknął do Pelagii...

Zresztą, nie powiemy teraz, co właściwie krzyknął przybysz, bo będzie to początek zupełnie innej historii, jeszcze osobliwszej od historii białego buldoga.

Pelagia szybko odwróciła się do przewielebnego. Mitrofaniusz nie widział dziwnego mnicha i nie słyszał jego krzyku, od razu jednak poczuł, że dzieje się coś niedobrego. Delikatnie, lecz zdecydowanie odsunął korespondenta i...

Przypisy

[1] Szara eminencja (fr.).

[2] Herszt bandy rozbójników; postać z rosyjskiego folkloru, spopularyzowana pieśnią do słów Mikołaja Niekrasowa (przyp. tłum.).

[3] Bohater żartobliwego poemaciku Puszkina (przyp. tłum.).

[4] Zamachu stanu (fr.).

[5] Członkowie oficjalnej Cerkwi prawosławnej czynią znak krzyża trzema palcami (triechpierstno), raskolnicy zaś – dwoma (dwupierstno) (przyp. tłum.).

[6] Michał Lermontow, Demon, przełożył Zbigniew Bieńkowski.

[7] Przełożył Jan Gondowicz.

[8] Proszę ich nie słuchać. Sami nie wiedzą, co mówią (ang.).

[9] Przysięgli mnie skazą (ang.).

[10] Kto korzysta? (łac.).

[11] Przełożyła Krystyna Berwińska.

[12] Szacunek do siebie (niem.).

[13] W nocy z 7 na 8 września 1812 roku podczas bitwy pod Borodinem Kutuzow zwołał we wsi File naradę wojenną, na której zdecydowano o oddaniu Moskwy (przyp. tłum.).

[14] Od tyłu (fr.).

[15] Cytaty z Rusłana i Ludmiły w przekładzie Jana Brzechwy.

[16] „Posepny Demon, duch wygnania” – pierwsze słowa poematu Lermontowa Demon w przekładzie Zbigniewa Bieńkowskiego (przyp. tłum.).

Spis treści

Część pierwsza Patrzajcie się psów

I Śmierć Hulaja

II Chmury nad Zawołzkiem

III Mili ludzie

IV Kłębowski jadowitych węży

V Strach

Część druga Patrzajcie się złych pracowników

VI Soiree

VII Soiree

VIII Ciż sami, ale nie wszyscy

IX Noc. Rzeka

X Charcik

XI W sądzie

XII Czarny mnich

Przypisy